

# Tancerze wodni

Terry Gamble



Świat Książki

# Terry Gamble

## *Tancerze wodni*

*Latem 1945 osierocona szesnastoletnia Rachel Winnapee podejmuje pracę w letniej rezydencji nad brzegiem jeziora Michigan, która należy do zamożnego rodu Marchów. Dziewczyna, z pochodzenia Indianka, pozbawiona złudzeń co do swojego miejsca w świecie ludzi uprzywilejowanych, szybko wchodzi w rolę posłusznej służącej, cicho i bez sprzeciwów spełniającej życzenia pracodawców. Rzetelnie wypełnia swoje obowiązki aż do czasu, gdy przejmuje opiekę nad młodym dziedzicem - tragicznie okaleczonym i emocjonalnie rozbitym weteranem wojennym, Woodym Marchem.*

*"Tancerze wodni" Jerry Gamble to nie tylko przenikliwy obraz konfliktów rasowych, kulturowych i społecznych, niczym nie złagodzonych komplikacji uczuciowych i najskrytszych pragnień ludzkiego serca, ale także dowód na wielki talent, jaki objawił się w nowym pokoleniu amerykańskich pisarzy.*



# PROLOG

1942

Babka Rachel Winnapee umierała. W piersiach dudniło jej, jakby miała tam kamienie. Dziewczynka znajdowała wcześniej kawałki skał w różnych miejscach - w kieszeni, w kubku, nawet w buzi. Może babka któryś z nich połknęła?

Latem w Michigan późno robi się ciemno, słońce nie zachodzi prawie do dziesiątej. Nad jeziorem Podkowa trzask płonącego drewna i gotowanie zdobyczy pochodzącej z polowania albo kradzieży - tak samo jak kamyki ciotki Minnie, które chowała pod werandą, znalezione albo ukradzione, nie potrafiła tego powiedzieć. Nie miało to znaczenia, bo trzeba zacząć od tego, że szczep znad Podkowy z plemienia Odawa był tu dzikim lokatorem i nawet jezioro, plaża i las należały do kogoś innego.

Nim zapadła noc, oddech babki stał się podobny do wiatru gwizdzącego zimną w kominie. Wysoki, słaby dźwięk - wdech, wydech. Dziewczynka liczyła oddechy, słuchała, jak stają się coraz wolniejsze, obserwowała, jak stopy i dłonie babki robią się niebieskawe i zimne jak gład.

Kilka białych promieni księżyca rzucało cienie na ściany, gdy Rachel krzątała się po chałupinie, otwierała pudła i szukała kamieni potrzebnych do obciążenia ciała babki, kiedy jej duch będzie się wznosił do Giczi-Manitu, by stać się niebem. Zebrała trzy sztuki i położyła je na piersi staruszki.

- Babciu - mówiła, potrząsając nią na łóżku, które dzieliły. - Babciu.

Ale skóra babki zapadła się, z ust wysunęły się wielkie zęby. Dziewczynka czekała. Wpatrywała się w jej krtań, ale nie słyszała już żadnego oddechu. Położyła ostatni kamień na piersi starej ko-

biety, wczłogała się i ułożyła obok niej. Przytuliła się jak do skóry zwierzęcia.

Następnego ranka, kiedy zjawił się wuj Jedda, Rachel przepędziła go wrzaskiem. „To mój dom! - krzyczała. - Moje ciało!”. Dwa dni później rzuciła jednym z kamieni leżących na piersi staruszki w drzwi, w których stanęła ciotka Minnie.

- W tej skorupie nie ma już iskry życia, Rachel. Pogódź się z tym.

- Wynocha!

- Zabalsamuj ją - dodała Minnie, wycofując się z werandy. - Okropny smród!

Na zewnątrz kadencja bzyczących w upale owadów, ponure uderzanie fal o brzeg. Zaczął się śpiew. W chacie przy plaży wuj Jedda pił. Rachel zakryła uszy dłońmi, żeby powstrzymać się od wycia.

Tymczasem zjawiła się zakonnica z klasztoru. Wszyscy Indianie narzekali, że stara kobieta za bardzo cuchnie, by można było pochować ją zgodnie z obrządkiem, pomalowaną, z pieśnią i bębunami. Matka nie żyje, wuj pijany, a ciotka Minnie też nie lepsza. Najprostszym rozwiązaniem byłoby zabranie małej do miasta, żeby zamieszkała w klasztorze z innymi dziewczynkami, porzuconymi niczym niepotrzebne rupiecie.

- Spalić jej budę - powiedział ktoś.

Zanim zakonnica zdążyła ich powstrzymać, siłą odciągnęli Rachel od babki i wywlekli na zewnątrz. Wkrótce chata zmieniła się w stos pogrzebowy. Drewno zajęło się ogniem, trzaskało, płonęło, spośród języków czerwieni wyłonił się otoczony dymem zarys kobiety, który niczym Manitu wznosił się coraz szybciej ku niebu.

- Patrzenie! - krzyczała Rachel.

- Słodki Jezu - odezwała się zakonnica, chwytając dziecko i silnie je przytrzymując.

Później będą mówili, że było to tylko złudzenie wywołane światłem, rozbłyskami skwierczącej trawy, ale Rachel wiedziała, że to duch babki wznosił się nad ogniem, kiedy jej popioły spadały wokół jak deszcz.

# **Część pierwsza**

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

1945

Rachel pracowała w domu Marchów od sześciu tygodni - przez cały ten czas wykładała papierem szuflady, wietrzyła ubrania, nosiła pranie - i nadal nie umiała rozróżnić schodów na tyłach domu. Jedne prowadziły z kuchni do jadalni, drugie na piętro do sypialni. Nawet korytarze się jej myliły, nagle kończyły się lub skręcały. Werandy i skrzydła domu były nie do odróżnienia. Drzwi uderzały o siebie. Dwanaście sypialni na górze i nikogo, kto by z nich korzystał, poza starą kobietą, żywiącą nadzieję na powrót jednego syna, duchami drugiego i dziewczynki, która umarła w niemowlęctwie.

Nawet pan March przyjeżdżał tu tylko pod koniec sierpnia, jeśli w ogóle się zjawiał. Był to dom kobiet. Od początku wojny to one przygotowywały jedzenie, myły podłogi, prowadziły rachunki, wydawały polecenia, składały bieliznę pościelową, zeszkrobywały ciasto ze stolnicy. No i jeszcze prasowanie. Rachel przypaliła trzy adamaszkowe serwetki, zanim nauczyła się dobrze to robić. Chłodziarka w spiżarni buczeniem doprowadzała ją do szału. Piec śmierdział benzyną. Bez przerwy coś się gotowało, od czego stawało się jeszcze parniej. Kiedy tego ranka wychodziła z klasztoru do pracy, powietrze w dormitorium, gdzie spały dziewczęta, było aż gęste od zapachu potu.

- Siostra powiedziała nam, że umiesz prasować - odezwała się kucharka, Ella Mae. Jej stare czarne oczy wpatrywały się w warkocze Rachel, jakby ta miała w nich wszy albo coś gorszego. - Pamiętaj - mówiła dalej Ella, kiwając palcem. Ich spojrzenia się spotkały. - Marchowie wzięli cię z łaski, są twoimi dobroczyńcami.

Dobroczytność. Nawet siostra Marie postawiła to jasno na samym początku. „Nasza kaplica, figura Marii - to wszystko dary

Lydii March. Pewnie myślisz, że ona ma wszystko, ale fortuna jak kij ma dwa końce. Marchowie oddali Bogu syna i maleńką córeczkę. Będą ci płacić cztery dolary tygodniowo".

U Marchów pachniało stęchlizną, kamforą, bzem i gnijącymi rybami, które jezioro wyrzuciło na plażę minionej nocy. Z domu usytuowanego na samym końcu cypla w kształcie zakrzywionego palca roztaczał się najlepszy widok, jakiego nie miały pozostałe zabudowania w Beck's Point. Nikt już najwyraźniej nie pamiętał, kim był Beck, ale jedna dziewczyna z klasztoru powiedziała Rachel, że kiedyś znajdowało się tu święte miejsce, gdzie zamieszkiwały duchy i nikt nie ośmielał się osiedlić. Teraz pełno tu było letniskowych domów, białych i ustawionych w rzędzie niczym perły w naszyjniku.

Naprzeciw portu miasteczko Moss Village rozsiało się u podnóża piaskowych klifów, pozostałych po istniejącym w zamierzchłych czasach słonym morzu. Potem nastał lodowiec, który wyżłobił i uformował jezioro Michigan niby totem pośród ładu, z Indianami na brzegu, a później Francuzami, garstką chłopów z Polski, księżmi, handlarzami futer, rybakami, drwalami i jeszcze później letnikami.

I zawsze stał kościół. Po pożarze pierwszego jezuita zbudowali drugi, potem trzeci, którego wieża górowała nad wszystkim w okolicy. Obok niej - wielka bryła ceglanego budynku, pełnego dziewcząt, niektórych jeszcze małych, niektórych starszych, wszystkich o ciemnej skórze. Wszystkich przysłanych tu lub podrzuconych albo przyprowadzonych przez zakonnice, by nauczyły się żyć na sposób amerykański i zapomniały o indiańskiej przeszłości. Nigdy więcej tańczenia dla duchów o podejrzanym imionach, na których można połamać język. Nigdy więcej ubrań ze skóry jelenia. Przyuczyć dziewczęta do pracy, a kiedy wystarczająco podrosną, niektóre rodziny letników - najchętniej katolicy - wezmą je do siebie.

Za cyplem woda rozlewała się w zatokę, widać było niktę zarysy drzew i wzgórz za miasteczkiem Chibawassee na przeciwległym brzegu. Na południowym krańcu zatoka rozciągała się ku zachodowi aż po horyzont. Na północy Beck's Point znajdował się port - przystanie i strzyżone trawniki, wygrabione plaże, zacumowane łodzie - najlepsze miejsce do kotwiczenia pomiędzy Grand Traverse a Mackinaw. Rachel widziała wodę z każdego okna, wyczuwała jej smak i zapach, słyszała szum fal. Jezioro Podkowa było zupełnie inne, małe, spokojne, niemal staw.

- Tyle tu wody - powiedziała Rachel do córki Elli Mae, pomagającej jej przy owocach.

- Jak w czasie powodzi - odparła Mandy, która umiała pływać. - Napędza mi stracha. - Dodała, że kiedyś utopiła się tu dziewczyna z klasztoru. Wiele lat temu.

- Wiem, jak się pływa - oznajmiła Rachel.

Tego dnia pomagały Elli Mae piec ciasto z wiśniami. Kucharka zagniałała mąkę z masłem, aż jej grube, brązowe ramiona pokryły się bielą. Rachel drylowała owoce. Nastał lipiec i wiśnie przywieszzone z Traverse City były w pełni dojrzałe. Sok ściekał jej po rękach. Za każdym razem, gdy kucharka odwracała wzrok, dziewczyna łakomie je oblizywała. Zawsze była głodna, nawet kiedy miała pełny żołądek. Jako dziecko lizała kamienie i ziemię, chciała ich minerałów, jakby była w stanie zjeść cały glob.

- Ile masz lat? - Mandy przyglądała się jej.

- Szesnaście - odpowiedziała Rachel, oblizując wargi. Nie do końca była tego pewna.

- Szesnaście? Myślałam, że jesteśmy w tym samym wieku.

- A ile ty masz lat?

- S i e d e m n a ś c i e - odpowiedziała Mandy.

Pachniało cukrem, masłem i wiśniami. Ostatnimi laty z powodu wojny trudno było o masło. I o benzynę. Pończochy. Rzeczy, o których Rachel nawet nie pomyślałaby, że trudno się bez nich obyć.

- Czekolada - wtrąciła się Ella Mae, wyliczając racjonowane produkty. - Spróbuj ją zdobyć.

Ella Mae nauczyła Rachel wałkowania ochłodzonego ciasta i takiego przycinania, by jak najmniej się zmarnowało. Rachel podkradała okrawki, wsuwała je do kieszeni i potem zjadała. Zastanawiała się, czy kucharka smakowałaby czekoladą, gdyby polizała jej ramię. To samo dotyczyło Mandy i Jonaha, męża Elli Mae. Mieli skórę ciemniejszą od niej, przypominającą kakao z mlekiem.

Na podwórzu pani March z siwymi włosami upiętymi na czubku głowy wskazywała palcem wyschnięty staw rybny. Victor, ogrodnik, podążył wzrokiem za jej palcem i wzruszył ramionami. Po wojnie, wydawał się mówić, po wojnie staw zapełni się rybami, jezioro łodziami, a dom śmiechem.

Tego popołudnia spodziewano się gościa.

- Przed wojną zdarzało się, że wszystkie pokoje gościnne



były pełne - powiedziała Ella Mae. - Senator z Ohio był tu cały tydzień.

Mandy sięgnęła do miski i podkradła wiśnię. Rachel miała straszliwą ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jej ust, bo były takie duże, szerokie i czarne. „Skąd się biorą takie usta?“, miała zamiar zapytać, ale Mandy odezwała się pierwsza, pokazując na jej grube, czarne warkoczki:

- Skąd masz takie włosy? - powiedziała. - Mogłabym je lepiej uczesać.

Rachel dotknęła swoich włosów. Rozplecione, opadały lokami na plecy i nie wyglądały na indiańskie. Może miała coś francuskiego. Trafił się przecież handlarz futrem, który wziął sobie jej babkę za konkubinę.

- Jesteś brzydka - orzekła Mandy. - Choćby twój nos. Skąd masz taki nos?

Nawet Rachel musiała przyznać, że jej nos różnił się od płaskich i szerokich nosów większości Odawa, był dłuższy i zakrzywiony niczym dziób drapieżnego ptaka.

- A twoje policzki! - dodała Mandy. Nadęta własne, aż stały się kraglejsze od policzków Indianki.

Rachel przyjrzała się głowie Mandy - dwudziestu cienkim warkoczkom, które porównała ze swoimi dwoma grubymi warkoczami. Od tak dawna nikt jej nie dotykał, nie czesał jej włosów. Na dziedzińcu kościoła stała figura Matki Boskiej trzymającej maleńkiego Jezusa. Czasami dziewczyna miała ochotę wśliznąć się w ramiona Marii o twarzy tak smutnej, jakby wiedziała, że będzie musiała poświęcić własne dziecko.

„Jezus umarł za twoje grzechy“, powiedziały Rachel zakonnice.

Córeczka Marchów umarła podczas epidemii grypy. W jednej z sypialni o stale zaciągniętych zasłonach stało dziecinne łóżeczko. Czy Dziewica Maryja wiedziała, że jej synek o słodkiej buzi umrze? Może rozpacz zagłuszyła w niej błagania Rachel, by odesłała ją z powrotem do domu nad brzeg Podkowy.

- Proszę bardzo - powiedziała Rachel, pozwalając Mandy dotknąć włosów. Ręce miała lepkie od wiśni. Jezus krwawi za mnie, pomyślała, biorąc ręcznik i plamiąc go na czerwono.

Buick wyjeżdżał ospale z podjazdu, a Jonah i Victor wnosili bagaże narzeczonej. Kufer, dwie walizki, trzy pudła na kapelusze, butelki i buty. Łodzie zacumowane w porcie trzeszczały w powiewach bryzy, podczas gdy Rachel i Mandy rozpakowywały ubrania, sortując je na dwa stosy - do odłożenia i do prasowania.

- Dziewczyno - odezwała się Mandy. - Tego prasowania starczy ci do następnego wtorku.

- To prawda - odpowiedziała Rachel. Przez okno widziała port, a za nim Moss Village z jego redą, ceglanymi budynkami, wieżą katolickiego kościoła. Chciała zapytać Mandy, w jaki sposób zginął pierwszy syn i kiedy drugi wróci do domu. Dwie flagi wisiały w oknie salonu, każda z gwiazdą - niebieską dla syna nadal walczącego na Pacyfiku, złotą dla utraconego w Belgii. Przyłożyła do piersi kaszmirowy sweter i wygładzała go ręką.

- Nieźle cię obsztorcuje, jak cię na tym przyłapie - powiedziała Mandy.

Woda niosła odgłos dzwonów kościelnych tam, gdzie niegdyś żyli Odawa, a ich wioski ciągnęły się kilometrami wzdłuż brzegu. Przed pojawieniem się handlarzy futer, przed księżmi.

Mandy zaczęła mówić o czymś innym, ale w tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka weszła narzeczona. Była od nich starsza, bliżej dwudziestki, i miała blond włosy. Nazywała się panna Elizabeth.

- Czy któraś z was widziała mój kostium kąpielowy?

Włosy jak masło. Rachel miała ochotę przeczesać je palcami, powąchać, żeby sprawdzić, czy są prawdziwe. Wskazała komodę.

- Jest tam.

- Dziękuję.

Paznokcie panny Elizabeth błyszczały i były czerwone. Otworzyła szufladę, wyciągnęła kostium. Wychodząc z pokoju, zawołała przez ramię do Rachel:

- Jeśli chodzi o sweter, który trzymasz, to będzie kłopot, jeśli nie ograniczysz się jedynie do patrzenia na niego.

- Też coś - powiedziała Mandy po wyjściu panny Elizabeth. - Jakby wszystko wiedziała. Ta dziewczyna ma więcej ubrań niż Batszeba.

- Jaki on jest?

- Kto?

- Ten, za którego ona ma wyjść.

- Zgłupiał, od kiedy ją poznał - mówiła Mandy, nucąc coś jednocześnie. - Przyjechała tu któregoś lata z panną Sereną Boyd i od razu zagięła parol na panicza Woody'ego. Tyle że Marchom to nie przeszkadzało. Pochodzi z Parkerów z St. Louis. Mama mówi, że się zawzięła jak mulica w rui.

- Mulica? - Rachel roześmiała się i pokręciła głową. - Jest za ładna na mulicę.

Mandy, która też zaczęła się śmiać, pociągnęła ją za warkocz.

- A co ty możesz wiedzieć o urodzie?

W kuchni położono nowe linoleum, błękitne jak jezioro, ale deski i tak się zapadały, a jedno okno było pęknięte. Siedziały na kuchennej podłodze, Rachel oparta o nogi Mandy. Grzebień przesuwający się po skórze głowy przywodził jej na myśl chłodne dłonie samego Jezusa. Ella Mae piekła ciasto z warstwami czekolady cienkimi jak opłatki. W połowie ranka dom wypełnił się zapachem czekolady, bogatym jak woń ziemi, słodko-gorzkiem.

Mandy rozczesywała kosmyk włosów.

- W życiu nie widziałam tak pokręconych włosów, no, chyba że u kolorowej dziewczyny. Jesteś kolorowa?

- Indianka. Częściowo.

- A pozostałe części?

Francuz babki. Niemiecki drwal, którego matka poznała w barze.

- Mieszanka - odpowiedziała.

Mandy podzieliła włosy Rachel na osiem pasm, zaplotła je w warkocze i zawiązała nićmi lub gumkami. Wykonywała przy tym ruchy identyczne jak jej babka, gdy wyplatała koszyki.

Nad zlewem rozległ się brzęczyk. Oczy wszystkich zwróciły się w tamtą stronę, żeby sprawdzić, która klapka z numerem odskończyła.

- Panna Elizabeth się obudziła - powiedziała Mandy. - Jesteś załatwiona.

Panna Elizabeth przebywała u nich już od prawie dwóch tygodni. Każdego ranka Rachel zносиła jej herbatę i słodką bułeczkę, podczas gdy dziewczyna leżała zwinęta w kłębek pod kołdrą,

a kilka pasemek jasnych włosów wiło się na poduszce. Zdarzały się dni, kiedy Rachel słyszała ją śmiejącą się z panią March. Ich śmiech ocieplał atmosferę w domu, gdy rozmawiały o bieliźnie stołowej, porcelanie i czekały na powrót syna. Złote włosy panny Elizabeth były zaczesane za uszy i przypominały skrzydła. Na pewno jest aniołem, myślała Rachel - pięknym, bałaganiarskim aniołem, który rozrzuca wszędzie swoją biżuterię, zostawia zapalone papierosy w popielniczkach, rzuca ubrania na podłogę. Rachel zbierała je potem i układała, starając się przy tym ich nie pożądać. Mimo to przymierzyła pierścionek z zielonym oczkiem otoczonym maleńkimi perłami.

Panna Elizabeth rozstawiła fotografie na całym blacie komody. Na jednej z nich trzymała głowę przechyloną, spojrzenie kierowała ku górze. Miała ciemne rzęsy i brwi, szare oczy, a jej włosy wydawały się białą chmurą na tle rozmazanego nieba. Mandy powiedziała, że to zaręczynowe zdjęcie panny Elizabeth. Zdaniem Rachel było piękne.

Kiedy stawiała tacę na komodzie, jej uwagę przyciągnęło zdjęcie zatknięte za ramę lustra. Przedstawiało młodego mężczyznę siedzącego na przystani i beztrosko machającego nogami w wodzie. Krople wzbijały się w powietrze. Za nim widać było zacumowane łodzie, zupełnie jak teraz. Miał jasne oczy - może niebieskie albo zielone. To jego port, pomyślała Rachel, należy do niego. Uśmiechał się do obiektywu, ale Rachel była niemal pewna, że ten uśmiech jest przeznaczony dla niej. Czuła wilgoć rozbryzgiwanej przez niego wody.

To nie kradzież, wmawiała sobie, wyciągając zdjęcie z ramy lustra - szybko, ukradkiem, zanim panna Elizabeth się obudziła. Tylko je pożyczam, tak jak się pożyczają kubek cukru albo masła, które są racjonowane.

Schowała fotografię do kieszeni. Rozsuwając zasłony z triumfującą energią, Rachel miała ochotę wskazać palcem port i powiedzieć pannie Elizabeth: Czy nie jest piękny? Niedługo cały będzie panienki!

Ale panna Elizabeth jedynie mamrotała coś przez sen.

W pokoju unosił się zapach papierosów, perfum używanych poprzedniego wieczoru i pustej w połowie szklanki burbona. Rachel podniosła z podłogi sweter i ułożyła go na krześle.

- Herbata gotowa, panienko.

Ramiona panny Elizabeth wychynęły spod przykrycia niczym ze skorupy żółwia. Dłonie odsunęły kołdrę i nad jej brzegiem ukazało się dwoje oczu, zamkniętych i opuchłych. Pasma włosów leżały rozrzucone niedbale na poduszce. Ostatniego wieczoru Rachel widziała pannę Elizabeth wychodzącą z klubu pod rękę z jakimś młodym mężczyzną, i na pewno nie był to syn Marchów. Mężczyzna śmiał się z dowcipu, który właśnie opowiedział, a śmiech panny Elizabeth brzmiał, jakby dobywał się z pustej puszki ubranej w plisowaną sukienkę. Panna Elizabeth potknęła się i byłaby upadła obok Rachel, ale najwyraźniej w ogóle jej nie zauważyła.

Teraz panna Elizabeth otwierała powoli oczy i mrugała powiekami, patrząc na Rachel. A potem się roześmiała.

- O rany! Z taką fryzurą zrobiłabym furorę na paradzie!

Rachel obróciła się do lustra. Przekrzywiła głowę i przyjrzała się sobie bardzo uważnie. Miała gęste i czarne brwi, niemal męskie, nad zbyt dużymi oczami. Jej włosy, zaplecione przez Mandy, tworzyły wzór równie skomplikowany jak koszyki, które wyplatała jej babka. Zastanawiała się, czy ładnie wygląda, pomyślała, żeby o to zapytać, ale panna Elizabeth ponownie zagłębiła się w pościeli i nakryła kołdrą.

Ella Mae kazała Rachel wyjąć duże garnki do gotowania obiadu.

- Nie, nie te! - powiedziała, kręcąc głową, gdy Rachel wyciągała garnki z szafki. - Te są na kukurydzę. Duże. Te, w których gotujemy homary.

Śmiech panny Elizabeth nadal dźwięczał jej w uszach, kiedy Rachel z brzękiem stawiała garnki na kuchni.

- Na kukurydzę, kukurydzę - powtarzała, naśladując głos Elli Mae. - Te są na kukurydzę.

- Co cię opętało?

Rachel usiadła na stołku naprzeciwko Mandy, szarpnęła gumki i zaczęła rozplatać włosy.

- Przez godzinę ci je zaplatałam! - krzyknęła Mandy.

Rachel nie wypuszczała warkoczy z rąk. Osiem gumek upadło na podłogę, włosy rozplątywały się niczym liny. Przeczesała palcami czarne kędziory. Rozpuszczone, wiły się swobodnie.

Mandy popatrzyła na nią.

- Wyglądają jeszcze gorzej niż przedtem!

- To je uczesz! - krzyknęła Rachel, strzelając w nią z gumki.

Mandy roześmiała się. Rachel rzuciła się na nią, ale kucharka weszła pomiędzy nie, jej zęby, dziąsła, usta były takie same jak u Mandy. Ella Mae chwyciła Rachel, a ona usiłowała ją ugryźć.

- Skończ te wygłupy - powiedziała Ella Mae.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Mimo to kucharka jej nie puściła. Miała miękkie i duże piersi.

- Posłuchaj, mała - mówiła. - Jesteś tu na łasce.

Rachel odsunęła się od niej. Przez okno dostrzegła furgonetkę Western Union. Kiedy Jonah poszedł otworzyć, Ella Mae nastawiła uszu. Nawet Mandy i Rachel przestały wymieniać porozumiewawcze spojrzenia i też nasłuchiwały. Poza radiem wszystko zdawało się milczeć. Ciszę przerwała Ella Mae, która powiedziała „Ciii” nie bardzo wiadomo do kogo i czekała na powrót Jonaha. Niskie głosy. Skrzyknięcie pełne rezygnacji. Trzask drzwi i głośny płacz, kiedy panna Elizabeth biegła przez dom.

Jonah przecisnął się przez kuchenne drzwi, oparł o radio i nie spojrział na nikogo.

- Nie żyje? - Ella Mae położyła mu dłonie na ramionach.

Jonah zerknął na brzęczyki, jakby ktoś wzywał służbę.

- Zaginiony.

- Zaginiony?

- Na Morzu Filipińskim - odpowiedział Jonah. Dodał coś o samolocie. Coś o wybuchu.

- Samolot? - zdziwiła się Ella Mae. - On był na okręcie.

Powiało morskim chłodem. Rachel przeszła fala gorąca, poczuła, że drży. Dotknęła własnego czoła, piersi, ramion. Namacała palcami zdjęcie w kieszeni.

Przez całe popołudnie Ella Mae przygotowywała udziec jagnięcy. Z powodu racjonowania żywności mięso stało się trudno dostępne, dlatego rzeźnik sprzedawał je po kryjomu po pięć centów za kawałek, zarabiając na brakach w zaopatrzeniu. Tego tygodnia szczęście dopisało pani March. Nim nastał wieczór, w powietrzu unosił się

zapach tłuszczu i mięsa. Mandy oglądała dokładnie kieliszki do wina, gdy Rachel je rozstawiała.

- Tata mówi, że picie to wynalazek diabła - odezwała się Mandy radosnym, rześkim głosem. - Marchowie jak nic pójdą do piekła.

Rachel przestawiała niektóre kieliszki na wysokich nóżkach i odparła, że gdyby to była prawda, połowa ludzi, których znała z dzieciństwa, smażyłaby się w smole, i to szybciej niż Marchowie, którzy przynajmniej używali kieliszków.

Jednak zdaniem Mandy wszyscy katolicy byli grzesznikami. Papież, powiedziała, to Antychryst. A Rzym - wielka ladacznica.

Rachel nigdy nie słyszała o papieżu ani o Rzymie. Wiedziała tylko, że Giczi-Manitu był wielkim duchem, którego oczy stawały się słońcem za dnia, księżycem w nocy, a Jezus krwawił za nią.

Mandy popatrzyła na Rachel z politowaniem.

- Nie rozumiesz? To przez księdza. To właśnie ksiądz przychodzi na obiad w każdy czwartek.

Rachel wzruszyła ramionami i ruszyła w stronę kuchni. Zarówno Mandy, jak i pani March uważały, że Bóg jest po ich stronie, z tym że Mandy na poparcie swoich twierdzeń użyła Biblii, podczas gdy pani March modliła się, używając różańca. Ella Mae, stojąc obok piekarnika, układała platy mięsa w hojnie nalany na talerze sosie mięsowym. Dekorowała je pulchnymi słonymi babeczkami miodowego koloru, a robiła to w taki sam sposób jak ciotka Minnie, gdy kładła kamienie na zmarłych.

Podczas obiadu panna Elizabeth miała opuchniętą twarz i włosy zaczesane gładko do tyłu. Ojciec Tom podziękował Bogu za posiłek i pomodlił się o bezpieczny powrót do domu syna Marchów.

- Amen - powiedziała pani March.

- Amen - powtórzyły Rachel i Mandy, podając zupę.

Rachel zauważyła, że panna Elizabeth rozluźnia i zaciska palce na trzonku noża, dostrzegła, że nóż nadal się chybotuje, choć go odłożyła. Pani March wpatrywała się w zupę, jakby umiała czytać z soczewicy niczym z herbacianych fusów. Rachel nie potrafiła czytać z herbacianych liści, ale wiedziała jedno. Chłopak z fotografii nie mógł być martwy. Była tego tak pewna jak tego, że rano spadnie deszcz albo tego, że gęsi zawsze kierują się w locie na południe.

Pani March jadła zupę, ale ręka jej nie drżała, choć wszystkie łyżki, noże i widelce wokół niej wibrowały. Spoglądając przez ramię, Rachel zorientowała się, że panna Elizabeth usiłuje zachować spokój i trzymać głowę równie wysoko jak pani March. Pani March kojarzyła się Rachel ze statuą, z uwagi na sposób, w jaki siadała przy biurku, pisała listy, podpisywała czeki, z prostymi jak struna plecami. Nad jej łóżkiem wisiał krucyfiks z Jezusem, ale Rachel nie potrafiła sobie wyobrazić pani March klęczącej przed kimkolwiek.

Później, kiedy Rachel i Mandy sprzątnęły ze stołu głębokie talerze i rozstawiały płytkie do drugiego dania, pani March zwróciła się do ojca Toma.

- Victor odmawia napełnienia stawu. „Bo i po co?” zapytał mnie.

Ksiądz prawie nie miał podbródka i patrzył jasnymi, wodnistymi oczami.

- Kazała mu pani zdobyć więcej ryb?

- Mówi, że tam nie ma żadnych ryb.

- Uważam jednak - powiedział ojciec Tom, gładząc nieistniejący podbródek - że staw znacznie lepiej wygląda, kiedy jest napełniony.

Panna Elizabeth drżącą ręką nalała sobie kolejny kieliszek wina i wypijała je od razu, rzucając pani March krótkie spojrzenie zażalwionych oczu. Krople czerwonego wina splamiły obrus. Zmięta serwetkę w dłoni.

- Czy nie uważacie...? - zaczęła, ale zaraz zakryła usta ręką.

- Kochanie, może na górze poczujesz się lepiej - powiedziała pani March.

Panna Elizabeth skinęła głową, odsunęła krzesło od stołu i wstała do wyjścia. Ksiądz podniósł się razem z nią, ale ona gestem nakazała, by usiadł.

- Proszę nie wstawać - dodała jeszcze.

Rachel spojrzała na górę mięsa nadal leżącą na talerzu jasnowłosej dziewczyny. Pani March uśmiechnęła się do niej.

- Rachel - odezwała się suchym głosem, świadczącym o zmęczeniu.

Po raz pierwszy wymówiła jej imię. Ich spojrzenia spotkały się w jednej chwili i złączyły w jedno.

Rachel ledwie nad sobą panowała. Chciała powiedzieć pani



March, że jej syn żyje. Jest ranny, to prawda, ale nie zginął. Jonah mówił o wybuchu. Rachel mogła sobie to wszystko wyobrazić. Na drugim końcu świata, poprzez równiny i góry, przez oceany, człowiek zataczał łuk po niebie w kuli ognia. Och, słyhać bębny! Och, zarliwe zawrođenje pieśni! Serce zabiło jej mocniej, miała zamiar powiedzieć: „Pani March”, nim jednak otworzyła usta, twarz pracodawczyni zmieniła się w zimną maskę ze skórą przylepioną do kości. Gdy słowa Rachel umykały w niebyt, chmura przypominająca wielki grzyb urosła nad głową pani March i została tam na dobre. Ksiądz mówił coś o wyścigach łodzi, kiedy Rachel zamknęła oczy, by pozbyć się tej wizji.

Otworzywszy je ponownie, przekonała się, że nie widzi nic szczególnego. Żadnego dymu. Nie słyzy krzyków. Nie ma deszczu ognia.

- Dobrze się czujesz? - spytała pani March.

W głowie Rachel nadal dudniły bębny, grzmiące nad jakimś na wpół zapomnianym jeziorem, przypomniła sobie płonącą chatę, ducha unoszącego się ku niebu, dotyk czyjejś dłoni na własnym ramieniu.

- Tak - wyszeptała.

Pani March długo i uważnie się jej przyglądała.

- Bądź tak miła - powiedziała - i uprzątnij talerz panny Elizabeth. I, Rachel? Powiedz, proszę, Elli Mae, że możecie podzielić się tym, co zostało.

Rachel siedziała w kuchni. Jadła zimne mięso i resztki zupy. Od tej chwili będzie rozpoznawała smak dobroczynności w połamanych jagnięcych kościach.

Później, kiedy naczynia zostały już pozmywane, a w domu zapadła cisza, drogą obok portu wróciła do klasztoru. Na horyzoncie w chmurach majaczyły odbicia błyskawic jakiejś dalekiej burzy. Wszystkie pozostałe domy w Beck's Point były pogrążone w ciemności, czekano w nich na powrót synów. W barach Moss Village nie słyhać było śmiechu, jedynie zachrypnięte głosy wspominających przeszłość starców, zadowolonych, że dano im coś do picia. Jakiś szalencie wył i rozbryzgiwał wodę, ale Rachel przestała nasłuchiwać, nagle zaniepokojona, jakby to był znak.

Niebieskie światła na końcach przystani pulsowały miarowo w tę sierpniową noc niczym uderzenia serca. Rachel przebiegł dreszcz, żałowała, że nie ma na sobie swetra. Marzyła, że uda się jej wreszcie wygładzić włosy. Tej nocy będzie się modliła nad ukradzionym zdjęciem, a jutro wyzna swoje grzechy. Pójdzie do ojca Toma i powie: „Przebacz mi”. Powie, że On za nią krzawi.

## ROZDZIAŁ DRUGI

1946

Pociąg kołysał się na torach, mknąc niestrudzenie na północ. Lewa strona bolała Woody'ego od brzucha przez biodro, udo aż do miejsca poniżej kolana, gdzie powinna być reszta jego nogi. Przejazdka w Chicago okazała się przepychanką, niemiłym doświadczeniem - pielęgniarce i bagażowi, dyrygujący wszystkim ojciec. Woody próbował wstać z wózka inwalidzkiego, ale nie zdołał wejść na schody. Ludzie się na niego gapili. Ktoś nawet zsalutował - zsalutował! Minęło pół roku, od kiedy ostatni raz pozdrowił w ten sposób oficera, zwalnającego go ze szpitala. Teraz Woody mógł zdobyć się jedynie na mizerne pomachanie ręką.

W wagonie pierwszej klasy pachniało cygarami i wyziewami diesla, skóra na podłokietnikach była wytarta przez uprzednich pasażerów. Wjechali do Michigan po minięciu Gary w stanie Indiana. Upłynęły trzy letnie sezony od czasu, gdy po raz ostatni odwiedził Beck's Point w lecie 1942 roku. Pamiętał tańce w klubie, obaj z bratem w oficerskich mundurach, Elizabeth szeptała mu do ucha, że czapka dodaje mu dorosłości, a potem odrzuciła do tyłu głowę, śmiała się. Myśleli wtedy, że wszystko szybko się skończy. Wiedzieli dokładnie, jak będzie przebiegało. Lipscomb Evans March, stworzony do odznaczania medalami, stanie się pobrzękującym orderami bohaterem, wracającym triumfalnie, by poprowadzić rodzinny bank. Woody zajmie się czymś mniej absorbującym. Może obligacjami.

Ale Lip nigdy nie wrócił. A Woody był teraz jedynym dziedzicem i siedział naprzeciw ojca w wagonie jadącym na północ, mijającym fabryki południowego Michigan. Elizabeth odwiedziła go dwukrotnie w szpitalu w Kalifornii. Trzymała go za rękę i wpatrywała się

w miejsce, gdzie kończyła się jego noga. „Myśleliśmy, że zginąłeś”, powtarzała, a do niego docierało powoli, że dawno już go pochowała. Zaprzeczała gwałtownie, ale on upierał się, że tak właśnie jest. Nie zmienił zdania także po powrocie do St. Louis pod koniec zimy, do czarnych pozbawionych liści drzew i niezmiennych cegieł. „B o z e, nawet nie mogę chodzić”, powiedział do Elizabeth.

Przesuwał w palcach różaniec, który dostał od matki. Nad płachtą „Journala” widać było tylko czoło ojca. Papier zaszeleścił, ojciec spojrział na różaniec. Ta rzecz, jak nazwałby go ojciec. A Woody chętnie by się z nim zgodził. Cokolwiek różaniec symbolizował, straciło to już dla niego znaczenie. Widział krzyże na polach, znaczące leżących pod nimi poległych. Ale umarli pozostawali nieżywi, a on przesuwiał paciorki różańca. Było to coś, co trzymał w dłoni, odrętwiałej od ciągłego dotykania metalu. Tak naprawdę widzieli zbliżający się samolot. Wydawał się taki mały, można było pomyśleć, że wystarczy opędzić się od niego jak od owada. Nie wierzył własnym uszom - krzykom, działanowym ostrzeliwującym wodę. Kiedy rozległ się wybuch, obrócił się do żołnierza siedzącego obok i chciał spytać: „Widziałeś to?” ale tamten wypadł za burtę, a Woody trzymał się kurczowo poręczy, która stała się straszliwie gorąca.

- Napijesz się czegoś? - zapytał ojciec. - Mogę kazać ci coś podać.

- Nie ma potrzeby - odpowiedział Woody, odwracając się i wsuwając różaniec z powrotem do kieszeni. Wstyd zawsze towarzyszył wierze jego matki. Dziadkowie zmusili nawet ojca, by odczekał rok, zanim ożenił się z Lydią Forrester, jakby jej papistowskie przekonania czyniły z niej kogoś nieodpowiedniego dla ich czystej, protestanckiej krwi. Religia r y n s z t o k a - tak babka ze strony ojca nazywała Kościół rzymskokatolicki, upierając się przy wychowaniu jego i Lipa w wierze prezbiteriańskiej. Jednak katolicyzm jego matki przetrwał, nawet po tym, jak została żoną bankiera. Ograniczał się do ich wspólnych modlitw nocami i pośpiesznego, ukradkowego żegnania się. Wybacz mi, matko, pomyślał Woody.

Teraz rodzice sypiali oddzielnie, ich małżeństwo przypominało wypalone pogorzelnisko. Ojciec nadal zjawiał się na obiadach w tweedowych garniturach i z apaszką pod szyją, na ślubach i pogrzebach zaś w garniturach w prążki. Kiedy Lip zginął, ojciec płakał w oddzielnym pokoju, jeśli w ogóle uronił łzę.

„Myśleliśmy, że poległeś” powtarzała Elizabeth, a Woody odpowiedział: „Tak”. „Co, tak?” Umarł.

A więc zerwała z nim. Woody nie winił jej za to, naprawdę. Oparł głowę o szybę, czekając na pierwszy widok jeziora. Od St. Louis prawie nie rozmawiali z ojcem. Skóra starszego pana pokryła się plamami wątrobianymi - przypominała cerę Szkotów, ich przodków sprzed pięciu pokoleń. Woody chciał powiedzieć: „Wiem, że nie mnie wybrałbyś na swojego dziedzica”. Ale to wydawało się tak oczywiste, że słowa nie były potrzebne. Samolot obniżył lot, a on trzymał się kurczowo poręczy i puścił ją dopiero wtedy, gdy kawałek metalu wbił mu się w nogę, a podmuch zepchnął go za burtę do morza. Nie szukano go, uznano, że zginął.

Lip zachowałby się zupełnie inaczej. Dostrzegłby samolot i rzuciłby się do dział. Był mężczyzną, jakiego zawsze chciałoby się mieć w sali narad. Nie jak Woody, wiecznie wszystko kwestionujący.

- Jezioro - odezwał się, wskazując głową na srebrną taflę, widoczną za wzgórzami.

Ojciec wyjął zegarek i odsunął go od oczu.

- Jeszcze cztery godziny - powiedział. - Miejmy nadzieję, że Jonah pamięta o łodzi.

Woody wpatrywał się w ojca i zastanawiał, czy w miarę zbliżania się do Beck's Point starsuszek odczuwa ten sam rodzaj strachu, co on w tej chwili. Jego ojciec - Charles dla matki, pan March dla pracowników, sir dla służących - przestał spędzać wakacyjne miesiące z żoną wiele lat wcześniej. Wykorzystywał bank jako wymówkę do ograniczania okazjonalnych wizyt do tygodnia - wystarczająco długo, żeby kilka razy wypłynąć łodzią. Łódź o nazwie „Niebieska Czapla” była chyba jedyną rzeczą, o jaką ojciec się troszczył. „Trzymaj ster”, mówił Woodyemu. „Kurs na wprost”.

Woody zamknął oczy. Jeszcze cztery godziny. W lewym kolanie ponownie czuł ukłucia gorąca. „To nerwy”, powiedział mu lekarz. „Minie trochę czasu, zanim wszystko wróci do normy”.

- Siostrzko! - zawołał Woody.

Pielęgniarka wkrótce nadeszła. Powiedział jej, czego potrzebuje. Ojciec ukrył się za gazetą, kiedy siostra napełniała strzykawkę i odsłaniała ramię Woody'ego, żeby zrobić podskórny zastrzyk. „Mój kochany”, zawoła matka z werandy, podczas gdy Jonah

będzie mu pomagał wysiąść z samochodu. Matka zejdzie po schodach, pocałuje go w policzek. Nie wspomni o wojnie nawet jednym słowem - poklepie go po prostu po rękę i powie: „Jesteś w domu”.

Dotyk sprawiał, że robiło mu się niedobrze. Nigdy nie lubił, gdy go dotykano, nawet jako dziecko. Szczęściem, nie zaznawał tego zbyt wiele. A teraz dotykano go bez przerwy. Od pierwszego dnia pobytu w szpitalu w Manili czuł dłonie na swym ciele. Były to ręce obcych ludzi - unoszące go, przemieszczające, podnoszące mu powieki, naciskające pierś, przemywające, tnące. Obce dłonie zabrały mu nogę. A może mu się to przyśniło?

Leżał wygodnie rozciągnięty na łóżku, na którym spał w czasie wakacji, gdy był dzieckiem, brakowało mu jednej nogi, druga też nie była w najlepszym stanie. Oparty o poduszkę uznał, że palce myjące mu gąbką brzuch są zimne, ale nie potrafił określić tego na pewno. Konkretnie rodzaje dotyku, zapamiętane jako ciepłe, wydawały mu się bowiem zupełnie inne. Lód w ustach wywoływał wrażenie pęcherzyków powietrza, a chłodne dłonie jakiegoś starca sprawiły, że krzyknął. Teraz miał jedynie pewność, że pielęgniarka pachnie ginem.

- Zawsze spędzał pan tutaj wakacje? - zapytała siostra.

Uniosła mu lewy pośladek, żeby sięgnąć do krzyża. Woody spojrział w dół i z obrzydzeniem zauważył, że ma erekcję.

- Przepraszam - powiedział.

- To odruchowe - stwierdziła pielęgniarka, myjąc drugą stronę. - Nie ma pan nad tym kontroli.

A nad czym miał kontrolę? Dokonywanie jakiegokolwiek wyboru było teraz chimera, bladym wspomnieniem woli. Do tego czasu byłby już pewnie żonaty, przeprowadziłby się do jednego z pokoi z widokiem na wodę. Czy to on zdecydował, żeby przełożyć ślub do momentu, aż wojna się skończy, czy podyktowała to rozważa Elizabeth?

- Służył pan w marynarce, zgadłam? - spytała pielęgniarka.

Przez okno widział motorówkę przywiązaną do boi obok przystani. „Niebieska Czapla” kołysała się na wodzie. Oczami wyobraźni widział, jak żegluj z ojcem, „Niebieska czapla” opada i wznosi się,

rozbija grzbiety białych fal. Woody miał wtedy dwanaście lat, jego brat czternaście. Lip leżał na brzuchu na dziobie i szykował spinaker do postawienia. Woody stał jak zahipnotyzowany widokiem brata zakładającego szkle, podczas gdy dziób stawał dęba jak ogier. Bolce szczęknięły, wchodząc w otwory szekli. Rozpylona woda zmoczyła go zupełnie, a ojciec krzyczał: „Ciagnij ją! Ciagnij ją!”. Woody powinien coś zrobić z liną, ale głos ojca dezorientował go, brzmiał zbyt głośno.

Przed nimi - skalista rafa. Ojciec sterował między nią i brzegiem, kiedy wiatr wydał niespodziewanie żagiel. Lina wymykała się z zaciśniętej dłoni Woody'ego, parząc ją, rozcinając prawie do kości.

Wrzask: „Zapomnij o ręce! Ciagnij ją, ciagnij ją, ciagnij...!”.

A potem śwąd spalonego ciała.

- Co takiego? - Woody uniósł się na łokciach.

- W taki sposób stał się pan żeglarzem? - zapytała pielęgniarka.

- Tak - odpowiedział Woody, rozluźniając zaciśnięte dłonie.

Wiatrak pod sufitem szumiał i terkotał. Na dole Ella Mae smażyła bekon. Poczucie bezpieczeństwa, jakie dawało znajome otoczenie, pozwalało zapomnieć o strachu.

Pielęgniarka podwiązała Woody'emu lewą nogawkę spodni, żeby się o nią nie potykał. Czuł, że bolą go palce u nogi, ale przecież tych palców nie było. Na dworze panowała złotozielona jasność, światło lata, o jakim marzył, kiedy przez całe dni widział jedynie wodę i od czasu do czasu jakąś wyspę, której nazwy nie umiałby wymówić.

Jego pokój wydawał się jaśniejszy, niż pamiętał. Na półce stały książki. Verne'a, Kiplinga, Steinbecka. Osteopata przyszedł i poszedł, zostawiając instrukcje, jak ćwiczyć mięśnie prawej nogi i wzmocnić kikut. Wymęczył go solidnie, ćwiczył z nim, aż Woody zaczął krzyczeć.

Pielęgniarka wtoczyła wózek inwalidzki do nowo zbudowanej windy. Matka pokazała mu ją poprzedniego dnia, wychwalając poszerzone drzwi i cud kolejki linowej, według której ją zbudowano. Winda wjeżdżała na półpiętro i umożliwiała mu dostęp do głównej

części domu i sypialni. Dopóki nie będzie lepiej chodził, trzeba go zwozić. „To nie potrwa długo”, powiedziała matka.

Opiekunka nacisnęła guzik. Zjechali na dół do jadalni. Od strony schodów dla służby Woody usłyszał niski dziewczęcy głos. Zaciekawiało go, do kogo mógł należeć, ale z powodu leków miał zamęt w głowie.

- Pójdę wziąć prysznic - powiedziała siostra, podjeżdżając wózkiem do stołu w jadalni.

- Świetnie - odpowiedział, wiedząc, że szła się napić. - Zrób to i za mnie.

- Paniczu Woody, sam zje pan kiełbasę, czy mam ją pokroić, jak wtedy, gdy był pan chłopcem?

- Ręce mnie bolą.

- Niech no spojrzę.

Trzymał się poręczy, kiedy samolot zaatakował. Czerwone niebo, parująca woda, ciało dłoni stapiające się z metalem.

- Hm - powiedziała Ella Mae. Umiała wróżyć z dłoni, ale z rąk Woody'ego nic nie dawało się wyczytać - żadnych linii oznaczających dzieci lub miłość. Żadnej linii życia. Odłożyła jego ręce i poklepała je. Wzięła nóż.

- Dziękuję bardzo - powiedział, gdy wprawnie kroić kiełbasę.

Kiedy wszystko stało się tak śmiesznie żałosne? Porcelanowa podstawka o kształcie i kolorze kurczaka trzymającego skorupkę jajka. Kawałek drewna wyrzucony przez wodę, przerobiony na lampę.

„Jak nauczysz się trzymać rumpel - powiedział kiedyś ojciec - będziesz umiał połowę tego, co jest w życiu potrzebne. Płyń prosto przed siebie. Nie zbaczaj. Znaj swój kurs”. Dowódca okrętu Woody'ego tak właśnie postępował, a mimo to uderzył w nich samolot.

Ella Mae zrobiła z kiełbasy zgrabny stosik. Widok jajka w podstawce o kształcie kurczaka, zarówno bliski, jak obcy, nieoczekiwanie wzruszył Woody'ego. Obrócił się ku rozłożystym biodrom kucharki. Dotknął fartucha z kory.

- Nie wiem, co robić, Ello Mae - powiedział.

Ella Mae pochyliła się nad jego twarzą, położyła mu dłonie na ramionach.



- Na początek zjedz śniadanie. Pani March mówi, że niedługo będziesz chodził.
- A jeśli nie będę?
- Jeśli nie będziesz - odpowiedziała - ona będzie to robiła za ciebie.

Woody wyjechał samodzielnie wózkami na werandę i patrzył na jezioro. To właśnie ta rozległa niebieska preria była pierwszym krajobrazem, jaki ukazywał się jego oczom każdego lata, kiedy pociąg wjeżdżał na wzgórze w Pont du Lac. Jego przyjaciele nie pojmowali bezkresu jeziora Michigan, dopóki sami nie zobaczyli, jak ginie za horyzontem, jak wyrzuca w górę fale, które mogą łątać statki na pół. Ale Woody znalazł je dobrze. Oglądał białe grzywy na niebieskiej toni, zmieniającej się przed zmierzchem w zieloną, poprzecinanej srebrnymi pasmami po szkwale albo też pozbawionej koloru, przechodzącej niemal w biel, kiedy wiatr zamierał. Szalone jezioro. Wariackie. Każdego lata na jego widok puls zaczynał mu bić żywiej.

Oczywiście była to zapowiedź pływania. Beztróskkie machanie ramionami w przód i w tył, ściganie się do końca przystani. Ale to tylko przy porcie, w bezpiecznym miejscu pomiędzy linami i bojami, gdzie jedynymi intruzami mogli się okazać narciarze wodni i podwodny prąd ze studni artezyjskiej.

Zatoka zaś była nieujarzmiona. Ostre, skaliste płycizny, niepewny brzeg, podejście do niego kamieniste i niebezpieczne. To właśnie znad zatoki biegł do opiekunki lub Elli Mae, wystraszony falami, przerażony tym, co woda wyrzuciła na piach. Słyszał, że utopiła się tam dziewczyna. Jedna ze służących, Indianka, z klasztoru. Jednak Woody był za mały, żeby pamiętać tamto wydarzenie, za to Lip zapamiętał je doskonale, drażnił się z nim, mówił, że nie było takie straszne, że woda w zatoce jest cieplejsza, że pod skałami leży ukryty skarb.

„No, chodź! Przestań się zachowywać jak dziewczucha!”.

Lip nurkował i wynurzał się niczym foka, trzymając w ręku jakąś skamielinę.

„Woody, ty cykorze! Właż tutaj!”.

Woodym wstrząsał dreszcz, machał ręką, że nie wejdzie. Nadał

miął przed oczami zamaszyste, zdecydowane ruchy ramion Lipa, który odpływał od brzegu, stawał się coraz mniejszy, ramiona coraz słabiej uderzały wodę, krzyk - początkowo nie było w tym nic niepokojącego, ale potem narastała panika, rodziła się świadomość, że coś jest nie w porządku, czuł ból bosych stóp, uderzających o kamienie, rzucał się do wody, by ratować brata. Płynął szybko i zawzięcie; choć nigdy nie robił tego z wdziękiem, dobrze mu szło, a tym razem miał bardzo konkretny powód.

Oczywiście wszystko okazało się żartem. Lip czekał na niego na skałach i niemal dusił się ze śmiechu, widząc bladą z przerażenia twarz Woody'ego. „Jezu!” powiedział Lip. Woody po raz pierwszy wypłynął wtedy tak daleko. Siedząc z bratem na skale płycizny, patrzył zdumiony na odległy brzeg.

Przez całe życie Woody wracał do tego kawałka lądu, domu letniskowego o werandzie z białymi kolumnami. Od murawy, ciągnącej się aż do przystani z miejscem dla pięciu łodzi i pawilonem na końcu, dzieliło go dwadzieścia stopni. Kiedy ojciec nie mógł iść z nim na ryby, Ella Mae zabierała go i całe godziny siedzieli na nabrzeżu - mały biały chłopiec obok potężnej ciemnoskórej kobiety, a wokół nich skupiali się inni czarni. Kolorowi mieli akurat wolne. Przez cały następny dzień w domu pachniało okoniami.

Na wodach zatoki tańczyło, podskakując na falach, stadko słupów, walczących, by ustawić się z wiatrem. Jeden po drugim okrążały boję, spinakery wydymały się, przypominając zwiewne chustki wyciągane z rękawa przez magika. Wpatrując się w nie, Woody przypomniał sobie Morze Filipińskie. Opuścili Manilę, zostawiając za sobą zapach smażonych bananów i pokrzykiwania dziewcząt o dziecięcych głosach: „Panie marynarzu! Panie marynarzu!”. Na wysokości Okinawy buczenie samolotów budziło grozę, ale jednocześnie w ich potędze było piękno. Pewnej nocy patrzył w niebo na księżyc, prześwitujący przez czarne chmury. Ocean gorzał od strzałów. Żołnierze biegali, potykając się, po pokładzie, wykrzykiwali rozkazy, podczas gdy dookoła wyły syreny, przebijające się przez huk wystrzałów i ryk wody, pełnej krwi i wraków. I mimo tego wszystkiego - księżyc.

Biegąca poniżej niego ścieżka na plażę zarastała coraz bardziej sosnami i jeżynami. Wyszukując drogę, szła nią jakaś dziewczyna. Zamarła w bezruchu, kiedy zobaczyła Woody'ego. Nieufna jak

sarenka, zdawała się zlewać z zaroślami, ale Woody nie potrafił oderwać wzroku od gęstwin jej mokrych włosów. Przez chwilę pomyślał, że to najprawdopodobniej kolejna córka Elli Mae, ale jej rysy bardziej wskazywały na Indiankę niż Murzynkę. Miała niemal orientalne oczy. Poznał w Manili kobietę - jedną z dziewczyn przychodzących do doków. Zapłacił - zbyt mało, jak potem uznał. Serce biło jej bardzo szybko, a kiedy dotykał jej krtani, miał wrażenie, że trzyma w rękę kolibra.

Woody miał zamiar zapytać dziewczynę na ścieżce, czy to jej głos słyszał tego ranka, ale ona minęła werandę, kierując się na tyły domu bez słowa, nie skinąwszy głową, cicha jak wschodzący księżyc.

Nastał wczesny wieczór, ale było jeszcze widno, kiedy Jonah wytoczył wózek z koktajlami.

- Drinka, paniczu Woody?

- No pewnie, Jonahu. Martini. Wytrawne.

- Już robię. - Jonah otworzył butelki z ginem i wermutem, wlał trunki do dzbanka.

- Malcolm McGee - powiedział Woody, przesiadając się na huśtawkę.

- Słucham?

- Malcolm McGee robił najlepsze martini w naszej grupie. Pamiętasz Malcolma, Jonahu?

- No, paniczu Woody, co mam nie pamiętać. Panicza przyjaciel. A jak się miewa panicz Malcolm?

Woody nie odpowiedział. Malcolm zginął zaraz na początku. Zaciągnął się do Królewskich Kanadyjskich Sił Powietrznych. Lekkoomyślny Malcolm. On nigdy nie przejmował się zatoką.

Patrzył na długie palce Jonaha, nalewającego drinka, dodającego oliwkę i podającego mu kieliszek. Kiedy zabrał się do odejścia, Woody poprosił:

- Zostań chwilę.

Oczy Jonaha o ciężkich powiekach spojrzały na niego w oczekiwaniu na dalsze polecenia.

Ale Woody nie miał żadnych życzeń. Nagle zainteresowało go życie lokaja. Czy Jonah pamięta dziewczynę, która się utopiła? W jaki sposób Lip zwykle żartował? Jak długo Jonah i Ella Mae są po ślubie? Czy ich małżeństwo jest szczęśliwe? Przed wojną nigdy go to nie obchodziło.

- Nic, nic - powiedział Woody.

Bolała go noga. Potrzebował zastrzyku lub tabletki. Zostawiony samemu sobie, napił się martini. Zapach jeziora przenikał wszystko. Prawą nogą odpychał się w przód i w tył. Kołysanie huśtawki miało na niego kojący wpływ, przypominało bezwolne kolebanie się okrętu. Wspaniały wynalazek, pomyślał Woody. Częściowo kanapa, częściowo kołyska. Wypił połowę martini, słońce zachodziło. Kiedy dołączyła do niego matka, wpatrywał się w jasny punkt na niebie i zastanawiał, czy to Wenus.

Matka usiadła obok niego na huśtawce.

- J co myślisz o pielęgniarce? - zapytała.

- Wolałbym ładną.

- Polecili ją Hewettowie.

- Pije.

- Dobrze znowu być w domu, prawda? - powiedziała matka, gładząc go po gęstych włosach.

Wytrzymując jakoś jej dotyk, Woody chciał coś odrzec, ale co mógł powiedzieć? Czy domem był ten ogromny, pokryty gontem budynek z wieloma oknami? Panorama jeziora?

- Powinniśmy przerzedzić te drzewa - odezwała się matka. - Zastaniają widok.

- Lubię je.

- Nie wolałbyś widzieć jezioro?

- Cały czas tylko na nie patrzę.

Razem bujali się w ciszy na huśtawce. Matka westchnęła i podniosła się. Powiedziała, że ojciec czeka na obiad.

- Życie toczy się dalej, Woody.

Pielęgniarka zrobiła Woody'emu zastrzyk. Leżał cicho, rozmyślając o naturze strachu - jego metalicznym smaku, ucisku w płucach, smutnym, przykrym uczuciu posiadania go w sobie. Odczuwał go, od kiedy pamiętał, zanim jeszcze przywdział mundur, zanim skończył naukę, zaręczył się, rozpoczął dorosłe życie. Strach go prześladował. Dlaczego jego brat nigdy nie miał podobnego problemu?

Zamknął oczy i wtulił głowę w poduszkę. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Ponownie zjawilo się wspomnienie o Lipie na skalistej mieliźnie. Mógłbym tam znowu popłynąć, wmawiał sobie Woody.

A nawet dalej i minąć tamto miejsce. Płynąć aż do chwili, gdy nie będzie powrotu.

Leżąc na łóżku, czekał, aż puls zwolni, a cedrowe ściany zamkną się nad nim. Słyszał muzykę niesioną po wodzie z drugiej strony jeziora, zastanawiał się, czy śni. Jeśli ludzie gdzieś się bawili, powinien wstać, włożyć czystą koszulę i blezer. Powinien pobiec do klubu, odszukać Buda albo Malcolma, postarać się odbić najpiękniejszą dziewczynę, niezależnie od tego, z kim tańczyła. Pewnie sprowadzili zespół z Kalamazoo. Zupełnie dobry, poza perkusistą. Waltornista uchodził za miejscowego Dorseya, a Lip byłby tam także i tańczyłby z Sereną Boyd lub jedną z sióstr Miller.

Lipowi nie można było odbić dziewczyny. Woody raz spróbował, a Lip, niczym żywe srebro, tak się zakręcił, że Woody stwierdził ze zdumieniem, iż tańczy z własnym bratem, a Serena Boyd stoi z boku i zanosz się śmiechem.

- Jesteś trochę za niski, co? - powiedział Lip, choć Woody mierzył prawie metr osiemdziesiąt.

Nadal widział wyraz rozbawienia w oczach Lipa, kiedy zawstydzony i podenerwowany wychodził.

To był wspaniały wieczór. Sierpień 1941 roku. Woody pocałował Serenę Boyd, która roztkliwiała się nad Lipem. Westchnęła i powiedziała, że Woody pachnie tak samo jak brat, ale nie potrafi tak dobrze całować. I nie jest równie przystojny. Czy się wściekł, kiedy to powiedziała? A może roześmiał się jej w twarz, mówiąc: „Masz dopiero szesnaście lat, co ty możesz wiedzieć?”. Takie były dziewczyny, z którymi dorastał. Pannyjak Serena Boyd i Elizabeth Parker, noszące perły i kotyliony, mające już fundusze powiernicze na rzecz przyszłych dzieci. Nie wiedział wtedy, że istnieją też inne dziewczyny, aż natknął się na nie na Guadalcanal i w Manili.

Odpływając w morfinowy sen, widział Malcolma tańczącego w cieniu, ale był to jedynie wiatr, wiotka nić melodii *Stardust*. Nie mogą już bawić się w odbijanego, pomyślał Woody. Żenię się. Poza tym Malcolm został zastrzelony w Brighton.

Przez okno widać było port, połyskujący srebrnie w świetle księżycy. W półśnie Woody wysiadał z łodzi i zaczynał biec po srebrzystej ścieżce. Biegł coraz szybciej. Nie miał odwrotu. Każdym krokiem świadomie niszczył smugę na powierzchni, zostawiał za sobą rozbite na kawałki księżycowe światło.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Ścieżką pokrytą sosnowym igliwem Rachel schodziła każdego popołudnia na plażę przy zatoce. Stamtąd szła na zachód, oddalała się od cypla Beck's Point, mijając stojące powyżej domy. Nie zatrzymywała się, dopóki nie dotarła do napisu „Przejścia nie ma”, a wtedy wchodziła na rozległe wydmy, połączone piachu porośnięte chwastami, gdzie nie widać było śladu ludzkiej stopy. Dzisiaj przyszała później niż zwykle. Rozebrała się pośpiesznie, zanurzyła po biodra w wodzie, zapanowała nad uczuciem zimna i zanurkowała. Kiedy pływała, jezioro zmywało z niej zapach cebuli i boraksu, przenosiło ją w czasy, gdy jej skóra pachniała jedynie gliną. Woda stawała się coraz głębsza. Po chwili Rachel nie sięgała już dna i ledwie widziała głazy leżące głęboko pod powierzchnią. Daleko przed nią niewielkie fale znaczyły płycizny. Od dziecka miała silne ramiona, bo pływała każdego lata, dlatego jej ruchy były szybkie i pewne. Mijały minuty. Po dopłynięciu do skał i odzyskaniu oddechu, wdrapała się na nie. Woda sięgała jej poniżej kolan. Mimo że była tu sama, zastanawiała się, czy ktoś ją widzi - naga dziewczynę zdającą się chodzić po wodzie.

Już z powrotem na plaży, leżała odprężona na wydmie, opędzała się od much, zwabionych jej nagrzaną słońcem skórą, i wsłuchiwała się w głucho grzechotanie kamieni przewracanych falami. Wkrótce rytm jej oddechu zrównał się z uderzeniami fal, stał się głęboki i powolny, powieki ciążyły od brzęczenia owadów. Wyobrażała sobie, że jest w zupełnie innym miejscu. Słońce zataczało nad nią luk, gdy zapadała w sen, marząc o ciemnych wodnych odmętach, gdzie mogą żyć tylko ryby.

Kiedy się obudziła, cienie znacznie się wydłużyły, piasek stał

się chłodny i sycki. Nie zwracała sobie głowy strzepywaniem go z ciała, włożyła sukienkę przez głowę i ruszyła biegiem.

- Stół? - zapytała, wpadając do kuchni, gdzie słychać było podzwanianie porcelany.

- Stół jest nakryty - odpowiedziała Ella Mae.

- A serwetki i srebra?

- Położone, położone. - Ella Mae wydeła policzki, aż stały się wielkie i krągłe niczym bułki. Wskazała głową na ziemniaki. - Jeżeli to nie za duży kłopot dla ciebie, dziewczyno, możesz je umyć. Ale tylko, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Rachel przysunęła stołek do zlewu i zaczęła szorować bulwy o czerwonej skórce, nie większe od piłki golfowej. Kiedy Mandy, spoglądając na nią z wyższością, podeszła, by nalać wody do wiadra, dziewczyna poczuła, że piecze ją kark.

- Na co się gapisz?

- Co o nim myślisz? - zapytała Mandy, podczas gdy woda leciała do wiadra.

- O kim?

- O synu.

Rachel westchnęła. Okazał się odpychającym rozczarowaniem, zupełnie niepodobnym do chłopaka ze zdjęcia. Minęły trzy dni, od kiedy wysiadł z samochodu, chudy i schorowany. Rachel nabrała pewności, że coś jest nie w porządku - sposób, w jaki patrzył na nią z werandy, sposób, w jaki zmagał się z jedzeniem. Chodziło o coś więcej niż tylko o nogę. Oczy miał bardziej niebieskie, niż się spodziewała, niemal płonące. Zeszłego wieczoru, kiedy zamykała okna, przechodziła obok jego pokoju i zajrzała tam przez dziurkę od klucza.

- Widziałam go wszystkiego parę razy - powiedziała do Mandy, dodając, że jej zdaniem Jezus na krzyżu lepiej wyglądał. Wydłubywała przy tym paznokciem brązowe oka z ziemniaków i wrzucała je do zlewu.

- A widziałeś jego oczy? - zapytała Mandy, wyciągając wiadro. - Przysięgłabym, że wyglądają jak oczy apostoła.

Jakieś dziecko rozplakało się dwa domy dalej. Tego wieczoru będzie obiad dla trojga. Matki, ojca i syna. Wieść niosła, że panna Elizabeth zatrzymała się w St. Louis. Rachel, której apostołowie nie byli do niczego potrzebni, zlizwała ziemie z palca i wypluła.

Zabierając sprzed pana Marcha talerz z niedojedzoną w połowie zupą, Rachel zauważyła nowy wałek tłuszczu nad jego kołnierzykiem. Chlebowadca wydawał się wesołym człowiekiem o zaróżowionych policzkach, lekko łysiał. Nigdy się do niej nie uśmiechnął.

- Addisonowie zawsze wybierają najmniej odpowiedni moment na umieranie - powiedział, odkładając łyżkę.

- Czy to naprawdę aż tak ważne, że musisz jechać do St. Louis? - zapytała pani March. - Bonnie bardzo chciałaby się z tobą zobaczyć.

- Bonnie widziała mnie zeszłego lata. Nawet nie zauważy różnicy.

- Nigdy nie zostajesz.

- Już ci mówiłem... Chodzi o poświadczenie autentyczności testamentu Addisonów... Jestem jego wykonawcą.

- Chodzi o to, że... nic nie jest już takie jak dawniej, prawda?

- Dla mnie wciąż jest takie samo - odpowiedział, machając ku Jonahowi, żeby dolał mu do kieliszka. - Mam rację, Jonahu, co? Te same domy, te same kwiaty, te same łodzie. Te same wrzeszczące dzieciaki, które zastępują zeszłoroczny wysyp.

- Tych nigdy nie brakowało, panie March - wtrącił Jonah.

- Małe dzieci byłyby błogosławieństwem dla tego domu. - Pani March spojrzała na puste miejsce, gdzie powinien siedzieć syn.

Pani March jest taka sama jak zakonnice, pomyślała Rachel. Tak samo odmawia różaniec dwa razy dziennie, tak samo trzyma w ręku krucyfiks.

- Rachel! - Pani March skinęła na nią. - Powiedz, proszę, Elli Mae, żeby trzymała gorącą zupę na kuchni dla panicza Woody'ego.

Ella Mae garnirowała właśnie pieczeń wołową, kiedy Rachel wróciła z zupą. Zerkając na wagę w rękach dziewczyny, kucharka powiedziała:

- Coś się stało?

- To porcja syna.

- Czy to znaczy, że nie jadł?

- Nie można jeść, nie siedząc przy stole.

- Biegnij na górę i sprawdź, co się dzieje z pielęgniarką - poleciła Ella Mae, mlaskając i wskazując palcem na kuchenne schody.

Rachel spodziewała się, że znajdzie syna gospodarzy pograżo-



nego we śnie, ale kiedy weszła do jego pokoju, siedział na łóżku. Wózek inwalidzki stał poza jego zasięgiem. Szklanka leżała przewrócona. Woda skapywała na podłogę. Był ubrany, ale miał źle zapiętą koszulę.

- Gdzie jest siostra? - zapytała Rachel, nie ruszając się od drzwi.

Niebieskie oczy syna rozpoznały ją. Rzeczywiście oczy apostoła! Włosy miał ciemniejsze, niż myślała - bardziej brązowe niż pszeniczne. Chłopak na zdjęciu - ten rozbryzgujący nogami wodę - wyglądał zdrowo i niczego mu nie brakowało. Teraz jego ciało wydawało się wychudzone, pozbawione wagi jak Manitu.

- Pielęgniarka jest zajęta tym, co umie najlepiej - powiedział.

Rachel przeszła przez pokój i zajrzała do przyległego pomieszczenia. Odór alkoholu i chrapanie pielęgniarki wszystko wyjaśniały.

- Zostaw ją i podejdź tutaj.

Rachel zbliżyła się do łóżka i czekała.

- Trochę to krępujące - powiedział Woody March - ale potrzebuję twojej pomocy. - Głową wskazał na wózek inwalidzki.

- Ona zawsze jest w takim stanie?

- Przeważnie. - Odchrząknął. - Będziesz musiała się pochylić.

Rachel zawahała się, ale potem schyliła się i podała mu ramię.

- Zegnij rękę.

Zrobiła, o co prosił. Woody podniósł się. Dziewczyna spostrzegła, że jest wyższy, niż mogłoby się wydawać, kiedy siedział na wózku. Objął ją w pasie, na moment się zatoczyli. Woody starał się utrzymać prosto, stojąc na prawej nodze. Chwycił wózek lewą dłońią, odzyskał równowagę i usiadł. Oddychał ciężko.

- Dobrze się pan czuje? - spytała Rachel, sama mocniej oddychając.

- Przepraszam - powiedział, nadal dysząc. - Jak ci na imię?

Nie odpowiedziała, wpatrując się w jego twarz. Przez cały rok gładziła ją palcami na fotografii. Teraz przyszła jej do głowy myśl, że może w sumie nie jest aż taki brzydki.

- Chyba masz jakieś, prawda?

- Rachel - odezwała się. Jego ojciec nigdy nie pytał o jej imię.

Patrzył na nią. Wydawał się przy tym bardziej rozbawiony niż zaciekawiony.

- Czym się tu zajmujesz, Rachel?

- Co proszę?
- Jesteś pielęgniarką? Fizykoterapeutką? Kim?

Rachel pociągnęła się za warkocze. Świetnie wiedziała, że sobie z niej pokpiwa, ale wyglądał jak zraniony sokół - zdesperowany i zawzięty.

- Jestem służącą.
- Aha. Od kiedy? - dopytywał się.
- Od zeszłego lata.

Milczał przez chwilę, jakby liczył lata.

- Tamto lato mi umknęło - powiedział w końcu, głaszcząc się ręką po udzie.

Policzki miał wymizerowane jak u męczennika. Rachel obejrzała jego kikut.

- Boli pana?
- Bez przerwy.

Stała tam lampa zrobiona z kawałka drewna wyrzuconego przez wodę. Książki na półce. Wszystko odkurzone i przygotowane na powrót chłopaka.

Skrzyżował ręce na piersiach i spoglądał na nią.

- Umiesz robić zastrzyki?

Rachel pokręciła przecząco głową.

- W górnej szufladzie komody pielęgniarki znajdziesz niewielkie ampułki. Weź jedną razem ze strzykawką i przynieś mi.

Rachel zawahała się. Czuła mdłości, kiedy jej wujowi choremu na cukrzycę pogorszyło się i musiał wziąć zastrzyk.

- Pielęgniarka by to zrobiła, ale jest zalana - ponaglił ją, zniecierpliwiony.

- Zawołam Ellę Mae.

- Nie. Poza tym - mówił, nie spuszczać z niej bystrych oczu sokoła - to ty jesteś tutaj w tej chwili.

Pielęgniarka zachrapała głośniejszym głosem i poruszyła się niespokojnie. Ampułki połyskiwały w małych pudełkach w jej szufladzie. Rachel wyjęła jedną i uniosła ją pod światło.

Kiedy wróciła do jego pokoju, zdążył już podwinąć rękaw. Błada skóra ramienia nosiła ślady po wielu ukłuciach. Rachel odetchnęła głęboko.

- Nie pochwalasz tego?
- Moim zdaniem to panu szkodzi.

Jego żyły przypominały ujścia rzek. Odwrócił wzrok, ale ramię trzymał prosto wyciągnięte.

- Wydawało mi się, że jesteś tylko służącą.

W porządku, pomyślała Rachel. Kim była, żeby się spierać? Odłamała górną część ampułki i napełniła strzykawkę tak, jak ją poinstruował. Napiął się, kiedy dotknęła jego ręki, ale gdy wtłaczała w niego narkotyk, poczuła, jak wiotczeje, osuwa się, odlatuje.

- Teraz lepiej? - zapytała.

Ale on już szybował.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie było jeszcze dziesiątej rano, a powietrze wydawało się gęste jak masło. Rachel siedziała przy stole w kuchni i przyszywała guzik do bluzki w sposób, w jaki zszywała korę. „O, tak”, mawiała jej babka, pokazując starczymi palcami, jak ozdobić brzożową korę kwiatami, piórami, liśćmi. „Trzeba mieć twarde ręce, żeby przepchnąć igłę właśnie tak”.

Mimo to za każdym razem, kiedy Rachel usiłowała przekłuć kawałek kory, wbijała sobie igłę w skórę. „To nie ma sensu! Zresztą nikomu już nie zależy na takich rzeczach”, mówiła.

Ella Mae zapaliła zapałkę i przytknęła ją do palnika. Kiedy zapałka zgasła, zakłęta pod nosem.

- Mamó! - upomniała ją zaszokowana Mandy.

Gdy Rachel przyszła o świcie z klasztoru, Ella Mae powiedziała jej, że Woody March próbował chodzić, ale się przewrócił. Teraz leży chory i jakby obrany z rozumu. Przez cały ranek dzwonił telefon, słychać było przyciszone, nagłące głosy. Zjawił się lekarz, a potem ksiądz. Nawet pan March odłożył wyjazd.

Trzymając bluzkę blisko siebie, Rachel wbiła igłę w materiał. Była pewna, że wszyscy ją winią, odkąd dowiedzieli się o zastrzyku. „Nie można ufać Indianom”, powtarzali. Ale Rachel naprawdę żałowała syna Marchów, z jego obcięcią nogą i różowymi dłońmi. Bo co innego mogła zrobić?

- Coś ci powiem - odezwała się Ella Mae. - Ten dom wyleci kiedyś w powietrze.

Rachel przestała szyć i wachlowała się bluzką.

- Otwórz okno! - zawołała Mandy.

Palnik zapłonął gwałtownie, wydając przy tym głuchy poświst.

Ktoś zapukał do drzwi. Rachel obejrzała się, oczekując chłopaka na posyłki z apteki, ale niewiele zobaczyła przez siatkę przeciwko owadom.

- O co chodzi? - odezwała się Mandy, mocno akcentując każde słowo.

Mężczyzna po drugiej stronie siatki wymamrotał coś niewyraźnie.

- Proszę powtórzyć - domagała się Mandy.

- Mam dla was drewno.

- Wie pan, gdzie je składujemy - wtrąciła się Ella Mae.

Ale mężczyzna nie ruszył się z miejsca.

- Chcę z nią porozmawiać - powiedział.

Ella Mae zwróciła się ku dziewczynie.

- Z Rachel? - spytała.

Zawstydzona Rachel podeszła do drzwi. Przez siatkę dostrzegła teraz czerwoną skórę, krzaczaste brwi i czarne włosy.

- Honda? - zapytała.

Nie widziała go ani też nikogo ze znanych sobie ludzi, od kiedy opuściła jezioro. Przez całe cztery lata. Mimo to pamiętała Hondę Jacksona. Był jednym z chłopaków, którzy wyciągnęli ją z chaty. „Nie można ufać żadnemu z Jacksonów”, powtarzała jej babka, ale Rachel nigdy się nie dowiedziała dlaczego. Może przez to, że ciągle czymś handlowali. A może dlatego, że w części byli Siuksami.

- *Au-ne-pesz au-ze-gua ke-gi-au-ja?* - odezwał się do niej.

Rachel nie odpowiedziała. Czuła, że Mandy ją obserwuje, była pewna, że myśli teraz, jacy Indianie są głupi. No cóż, Rachel nie miała zamiaru mówić mu, gdzie się przez ten czas podziewała. Zresztą na pewno to wiedział. Jej sytuacja i tak była fatalna, mogła stracić pracę, a teraz jeszcze ten Jackson gapi się na jej fartuch.

- Przepraszam, ale nie rozumiem - powiedziała w końcu, unosząc wysoko głowę.

- Co ty tutaj robisz?

Do kogo ta mowa?! Ona miała przynajmniej stałe zajęcie, nie była jakimś przybłędą sprzedającym drewno. Wokół jeziora rosły całe kilometry lasów. Brzozy, dęby, buki. Mnóstwo opałowego drewna. Można było sprzedawać, ile się chce. Dotknęła siatki w drzwiach. On przysunął się bliżej.

- Powiedz - odezwała się szeptem, zwykle zarezerwowanym dla ucha księdza - jak się miewają wujek Jedda i ciotka Minnie?

- Wuj znowu pije. - Honda odchrząknął. - Zeszłej zimy złamał nogę na lodzie.

Żadna nowina, wuj Jedda zawsze pił. Zerkając szybko przez ramię, Rachel zapytała:

- A Minnie?

Ella Mae, która wcześniej poszła odpowiedzieć na wezwanie pani March, schodziła głośno ze schodów. Honda dotknął miejsca, gdzie Rachel przytknęła dłoń. Dzieliła ich tylko siatka.

- Kończ tę pogaduszkę, dziewczyno - odezwała się Ella Mae, łapiąc oddech. Popatrzyła na Hondę. - Pani March chce cię widzieć.

Okna w pokoju pani March były przesłonięte gazą, co właściwie niczemu nie służyło, poza tym, że uniemożliwiało zobaczenie jeziora. Siedząc przy toalecie, pani March popatrzyła na odbicie Rachel w lustrze. Nad ogromną deską wezgłowia łóżka wisiał krucyfiks. W pokoju w głębi korytarza pan March spał nadal na wąskim posianiu. „Pan March wolałby raczej umrzeć, niż spać pod krzyżem”, powiedziała Mandy do Rachel, ale Rachel zdążyła już zauważyć przy obiedzie, z jakim chłodem pan March patrzy na żonę, i wiedziała, że tych dwoje dzieli nie tylko religia.

- Słyszałaś o moim synu?

Rachel widziała wcześniej panią March odmawiającą różaniec, jej usta poruszały się bezgłośnie. Mogła być równie stara jak babka Rachel. Dziewczyna nie potrafiła tego ocenić. Wszystko w chlebowdawczyni było schludne - włosy, ubranie, spinka z brylantem, którą miała zawsze wpiętą we włosy.

Rachel spuściła wzrok i skinęła głową.

- Powiedz mi, Rachel - zwróciła się do niej pani March. - Jesteś tu szczęśliwa?

Z łazienki słysząc było kapanie skroplonej pary, która zebrała się na rurach. Znowu pojawiają się plamy rdzy na rezerwuarze, takie jak te, które Rachel zeszkrobywała wiosną. W jednej z szuflad znalazła wtedy zdechłą mysz.

- Kiedyś był to szczęśliwy dom - mówiła dalej pani March, bo

Rachel nie odpowiedziała. - Tobie musi się wydawać bardzo ponury. Ile właściwie masz lat?

Bardziej dziwny niż ponury, pomyślała Rachel, z unoszącym się zapachem stęchlizny kilku pokoleń. Oglądała uważnie zdjęcia, stojące na toaleciec pan March. Chłopak na żagłówce. Młodsza pan March w sukience z lat dwudziestych, pozująca obok męża.

- Siedemnaście - odpowiedziała Rachel. Kiedy wreszcie ta kobieta przejdzie do rzeczy, zastanawiała się.

Pani March sięgnęła niespodziewanie po buteleczkę, wylała kilka kropli perfum na nadgarstki i wyciągnęła rękę w jej stronę.

- Powąchaj - powiedziała.

Rachel zawahała się. Wiosną sprzątała ten pokój przed otwarciem domu na lato. Słała i wygładzała łóżka, tak jak ją nauczono - koc i prześcieradła zawinięte pod materac, jak w szpitalu. Otworzyła wtedy okna, żeby wpuścić do środka świeże powietrze. A teraz modły pan March wirowały w tym pokoju niczym drobinki kurzu. Pokryły komodę i biurko.

- No, dalej - powiedziała pan March, podsuwając jej nadgarstek pod nos.

Skrępowana Rachel zamknęła oczy, pochyliła się do przodu i wciągnęła w nozdrza zapach słodszy od bzu. Pan March ujęła ją za rękę i pokropiła jej nadgarstek perfumami.

- Też miałam kiedyś siedemnaście lat. - Wzięła do ręki różaniec. - Czy modliłaś się kiedykolwiek o cud?

Rachel przeniosła wzrok na zdjęcie syna pan March z panną Elizabeth. Dziewczyna obejmowała go za szyję. Wyglądał niemal na szczęśliwego.

- W każdym razie - dodała pan March, podążając za spojrzeniem Rachel - już niedługo będzie się czuć znacznie lepiej.

Rachel nie odrywała spojrzenia od zdjęcia. W oczach chłopaka coś było. Miała zamiar powiedzieć pan March, że jej syn błagał ją o zrobienie zastrzyku, a kimże ona jest, żeby odmówić?

- Każdy ma jakieś powołanie, Rachel - mówiła pan March. - Pielęgniarka okazała się beznadziejna. Odprawiłam ją.

Wzrok Rachel powędrował do Jezusa wiszącego na krzyżu. Zastanawiała się, czy jest pierwszą rzeczą, jaką pan March widzi codziennie rano po przebudzeniu.

- Nie będę wymagać od ciebie zbyt wiele. Rozmawiałam już o tym z siostrą Marie. Oczywiście będziemy ci więcej płacili.

W pokoju zaczynało być duszno. Śmierdziało w nim wątrobą dorsza i zgniłym bzem. W miarę jak pani March wyliczała szczegóły dotyczące mycia syna, wywożenia go wózkami na werandę, robienia zastrzyków, kiedy będą niezbędne, Rachel zadawała sobie pytania: Dlaczego nie Mandy? Dlaczego nie Ella Mae? Słyszała, jak na podwórzu Honda układa drwa. Zastanawiała się, ile jemu płacą. Doszła do wniosku, że na pewno za mało.

Ponownie uniosła nadgarstek do nosa, żeby powąchać perfumy. Przypomniała sobie, jak poszła kiedyś z babką na pocztę w Chibawassee, żeby wypełnić kwestionariusz dla władz. Zatrzymały się, by popatrzeć na indiański sklepik z cygarami, kiedy jakiś mężczyzna podszedł do Rachel i powiedział coś o jej warkoczach.

- Hej, maleńka - odezwał się mężczyzna. - Czy mogłabyś mi pozować obok tamtego totemu? - Uniósł do góry aparat fotograficzny i uśmiechnął się.

Wtedy też Rachel po raz pierwszy zobaczyła pieniądze. Mężczyzna dał babce jakieś drobne. Staruszka zamarła w bezruchu. Można było pomyśleć, że uznała to za jakiś omen. Coś, dzięki czemu można innych wykorzystać.

Mężczyzna najprawdopodobniej zrobił jej zdjęcie, bo następane, co pamięta, to że babka ciągnęła ją za rękę po chodniku i mamrotała w narzeczu Odawa:

- Niech to! Ci ludzie myślą, że wszystko, co mamy, jest na sprzedaż.

Rachel opuściła dłoń i spod rzęs zerknęła na panią March.

- Sama rozumiesz - kontynuowała pani March. - On bardzo cierpi. - Dotknęła jednego ze zdjęć stojących na toalecie. Rachel zauważyła, że sporo wysiłku kosztuje ją panowanie nad głosem. - Myślisz, że umiałabyś pomóc?

Było w tym coś więcej niż tylko pytanie o robienie zastrzyków. Może błaganie. Niewypowiedziana nowenna w intencji ocalenia syna.

Rachel już otwierała usta, by powiedzieć, że pytanie jest kierowane do niewłaściwej dziewczyny, ale w tej samej chwili zapiekł ją nadgarstek skropiony perfumami, i nie umiała znaleźć odpowiednich słów.



Ella Mae i służąca Hewettów, mieszkających po sąsiedzku, plotkowały przy kuchennym stole. Obie rytmicznie kiwały przy tym głowami.

- Na tym nie koniec - szeptała Ella Mae. - To panna Elizabeth zerwała zaręczyny.

- Jakby tego jeszcze było mało!

Rachel włożyła ręce do gorącej, gęstej od pomyj wody, wyciągnęła z niej garnek i zaczęła go szorować druciakiem.

- Mogła zrobić coś jeszcze gorszego. - Ella Mae pociągnęła nosem.

Rachel uderzyła mocno garnkiem o blat kuchenny i rzuciła ścierką.

- Dziewczyno, co w ciebie wstąpiło? - zapytała kucharka.

- Dlaczego Mandy nie może go kąpać?

- Mówisz o paniczu Woodym? - Ella Mae popatrzyła na nią, jakby straciła rozum.

- Pani March wyrzuciła pielęgniarkę.

- Nikt mi o tym nie wspomniał.

- Mandy mogłaby to robić.

- Mandy? - Ella Mae popatrzyła na służącą Hewettów i obie się roześmiały. - Możesz sobie wyobrazić Mandy podcierającą tyłek jakiemuś chłopakowi?

Rozległo się buczenie brzęczyka. Ella Mae i Rachel wymieniły spojrzenia. Murzynka westchnęła.

- Poza tym, o ile dobrze pamiętam, to panicz Woody prosił właśnie o ciebie.

Rachel poszła schodami na górę.

Wózek Woody'ego stał pod oknem. Twarz chłopaka wydawała się biała w świetle słońca. Rachel zatrzymała się przy drzwiach. Był to pokój z modelami łodzi, książkami dla dzieci i pościelą w kotwice na łóżku.

- Masz szczęście - odezwał się Woody po chwili.

- Coś panu przynieść?

- Nie jest ci zimno? - Rozmasowywał sobie ramię.

Rachel zaprzeczyła ruchem głowy.

- Czasami - mówił dalej - czuję się, jakbym płonął. - Miał roz-

piętą koszulę. Na piersiach rosły mu niktłe rudawe włoski. Wszystko, co go dotyczyło, wydawało się pozbawione żywotności - jego śmiech, skóra na obojczyku. - Przypomnij mi, jak masz na imię.

Jaki był blady! Kolor jego oczu przywodził na myśl chabry, głębię jeziora, smutek i cierpienie, jakby za długo patrzył w słońce.

- Rachel - odpowiedziała krótko. Zauważyła, że chłopak drży. - Przynieś koc?

- Rachel - powtórzył. Wyciągnął ramię i popatrzył na nią błagalnie.

Ruszyła w kierunku łóżka, ale on zdążył już wcześniej podwinąć rękaw i teraz trzymał po prostu wyciągniętą rękę.

Rachel prasowała i jednocześnie nasłuchiwała. Przychodził osteopata - z góry słyhać było jęki i protesty. Ciągnęto się to tygodniami. Tak samo za każdym razem. Kroki na piętrze - krótki skok i dłuższe pociąganie butem po podłodze. Żelazko zasyczało, kiedy spryskała je wodą. Rachel myślała o igle, o smudze krwi, która czasami pokazywała się w strzykawce, zanim nacisnęła tłoczek.

Po trzech tygodniach i Rachel poznała każdego żyłę i ścięgno. Przez lata pomagała babce zdzierać korę z brzoź, robiła głębokie nacięcia, by wydobyć grube kawałki nadające się do robienia pudełek, ale jednocześnie na tyle płytkie, że nie uśmiercały drzewa. Teraz wiedziała już, gdzie należy wbijać igłę. Pod kolanem. Między palcami u nóg. W umięśnioną część uda.

Wszystko, co mogła w tej chwili zrobić, to nie iść do niego.

Ściany starego domu były cienkie. Za kilka minut osteopata wyjdzie. Rękawy sukienki Rachel stały się mokre od potu. W głowie się jej kręciło z gorąca. To trucizna, myślała. Starsza pani mnie zatrula. Teraz jestem słaba i mam pustkę w głowie. Uprasowała mankiet z wyszytym inicjałem „WFM”, złożyła rękawy i oparła się o deskę do prasowania. Niemał się dusząc, wyciągnęła wtyczkę z kontaktu.

Woody opadł z powrotem na poduszki. Rachel patrzyła, jak narkotyk przejmuje nad nim władzę, komórka po komórce, jak jego oczy tracą wyraz ogromnego pragnienia, który widziała w nich jeszcze

moment wcześniej. Zaczynała się uzależniać od obserwowania, jak jego ból ucicha.

Wczoraj pani March zatrzymała Rachel w korytarzu i zapytała, dlaczego Woody jest taki chimeryczny.

- Chimeryczny?

- Niestały w nastrojach - wyjaśniła pani March ze zniecierpliwieniem. - Zmienny. Myślałam, że do tego czasu nastąpi poprawa.

Rachel powiedziała Woodyemu:

- Pańska matka wie, że coś się tu dzieje. Musi pan z tym skończyć.

- Matka chce, żebym do sierpnia wziął się w karby, wstał z łóżka i zaczął chodzić. - Woody wzruszył jedynie ramionami.

- I co?

- Taki połamaniec jak ja?

Nadal, jak jej powiedział, odczuwał urojone bóle w amputowanej nodze, złudne odczucie, jak wspomnienie ukochanego miejsca.

- Ale tego miejsca już nie ma - mówił Woody. Skopał z siebie prześcieradło. Jego prawa noga była dobrze umięśniona, ale kikut miał tyle blizn, że bardziej przypominał korę.

- Wierzysz w duchy?

- A pan nie?

Roześmiał się krótko i odwrócił oczy. Na pewno, pomyślała Rachel, patrząc na jego nogę, musi coś wiedzieć o duchach. Sama je widziała, tańczące na wodzie, chodzące w płomieniach.

- Nad jeziorem, gdzie się wychowałam - powiedziała - bez przerwy widywaliśmy różne rzeczy. Niemożliwe. Na własne oczy widziałam, jak duch mojej babci unosi się do góry z płomieni. Nawet teraz czuję jej obecność.

Woody unikał jej wzroku. Dłonie miał ułożone wewnętrzną stroną do góry, różowe i suche. Zniszczona poparzeniami skóra nie mogła się pocić.

- Nie wierzy mi pan?

- Wierzę - odpowiedział Woody, rozglądając się dookoła - że wszystko się zmienia.

Rachel popatrzyła na niego współczująco.

- Dlaczego to cię dziwi?

Pokój zalewało popołudniowe słońce. Woody zmiął prześcieradło palcami nogi.

- To wasze jezioro - zaczął... - Czy jest takie jak tutaj?

Co mogłaby mu powiedzieć o takim miejscu? Że kocha się je tak bardzo, że niemal czuje się jego smak - że wypełnia człowieka esencja jego dna, aż wylewa się porami? Dla niego byłby to zwykły staw, błotnista sadzawka, a może nawet mniej. Dla szczepu znad Podkowy było jednak źródłem pożywienia, życia.

- Nie było nasze, tylko McCready'ego. - Mimo to ich grupa mieszkała nad nim na tyle długo, by zapomnieć, że do niej nie należy. - Zmieniało się bez przerwy - opowiadała - w zależności od własnego nastroju. Kiedy było szczęśliwe, miało kolor zielony. Jak latem. Choć jesienią stawało się szare. Nie było zadowolone ze zbliżającej się zimy. A potem pokrywało się bielą.

- A twój dom? - zapytał. - Naprawdę mieszkałaś w wigwamie?

Powiew wiatru zakołysał zasłonami. Ból w kościach dał o sobie znać. Ciało przeszło spazm.

Ponieważ Rachel nie odpowiedziała, szturchną ją palcami zdrowej nogi.

- Za minutę odpłynę. Powiedz.

Nagle rozłoszczona Rachel, przypominając sobie głód i chłód, jednym szarpnięciem naciągnęła na niego prześcieradło.

- Zadaje pan za dużo pytań.

Woody - powiedziała matka, gdy podano kawę. - Lekarz mówi, że możesz zacząć już zakładać protezę.

Chłopak ledwie skubnął trochę jedzenia przy obiedzie. Jadalnia tonęła w miodowym świetle - przyciemniony zyrandol, cedrowy sufit, płomienie świec. Narkotyk spowalniał jego ruchy, sprawiał, że chłopak był daleki od rzeczywistości, słyszał jednak treść rozmowy z niesamowitą wyrazistością. Słowa miały barwę i wydzielały ciepło. Słowa wypowiedane przez matkę i te przemilczane przez ojca.

A jeśli tego nie zrobię?

Nie bądź śmieszny.

Matka odstawiła ostrożnie filiżankę na spodek. Miała wpiętą brylantową spinkę, którą ojciec Woody'ego podarował jej z okazji urodzenia się ich pierwszego dziecka - Hannah, dziewczynki zmarłej na gripę. A teraz Lip zginął na wojnie. Czy ojciec podarowałby

jej coś także z powodu śmierci syna? Woody zauważył, że nie nosi już srebrnego koka, ma krótkie, siwe włosy, obcięte na znak żałoby. Z drugiej strony jego ojciec nie zmienił się w ogóle, jak zawsze miał apaszkę zawiązaną pod szyją. To tylko poza, pomyślał, tak samo jak niewielka szpilka z herbem rodu, wpięta w klapę marynarki. Woody po raz kolejny przypomniał sobie o kole sterowym, o surowym patrycjuszu w komandorskiej czapce.

Świeca zaczęła skwierczeć, krople wosku spadły na adamaszkowy obrus. Matka zdmuchnęła ją, zasłaniając płomień dłonią.

- A co z Elizabeth? - zapytała. - Nie oddzwoniasz do niej, choć ona dzwoni.

- Mmm - odpowiedział Woody, wpatrując się w smużkę dymu, unoszącą się nad zgasłym knotem. Dym to kapryśne zjawisko, podlega ruchom powietrza - jak Elizabeth, która teraz mówi, że zmieniła zdanie. „Kochany - napisała - głupio się zachowałam...”

- Mógłbyś przynajmniej odpisać na jej listy. - Słowa ojca wydały mu się rzeką niebieskości.

- A może porozmawiasz z ojcem Tomem? - Matka wyciągnęła dłoń i nakryła nią jego rękę.

- O, Jezu!

- To się na nic nie zda - powiedział ojciec.

- Świetnie sobie radzi z cierpiącymi. - Matka nie ustępowała.

Woody roześmiał się. Odcienie czerwieni.

- M a m coś na ból. Książd mi niepotrzebny.

Mandy zmywała naczynia. Woody zastanawiał się, gdzie może być Rachel. Ciemna, obdarzona leniwym, kocim wdziękiem - jej słowa na pewno byłyby jasnozielone i lawendowe.

- Nie chciałbyś znowu tańczyć? - dopytywała się matka. - Stać na nogach?

Woody marzył o dotyku gładkich, brązowych dłoni Rachel na własnym ramieniu, kiedy podwijała mu rękaw i uderzała w skórę, by uwidocznic żyły.

- Może zaprosimy parę osób na koktajl?

Tego ranka Rachel pachniała jeziorem.

- Może Boydów? Zawsze lubiłeś Serenę Boyd.

Rachel przysłała z Mandy, żeby posprzątać ze stołu. Zabrała jego

talerz. Szmer różowości. Woody obrócił się do matki. Chciał jej powiedzieć, że nigdy nie lubił Sereny Boyd, ale jego słowa stały się czarne, lepkie jak smoła.

Czekał na nią na bocznej werandzie. Słońce odbijało się od błękitnego jeziora, od niebieskości, jaka zawsze łączyła się dla niego ze wspomnieniem lata. Drzwi z siatką przeciw owadom uderzyły o framugę. Zerknął ponad poręczą i zobaczył głowę Rachel.

- Rachel?

Zatrzymała się i obróciła.

- Dokąd idziesz?

Jej twarz w promieniach słońca wyglądała na młodszą, niż myślał, policzki miała gładkie jak u małej dziewczynki. Woody przypomniał sobie Morze Filipińskie, unoszące się na wodzie ciało, które przepłynęło obok. Co ona może wiedzieć o życiu?

- Na plażę.

- Nie będzie ci przeszkadzało towarzystwo?

Różowa chmura przesłoniła jej twarz. W jej oczach mógł czytać jak w książce. Pogarda. Obojętność. Miłość. Właśnie weszła na górę po schodach, jej fartuch pachniał chlorkiem, włosy sosną. Kiedy zeskakiwali na dół po schodach ku ścieżce, pochylił się trochę i wyczuł nikły zapach perfum matki.

Słońce uwalniało aromaty - słodką woń cedru i kapryfolium. Dom niknął za nimi za ścianą drzew. Kule Woody'ego zapadały się w piachu. Jezioro łączyło się z niebem na zakrzywionym horyzoncie. Powoli zbliżali się do wody. Woody zdał sobie sprawę, że pokonał prawie dziesięć tysięcy kilometrów, żeby tu dotrzeć.

Wiatr rozwiewał włosy Rachel, zakrywał jej nimi oczy. Niecały kilometr od brzegu fale rozbijały się na jasnej, skalistej rafie. Rachel bawiła się palcami stóp, grzebiąc nimi w przybrzeżnych kałużach. Nachyliła się i podniosła kawałek zielonego szkła.

Woody odzyskał oddech i wskazał na płytcznę.

- Kiedyś pływaliśmy tam razem z bratem. Ścigaliśmy się, żeby sprawdzić, kto pierwszy dopłynie. - Wspominał lato, kiedy to uświadomił sobie, że pewnego dnia Lip samodzielnie pokieruje bankiem. Rzucali kamieniami do wody, kiedy Lip poruszył ten lemat. Ile lat Woody miał wtedy? Czternaście? „Ty jesteś wolny,

Woody", powiedział Lip, gdy stali obok siebie, patrząc, czy kamień odbije się dalej. „Będziesz mógł robić, co będziesz chciał”.

- To wcale niedaleko - powiedziała Rachel.

Ruszyli plażą. Rachel podniosła mewią kostkę, rybi kręgosłup, muszelkę, drewnienko wyrzucone przez wodę. Chowała to wszystko do kieszeni. Stos kamieni grzechotał, przesuwany falami.

- Większość dziewczyn, które znam, lubi biżuterię - odezwał się Woody.

Podniósł garść maleńkich kamyków - czerwonych od żelaza, zielonkawych od miedzi, cętkowanych, poprzecinanych kolorowymi żyłkami, pobłyskujących od kwarcu albo miki. Kiedy był mały, przekopywał takie kamyki w poszukiwaniu muszelek i kawałków skamielin, dowodów plejstocenijskiego życia, nieśmiertelnionego, zmienionego w kamień polodowcowego gruzu.

- Spójrz - powiedziała Rachel. Wzięła go za rękę, pogrzebała w kamykach, które w niej trzymał, i znalazła skamielinę nie większą od paznokcia. Woody uniósł kamyk do oczu, ściskając go delikatnie w palcach, ale wiatr wyrwał mu go i uniósł ze sobą.

„Życie toczy się dalej, Woody”.

Ale życie wcale nie musi toczyć się dalej, myślał Woody, pozwalając Rachel odciągnąć się od wody ku wydmie, gdzie mógł położyć się na piasku i napawać ciepłem. Rachel oglądała uważnie gładką skórę na jego prawej ręce.

- Jak tam było? - spytała.

- Obco - odpowiedział po namyśle. - Jak w żadnym miejscu, gdzie wcześniej byłem.

Mijały minuty. Jego kości miękły jak wosk, skóra stawała się płynna, pociemniała. Wyciągnął ramię i dotknął koniuszków jej włosów, przesuwając je w palcach jak jedwab.

Rachel zlizwała piasek z palców i zapatrzyła się w jezioro.

„O czym myślisz?”, chciał ją zapytać Woody. Wydawała się taka inna od pozostałych dziewczyn. Nie paplała - czyżby było to oznaką jakiejś głębi? Ale czuł jednocześnie, jak się unosi, jego duch był lekki jak hel, a Rachel osłoniła mu oczy dłonią przed promieniami jasnego, śpieszącego po niebie słońca.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Spotykali się potem każdego bezchmurnego dnia o trzeciej, kiedy matka drzemała, i szli na plażę. Woody wspierał się na Rachel. W miarę odzyskiwania zmysłu dotyku w palcach zaczynał czuć zarys jej obojczyka. Mógł już chodzić o lasce, ale nadal potrzebował pomocy Rachel. Czasami odpychała go i biegła - dziewczyna o brązowej skórze - unosząc skraj sukienki, by stanąć po kolana w wodzie.

Woody szedł za nią wolno na plażę, zostawiając za sobą odciski prawej stopy i bruzdy robione przez suwaną po piachu protezę. Czasami potykał się o kamienie. Rachel oglądała się, upewniała, że wszystko z nim w porządku, i szła dalej.

Miała zwyczaj lizać kamienie. Zauważył, jak odruchowo przytyka je do ust. Dziwna sprawa, takie lizanie kamieni. Kiedy zapytał ją o to, odwróciła wzrok. Natrafił na kolejną z jej tajemnic. Niewykluczone, że ją zawstydził, ale nie miał co do tego pewności. Dziewczyna z doków w Manili - nie znał nawet jej imienia. Wrócił tam, żeby dać jej więcej pieniędzy, ale nigdy więcej już jej nie spotkał.

- A tak nawiasem mówiąc, co takiego można wyczuć smakiem w kamieniach? - zapytał Woody.

Miał wrażenie, że zmierzyła go spojrzeniem. Nawet on był zaskoczony swoim pytaniem.

- Moich przodków - odpowiedziała.

Słońce nadal stało wysoko na niebie. Tego wieczoru w klubie miała się odbyć potańcówka. Obiecał matce. Woody nachylił się i podniósł czerwonawy kamień ze stosu leżącego u jego stóp. Smakował metalicznie, tępo. Schował go do kieszeni.



Tego wieczoru wpatrywał się w lustro nad komodą. Widział w nim odbicie chudego mężczyzny, wyglądającego na więcej niż dwadzieścia sześć lat, które miał w rzeczywistości; ręce miał pokryte bliznami, brakowało mu jednej nogi, drewniana proteza była przymocowana do kikuta skórzanym rękawem. Spodnie ukrywały deformacje, choć poruszał się podskokami, jak marionetka: szurnięcie i wyrzucenie nogi do przodu, jakby grunt był nierówny. Wzmocniony jedzeniem i ćwiczeniami mógł przejść niemal dwa kilometry wsparty jedynie na lasce, pokonywał metr po metrze, wysuwając najpierw zdrową nogę, a potem podrywając do góry protezę. Ból w okaleczonej kończynie nadal mu doskwierał, ale morfina uśmierzała inny ból, głębszy. „To cię zabije”, powiedziała Rachel poprzedniego wieczoru, wyszarpując mu igłę z ręki.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że zaczęło mu na czymś zależeć.

Zapiął bawełnianą koszulę, w mankiety wsunął spinki z monogramem. Woodrow Forrester March. Zawiązał krawat w żółto-niebieską jodełkę. Wieczór wydawał się znajomy jak powracający koszmar senny, pozostawiający złe przeczucia. Teraz, kiedy ojciec wrócił do St. Louis, Woody pójdzie z matką, zajmą dwuosobowy stolik i będzie usiłował wstać, za każdym razem, gdy zjawią się starsi znajomi, by się przywitać. „Nie wstawaj”, usłyszy za każdym razem.

Poprawił krawat. Był to krawat małego chłopca, zakładany do obiadu w szkole podstawowej. Ból i świadomość zniszczyły mu skórę wokół oczu i na policzkach.

- Życie toczy się dalej - powiedział Woody do lustra. Był starszy niż jego brat w chwili śmierci. Lip zostanie wiecznie młody, szczątki jego dwudziestoczteroletniego ciała pogrzebano na cmentarzu Arlington.

- Lepiej wyglądasz - oceniła matka, gdy zaczęli iść chodnikiem.

Woody chwiał się na protezie, ale pani March mu nie pomogła. Wzięła go pod ramię dopiero, gdy doszli do klubu. Można by pomyśleć, że w ogóle nie było wojny. Dwa kamienne kominki po obu stronach parkietu do tańca jawiły się niczym kotwice, które nie pozwoliły mu odpłynąć pod gwiazdami białych lamp i czujnym okiem zmarłych komandorów. Żadnych więcej mundurów, żadnego

braku mężczyzn. Woody przebiegł wzrokiem po sali w poszukiwaniu Lipa, Buda, Malcolma - ale oni wszyscy nie żyli. Sylwetki widoczne w migotliwym świetle mogły należeć do kogokolwiek.

- Woody March! Jesteś bardzo niegrzeczny! Sześć tygodni i nawet nie zajrzałeś!

Woody obrócił się i zobaczył Serenę Boyd. Jej biodra opinała butelkowozielona satynowa sukienka. Lewą rękę, w której trzymała papierosa, zdobił pierścionek z wielkim kwadratowym brylantem. Pomachała do Woody'ego.

- Wyglądasz bosko! - Odwróciła się do jego matki. - Czy on nie wygląda bosko, ciociu Lydio?

- Może zamówię nam coś do picia, mamó? Mamó! - odezwał się Woody nieoczekiwanie głośno.

- Nie złożycie mi życzeń? - zapytała Serena, dotykając jego ramienia.

- Muszę usiąść - powiedział Woody, rozglądając się za kelnerem.

- No więc, nie pogratulujecie mi?

- Ale czego?

- Jestem zaręczona z M a k s e m B a i l e y e m. Gdzieście się podziewali?

- Byliśmy zajęci przy Woodym - odpowiedziała pani March. Serena przewróciła oczami.

- Zawsze trzeba zajmować się Woodym - powiedziała.

- Szczęściarz z niego - skwitował Woody, siadając powoli na krześle.

- Prawie nie widać - Serena zniżyła głos i wskazała głową na jego nogę. A potem roześmiała się perliście. - Zatańczymy później? Tak za starych, dobrych czasów?

Wymamrotał coś, że zbyt zardzewiał od tamtej pory i jakie to stare dobre czasy miała na myśli?

- Wszyscy zardzewieli - odparła Serena. - Możesz mi wierzyć.

Kelner przyjął od nich zamówienie. Wkrótce wokół ich stolika zgromadzili się przyjaciele o zafrasowanych twarzach.

- To musiała być gehenna - powiedziała pani Boyd.

- Jestem pewien, że Woody wolałby raczej o tym nie rozmawiać - przerwał jej Boyd tubalnym głosem.

Woody marzył, by dostać wreszcie swoje martini. Próbował skupić wzrok na parach tańczących obok, mężczyznach poruszających się zbyt sztywno, nieudolnie usiłujących prowadzić partnerki, które uśmiechami i uściskiem ramienia zachęcały ich do śmielszych kroków, energiczniejszych ruchów. Rozpoznawał w ich postawie wpływ musztry z czasów nauki w akademii w Andover, typowe usztywnienie kręgosłupów. Wszyscy zmieniamy się w drewniane kukły, pomyślał.

- A zatem? - zapytała matka.

- Co zatem?

- Masz zamiar tańczyć?

Woody rozejrzał się po sali i dostrzegł Serenę, zbliżającą się ku nim z prowadzonym jak na sznurku łysiejącym młodym mężczyzną.

- Cholera - zaklął.

Max Bailey wyciągnął rękę i chwyciwszy dłoń Woody'ego, potrząsnął nią bardzo energicznie.

- Stary, to musiało być piekło - powtarzał. - Po prostu piekło!

Zanim Woody zdążył odpowiedzieć, Serena złapała go za rękę.

- I jak, mały? Jesteś gotów? - Kręciła biodrami. - Max mówi, że jest tylko troszeczkę zazdrosny.

Woody'ego rozboleła kikut. Czuł w podbrzuszu kleszcze paniki, wywołanej perspektywą wystąpienia publicznie, robienia czegoś, czego nie znosił.

- Będę bardzo wyrozumiała - powiedziała Serena.

Orkiestra grała coś Cole'a Portera.

- Sereny nic nie powstrzyma, chłopie - odezwał się Max.

Woody czuł na sobie wzrok matki, widział obojętną, ładną twarz Sereny. Miał mgliste wspomnienie samego siebie jako chłopca, ubranego w krótkie spodenki i podkolanówki, oraz ojca trzymającego przycisk do papieru i wskazującego nim wewnątrz statku, swoje zdziwienie, gdy wziął od niego przycisk, zaskoczenie prawdziwym ciężarem. Ojciec patrzył na niego i powiedział: „I co?“, gdy palce Woody'ego ześliznęły się z przycisku, szkło w jednej sekundzie uderzyło o podłogę i rozprysło się.

Podźwignął się z krzesła i pozwolił Serenie zaprowadzić się na parkiet. Położyła mu dłoń na prawym ramieniu, ujęła za lewą rękę

i zaczęli się kołysać. „Nie upij się szampanem!” śpiewała ckliwie do jego ucha. Gin sprawił, że jej uśmiech stał się szerszy, powieki obrzmiały. Woody niemal się zataczał przy krokach tanecznych ograniczonych do niewielkiego kwadratu, ale Serena ciągnęła go za sobą.

- No proszę, Woody! Nadal potrafisz to robić! - jej słowa łączyły się niczym następujące po sobie fale. - Elizabeth to szczęściara, zawsze to powtarzałam. Nawet jeśli jesteś teraz... no, wiesz. - Oparła mu czoło na ramieniu. - Mężczyźni z rodu Marchów zawsze byli najlepsi z najlepszych. - Uniosła głowę. - Więc kiedy masz zamiar to zrobić?

- Drażnisz się ze mną, Sereno.

- Powiedz, Woody. Nigdy z nią nie spałeś?

- Sereno...

- W końcu bardzo wielu chłopaków myślało, że zgina, prawda? Powtarzaliście ciągle: „Tylko ten raz, maleńka. Przecież polegnę jak amen w pacierzu”. Wiesz, ile się tego nasłuchałam? Ale jedynie Lip był tego wart.

- Ty i Lip?

- Gdybyś mnie poprosił, nie odmówiłabym i tobie. - Posłała mu znaczące spojrzenie. - Zostały jeszcze tylko dwa tygodnie do przyjazdu Elizabeth.

Woody niespodziewanie puścił Serenę i stanął w miejscu.

- Chyba coś palnęłam! - powiedziała. - Ciocia Lydia pewnie chciała zrobić ci niespodziankę.

- Nie rozmawiam z Elizabeth.

- Myślisz, że o tym nie wiem, niegrzeczny chłopczyku? Sama jej radziłam, żeby cię zostawiła. Że nigdy się z tego nie otrząśniesz. Ciocia Lydia mówi, że stałeś się ponurakiem. - Twarz Sereny spochmurniała. - Jedno jest pewne, niektóre rzeczy nie są już tak zabawne jak kiedyś. Zanim się zorientujesz, masz trójkę rozwrzeszczanych bachorów. Ale to nie dotyczy mnie i Maksa. Ani ciebie i Elizabeth. Niemowlęce wymiociny i odżywki. Możesz to sobie wyobrazić?

Woody zorientował się, że Serena jest bliska płaczu, więc wziął ją pod ramię i zaprowadził z powrotem do Maksa.

- Och, Max! - zawołała Serena, oplatając mu ramieniem szyję w sposób trochę wyzywający.

- Masz ją całą dla siebie, przyjacielu - powiedział Woody. Pochylił się i szepnął coś matce na ucho.

- Nie możesz tak po prostu wyjść! - wyszczała w odpowiedzi.

- Dobranoc, mamó.

Już na dworze wciągnął głęboko świeże nocne powietrze. Drzwi zatrzęsnęły się za nim z głośnym hukiem, tłumiąc dźwięki muzyki i śmiech. Czuł, że wszystko się od niego oddała - młodość, zaręczyny, wojna. Pozostały mu tylko wspomnienia z dzieciństwa, ale nawet one żółkły niczym stare gazety.

Świerzbiła go ręka - potrzebował zastrzyku. Może posiedzi na werandzie. Zrobi sobie bardzo mocnego drinka i będzie się bujał na huśtawce. Księżyc w pełni wsunął się za chmury niczym moneta.

Rachel stała na przestronnej, wyłożonej deskami werandzie. Po drugiej stronie jeziora grała orkiestra - nie było to jednak skandowanie, dudnienie i zawodzenie, jakie słyszała podczas ceremonii i świąt w dzieciństwie - dochodziły ją urocze dźwięki, niepozabawione przy tym rytmu. Co z tego, że ta melodia nie płynęła prosto z serca, jak muzyka, którą słyszała każdego wieczoru w jadalni Marchów? Była radosna i uwodzicielska, i zapraszała ją do tańca. Nie minęło wiele czasu, kiedy jej biodra zaczęły się kołysać na boki, poruszyły się ramiona, szyja, włosy.

Jakaś postać zbliżała się ścieżką, a po utykaniu domyśliła się, że to Woody March. Usłyszała, jak wymawia jej imię, wchodząc po schodach.

- Widziałem, jak tańczysz - powiedział, gdy dotarł do werandy. Zdjętą marynarkę trzymał na ramieniu, poluzował krawat. - Lubisz taką muzykę? - zapytał, ciężko dysząc.

- Myślałeś pewnie, że wolę bębny? - Czerwone plamy gorąca pokryły jej szyję.

Widać było, że ta odpowiedź go rozbawiła. Pomyślał pewnie: „Zwariowana Indianka. Na dodatek nie umie tańczyć”. Chciała mu powiedzieć, że potrafi, ale nie takie tańce jak jego.

- No więc... - zaczęła. - Czy połamaniem wzięł się w karby?

- Nigdy nie byłem dobrym tancerzem. - Zapalił papierosa i oparł się o balustradę.

Patrząc na jej nieruchome teraz biodra, powiedział, że jako

nastolatki wymykali się z bratem z klubu, żeby pływać na golasa w jeziorze. Lip, opowiadał, był lepszym pływakiem, ale kiedy on, Woody, wypił na tyle dużo drinków, że zapomniał o strachu, do-trzymywał mu tempa.

- Lubię pływać - powiedziała Rachel.

Woody zgasił nogą papierosa na podłodze i kopnięciem zrzucił peta z werandy. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Rachel wzdryg-nęła się.

- Świetnie - zwrócił się do niej Woody. - No to chodźmy popływać.

Rachel roześmiała się.

- Mówię poważnie.

Odrzuciła wzrok. Światła miasta odbijały się w jeziorze.

- Ale zakonnice... - przypomniała.

- Jeszcze wcześniej.

Pomyślała o klasztorze z białymi, pozbawionymi ozdób ścianami, o wąskim łóżku, o cichym pochrapywaniu pozostałych dziewcząt, śpiących z zaplecionymi warkoczami.

Odrzucając warkocz do tyłu, jakby chciała przez to powiedzieć „niech będzie, co ma być”, odezwała się niemal buntowniczo:

- Dobrze, dlaczego nie?

Ścieżkę prowadzącą na plażę pokrywały cienie drzew, zasłaniających światło księżyca. Coś zaszurało pod liśćmi paproci, a oni roześmiali się i szli dalej. Niemal się wyrócili, przedzierając się przez splątane sosnowe gałęzie, aż dotarli wreszcie na trochę widmowo wygląda-jącą plażę. Rachel czuła, że Woody na nią patrzy. Kiedy dotknął jej twarzy, nie była tym zaskoczona.

- Pomożesz mi wejść do wody? - zapytał.

Żaby rechotały zawzięcie. Woody ściągnął krawat, rozpiął i zsunął koszulę. Siedząc na skale nad brzegiem wody, zмагаł się ze spodniami, wreszcie odrzucił je od siebie. Na końcu odwiązał płócienny pas i skórzaną cholewkę na kikut. Zdejmując protezę, aż westchnął z ulgi.

- Teraz ty - powiedział.

Ta chwila zaczęła się dla niej tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy wbiła mu igłę w skórę. Widziała jego półnagie ciało,

pomagając mu się myć i dotykając, zanim przekłuła żyłę. Mimo że obserwowała ją od wielu dni, teraz czuła się onieśmielona i niemal drżała.

Woody wstał i wyciągnął do niej rękę, podczas gdy ona zdejmowała sukienkę. Dotknął kciukiem jej obojczyka i kręgow na szyi. Kiedy stała w samej bieliźnie, ogromna fala rozbiła się o brzeg i obmyła ich stopy. Rachel wzdrygnęła się, zaskoczona kontaktem z wodą.

- Dno jest kamieniste - odezwał się Woody. - Będę się ciebie trzymał.

Ruszyli po skałach, aż zanurzyli się w falach po pas. Woody wolno położył się na wodzie. Początkowo Rachel podtrzymywała go, potem robiło to jezioro.

- A niech mnie! - krzyknął, uczyniwszy pierwsze zamaszyste ruchy ramionami, silnymi po wielu godzinach chodzenia o kulach.

- Teraz to ty tańczysz! - zwołała Rachel, trzymając się blisko niego.

Gdzieś w oddali przed nimi huczał silnik motorówki. Woody zachłysnął się falą, zakrztusił i zaczął się śmiać, zanim zdążyła zapytać, czy wszystko z nim w porządku. Płynąc razem, znaleźli się daleko od plaży, przed nimi rozciągała się zatoka. Woda była zimna i czarna. Do skalistej płycizny dotarli w chwili, gdy zaczynało im brakować oddechu. Wokół pieniały się fale, ale było wystarczająco płytko, by mogli usiąść i patrzeć na jaskrawe światła domków letniskowych nad srebrzystą plażą.

Kiedyś było to święte miejsce. Przodkowie Rachel wciągnęli tam na piasek kanoe z brzozonej kory, osiedlili się, zaczęli sadzić kukurydzę i palić tytoń, modlić się do Giczi-Manitu o spokojną tafle jeziora, obfite zbiory i tyle futer, żeby trudno było je zliczyć.

- Kiedy byłem mały - zaczął Woody - tutaj właśnie ścigaliśmy się łódkami. Chodziło o to, żeby dobrze ocenić skalistą płyciznę.

Opowiadał jej, że łodzie mieli zawsze. Żeglowanie było próbą charakteru. Było też źródłem rodzinnej dumy.

Rachel pomyślała o kanoe swoich przodków, mknących bez wysiłku wzdłuż poszarpanego brzegu. Spojrzała na Woody'ego.

- Drżysz cały.

Wydawał się zatopiony w myślach. Popłynęli z powrotem obok siebie, potykając się, wyszli na skalisty brzeg i przewrócili. Rachel

krzyknęła, gdy uderzyła kolanem o kamienie, ale czuła się szczęśliwa jak dziecko.

- Jestem wykończona! - zawołała i popatrzyła na Woody'ego. - A ty? - zapytała, podniosła kamień i polizała go - był stary jak świat, powstał z roztopionego i schłodzonego piachu, obfitował w magmę i pożądanie.

Woody, którego oczy stały się srebrne od księżycowego światła i czujne, wyciągnął rękę, wziął go od niej. Rachel powoli odzyskiwała oddech. Nasłuchiwała, ale do jej uszu dochodził jedynie szum fal. Jego twarz zasłaniała jej księżyc, kiedy leżeli na kamienistej plaży, obmywani wodą jeziora. Nieśmiało dotknął jej ust wargami. Smakowała go chciwie; zaskoczył ją jego ciężar, bo wyglądał jak skóra i kości. Zalała ich fala. Gdy ponownie ją pocałował, rozchyliła usta, dotknęła go językiem. Odzyskując świadomość, poczuła krzywiznę jego biodra na swoim udzie. Brał ją w posiadanie jak jezioro, nie odrywając od niej oczu. Przyjęła w siebie jego ból, pozwoliła mu nad sobą zapanować. Otwierał ją, a ona rzucała się niespokojnie, wykrzykując jego imię. Kiedy jednak było po wszystkim, to on zapłakał.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rachel spojrzała w lustro, żeby sprawdzić, czy się zmieniła. Jej twarz wydawała się nietknięta. Te same grube brwi, te same ciemne oczy. Chmura ciemnych włosów nadal otaczała jej głowę.

Przyjrzała się zębom, które tkwiły w dziąsłach równie mocno jak poprzedniego dnia. Są niezłe, uznała. Jeden był co prawda trochę ukruszony i jednego brakowało z tyłu.

Trzymając rękę pod światło, wpatrywała się w skórę pomiędzy palcami. Krew płynęła naczyniami włosowymi. Powąchała nadgarstek, pogładziła palcami szczękę, kark, skórę pomiędzy piersiami, brzuch i włosy łonowe. Usiadła na pryczy w dormitorium i spojrzała na stopy. Nic.

Tego dnia w pracy składała bieliznę do magła w taki sam sposób, jak robiła to w klasztorze. Każde lekko wykrochmalone prześcieradło zginała wpół i znowu na pół, a potem jeszcze dwukrotnie. Wygładzała je, aż krawędzie zaczynały przypominać ostrza, i układała jedno na drugim.

Woody zaszedł ją z tyłu, objął. On także szukał zmian w jej kościach, brzuchu i udach. Nie odwróciła się, przylgnęła lekko do niego, pozwalając, by oparł brodę na jej głowie. Mandy zamiatała hol. Rachel powiedziała mu, żeby podszedł, ale nie mógł się od niej oderwać. Położył jej palec na ustach i zrzucił jedno prześcieradło. Usiłowała przytrzymać stos, śmiała się, on próbował jeszcze dwukrotnie zsunąć stos ze stołu, ona zaś na próżno próbowała temu zapobiec. Kiedy zza rogu wyłoniła się Mandy, stali oboje pośród pofałdowanego morza bieli.

Mijały dni, wilgotne jak pranie wiszące na sznurze. Porównywał jej oczy do fig i włoskich orzechów, do bursztynowej, niezakrzepłej

jeszcze żywicy. Była to kiepska metafora, co sam przyznawał, ale lubił drażnić się z nią aż do momentu, kiedy zaczynała się złość, a wtedy przyrównywał jej oczy do sztormowego morza.

- Ciii - przerywała mu. - Za dużo mówisz. - Zapamiętywała jednak każde słowo.

Weiskali się do opuszczonych pokoi, pełnych mebli zakrytych pokrowcami, do piwnicy, gdzie trzymano łodzie, oparte kadłubami o ściany. Leżeli na stosach spleśniałych żagli, których szwy zostawiały głębokie odciski na ich ciałach. „Przebacz mi, ojcze”, powtarzała w myślach Rachel, kiedy grzeszyli w miejscach pachnących kulkami na mole, ze zwisającymi pajęczynami, zapomnianych, upstrzonych mysimi bobkami. Przemykając korytarzami, przywierali do siebie za jakimiś drzwiami albo potykając się, schodzili na plażę, gdzie nadzy i oblepieni piaskiem leżeli na wydmie na kocu, w deszczu sosnowego igliwia, i przerywali jedynie po to, żeby popływać w niebieskim sierpniowym jeziorze.

- Rachel - szeptał Woody, obserwując mrówkę wdrapującą się po gęsiej skórcie jej uda.

Pierwsza spostrzegła coś Mandy. Siedziały przy stole w kuchni i czyściły srebra pastą, która wyglądała jak budyń czekoladowy - Rachel kusiło, żeby zjeść jej trochę. Mandy polerowała łyżkę miękką szmatką, aż pasta zmieniła kolor na biały, a potem starta ją pieluchą. Nagle zamarła w bezruchu.

- Rachel! - odezwała się. - Twoje kolana!

Rachel spojrzała na swoje kolana, otarte i posiniaczone od kłęczenia na kamieniach. Wzięła głęboki oddech i z powagą popatrzyła Mandy w oczy.

- Czasami modłę się tak gorliwie - odpowiedziała.

Mandy wydała odgłos przypominający prychnięcie.

- Na twoim miejscu zakrywałabym je czymś.

Rachel skrzyżowała nogi, podciągając wyżej sukienkę, wzięła widelec i polizała jego zęby. Mandy wydeła usta i przejrzała się w odwróconej łyżce.

Dwukrotnie zahuczał brzęczyk. Wszyscy podnieśli wzrok. Ella Mae przerwała mieszanie rosółu w garnku, zawiązała ciasniej fartuch i ruszyła ku schodom. Piętnaście minut później wróciła do

kuchni, trzymając w ręku dwie szylkretowe spinki do włosów - precyzyjnie wyrzeźbione girlandy ze srebrnymi klamerkami.

- Pani March kazała ci to dać - powiedziała.

- Za co? - zapytała Rachel.

Mandy wzięła kolejną łyżkę i pokiwała głową w stronę Rachel, jakby doskonale wszystko wiedziała.

- Pewnie znalazła w zupie twój włos. Gruby i skręcony. Dziewczyno, musisz coś zrobić z tą mierzwą.

- Jest najwyraźniej zadowolona z postępów panicza Woody'ego - wtrąciła się Ella Mae. - Ale moim zdaniem wystarczyłaby gumka do włosów.

Rachel podpięła włosy spinkami z dwóch stron i pochyliła się, żeby zobaczyć swoje odbicie w tosterze. Obracała głowę to w prawo, to w lewo.

- Pani March powiedziała też, że trzeba przewietrzyć pokój z widokiem na zatokę. - Ella Mae skrzyżowała ramiona na piersiach. - Wygląda na to, że będziemy mieli towarzystwo.

- Jakie towarzystwo? - spytała Rachel, odwracając oczy od tosterza.

- A co cię to obchodzi? Nie rozmawiamy o twoich znajomych.

Tego popołudnia Mandy przyjrzała się Rachel, kiedy siadały przy stole.

- Wyglądasz ohydnie, siostró - powiedziała. - Brrr. Nie widziałam czegoś równie upiornego od czasu, kiedy moja kuzynka zachorowała po zjedzeniu jakiegoś zielska.

Rachel nie odpowiedziała, poprawiła jedynie maselniczki, ustawione wcześniej przez Mandy.

- I niby za kogo się uważasz, że ustawiasz nakrycia na stole inaczej niż ja?

- Pani March woli, gdy stoją nad płytkimi talerzami - wyjaśniła Rachel. - Nie z lewej strony.

Talerze były niebieskie w ciemniejszy niebieski wzór, namalowane scenki przedstawiały wiatraki i łodzie żaglowe.

- Naprawdę? Nie wiesz czasem!

Z wysoko uniesioną głową i dumnie wyprostowanymi plecami Mandy zeszła na dół do kuchni i wróciła z Ellą Mae. Kucharka

uparła dłonie na biodrach i zaczęła obchodzić stół, powoli niczym łowisz, ze wzrokiem wbitym w nakrycia.

- Mandy mówi - odezwała się, patrząc na Rachel - że coś ci się nie podoba.

- Pani March lubi, jak talerze są ustawione w taki sposób - odpowiedziała Rachel, wruszając ramionami.

- Wiesz to od niej?

- Zawsze je przestawia, zanim przyjdą inni.

- Czy coś jeszcze lubi inaczej? - Ella Mae uniosła brwi. Jej głos był ostry jak brzytwa. - Może jajka powinny być bardziej na miękko, a herbata mocniejsza?

- Czy coś się stało? - zapytała pani March, stając w drzwiach.

Ella Mae zaczęła rytmicznie tupać stopą. Nie spojrzała na panią March.

- Ta dziewczyna powiada, że woli pani, jak maselniczki stoja w ten sposób. Pierwszy raz o tym słyszę.

Tym razem to pani March uniosła brwi. Skrzyżowała ręce na piersiach, podeszła do stołu, przyjrzała się jednemu nakryciu, potem następnemu. Przesunęła nóż do masła, tak by trzonek odchyłał się w prawo, nie ruszyła jednak maselniczek przestawionych przez Rachel.

- Tak - odpowiedziała. - Mniej więcej.

Po wyjściu pani March Ella Mae wbiła wzrok w Rachel.

- Posłuchaj mnie, dziecko - zwróciła się do niej. - Nie opłaca się być za mądrym.

Tamtego wieczoru Mandy i Rachel podawały do stołu. Woody siedział naprzeciw matki. Na obiad przyszli Hewettowie. Dziewczęta wyniosły supę, a potem wróciły z kuchni, niosąc półmiski z rybą ułożoną na tłuczonych ziemniakach i udekorowaną po bokach szpinakowym puree. Rachel obsługiwała Woody'ego. Patrzyła na jego ciemne włosy i szczoteczki opuszczonych rzęs. Coś wymamrotał, kiedy zabierała talerze i ustawiała nowe. Zbyt zakłopotany, żeby jej podziękować, mówił do jej rąk.

- Dziękuję, Rachel - powiedziała pani March. A potem zwróciła się do Hewettów: - Czy to nie wspaniałe widzieć Woody'ego w tak znakomitym stanie?

Oboje chętnie się z nią zgodzili.

W pewnym momencie Rachel wydało się, że Woody na nią zerka. Szybko odwróciła głowę, żeby się nie roześmiać. To wzajemne unikanie spojrzeń stało się ich grą. Wyzywam cię. Wyzywam cię. Złamiesz matce serce. Wyzywam cię.

Rozmowa zeszyła na malowanie ścian; narzekano, że tak często trzeba odnawiać stare domy.

- Wszystko przez zimy! - powiedziała pani Hewett.

- Charles twierdzi, że nie kładą gruntu. - Pani March pokiwała głową. - Stale powtarzam ogrodnikowi, żeby się upewniał, czy położyli grunt.

- On najmuje do tego swoich kuzynów - wtrąciła pani Hewett. - Przez całą zimę polują, a do pracy zabierają się tuż przed naszym przyjazdem.

Rachel dolewała wody do szklanek. Podzwaniał lód. Spora kostka wymknęła się z dzbanka i upadła przy nakryciu Woody'ego. Na obrusie zrobiła się kałuża.

- To nic - powiedział Woody, wycierając płamę. - Mam serwetkę. - Wsunął Rachel w rękę ciasno zwinięty kawałek materiału. Podniósł na nią wzrok. Zarumienił się. Wiedziała już, że jego matka będzie miała złamane serce.

W kuchni rozwinęła serwetkę i znalazła w niej niewielkie kamyki, kawałek kwarcu i ziarenka piasku. W tygodniu Woody podarował jej kamień z Petoskey, na którego powierzchni zamknięte były maleńkie słońca. Zardzewiały wagonik kolejki-zabawki, mniejszy od jej dłoni, ukazał się na dnie wazy. Wcześniej znalazła szczypce kraba w kieszeni, kosmyk włosów Woody'ego. Nawet mapa stawała się prezentem - z szerokościami, długościami geograficznymi i wyspami, których nazw nie umiała przeczytać.

Ella Mae cmoknęła przez zęby.

- Czy pani March wie, że łązisz z jej synem na plażę?

Serwetka była mokra i zimna. Rachel przetarła nią sobie kark.

- Jest dorosłym mężczyzną. Co ją to może obchodzić?

Poza tym pani March podarowała jej grzebyki do włosów i używany sweter, taki sam, jaki miała panna Elizabeth. Może nawet był to sweter panny Elizabeth! Brakowało mu guzika, koronka przy

kołnierzyku przetarła się trochę, ale sam sweter był w dotyku niczym ptasi puch.

- Akurat - skrzywiła się Ella Mae. - Dorosły albo i nie.

Następnego ranka matka wezwała Woody'ego do swojego pokoju. Oznajmiła mu, że postanowiła zaprosić Elizabeth.

- Ona chciałaby z tobą porozmawiać. Może zmienić zdanie. - Kiedy Woody wpatrywał się w nią, nie mogąc znaleźć słów, dodała: - Nie cieszysz się?

Za oknem jezioro pobłyskiwało odbitymi promieniami słońca. Woody spotkał Rachel w holu. Niosła pościel, dwa komplety na pojedyncze łóżka. Stojąc z nim twarzą w twarz, powiedziała, że są do pokoju z dwoma łóżkami dla jego „gościa” - ostatnie słowo wymówiła tak, jakby trzymała w ustach bardzo gorzką pigułkę.

- Matka o nic mnie nie spytała. - Woody miał ochotę wyrwać Rachel bieliznę z rąk.

Popatrzył na jej palce. Trochę szorstkie, o poszarpanych skórkach przy paznokciach. Mały palec u lewej nogi miała zakrzywiony. Wgłębienie wielkości kciuka u nasady szyi. Harmonijna krzywizna pośladków. W jej włosach mógłby utonąć. Oczywiście.

Chciał powiedzieć, że to tylko na kilka dni.

- Oszaleję - wyrwało mu się jednak.

- Ty oszalejesz? - Rachel stłumiła śmiech.

A co miał powiedzieć Elizabeth? Że ma ochotę zburzyć ten dom, wyrwać deskę po desce, aż zostaną tylko wydmy i chwasty? W korytarzach czaiły się cienie wspomnień. Przywracał je nikły zapach świeżo skoszonej trawy. Nawet jego ojciec dorastał w tym domu, biegał po schodach w górę i na dół, pływał przy tej samej plaży. Może przodkowie Rachel rzeczywiście odchodzili w płomieniach, jego rodzinę otaczał zapach kamfory i zleżałego perkalu.

Z jednej strony cierpiał na urojone bóle w amputowanej nodze, z drugiej wyczuwał wyraźnie krewnych, którymi przesiąkły ściany, zmatowiałe inicjały wygrawerowane na srebrach, łóżka, w których spały kolejne pokolenia. Nawet teraz skóra zmarłych przed laty przylegała do pościeli, ich oddechy odbijały się od luster, trwała litania opowiadanych w kółko historii.

Ostatecznie jednak nie potrafiłyby zdobyć się na zburzenie tego

domu. Zabrakłoby mu odwagi. Wpatrując się w pościel, trzymaną przez Rachel, pomyślał o wąskich łózkach, na których będzie położona.

- Woody! - zawołała matka z werandy. - Spójrz, kto przyjechał!

Woody słyszał chrzęst żwiru pod własnymi stopami, gdy szedł na front domu. Zajechał buick, Jonah otwierał bagażnik. Z samochodu wyłoniła się smukła noga w czarnym pantoflu na wysokim obcasie.

- Cudowna dziewczyna! - wołała matka. - Przywiozłaś nam pogodę!

Woody patrzył na nią z werandy. Talent sprowadzania pogody i cudowny wygląd był częścią posagu Elizabeth. Bo niby dlaczego miałyby nie przywozić bezchmurnego nieba i gładkiej tafli jeziora?

- Och, rusz się - odezwała się do niego matka. - Idź i przywitaj się.

Zacumowane łodzie obijały się o siebie w powiewach bryzy, która owinęła apaszkę wokół szyi Elizabeth. Znał tę szyję. Opalona latem, blada zimą, poprzecinana nikłymi niebieskimi żyłkami. Ileż miesięcy minęło, od kiedy stała przy jego łóżku w szpitalu i trzymała go za rękę? Kiedy pielęgniarka zmieniała mu opatrunki, Elizabeth odwracała wzrok.

Miała jasne, puszyste włosy i teraz wyciągała ramiona w geście, który wydawał się jednocześnie błagalny i zaborczy. Gdyby do niej podszedł i ją objął, musiałby powiedzieć, że wspaniale znowu ją widzieć. Mimo że zerwała zaręczyny, to jednak przejechała taki szmat drogi. Jak mógłby postąpić inaczej?

Tego wieczoru Elizabeth odnalazła go na bocznej werandzie z widokiem na zatokę. W domu Mandy sprzątała ze stołu, gdy ómy, zwabione światłem, odbijały się od siatki przeciw owadom.

- Tak tu spokojnie - powiedziała Elizabeth. - Czuję, że mogłabym przepłynąć całe jezioro.

- To osiem kilometrów - odpowiedział Woody.

- Mimo wszystko mogłabym tego dokonać.

Woody podniósł się, kiedy weszła na werandę, a teraz opadł ponownie na huśtawkę. Trzeszczała, gdy się kołysał. Była pokryta

rodzajem brezentu, odpornego na pleśń. Farba na poręczach łuszczyła się.

- To stare miejsce - odezwała się Elizabeth, jakby czytała w jego myślach.

Czy w jej głosie słyszał wzruszenie, czy rozdrażnienie? Woody odetchnął głęboko.

- Po co przyjechałaś, Elizabeth? - zapytał.

- Powinam była przyjechać wcześniej. - Siedziała na starym wiklinowym fotelu obok huśtawki. Podciągnęła kolana do piersi i wpatrywała się w jezioro, jakby w nim mogła odnaleźć tysiące powodów. - Myślałam, że zginąłeś, Woody. - Oparła policzek na kolanie, żeby móc spojrzeć na niego. - Wszyscy chyba myśleli tak samo. Kiedy się okazało, że żyjesz, była to kompletnie zaskakująca, choć dobra wiadomość.

Z rezydencji znajdującej się dwa domy dalej, gdzie odbywało się jakieś przyjęcie, doszedł ich niesiony bryzą śmiech. Woody zaciekawiał się, czy ich też zaproszono. Zresztą nie miało to znaczenia; i tak by nie poszedł.

- Nie mogłaś na mnie patrzeć.

- A ty nie chciałeś ze mną rozmawiać - ucięła Elizabeth.

- Przepraszam.

Zakryła mu usta dwoma palcami.

- Nie trzeba. - Prawie weszła mu w słowo, kręcąc głową. Nagle uśmiechnęła się. - Lepiej mi powiedz, że ładnie wyglądam.

Powoli odsunął jej palce od swoich ust i trzymał ją za rękę.

- Zawsze tak wyglądałaś.

- Powiedz to.

Była urocza. I to zawsze go w niej pociągało. Tego wieczoru miała włosy podpięte do góry nad uszami. Srebrne kółka w uszach i srebrne bransoletki na nadgarstkach. Lniane spodnie. Jaśniała, z niemal białymi blond włosami, oczami, które były prawie takie jak jego, i tą cerą! Cudny rzadki ptak, który terkotał jak karabin maszynowy i rozśmieszał go. A teraz wróciła, by upomnieć się o prawa do tego domu, niepasujących tu wiklinowych mebli, wyblakłych zdjęć i do niego. Jeśli wymyśliła już jakiś sposób, jej zdjęcie tu zawiśnie. Uśmiechała się - szeroko i przepięknie.

- Cudownie i egzotycznie - powiedział.

- W północnym Michigan wszystko, co wyrasta ponad prze-



ciężność, wygląda egzotycznie - skomentowała, wydymając usta, ale widać było, że sprawił jej przyjemność.

Niebo pociemniało i stało się prawie czarne.

- Popatrz! - zawołała Elizabeth. - Pierwsza gwiazda!

Woody podążył wzrokiem za jej wskazującym palcem.

- To nie gwiazda - wyjaśnił. - To Wenus.

- To musi być gwiazda - upierała się Elizabeth. Dotknęła jego ramienia. - Bo już pomyślałam życzenie!

W porannym słońcu ledwie było widać góry na wschodzie, kiedy Rachel, ociążała ze zmęczenia, zaczęła się wspinać ścieżką. Wrzesień jeszcze nie nadszedł, ale liście klonów zabarwiły się już czerwienią. Nie minie wiele czasu i domy zostaną pozamykane, meble pokryte pokrowcami, a łódzie z całego zielonego jesiennego jeziora znajdują się w suchych dokach.

W kuchni pachniało cynamonem i sadzonymi jajkami. Układając grzankę na srebrnej podstawie, Mandy z trudem łapała oddech.

- Ręcznie szyta - mówiła. - Aż sztywna od perełek. Cała sukienka!

- Co jeszcze? - dopytywała się Ella Mae.

Mandy zamknęła oczy. Jej głos brzmiał słodko jak syrop.

- I kaszmirowa pelerynka. W tym samym kolorze.

Ella Mae zerknęła na Rachel, która zdejmowała kaszmirowy sweter i wieszła go na kołku.

- Ta Parkerówna nie potrafi się obchodzić z kaszmirem. Widziałam, co zrobiła ze swetrem, który wyrzuciła.

- Nie wierzę, żeby wyrzuciła tę pelerynkę - odezwała się Mandy. - A tym bardziej sukienkę.

Ella Mae prychnęła niezadowolona i obróciła się do Rachel.

- Co sobie myślą zakonnice, kiedy ktoś oddaje taką sukienkę pod koniec lata?

Rachel włożyła fartuch, zawiązała go na plecach. Zdjęła czajnik z ognia i nalała wrzątek do porcelanowego czajniczka. Para zaróżowiła jej policzki.

- Rachel - powiedziała Ella Mae, kiedy rozległo się buczenie brzęczyka. - Zaniesiesz herbatę pannie Elizabeth.

Wpatrywała się w dziewczynę, najwyraźniej czekając na jej

reakcję, ale Rachel zachowała kamienny wyraz twarzy. „Jestem jak kamień” powtarzała w myślach, niosąc herbatę na górę do pokoju panny Elizabeth.

Zapukała. Zapukała ponownie, a potem otworzyła skrzypiące drzwi. Z łazienki słychać było wodę lejącą się do wanny, więc postawiła tacę na stoliku przy oknie. Wyglądała przez to okno wiele razy - gdy zmieniała pościel, zabierała ręczniki. Tego dnia niewiele było widać. Dotknęła ubrań rzuconych byle jak na oparcie krzesła. Skóra miękka jak masło, dobra na mokasy. Na toaletce - szminki i srebrne kolczyki, sznur pereł, szylkretowa papierośnica. Musnęła perły palcami.

Rozległ się zgrzyt kurków zakręcanych w łazience.

- Przyniosłam panience herbatę - powiedziała Rachel. Przez minutę wpatrywała się w drzwi. W końcu usłyszała plusk, dudnienie, odgłos spuszczonej wody. - Herbata panienci!

Drzwi się otworzyły. Panna Elizabeth, w ręczniku, wyjrzała z łazienki. Mokre włosy miała upięte na czubku głowy.

- Możesz podać mi fajki? - zapytała. - Leżą na komodzie.

Rachel wzięła szylkretową papierośnicę i podała ją panience Elizabeth, a potem zabrała się do ścielenia łóżka. Przez wpółotwarte drzwi widziała pełną parę, wyłożoną białymi kafelkami łazienkę i papierosa położonego na krawędzi umywalki. Spod przykniętych powiek Rachel wpatrywała się w kark panny Elizabeth, siedzącej z nogą opartą na sedesie, z pomalowanymi na krwawoczerwono paznokciami. Czuć było ostry zapach lakieru. Ten kolor ją przytłaczał. Zrobiło się jej niedobrze. Wyszła pośpiesznie z pokoju i pobiegła pustym korytarzem do wolnej ubikacji. Uklękła, żołądek kurczył się jej konwulsyjnie. Zwymiotowała. Trochę śniadania. Trochę herbaty.

Utrzymujący się w ustach smak piasku i jeziora.

Rachel opróżniła popielniczki w salonie na srebrną tackę, poprawiała poduszki i nasłuchiwała. Pani March rozmawiała w jadalni z panną Elizabeth, mówiła, że każde z jej dzieci na pewno poradziłoby sobie z kalectwem. Dlatego nie ma sensu pozwalać Woody'emu, by się w tym pograżał. Ci, którzy wrócili w 1919 roku, ci, którzy nigdy tego nie zapomnieli - popadali w rozpacz. „Pamiętasz skurcze wujka Maynarda i jego uporczywe milczenie?”.

Rachel powąchała wazon z tunbergiami o czarnych dnach kielichów i przekonała się, że woda w nim cuchnie.

- Jeśli nie będzie się widywał z przyjaciółmi, przyprowadzimy ich do niego - powiedziała pani March. - Będzie prowadził normalne życie towarzyskie. Zobaczysz.

Rachel zastanawiała się, jak panna Elizabeth znosi bezustanne pouczenia, pobożne życzenia i plany snute przez panią March. Gdyby to ona była na miejscu panny Elizabeth, kazałaby pani March pilnować własnego nosa.

- A jeśli on już mnie nie chce? - zapytała ponuro panna Elizabeth.

- Powiedział ci coś?

- Nie błagał mnie, żebym za niego wyszła, jeśli o to chodzi.

Rachel przylgnęła do ściany.

- Pozwól, że powiem ci coś o Woodym, Elizabeth - zaczęła pani March. - Jego można przekonać. Potrzeba mu żony i dzieci. A jak już ma się dzieci, sprawa jest załatwiona na dobre.

- A jeśli on nie może?

Ręka, która spoczęła na ramieniu Rachel, sprawiła, że dziewczyna aż podskoczyła. Obróciła się i zobaczyła oczy Woody'ego o kilka centymetrów od siebie. Jego usta.

- Rachel - powiedział.

Twarz miał zapadniętą i szarą. Marzyła, by mieć go w sobie, przebijać mu skórę, drapać paznokciami aż do krwi.

Rachel trzepała akurat chodnik na werandzie, kiedy odnalazła ją tam panna Elizabeth.

- A, tu jesteś! Bądź tak miła i przeprosuj ją - powiedziała panna i podała Rachel bluzkę. - Miałam dać ją rano Mandy, ale zapomniałam. W walizkach wszystko się gniecie.

Rachel wzięła bluzkę.

Już w kuchni przytuliła materiał do policzka. Bluzka miała kolor morskiej piany. A musiała jeszcze obrać warzywa, dopilnować zupy. Nagłe krótkie ochłodzenie utworowało drogę upałam późnego lata. Rachel rzuciła bluzkę panny Elizabeth na stół. Upał wprawiał ją w niepokój i wyczerpywał. Tak przynajmniej twierdziły zakonnice.

- Ten upał daje się we znaki! Szkoda, że nie ma skąd wziąć lodów - powiedziała Mandy. - A ty jesteś zielona jak stary ser.

- Czuję się dobrze.

Mimo tego zapewnienia Ella Mae położyła jej dłoń na czole i zajrzała w oczy.

- Mmm...

Kiedy Rachel kroїła cebulę do zupy, do oczu nabiegły jej łzy. Wytarła nos wierzchem dłoni i kroїła dalej. W pewnej chwili nóż się ześliznął.

- A niech to! - zawołała Ella Mae, łapiąc leżącą najbliżej ścierkę i przyciskając ją do ręki Rachel.

- Nic mi nie jest - powiedziała Rachel, ale ścierka szybko nasiąkała czerwienią. - Nawet nie boli.

- Ale będzie.

Rachel zdjęła z rany ścierkę, która okazała się bluzką panny Elizabeth. Podobały się jej rubinowe plamy na załamaniach pogniecionego materiału. Przez cały tydzień sprawdzała majtki, szukając podobnych śladów.

Moja ręka krwawi, pomyślała. Moje kolana. I nic więcej.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Woody patrzył przez stół na przyjaciół z dzieciństwa, śmiejących się w świetle świec. Jay Hewett postarzał się, utył od wojny - był jednym z tych mężczyzn, którzy wrócili pełni wigoru, a nie wypaleni. Max Bailey, narzeczony Sereny, w kilka lat zmienił się z pryszczatego nastolatka w napuszonego sztynniaka o pyzatyh policzkach. Jakaś dziewczyna - Woody jej nie pamiętał - przyszła z Lambertem Reddingiem, który palił przez cały obiad i nie odezwał się słowem. Siostra Lamberta, Diedre, przy Elizabeth ubranej w zachwycającą suknię bez ramiączek robiła wrażenie kobiety wręcz surowej. Rok wcześniej, kiedy Elizabeth stała obok jego szpitalnego łóżka, wyglądała jak z obrazka. Ale Woody stracił zainteresowanie obrazkami.

Max Bailey usiłował coś powiedzieć z ustami pełnymi sałatki. Dźgnął widelcem Jaya Hewetta.

- Spychaj ich przed linią startową, to będą musieli halsować.
- A jeśli poproszą o trochę więcej miejsca?
- Spraw, żeby o nie błagali. Żagle staw!
- Ileż w tym ducha rywalizacji! Czy Max nie poradziłby sobie w szkole biznesu? - odezwała się Elizabeth, nie spuszczać wzroku z Woody'ego.

Woody niemal się roześmiał. Uśmiech Elizabeth zdawał się mówić: „Kiedyś tyle było między nami wesołości!”.

Głos Maksa huczał w głowie Woody'ego. Woody dotknął brzegu kieliszka z szampanem i zaczął wodzić palcem w kółko, wolno i w równym tempie. Niskie buczenie, początkowo złowrogie, przeszło w wysoki świst.

- Ooo! - zawołała Diedre i zakryła uszy dłońmi.

Ale Elizabeth była zachwycona.

- Jeszcze!

Rachel była w kuchni. Potem podawała obiad Woodyemu i jego przyjaciółom na talerzach ze złotym szlaczkiem, starała się nie po-brzękiwać srebrem, biegała wraz z Mandy tam i z powrotem.

Woody ponownie zagrał na kieliszku, wydobywając z niego nie-samowitą krystaliczną harmonię, podczas gdy wszyscy słuchali.

- Zabawne - powiedział Max, odwracając się do Jaya Hewetta.

Woody nie przestawał. Prowadził palec miarowo po brzętku. Tym razem śmiechy były ciche, jakby wymuszone.

- Woody? - odezwała się Elizabeth i chociaż się uśmiechała, głos się jej łamał.

Chłodząc dłoń trzymanym w palcach kawałkiem lodu, Woody niemal oczekiwał poobiedniej zabawy w komórki do wynajęcia, choć wiedział, że to niemożliwe. Mały Jay-Jay płakał, bo jego krzeselko się przewróciło, a Max stał na swoim, potwierdzając tym zwycięstwo. Kim są ci ludzie? Czy kiedykolwiek się z nimi przyjaźnił?

Uniósł kieliszek i wypił do dna.

- I to by było tyle. Brandy podadzą nam na werandzie.

- Och, proszę, nie! - powiedziała Elizabeth. - Ten zapach!

W poprzednim tygodniu plażę zasłały alozy. Mniej więcej raz na dziesięć lat jezioro wyrzucało całe stosy martwych ryb - prze-rażające zjawisko o nieznanym przyczynie. Dozorcy musieli wtedy grać plażę i zakopywać cuchnące trupy. Tego lata ich smród był w porcie wyjątkowo silny.

- W takim razie na werandzie od strony zatoki - zaproponował Woody.

- Zadzwońię po służącą - powiedziała Elizabeth i zaczęła suwać nogą w poszukiwaniu brzęczyka.

- Nie - rzekł Woody. - Pozwól, że ja to zrobię. Jestem jedyną osobą, która potrafi znaleźć to przekłete urządzenie. - Zniknął pod stołem. Namacał przycisk pod dywanem, nacisnął, wysyłając bez-głośny sygnał dla niewidocznych stąd uszu. - Załatwione - rzucił, siadając z powrotem na krześle. - Zadzwońięm po służącą.

Poniżej fale rozbijały się o plażę. Wieczór był ciepły, a oni zamierzali zagrać w brydża. Przed obiadem pili martini, potem wino. Serena już chwiała się na nogach. Dziewczyna, której imienia

nie pamiętał, miała rozmazaną szminkę. Jedna twarz po drugiej wskazywała na coraz słabszy kontakt z rzeczywistością. Elizabeth pomogła Woodyemu przejść na werandę. Ktoś - prawdopodobnie Jonah - wyniósł na zewnątrz świecę. Cma zatrzepotała blisko płomienia. Woody odpędził ją ręką. Rozdano karty. Dwa stoły po cztery osoby.

- Woody - odezwała się Elizabeth. - Twoja kolej.

Woody zgłosił dwa trefle. Widział z werandy Rachel, sprząającą ze stołu. Na dworze słychać było szum fal, majaczyły twarze ukryte w półcieniu rzucanym przez rozedrgane płomienie świec. W domu - kobieta pachnąca jeziorem. Moja pani mi usługuje, pomyślał Woody. Zakrył oczy i wymazał jej obraz jako służącej. Spojrzał przez rozsunięte palce i zobaczył ją jako żonę, uprząającą stół. Palce złączyły się ponownie, sprawiając, że Elizabeth zniknęła, podobnie jak woła jego matki i wspomnienie nurkującego samolotu. Rozczapierając je szeroko, widział jedynie Rachel. Rozsuwał i zsuwał palce.

Rachel układała talerze jeden na drugim. Właściwie nie powinna w ten sposób obchodzić się z porcelaną, ale biegła już na górę i na dół co najmniej dziesięć razy. Bolały ją nogi. Z trudem łapała oddech.

Woody za dużo pił. W pewnej chwili pochyliła się nad nim i zapytała, czy może mu pomóc, ale on odwrócił się od niej i zaczął coś mówić do sąsiada. Rozmowa dotyczyła ludzi, których nie znała, tematów, których nie rozumiała. Przypomniało się jej, jak siedziała z dorosłymi jako dziecko, a oni coś mamrotali w narzeczu Odawa, prawie jej nie znanym. Poruszała się za plecami przyjaciół Woody'ego, zabierała talerze, stawiała inne. Ktoś jej podziękował. Panna Elizabeth nawet się uśmiechnęła. Rachel nie spieszyła się, wdychała zapach perfum panny Elizabeth.

Woody i jego przyjaciele przenieśli się na werandę. Pomagając Jonahowi przy kawie, Rachel ustawiła filiżanki na tacy i wyszła za nim na zewnątrz. Podała cukier. Woody poprosił o brandy. Rachel czuła na sobie jego wzrok.

- Co? - obrócił się niespodziewanie ku pannie Elizabeth.

- Twoja twarz.

- Moja twarz? - Rzucił kartę. - Mam twarz stworzoną do pokera.

- Naprawdę? - powiedziała panna Elizabeth. - Fatalnie licytowałeś. Poza tym bębniysz palcami.

Coś w wyrazie oczu panny Elizabeth sprawiło, że Rachel niemal jej pozałowała. Jakim cudem udaje się jej ułożyć włosy w ten sposób? Mnóstwo spinek, żeby były gładkie. Rachel miała ochotę wyciągnąć jedną.

- I jak tam, Jonahu? - odezwał się któryś z mężczyzn. - Ryby biorą tego lata? Kiedy wreszcie zasłużysz na swoją reputację i złowisz rzeczywiście jakiegoś kolosa?

Jedna z kobiet się roześmiała.

- Za każdym razem, kiedy Max wypije, zaczyna mówić niemal lak Anglik!

- Milcz, niegodziwa dziewczko! - odpowiedział mężczyzna. - Lepiej być arystokratą niż pozbawionym ziemi, nieślubnym dzieckiem chłopa uprawiającego kartofle.

Kobieta roześmiała się jeszcze głośniej.

- A my wszyscy? Nie jesteśmy? - zapytał Woody.

- Kim niby, staruszk?

- Ludźmi wyzutymi z ziemi. Z nieprawego łoża. - Woody wypił trochę brandy. - Czy cokolwiek to było, o czym mówiłeś.

- Popatrzcie tylko - odpowiedział mężczyzna, rzucając rozbawione spojrzenie pozostałym gościom. - Najwyraźniej znalazłeś się za blisko rosyjskiego frontu. - I zapytał teatralnym szeptem: - Prostacky to zdaje się jego czuły punkt, dobrze myślę?

Rozmowa ucichła.

- Drań - wymamrotał Woody pod nosem.

Ćma podleciała do ognia. Błysnął płomień.

Jedna z kobiet popatrzyła na Woody'ego i pannę Elizabeth, a potem kopnęła mężczyznę pod stołem.

- Wystarczy, Max - powiedziała. - Zajmij się grą.

- Przecież gram.

- Przepraszam was na chwilę - odezwał się Woody i odłożył karty. Wstając, przewrócił krzesło. Brandy się rozlała.

Oblałeś mnie, Woody! - zawołała panna Elizabeth.

- Potrzebny mi zastrzyk - powiedział Woody cicho, mijając Rachel.



Rachel chciała iść za nim, ale Jonah ją zatrzymał.

- Rachel - polecił - przynieś serwetkę pannie Elizabeth.

Woody leżał w poprzek łóżka. Przez otwarte okno słyszał Elizabeth, mówiącą „dobranoc”. Czy jej głos zawsze będzie tak wymuszenie radosny?

- Jeszcze jeden buziaczek, Elizabeth, no nie daj się prosić.

- Max! - ostrym tonem przywołała go do porządku Serena.

Rachel zjawi się lada moment i zrobi mu zastrzyk. To właśnie dla niej przez ostatnie tygodnie obywatel się bez morfiny. Ona stała się jego narkotykiem. Teraz jednak czuł się tak, jakby stał się łukiem elektrycznym przecinającym powietrze, jakby spadał do morza. Płonący Ikar. Dlaczego Rachel miałyby mu tego poskapić?

Niebieskawa smuga światła latarni morskiej omiatała sufit z obojętną regularnością. Z dołu dobiegało podzwanianie butelek, ustawianych przez Jonaha na barze. Matka niedługo wróci do domu. Nie powinna zobaczyć go tak pijanego. Dlaczego Rachel jeszcze nie przyszła?

Zrezygnowany, zwłóknął się z pościeli, pokuśtykał do łazienki, wziął strzykawkę i ampułkę, wrócił na łóżko. Głód narkotyku był silniejszy niż kiedykolwiek. Odłamał górną część ampułki. Czy boli go noga? Był o tym przekonany.

W górną część ramienia, wkłucie, pieczenie.

- Woody?

Podniósł wzrok i zobaczył Elizabeth, wpatrującą się w igłę poniżej jego podwiniętego rękawa. Dziewczyna miała otwarte usta. Włosy rozpuszczone. Czekał na jej protest, ponure słowa, że nie wolno mu tego robić.

Podeszła do niego i uklękła. Poczował boskie uniesienie, kiedy opuścił ciało.

- Zawołać tę służącą? - zapytała.

Zaczął się śmiać. Odpowiedziała uśmiechem, choć nie widziała w tym nic wesołego. A on śmiał się z niczego. Oddech mu się wyrównał, zwolnił. Elizabeth zwróciła się do niego twarzą, niczym kwiat, który podąża za słońcem. Usiłował jej powiedzieć, że ma ładną buzię. Ściągała go na dół, ale on unosił się nieprzerwanie, kołysany falami morfiny.

- Woody? - odezwała się. - Kochasz mnie?

Pochwyciła go. Próbował jej powiedzieć, że nie potrafi, ale słowa rozmywały się, zanim je wyartykułował. Pocałowała go i zbliżyła ucho do jego ust. Jakby tknięty szaleństwem, podciągnął jej sukienkę i zaczął obmacywać udo. Chciała, żeby powtarzał jej imię, chciała usłyszeć je wymawiane w sposób, jaki wymarzyła sobie na ich noc poślubną, wyraźnie i z miłością, nie tak jak teraz - mamrotane, przerywane, brzmiące jak imię obcej dziewczyny.

- Powiedz mi.

Miała rozpiętą sukienkę. Rozsunął jej uda. Jej skóra stopiła się z jego skórą, zęby uderzyły o siebie.

Przyciemniona smuga światła latarni morskiej błędziła po ścianach. Kiedy Elizabeth brała go w siebie, kosmyk włosów zsunął się jej z czoła i bezwolnie dyndał. Na korytarzu rozległy się kroki.

- Powiedz mi - jęczała Elizabeth nie swoim głosem. Jeden z jej sandałów spadł na podłogę. Na skórze czuć było zwietrzały, słodki zapach „Shalimar”.

Na plaży panowała cisza jak w świątyni. Pasma księżycowego światła biegło w poprzek zatoki. Rachel stała z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, patrzyła przed siebie. Było tu zbyt wiele wody. Tam, gdzieś, znajdowało się mniejsze jezioro, cieplejsze, o dnie miękkim od gliny i zgnitych liści, a nie jak to, z kamieniami, o które rani się stopy.

Wokół cuchnęło martwymi rybami. Rachel skrzywiła się, gdy dotknęła kolanami plaży. Woda zmoczyła jej uda i brzuch. Marzyła, by jezioro zmyło z jej pamięci obraz, jaki zobaczyła przez uchylone drzwi. W pierwszej chwili pomyślała, że panna Elizabeth łka. Ale dlaczego miałyby płakać? Kto by szlochał, wiedząc, że ma wszystko? Na miejscu panny Elizabeth Rachel by nie płakała - nie tak jak teraz, kiedy po policzkach spływały jej łzy, twarde i gorzkie jak kamienie.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Woody stał w drzwiach pokoju matki. Ćwiczył tę rozmowę przez cały ranek. Chciał jej powiedzieć, że wszystko się zmieniło, że Elizabeth postąpiła słusznie, zrywając zaręczyny. Nie powinna była przyjeżdżać. Matka musi spojrzeć na to jego oczami, przez obraz ciał unoszących się obok niego na wodzie, przez obraz dziewczyny w doku, oświetlonej srebrnymi promieniami księżyca.

Teraz jednak zmienił zdanie i opowiedział matce o kamikadze i jakie to uczucie, kiedy nadlatuje samolot, który ma spaść. „Uderzali prosto w nas. Możesz wyobrazić sobie coś takiego? Nawet Lip...”.

Pani March nie słuchała. Zadzwonił telefon, podniosła słuchawkę, odezwała się: „Tak? Tak?”. Światło układało się w snopy za jej łóżkiem. Jezus patrzył w dół ze ściany. Kiedy Woody był dzieckiem, uwielbiał podnosić słuchawkę i słuchać oficjalnego głosu telefonistki, pytającej: „Jaki to numer?”

- Mamo? - zagadnął.

Upuściła słuchawkę. Oczywiście błyszczały, krew odpłynęła z twarzy. Woody usłyszał odległy warkot silnika samolotu, możliwe, że był to B-29, startujący z lotniska polowego w Manistee. Matka dotknęła go. Jej ręka wydała mu się chłodna i krucha, a słowa, które mówiła, poprzecinane tak samo, jak to, co pamiętał z poprzedniej nocy, spędzonej z Elizabeth.

- Twój ojciec... serce - powiedziała.

Woody poczuł nagle, że nie musi się już przejmować, jakby wcześniej nie miał jej nic ważnego do powiedzenia. Miał teraz wrażenie, że samolot leci prosto ku jego sercu. Świadomość, że jest się skazanym, była czymś przerażającym, ale jednocześnie uspokajającym. Odsunął się od matki i odwrócił, żeby zawołać Jonaha.

Matka wstała, zdjęła krucyfiks ze ściany i przytuliła go do piersi. Gładząc cierniową koronę, kołysała go niczym dziecko.

Pociąg z gwizdem wyjechał z Moss Village i nabrał szybkości, by potem zwolnić przy wjeździe do Pont du Lac. Woody cały czas widział biały piasek, drzewa, wzgórze, wieżę kościoła, bo tory biegły wzdłuż brzegu zatoki. Domy w Beck's Point stały się już tylko maleńkimi plamkami. Kończyło się lato. Pociąg przyśpieszył. Wkrótce drzewa przesłoniły jezioro.

Mój Boże, pomyślał. A potem, jakby chciał tym obudzić boskie siły, które mogłyby mu pomóc, zawrócił pociąg, sprawić, by stał się kimś, kim nie był, powiedział to w myślach ponownie. Ale tak naprawdę Woody nigdy nie wierzył w Boga. Nawet gorliwym katolikiem matki nie zdołał go poruszyć.

Elizabeth położyła dłoń na jego rękę, gdy pociąg, trzęsąc się, przejeżdżał przez kamieniołom. O tej porze Rachel na pewno już przyszła, zauważyła też pewnie brak buicka i waliz, wyniesionych ze składziku. Czy znajdzie list, który jej zostawił na szafce obok łóżka? Ręce mu się trzęsły, ledwie mógł pisać. „Miłość”. „Żal”. „Nie mogę”. Zabierał się do tego trzykrotnie. „Rachel” - pisał, wyznawał, że jest tchórzem. Że zależało mu na niej, choć wcale tego nie chciał. Napisał te słowa, podarł kartkę i zaczął na nowo. „Nie mogę się uchylać od ciężającej na mnie odpowiedzialności. Mam zostać bankierem, i to wcześniej, niż myślałem. Jestem tylko w połowie takim człowiekiem, jakim był mój brat. W żaden sposób nie nadaję się na męża”.

Ze stukotem kół pociąg skręcił w głąb łądu.

Kiedy Rachel wchodziła po schodach, Jonah zabierał akurat wiklinowe meble z werandy. Mandy czyściła piekarnik w kuchni. Nie unosił się zapach gotowanego jedzenia, czuć było jedynie mdlącą woń chloru i boraksu.

- Słyszałaś? - zapytała Mandy.

Rachel pokręciła przecząco głową.

Mrużąc świątoszkowato oczy, Mandy wyjęła gąbkę.

- Pan March - powiedziała, rozkoszując się każdym słowem - miał atak serca.

- Rachel! - krzyknęła Ella Mae, wchodząc do kuchni. - Idź

i zdejmij pościel z łóżek. Bieliznę uprasujesz później. Musimy być gotowi na jutrzejszy pociąg do St. Louis.

- On umrze jeszcze dzisiaj w nocy - wyszeptała Mandy, pochylając się ku Rachel.

Przeskakując po dwa stopnie, Rachel pobiegła schodami do pokoju Woody'ego. Otworzyła szuflady w jego biurku, komodzie, obejrzała dokładnie szafki. Nic. Zerwała z łóżka pościel zadrukowaną w kotwice. Coś musi tu być! Może tamten kawałek drewna wyrzucony na brzeg albo piasek między deskami podłogi miały jakieś znaczenie. Czy mógł wyjechać i nic dla niej nie zostawić? Powąchała włosie jego pędzla do golenia, otwierała książki, przetrzucała strony. Wiatrak syczał jak wąż. Niedługo rury wyschną, dom będzie cichy i pusty.

W łazience znalazła kilka włosów w umywalce, ręcznik rzucony na podłogę, zgniecioną pustą paczkę po camelach. Jej uwagę przyciągnął kamień, przypominający zaciśniętą pięść. Włożyła go do kieszeni.

- Tutaj jesteś - odezwała się Ella Mae, która weszła z pudełkiem z trutką na szczury. - Jak skończysz, wybierz popiół z kominka.

Mandy szorowała szczotką podłogę w korytarzu. Rachel spytała Ellę Mae, czy jej zdaniem Marchowie tu wrócą.

- Taki szmat drogi z St. Louis? Mmm, dziewczyno, myślę, że to lato się już skończyło - odpowiedziała Ella Mae.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rachel oparła policzek o kratkę konfesjonału.

- Przebacz mi, ojcze, albowiem zgrzeszyłam.
- Kiedy ostatni raz byłeś u spowiedzi?
- Trzy tygodnie temu. - Rachel wbiła paznokcie w miękkie brązowe drewno.
- Zbyt długo to odkładałaś. Jaki rodzaj grzechów popełniłaś?

Rachel zastanowiła się nad tym pytaniem. W kościele jedna z dziewcząt myła kafelkową posadzkę. Przesuwała mop tam i z powrotem. W powietrzu unosił się ostry zapach amoniaku, karbolu i kadzidła.

- Miałam wizję, ojcze.

Ksiądz czekał, ale Rachel nie dodała nic więcej. Otoczona ciemnością, wiedziała, czego chciał - oni wszyscy tego chcieli: żeby mówiła o rozpuszcie i grzechu. Uczyni pokutę, każe jej potem, a ona odpowie, że się postara. Spała z mężczyzną i podobało się jej to. Zrobiłaby to ponownie, choć mimo że bardzo uważał, była przy nadziei. Tego właśnie chciał - smutny, piegowaty - zmusił ją do opowiedzenia, jak to było, co robili, gdzie i jak się dotykali. Rachel, przez kratki konfesjonału, wyczuwała nieświeży i słony zapach czegoś, co ksiądz zjadł na lunch. Oboje ukryci w mroku, znajdowali się tuż obok siebie, ich usta niemal się dotykały. Rachel musiałaby w końcu powiedzieć: „Tutaj, ojcze. Dotykał mnie tutaj”. A on kazałby jej odmawiać różaniec przez całą noc i przejść przez dziedziniec na kolanach, tak by krwawiły jak rany Jezusa.

- Wizję? A co ci się ukazało?
- Syn.
- Syn?

- Syn moich pracodawców - wyjaśniła Rachel. - Woody March.

Cisza. Rachel wyobraziła sobie księdza pocierającego usta palcami i przyglądającego się własnym paznokciom. W konfesjonale było gorąco, aksamitna zasłona zbyt szczelna. Dziewczyna wdychała słodki zapach mszalnego wina, liczyła sekundy. Minęły setki lat, odkąd Indianie Odawa przekazali ziemię jezuitom.

- A jakąż to wizję mogłaś mieć o Woodym Marchu?

Dotknęła swego ciała, jej dłoń zaciskała się w rytm oddechu księdza, palce odszukały miejsce, które wcześniej znalazł Woody. Naciskała i gładziła je.

„Tutaj mnie dotykał”.

Ojciec Tom wyszeptał jej imię, ale Rachel, oczyszczona, wypowiedziana, słyszała jedynie pogłos nabożnych pieśni.

- Co powiedziałaś ojcu Tomowi?

Rachel stała przed biurkiem zakonnicy z rękami schowanymi za plecy. Siostra Marie patrzyła jej w oczy. Rachel wyglądała na bardziej obłąkaną, niż kiedy ją znalazły jako brudne, zawszone i posiniaczone dziecko o popękanych ustach, czuwające przy babce, nieżyjącej od wielu dni.

- Nic takiego, sostro.

Beżowy chodnik sprawiał surowe wrażenie. Na ścianach wisały oprawione fotografie księży - gładko ogolonych, bladych jezuitów. Siostra Marie miała na twarzy purpurowe znamię - podobne do czerwonej plamy na kamieniu, który Rachel znalazła w pokoju Woody'ego. Znamię pulsowało teraz z furją.

- Wpakowałaś się w kłopoty, prawda?

Ponieważ Rachel nie odpowiedziała, zakonnica przeżegnała się i chwyciła ją za głowę. Kiedy dziewczyna uniosła wzrok, zobaczyła twarz Madonny, pogrążoną w żalu, wymizerowaną i tak smutną, że niemal chciała pocieszyć zakonnice, zapewnić ją, że wszystko jest w porządku, krew popłynie. Spalony cedr może sprawić, że krew chlusta z człowieka potokami. Pyłek jednego z rosnących dziko ziół wywołuje skurcze. Jej krew może popłynąć każdego dnia.

- To jakiś robotnik? - zapytała z nadzieją w głosie siostra Marie i westchnęła.

Rachel pokręciła przecząco głową.

- W takim razie pewnie ktoś z obsługi?

Ich spojrzenia się spotkały. Siostra Marie pierwsza odwróciła wzrok. Zabębniła palcami po blacie biurka, ułożyła równo ołówki, przyjrzała się dokładnie potarganym warkoczom Rachel, jej posiniaczonym kolanom.

Potrząsając głową, zakonnica zakryła usta kciukiem. Ponosiła odpowiedzialność za tę dziewczynę od jej czternastego roku życia. Zaciśnęła usta w cienką kreskę.

- Postąpisz w taki oto sposób.

Nie po raz pierwszy udzielała instrukcji dotyczących pokuty. Rachel ma odmawiać nowenny, palić świece, modlić się do świętych. Zostanie w klasztorze, pójdzie do szkoły. Na wiosnę, kiedy dowód jej sromoty stanie się bardziej widoczny, odejdzie do miejsca, gdzie umieszcza się podobne dziewczyny.

- To twoja stacja Męki Pańskiej.

Rachel dotknęła językiem ułamanego zęba. Zastanawiała się, czy zakonnica bardziej martwi się o nią, czy też o to, co powiedzą Marchowie. Czy ona, Rachel, będzie miała okazję porozmawiania z Woodym? Czy będzie mogła do niego napisać? Nie miała adresu, ale wystarczyłoby jedynie wymknąć się stąd, pobiec drogą, minąć pirs i bramę, i znaleźć się w opustoszałym domu, zamkniętym na wszystkie spusty, bo przecież wszędzie można się dostać. Były tam szuflady pełne listów, kartki ładnego papieru.

- Nie wolno ci z nikim o tym rozmawiać - odezwała się siostra Marie, jakby czytała jej w myślach.

Rachel dotknęła swego brzucha, z trudem wyczuwała nikłe, ostre wybrzuszenie czegoś rosnącego. Przez chwilę wyobraziła sobie dziecko, jednonogie jak jego ojciec, ale obraz szybko się zamazał i zmienił w jakąś pełną blizn twarz, która wlepiła w nią oczy.

- Wszyscy popełniamy grzechy, Rachel - powiedziała siostra Marie niemal współczująco. - Nosimy w sobie ich odór.

Powoli nadchodziła jesień. Rachel patrzyła, jak drzewa na podwórzu I racą zieleń i nagle zmieniają barwę na jaskrawo czerwoną. Rozłożyła szeroko ramiona i oparła je o płot.

Trawa zbladła i nabrała koloru słomy, zeschłe szczątki roślin



gromadziły się w ściekach, skąd je usuwano i gromadzono w ster-  
tach. Wszędzie unosił się zapach palonych liści. Oczami wyobraźni  
Rachel widziała lasy, bory ze swego dzieciństwa, ogniska pod gołym  
niebem, gdzie palono brzożową korę, popiół. Słońce stało coraz  
niżej nad podwórzem, cienie drżały, bladły, znikwały. Zawołało ją  
jakieś dziecko, potem krzyknęła siostra Marie, ale warkocze Rachel  
zdawały się zapuszczać w ziemię korzenie.

Tej nocy z jej ust nie padły słowa świadczące o oddaniu Świętej  
Dziewicy. Ze śladami drutu kolczastego na dłoniach i rozplecionymi  
warkoczami modliła się do wielkiego boga Giczi-Manitu, myśliwego  
Nanabożu i cicho przeklinała Marchów. Nie mogła spać, przegła-  
dała prezenty od Woody'ego, dotykała z czułością każdej muszelki,  
każdego kamyka, każdego szkiełka.

Dni stawały się coraz krótsze, aż w końcu ściemniało się już  
przed obiadem. Mrok był maską. Pewnego wieczoru Rachel  
narzuciła na ramiona stary płaszcz, подарowany przez dobrych  
ludzi, i uciekła pod kopułę z gwiazd. Liście tłumiły jej kroki, kiedy  
ukryta w cieniu przemykała pod drzewami i niewidoczna mijała  
bramy rezydencji w Beck's Point. Dotarła do domu Marchów i z roz-  
puszczonymi włosami, niczym narzeczona wbiegła po schodach  
pokrytych zeschniętymi liśćmi.

Wszystkie drzwi i okna okazały się zamknięte na sześć spustów.  
Trzymając się poręczy, która stała się jej przewodniczką, potykając się,  
Rachel zeszała na dół i przy pustym stawie znalazła kamień. Wróciła  
z nim pod frontowe drzwi z cienkimi i kruchymi szybkami, opraw-  
nymi w ołów. Brzęk tłuczonego szkła był ostry i przeraźliwy. Pomyślała  
pewnie, że to szop. To szop zbił gdzieś szybę.

Dom się zmienił. Wszędzie. Wpadające tu światło było ponure,  
meble zakryte pokrowcami, pokoje jakby zasuszone. W wazonach  
brakowało kwiatów, z kuchni nie dochodziły żadne przyjemne za-  
pachy. Puste rury kanalizacyjne i łazienki wydzielały stęchły odór,  
umywalki pokryły się plamami rdzy, czaiło się w nich zło. Kulki na  
mole. Trutka na szczury.

Poszła do pokoju Woody'ego. Tam powinien być adres - a jeśli  
nie, to w sypialni pani March. Nieposłane łóżka wydały się jej mniej-  
sze, niż pamiętała. Światło było tu szare i sterylne. Na podłodze  
widziała plamy po czymś, co tu rozlano. Na półkach niby żołnierze  
w równych szeregach stały dziecięce książki.

Rachel wysunęła szufladę w biurku, ale znalazła tam jedynie karty pocztowe i ołówki, znaczki i nóż do papieru. Namacała plik kopert zaadresowanych do pani March, nadanych z St. Louis. Wyciągnęła je i usiadła na łóżku. Zimny wiatr tłukł w okna. Rachel rozkładała kartki drżącymi rękami. Charakter pisma należał do osoby rzutkiej i pewnej siebie. Jakie piękne pismo! Opisy pogody i przyjaciół, wyznania miłości, słowa troski, zapewnienia o lojalności wwiercały się jej w uszy jak języki. Przesuwała palcami po słowach takich jak „kochanie, byłam głupia”, po podpisie panny Elizabeth. Papier był łamliwy i gładki niczym brzoza kora. Rachel miała ochotę podrzeć te listy, zgnieść je w kulę, spalić. Jakże były piękne, te listy. Żałowała, że to nie ona je napisała.

Śnieg zaczął padać wcześniej i obficie. Płatki wirowały i gromadziły się w kątach podwórza, przylepiały do martwych przedmiotów, szybowwały na krzaki. Rachel znalazła adres Marchów w książce w pokoju Woody'ego, nabazgrany dziecięcą rączką. Na ulicy o takiej nazwie - Buckingham - powinien mieszkać książę. Miasto nazywało się Ladue, a nie St. Louis. Rachel napisała jeden list, potem drugi, informowała go o prezencie, jaki jej podarował. Pisała, że choć wyjechał, mimo wszystko coś jednak jej zostawił. "Kochany" - kreśliła litery, jakby uczyła się tego słowa. „Kochany, próbowałam to przerwać, ale pyłki ziół ani spalona kora cedru nie zadziałyły”.

Przekupiła jedną z dziewcząt, żeby nadała za nią list, a potem czekała na odpowiedź. Dni. Tygodnie. Może adres był zły. Kiedy nastał grudzień, Rachel przestała wypatrywać zakonnic, która przywoziła pocztę w czasie lunchu. Pochylała się nad talerzem, jakby ukradkiem pilnowała swojej porcji, a kiedy ktoś się do niej odezwał, rzucała widelec i jadła palcami.

Jezioro zamarzało metr po metrze, pobłyskiwało niby mika i w końcu pokryło się grubą warstwą lodu, twardą jak kamień. Przybrało zimową barwę, bladoniebieską w miejscach, gdzie lód pękł i zamarzł ponownie. Horyzont zlewał się z niebem. Rachel nie była w stanie dojrzeć lodowych kanionów ani jaśniejących szafasów, w których rybacy spędzali noc. Wyobrażała sobie głębokie miejsce, gdzie mogłaby pływać, ale tam także powierzchnię skuwał lód.

Nocami, kiedy widziadła zakłócały jej sen, leżała zwinięta z kolanami przyciśniętymi do piersi, z ramionami wyciągniętymi nad głową, jak dziecko. Śniła o koszach - wyplecionych z sewii i kory brzozy, z wzorami układającymi się w pierzaste lotki. Kwiaty. Chmury. Rozpostarte skrzydła orła. Kiedy się budziła, wiedziała, że coś stworzyła, że jej kości, ciało, tkanki są naczyniem. Słyszała nagle echo bicia własnego serca, a jej dziewczęcy brzuch nabrzmiwał.

Luty. Na poboczach drogi leżały pryzmy śniegu, wysokie do połowy pni drzew, tłumiące pieśń sikorek, zdające się mówić, że wiosna nigdy nie nadejdzie. Huśtawkę na placu zabaw zasypało powyżej krzeselka, figura Matki Boskiej niemal zniknęła, jednak nie było tak odcięte od świata jak niewidoczne dla Rachel domy letniskowe, wewnątrz pokryte liśćmi, przesłonięte warstwą śniegu cienką jak pajęczyna.

Resztki snu opuściły Rachel, gdy rozległ się stukot butów zakonnicy w korytarzu. Dziewczyna usiadła, twarz miała poodgniataną, włosy ciepłe i potargane. Nocna koszula luźno zwisała wokół jej pęczniejącej talii. Później będzie się zachwycała ciemną linią biegnącą w górę brzucha, tym, że jej bujne loki stały się jeszcze bujniejsze i bardziej poskręcane.

Włosy siostry Marie były gładko zaczesane i schowane pod kornetem.

- Tutaj jesteś.

Niewiele rzeczy miała do pakowania. Nic już na nią nie pasowało. Szybko wsunęła do torby pudełko z muszelkami i kamieniami. Na betonowym podeście poślizgnęła się na brązowej plamie lodu, poprawiła palto z wyliniałym kołnierzem z lisiego futra i powiedziała: „Dzień dobry”, kiedy zakonnica przedstawiała ją dwóm kobietom, których nazwisk nie dosłyszała.

Ojciec Tom położył jej rękę na ramieniu, a potem pogładził warkocz.

- Jesteśmy bardzo dumni z naszej małej Rachel - powiedziała.

Rachel spuściła wzrok, gdy siostra Marie dotknęła jej drugiego ramienia i przycisnęła usta do jej ucha. Rachel spodziewała się ostatnich rad, jakichś upomnień. Ale ostatnie słowa zakonnicy, pośpiesznie wyszeptane, zmroziły ją równie mocno jak zima skuła jezioro.

- Zapomnij o nim. Jest już żonaty.

Schodząc z pierwszego stopnia, byłaby spadła. Jedna z kobiet chwyciła ją za ramię. Rachel nie obejrzała się na siostrę Marie ani na księdza. Odjeżdżali, a ona po raz pierwszy zobaczyła całe miasteczko tonące w bieli i port, który także stał się śnieżnym polem - zamrożoną wodą, po której mogłaby przejść do miejsca, gdzie zimą nikt nie mieszkał.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Śnieg jak okiem sięgnąć. Zakrywał całe połacie ziemi, gdzie latem rosły osty i kukurydza, pola, przez które mogłaby biec, jakby znowu była dzieckiem, padającym w śnieg i robiącym orzełki. Sople lodu, ostre jak kły, zwisały z okapów. Z okien niewielkiego domu Rachel patrzyła na śnieżną przestrzeń, poprzecinaną jedynie bladymi liniami drzew. Śnieg przynosiły zamiecie i zawieje, pokrywały nim drogi i ścieżki. Codziennie któraś z kobiet wkładała palto i wychodziła z szuflą.

Obie kobiety okazały się całkiem miłe. Rachel zastanawiała się, czy może im ufać. Nie mówiły zbyt wiele, za co była im wdzięczna. Nie pytały bez przerwy, jak się czuje i czy potrzebuje więcej mięsa, czy dziecko kopie i jak mu da na imię, kiedy przyjdzie na świat. Odbiorą poród, przyjmą bezimienne dziecko, przetną mu pępowinę, obmyją z krwi czoło, będą mu dawać klapsy, aż zaczną płakać, podczas gdy Rachel będzie leżała pusta w środku i wyczerpana.

Nazywały się Ada i Bliss.

Poczyniły przygotowania. Rachel mogła domyślić się tego z ich rozmów, choć nie zadawała żadnych pytań, nic im nie mówiła i w ogóle się nie odzywała. Słowa stały się w jej ustach kamieniami. Obierała ziemniaki, kiedy kobiety jej kazały, siedziała z nimi przy stole, odwracała wzrok, gdy uśmiechały się szczerze i tak współczująco, że żołądek wywracał się jej na drugą stronę, kiedy usiłowały pozyskać jej sympatię rozmowami o uprawie roli i żrebieniu się kłaczy, niewinnymi żartami o zakonnicach, uwagami o tym, że dopisało jej szczęście, bo ktoś się nią zainteresował. *Zainteresował!* Że Rachel została przysłana tutaj, a nie do jednego z zakładów, gdzie przebywały takie dziewczyny jak ona - z wielkimi

brzuchami, niechciane, całe dziesiątki dziewcząt, które zaufały chłopcom.

„Zapomnij o nim. Jest już żonaty”.

Co jej się roiło w głowie, kiedy leżała na plaży z mężczyzną, który zasypywał ją kamykami, muszelkami i piaskiem?

Teraz siedziała niemal jak więźniarka na farmie pośrodku głuszy z dwiema kobietami, które spały w jednym łóżku. Nie było to duże gospodarstwo, ale jak Bliss powiedziała Rachel, należało do jej rodziny od osiemdziesięciu lat.

- Osadnicy - wyjaśniła i wstała, by napalić pod kuchnią. Trochę kulała, może z powodu jakiegoś dawnego zranienia, może przez artretyzm. Ada bez przerwy jej nadskakiwała, zmuszała do zażywania leków, wcierała maść w kostkę przed pójściem spać.

Rachel, która postanowiła milczeć, nie odezwała się. Osadnicy, dobre sobie. Może należałoby spytać przede wszystkim, czyją ziemię zagrabili? Od dziecka słyszała opowieści o tym, jak rząd oszukał Indian. To, co zrobili, można było określić właśnie tym słowem: osadnictwo.

- Pierwsze pokolenie Polaczków - dodała Ada z miną osoby dobrze poinformowanej.

- Nie byli gorsi od obdartych Irlandczyków - odpowiedziała Bliss z ogniem w oczach, ale też z naiwną czułością. Odwróciła się do Rachel i mówiła dalej: - Zobaczysz, jak tu jest latem. Do tego czasu nastąpi już rozwiązanie, ale, na Boga, pola pięknie wtedy wyglądają. Kukurydza i lucerna. Owce na pastwiskach.

Bliss była wielka jak dąb. Polskie ręce, polski kark i uśmiech, który - gdyby Rachel mu zaufała - ogrzałyby izbę.

Ada z kolei była typową Irlandką, silną mimo drobnej budowy.

- Wywodzę się z Killarney - powiedziała, dodając z porozumiewawczym mrugnięciem oka, że przestała być katoliczką, ale nie trzeba o tym mówić zakonnicom. Omal nie zmusiło to Rachel do uśmiechu, ale stłumiła wesołość i zagryzła usta. - Poza tym - odezwała się Ada, wskazując głową brzuch Rachel - z akuszerstwa można wyżyć, a i samo zajęcie jest dobre. - Zwierzyła się, że niewiele brakowało, by straciły farmę w latach trzydziestych, ale udało im się związać jakoś koniec z końcem dzięki sprzedawaniu samogonu miejscowemu aptekarzowi, który rozprawdzał go jako lekarstwo na kaszel.

- Tak było, aż Ada dostała chronicznego kaszlu i sama zaczęła wszystko wypijać - wtrąciła Bliss, wycierając ręce w fartuch.

- Jak to Irlandka - wyszeptała Ada do Rachel i znowu puściła do niej oko, a dziewczyna wbrew sobie uśmiechnęła się.

Pokój, który udostępniły jej kobiety, był zagospodarowaną częścią strychu. Słysząc tam było odgłosy dochodzące z kuchni - napełnianie czajnika wodą, stawianie na fajerce ciężkiej patelni. Ranki teraz zaczynały się wcześniej. W półmroku Rachel wstawała powoli. Czuła zapach bekonu. Niemal jęczała z głodu. Dziecko w brzuchu stało się całkiem duże, wyczuwała jego stópki i brzuszek, ocierające się o jej zebra. Chciała je karmić, otoczyć miłością, jedzeniem, powietrzem. Wzięto ją w posiadanie - dziecko, którego wcześniej usiłowała się pozbyć za pomocą korzeni i ziół. Ich wnętrzości się splotły. Pogładziła dłońią żołądek i wyszeptała jedyne słowa, jakie teraz mówiła.

Schodząc na dół, usłyszała rozmowę kobiet. Przystanęła przy drzwiach i nastawiła uszu.

- Myślisz, że będzie się stawiała?

- Nigdy nic nie mówi, a poza tym nie ma własnej rodziny - odpowiedziała Ada.

Stacja Męki Pańskiej, tak ujęła to siostra Marie, a Rachel, która próbowała poskładać w całość elementy łamigłówek, zastanawiała się, kto za to płaci i z jakiego powodu. Brzęknął garnek. Dziecko w jej brzuchu rzucało się jak ryba.

- Mówią, że jakaś rodzina z Grayling je weźmie.

Cisza. A potem głos Ady:

- Nie wydaje mi się, żeby znowu zatrudnili ją w t a m t y m domu.

Rachel domknęła drzwi i odeszła na palcach.

W czasie lunchu gładziła palcami chleb. Zakukała zegarowa kukułka, a na ten sygnał figurki chłopca i dziewczynki zaczęły wirować wokół siebie, by zniknąć po chwili za dwójgiem oddzielnych drzwiczek. Kobiety wydawały się zaprzątnięte krową, która nie chciała jeść, zastanawiały się, czy to z powodu siana.

- Żadne inne zwierzę nie rozchorowało się od siana - powiedziała Ada. Odgarnęła do tyłu krótkie siwe włosy. - Ta krowa po prostu wybrzydza.

- Ja mam rodzinę - odezwała się Rachel, bo nie mogła już tego dłużej znieść.

Bliss zamarła z uniesionym widelcem. Wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

- Ona mówi! - zwołała Ada. - To cud!

- Rachel - zwróciła się do niej Bliss. - Co powiedziałaś?

- Mam ciotkę i wujka - powiedziała Rachel. - Mieszkają nad jeziorem.

- Co to za jezioro? - spytała Ada.

- Należy do człowieka nazwiskiem McCready, ale on zostawił nas w spokoju - mówiła, wpatrując się w talerz. - Kiedyś było to Ke-sze-ki-ki, a teraz większość z nas nazywa je Podkową.

- Aha - powiedziała Ada. Kobiety popatrzyły na siebie.

- Jeśli mi nie wierzycie, mogę wam je opisać - ciągnęła dalej Rachel.

Opowiedziała, że latem jest zielone. Szare jesienią. A teraz z pewnością białe.

- A ta rodzina? - zagadnęła Ada. Oczy zwięziły się jej, kiedy pytała: - Myślisz, że będą cię chcieli?

Rachel zagryzła wargi. Oczywiście, siostra Marie nigdy nie wspomniała o tym Adzie i Bliss. Sama Rachel ledwie pamiętała ciotkę Minnie i wuja Jeddę - zgodnie z tym, co twierdziły zakonnice, nienadających się na jej opiekunów. Nie byli odpowiednimi ludźmi do wychowywania jakiegokolwiek dziewczyny, bo wuj pił, a ciotka odprawiała pogańskie obrzędy.

- Na pewno - odpowiedziała.

Tego popołudnia Rachel narzuciła palto, którego nie mogła już dopiąć, i wsiadła z kobietami do ciężarówki. Posypana solą szosa była czarna i oblodzona. Jechały ponad dwie godziny w kierunku Moss Village, a potem według wskazówek Rachel skręciły na stanową autostradę do Piconning i ruszyły na zachód. Śnieg na poboczach sięgał okien ciężarówki. Wpatrując się w niebo, ciemne od nabrzmiątych śniegiem chmur, Rachel modliła się o jakiś znak.

- Masz w ogóle jakieś pojęcie, dokąd jedziemy? - przerwała ciszę Bliss.



Rachel zaczęła się rozglądać za jakimś charakterystycznym punktem w terenie.

- To jezioro w kształcie litery U - odpowiedziała.

Kobiety ponownie spojrzyły jedna na drugą. Ada westchnęła, jakby miała do czynienia z rozkapryszą krową.

- Jeśli boisz się bólu, Rachel, to coś ci damy.

Rachel nie odpowiedziała. O bólu prawie nie myślała, choć nieraz widziała poród. Dwa razy jej matka czołgała się po podłodze, jej pośladki błyszcząły, wyginała kręgosłup, wypierając dzieci na zewnątrz, pierwsze całe białe, niezdrowo blade, urodzone przedwcześnie. Dwa lata później drugie, przyrodni braciszek Rachel, wysunął wielką głowę spomiędzy maminych nóg. Ciotka Minnie chwyciła go, kiedy wyslizgiwał się na zewnątrz, i wymyła, a matka Rachel położyła się zadyszana. Następnego dnia uwiązała sobie dziecko na piersiach i poszła szukać jego ojca. Zostawiła Rachel z babką, która powiedziała, że tak będzie najlepiej.

- Może nie chodzi o ból - odezwała się Bliss, która zwróciła uwagę na milczenie Rachel.

- Nie wiesz, co się dzieje z indiańskimi sierotami, mała? - powiedziała Ada z bardzo silnym irlandzkim akcentem, jakby chciała wesprzeć swój autorytet głosem przodków.

Rachel ciaśniej otuliła się paltem. Tkwiła między tymi dwiema kobietami.

- To nie jest sierota.

Wychowa to dziecko jak Indianina, dopilnuje, żeby nauczyło się języka, którym sama ledwie władała.

Ada przewróciła oczami i zapatrzyła się w okno, pogwizdywała.

- Pamiętaj o jednym - odezwała się, przerywając na chwilę gwizdanie. - Do klasztoru trafiają szczęściary.

Ponieważ Rachel nie odpowiedziała, Ada zaczęła bębnić palcami po kierownicy. Patrzyła przed siebie.

- Jak dawno temu opuściłaś to miejsce nad Podkową? - zapytała Bliss.

Droga pięła się w górę i opadała. Drzewa zmieniły się w lata biegnące do tyłu. Ada włączyła radio, ale usłyszały jedynie trzaski. A potem poprzez szum dały się słyszeć nikłe takty polki. Rachel zobaczyła przed sobą cedr rozłupany w połowie piorunem.

- Skręć tutaj.

Droga bez nazwy.

Stara stodoła. Rząd dębów. Rachel niewyraźnie je sobie przypominała, pomyliła się i musiały zawrócić. Znalazły polną drogę, której koleiny powinny doprowadzić je nad Podkowę, ale nie było tu teraz kolein, ciężarówka by nie przejechała. Dostrzegły jedynie siady rakiet śnieżnych i jelenich racic.

Ada zawróciła i zaciągnęła ręczny hamulec.

- Chyba będziemy musiały się przejść - powiedziały.

- Słodki Jezu - westchnęła Bliss.

- Nie musicie iść - wymamrotała Rachel. Ale wiedziała, że kobiety nie spuszcza jej z oka. Ktoś zapłacił im za opiekę nad nią, i to całkiem nieźle, jak można było wnosić z tego, co mówiły. No i dobrze, pomyślała, niech się ze mną gramola.

Śnieg sięgał im prawie do kolan. Wydychane powietrze przybierało formę skłębionych chmur, kiedy przedzierały się przez las, w którym Rachel bawiła się miliony lat wcześniej, gdzie przewrócone, pokryte mchem drzewa tworzyły kładki, po których chodziła, sprawdzając swoje wyczucie równowagi, gdzie piaszczysta ziemia wydawała z siebie grzyby, paprocie i biskupie serduszka, każdej wiosny wyrastające spomiędzy korzeni.

Teraz wszystko było białe. Cienka warstwa lodu na śniegu tworzyła kruchą pokrywę. Rachel szła po niej, zataczając się, nogi kostniały jej z zimna. Za nią brnęły w zaspach obie kobiety. Ada przeklinała od czasu do czasu, powtarzała, że to pogoń za cieniem, że pewnie i tak nic tam nie ma. Ależ tam jest wszystko, myślała Rachel, przypominając sobie własne modlitwy. Babka znowu jej pokaże nad jeziorem, jak wypłata się koszyki, ciotka Minnie będzie piekła placki. Stary Jedda będzie zaszywał rakiety śnieżne jelitami jelenia i śpiewał przy tym zawodzącym głosem.

Ale plaża okazała się pusta. Chaty i wigwamy - a przynajmniej to, co z nich zostało - stały jak kruche starowinki. Niewykлучzone, że mężczyźni wyruszyli do szałasów nad zatoką Sturgeon i nie odrywają wzroku od przereźbli. Może dzieci siedzą zamknięte w środku albo są na wycieczce do szkolnej świetlicy w Manitobee, niecałe sześć kilometrów stąd.

Trzy chaty - samotne pudła z falistej blachy i papy - rozkraczyły się na granicy plaży. Chata Minnie była pierwsza z brzegu. Z komina unosiła się cienka smużka dymu.

- Ciociu! - zawołała Rachel.

Kobiety przeszedł dreszcz. Ada chuchała w dłonie i biła nimi o siebie, dla rozgrzewki.

- Nieźle powitanie, a niech mnie!

- Ciociu?

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, odsłaniając postać okutą w koc. Widać było tylko twarz, a i tej niewiele. Jednak Rachel wiedziała, że to jej ciotka, kobieta o włosach sztywnych i grubych jak końska grzywa, ta sama, która straszyla ją w dzieciństwie mamrotaniem w niezrozumiałym języku, jedzeniem kamieni i atakami szału.

Ciemne jak węgiel oczy starej kobiety zwięziły się.

- *Ni-ne-czau-nis*. - Wypowiedziała to słowo łamiącym się, zachrypniętym głosem.

Rachel, czując się trochę niezręcznie, rzuciła się ku niej.

- To ja.

Minnie ujęła w dłonie twarz Rachel. Jej oddech pachniał suszonym mięsem, którym pewnie żywiła się od miesiący.

- Jakaś ty wysoka, Szalonowłosa! - powiedziała. - Jaka ładna! - Twarz Minnie była poorana zmarszczkami, tłuste policzki miały starcze plamy. Gładziła Rachel po twarzy, pierśsiach, brzuchu. - A niech to! - dodała w pewnej chwili. - I co teraz?

- Przepraszam bardzo - przerwała im Ada - ale nieźle zmarzłyśmy.

Minnie popatrzyła na nią. Wykrzywiła usta, ale przytrzymała otwarte drzwi. Wnętrze nie zapewniało zbytniego ciepła, ale przynajmniej dawało osłonę od wiatru. U sufitu zwisały skóry, słoma i siano. Wszędzie stały pudełka z kośćmi, zębami, paciorkami, piórkami, dzwonekami.

- Siadajcie - powiedziała Minnie, ale niczego tam nie było poza podłogą. Zdjęła ze ściany jelenie skóry i kazała im się nimi owinąć, bo nie miała drewna, a one pewnie zmarzły na kość. - Ma któraś z was coś do palenia? Nie dla mnie, dla Winnay. - Odwróciła głowę i spojrzała w pusty kąt.

- Ciociu - odezwała się Rachel. - Wiesz przecież, że babcia nie żyje od lat.

- Wiem. Myślisz, że o tym nie wiem? - Pochyliła się ku Bliss

i Adzie. - Babka tej dziewczyny była moją siostrą, Winnay. Starszą ode mnie. Dlatego... - pociągnęła Rachel za warkocz - ...jesteśmy spokrewnione.

- Rachel chce tu wrócić, proszę pani - przerwała jej Bliss.

- A kim wy jesteście? - zapytała Minnie.

- Nie jesteśmy zakonnice, jeśli o to pani chodzi - odezwała się Ada.

- Może nam pani wierzyć. - Bliss wyjaśniła, że są akuszerkami. - Czasem zakonnice przysyłają nam dziewczynę.

- Jeśli jest wyjątkowa. Jak Rachel - dodała Ada.

- Wyjątkowa? - Minnie pociągnęła nos. - O, na pewno jest jedyna w swoim rodzaju. Trzeba ją było widzieć, kiedy umarła jej babka. Ledwie dało się ją odciągnąć, zanim robaki zabrały się do dzieła. A uparta! Mogłabym niejedno o niej opowiedzieć. Ta dziewczyna... możecie sobie mówić, że jest wyjątkowa, jeśli macie na to ochotę.

- To zupełnie nieważne - odezwała się Ada.

- Gdzie są wszyscy, ciociu? - włączyła się do rozmowy zniecierpliwiona Rachel.

- Rozejrzyj się - odpowiedziała ciotka.

Poza nimi nikogo jednak w szopie nie było. Porozrzucane gęsie pióra. Niewykończone koszyki.

- Gdzie jest Jedda? - zapytała Rachel.

- Wyrzuciłam go. - Minnie sięgnęła do kapciucha i wyjęła nadjedzony przez robaki liść tytoniu. Jak wyjaśniła, wcześniej czy później ktoś wygoni stąd całą resztę. Do tej pory sprzyjało im szczęście, ale jeśli Rachel ma trochę oleju w głowie, powinna trzymać się z dala od tego miejsca.

- One są w porządku - powiedziała, wskazując głową na Adę i Bliss. - Idź z nimi. - Wzruszyła ramionami, jakby chciała dodać: „Bo co innego mogę ci radzić?”. Same widziały, jak tu jest.

- Ale moje dziecko!

Minnie wyciągnęła rękę i niby pieszczotliwie uszczypnęła Rachel w policzek, ale w jej oczach była groźba.

- Nie bądź głupia - powiedziała. - Zostań zakonnica, niech ktoś inny wychowa dziecko.

Rachel chciała jej powiedzieć, że nie ma racji. Można byłoby tu żyć. Dlaczego nie? Ale Minnie w jednej sprawie miała słuszość.

Nie było tu niczego poza szkieletami. Nawet duchy uleciały z tego miejsca.

W czasie długiej jazdy do domu padał gęsty śnieg. Ada nuciła pod nosem i zerknęła na Rachel. Przedtem miewały milkiwe dziewczyny i takie, które potrafiły zagadać człowieka na śmierć. Niektóre rzucały się wieczorem na łóżko i szlochały całą noc. Inne uciekały albo zabierali je rumiani chłopcy, którzy zaraz po wyjściu z wojska namyślili się i zmienili zdanie. Jedna najadła się detergentu - choć nie chciała sobie nic zrobić - po prostu próbowała, jak smakuje. Były przegrane i to wszystko.

- W końcu zawsze to jakaś rodzina - przerwała ciszę Ada.

Rachel wpatrywała się w szybę, jakby to była mapa świata. Płatki śniegu tańczyły hipnotycznie w smugach światła reflektorów. Westchnęła.

- Wyrzuć to z siebie - poradziła Ada.

- A rodzina z Grayling?

- Kto ci o tym powiedział? - zapytała Bliss.

- Jest katolicka?

- Na Boga, tak! - odpowiedziała Ada, skręcając na autostradę. - To jeden z warunków.

- Czy to Indianie?

- Po co te wszystkie pytania... - Bliss westchnęła. - Kochanie, rzadko która z naszych dziewcząt chce zatrzymać dziecko.

Oczy Rachel napełniły się łzami. Nie chciała płakać, ale głos Bliss brzmiał tak ciepło. Dom, który widziała teraz przed sobą, wydał się jej niemal przyjazny.

- Chcę dać jej na imię Winnay - powiedziała Rachel. - Oczywiście jeśli to będzie dziewczynka.

- A gdyby był chłopiec? - spytała Bliss i chwyciła za klamkę, żeby otworzyć drzwi.

Ada gwałtownie zahamowała.

- Przestańcie się zajmować imionami - powiedziała. - Wszystko fiksuje, jak tylko zaczniesz się przedwcześnie nadawać imiona.

Świtało, kiedy Rachel poczuła skurcz, jeszcze niewyraźny, jak jasność zimowego słońca. Przez całe dni wymykała się ze swego ciała, bo nie mogła znaleźć w nim miejsca dla dwojga. Jej dusza wydawała się unosić w przestrzeni do bezpiecznego zakątka pełnego marzeń i zmarłych babek. Wyczulonymi palcami pomacała się po brzuchu i natrafiła na twardy punkt, znajdujący się teraz niżej niż przedtem, ale zgodnie z tym, co mówiła Ada, nadal w niewłaściwej pozycji. Skupiała wolę, by się obrócić, ale w odpowiedzi czuła jedynie skurcze otwierającego się łona.

Dzwonienie w uszach zaczęło rankiem przypominać zawodzenie pieśni, dudnienie bębnow. Szepcząc słowa otuchy, Ada i Bliss uniosły Rachel koszulę nocną, żeby sprawdzić, w jakim jest stanie.

- Nie zostało wiele czasu - orzekła Ada.

Szarpana ostrym bólem, który rzucił ją na kolana, Rachel usiłowała postępować jak jej matka, chodzić na czworakach niby pies, ale nie była w stanie się ruszyć.

- Spróbuję sięgnąć do środka - powiedziała Ada, patrząc jej w twarz.

Kiedy dłoń Ady wciskała się jej między nogi, Rachel płakała i krzyczała do babki i ciotki Minnie, a nawet własnej rodzicielki, przyzywała je, aż usłyszała ich szept: „Oddaj się bólowi”, radziły. „Nazwij go kochankiem”. Kiedy wody odeszły, płynąc niczym fale jeziora, morza i potoki łez, pomyślała o Woodym. Starła się przypomnieć sobie jego zapach, dotyk, smak, przyjmowała ból tak, jak wpuszczała Woody'ego w siebie, skąpana w promieniach księżyca na brzegu jeziora.

Ada założyła stetoskop i skupiła się, by usłyszeć bicie serca.

- Dam ci coś na złagodzenie bólu.

„Jestem skałą”, powtarzała Rachel w myślach.

- Niech to cholera! - wydyszała Ada. Spojrzała na Bliss, która skinęła głową i zmoczyła ścierkę. Ada pochyliła się nad Rachel. - Musisz przeć.

Bliss zakryła jej usta dłonią, ale Rachel obróciła głowę. Uniosła się na łokciach, kiedy podciągnęły jej nogi do góry. Drżała gwałtownie, ledwie do niej docierały krzyki Ady:

- Przyj! Przyj!

Zagryzając zęby, Rachel parła mimo cierpienia, wiedząc, że dzięki temu się otworzy.

- Jeszcze!

Dziecko nie wychodziło. Wyczerpana bólem, usiłowała powiedzieć: „Nie mogę”, ale parcie pochłaniało ją całą, kołysało nią. Pokój pociemniał i zafalował. Krzyk, rozdzierający ból. Rachel wygięła kręgosłup w łuk, Ada uniosła do góry coś ciemnego, co wyszło z jej wnętrza. Pępowina związała się jak wąż wokół pokrytej meszkiem główki. Rachel sięgnęła do niej dłonią, spodziewając się, że usłyszy płacz.

Cisza.

Niezdolna do najmniejszego ruchu, Rachel poczuła, że coś wilgotnego ścieka jej po nogach.

- Słodki Jezu! - powiedziała Ada, wpatrując się w nieruchome ciało, które trzymała na rękach, niebieskie jak jezioro wieczorem.

Rachel wyglądała przez okno swojej sypialni, kiedy przyjechała siostra Marie. Patrzyła na pola, gdzie gawrony grzebały w ziemi w poszukiwaniu ziarna. Usłyszała trzaśnięcie drzwi z siatką, kroki Ady na werandzie.

Odwilż napełniła rynny. Przez całe dni Rachel wsłuchiwała się w kapiącą z nich wodę, jej własne ciało także skapywało, mlekiem z piersi, łzami z oczu i potem, który ściekał z niej nocą. Nikt jej nic nie powiedział. Nie usłyszała słowa o krwi, która płynęła bezustannie. Ani o pustce niemającej końca.

Słyszała, jak kobiety rozmawiają przed domem, pretensje zakonniczy, że bezskutecznie dzwoni od wielu dni. Dlaczego nikt nie odbierał telefonu?

- Dziecko urodziło się martwe, siostrzo.

Strużka mleka spłynęła po piersi Rachel. Oparła czoło o szybę okna.

- A dziewczyna?

- Powiedziała, że ma osiemnaście lat.

Siostra Marie coś wymamrotała.

- To nieważne - kontynuowała Ada. - Nie ma jej, i to wszystko.

Przyjechała ciężarówka i ją zabrała.

Zapadła cisza przerywana jedynie kapaniem wody z rynny.

- Może to błogosławieństwo - odezwała się w końcu siostra Marie.

- Ale chyba jakieś dziwne - powiedziała Ada. Rachel łatwo wyobraziła sobie jej zaciętą, drobną twarz, jakby stworzoną do pokera albo do wpatrywania się w dziewczęta, kiedy im mówiła, co mają robić. Taka twarz potrafi przybierać coraz to nowy wyraz, umożliwiała plany, zmienna jak chorągiewka na wietrze - nie taka, jak oblicze Bliss, ale mądra i przebiegła. Jak wtedy, gdy spojrzała na Rachel, kiedy oddechem wróciły życie jej synkowi, i powiedziała: „A teraz zrobisz tak a tak”.

Rachel, trzymając dziecko przy piersi, powąchała jego ciepłą, ciemną główkę. Jeszcze nie wybrała dla niego imienia. Narodził się jak jezioro. Głodny, stawał się uparty jak fale.

- Ciii - powiedziała, odchodząc od okna. Rozpięta bluzkę. Mleko spływało swobodnie po jej nabrzmiętym ciągłym brzuchu. „Możesz tu zostać”, powiedziały jej kobiety. „Przyda się ktoś do pomocy”.

Zamiast warkocze miała teraz krótkie, rozpuszczone włosy. Sama je obcięła i schowała do pudełka z prezentami od Woody'ego. Chwytał ją za nie, wdychał ich zapach, całował je. Po co byłyby jej teraz warkocze?

Pochyliła się do przodu. Buzia dziecka otworzyła się jak dziób pisklęcia i zamknęła energicznie na sutku. Rachel aż zadrżała od nagłego uszczypnięcia, niemal się roześmiała na widok małej rączki, przyciśniętej do jej piersi. Siostra Marie wsiadała do samochodu, odwróciła się i zaczęła coś mówić do zakonnicy siedzącej przy kierownicy. Czy uwierzyły Adzie? Czy nadal będą przysyłały tu dziewczęta? Przez chwilę Rachel miała ochotę zbiec na dół i powiedzieć im, że Woody March ma syna. Ale Woody przepadł, ożenił się, a furgonetka zakonnicy opuściła już podjazd i zniknęła.



# **Część druga**

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

1956

Lata. Lata mijały. Kartki opadały z kalendarza jak płatki śniegu, jak liście, jak parasolki dmuchawca. Jesienie krzepły w zimy, zimy rozpływały się w wiosny. Na łąkach ruta ustępowała miejsca jastrzębcowi, jastrzębiec tawule, potem trawy brązowiaki, schły i wszystko pokrywał śnieg.

- Możesz zostać tu tymczasem - powiedziała Bliss do Rachel po narodzinach dziecka.

- Ale trzymaj malucha z dala od obcych oczu - dodała Ada.

Rachel rąbała drewno, unosiła siekiere i opuszczała ją. Kobiety nigdy nie kazały jej odejść. Nadeszły pierwsze żniwa. Potem następne. Rachel nauczyła się sięgać ręką w głąb kobiecego ciała, wyczuwać szerokość rozwarcia, twardą bryłę główki. Trzymała dziewczęta za łokcie, gdy parły i przewracały oczami jak zwierzęta przerażone burzą. Kiedy było trzeba, powtarzała im „Ciii, ciii” i „A niech to!”, gdy któraś zaczynała tracić przytomność.

W letnie wieczory siadywała na werandzie z Bliss i Adą, słuchała historii o dziewczynie, która niemal się wykrwawiła, o dziecku, które urodziło się z nieufornym bliźniakiem. Opowiadały jej, jak jedna z dziewczyn najadła się detergentu. „Po co ci to było?” pytały ją. „Detergent i kamienie”. Rachel nie umiała im jednak wyjaśnić, skąd bierze się podobne łaknienie. Od kiedy pamiętała, większość ludzi z jej plemienia ssała kamienie. Było to wywołane czymś potężniejszym niż głód. Rozpacz, która kazała wchłaniać w siebie ziemię.

- Niedobór minerałów - powiedziała kiedyś Ada, kładąc tym samym kres dyskusji na ten temat.

Trzy kobiety obserwowały, jak niemowlę Rachel rośnie, zaczyna

raczkować, zmienia się w małego chłopca, którego wszystko ciekawi, który udaje samolot, goniąc kury po podwórzu. Ręce Rachel stwardniały od pracy na roli - dziewięć lat z Adą i Bliss, dziewięć wiosen - z tą włącznie - uprawiania pól, sadzenia roślin, rąbania drewnianych bali i pomagania dziewczynom przy porodach.

Chociaż zima 1956 roku była ponura i nieustępliwa, zaczęła się całkiem łagodnie. Do Bożego Narodzenia spadło niewiele śniegu, przyprószyło jedynie wyschniętą trawę. W styczniu nadciągnęły znan Kanady trzy burze, jedna po drugiej, zakryły wszystko trzy-metrową warstwą i skuły jezioro na północ od zatoki. Pękały rury. Koty zamarzały na śmierć. Pięć samochodów zderzyło się na południe od Onoway, w tym autobus szkółki niedzielnej, jedna osoba zginęła. Widziano potem Marię Dziewicę z tyłu pługu śnieżnego, kierującego się na północ szosą Grangeville.

Mściwa wiosna nadeszła z odsieczą, zatapiając połowę pól. Ada powtarzała, że potrafi przewidzieć liczbę narodzin na podstawie zmian pogody. Od marca podniósł się poziom jeziora, które pochłonęło plaże, zatopiło przystanie. Słoneczne ranki kończyły się południowymi opadami gradu. Chłopak jednej z dziewczyn, mających urodzić u Ady i Bliss, niemal utonął niedaleko Sturgeon, kiedy łódź się załamał, a jego sztafas zaczął dryfować. Człogał się z kry na krę, aż dotarł jakoś do brzegu. Dziewczyna powiedziała: „Żeby tylko teraz chciał się ze mną ożenić”.

Jednak goszczące u nich dziewczyny rzadko wychodziły za mąż. Większość oddawała dzieci. Niektóre tylko zatrzymywały je przy sobie i nie chciały porzucić. Dziewczyny, które wracały do domu bez nieślubnego balastu i zaczynały życie na nowo, wydawały się puste, zawstyżone. Rachel zastanawiała się, jak mogła to wytrzymać - czuć rosnące w sobie życie, jego drżenie i kopanie, cierpieć przy porodzie, by potem zjawiła się jakaś rodzina i nazywała to dziecko swoim.

Były też takie, które wracały. Od ich upartej głupiej nadziei robiło się Rachel niedobrze. Powtórki - tak nazywała je Ada. Te dziewczyny nigdy niczego się nie nauczyły.

Nie ja, pomyślała Rachel, przysięgając sobie, że nie dotknie jej już żaden mężczyzna. Uniosła siekierę, rozłupała polano. Tego roku porody nie będą łatwe.

Był kwiecień, podmokłe pola zmieniły się w moczary. Jeszcze

cztery naręcza polan z dębu, który ścięły poprzedniego lata. Po drugiej stronie pastwiska zieleniły się drzewa, a wiatr niósł ze sobą lekki zapach dzikich porów. Z szopy Rachel widziała swojego malca, syjącego kurom ziarno, wołającego: „Cip-cip-cip”, tak samo jak wtedy, gdy był jeszcze bardzo mały. Nawet jako dziecko wpatrywał się uważnie we wszystko. Miał niebieskie oczy o skupionym wyrazie - szczeniaczek, który uciekł z jej ramion, w chwili kiedy nauczył się chodzić, i pobiegł do największego koguta, gdacząc przy tym głośno.

„Jak Indianie nazywają bobry?” pytała Ada. „A jak mówią na kolibry?” Ale Rachel nie pamiętała. Szukała w umyśle imion, których brzmienia nie potrafiła sobie przypomnieć. Rwący Potok. Ruchoma Wydma. Ale żadne z nich nie wydawało się odpowiednie. Ostatecznie nazwała go Beniaminem, jak biblijna Rachela, i Synem Mojego Żalu - choć Rachel z Biblii umarła. No i co z tego, ja też umarłam, myślała Rachel, wydając go na świat. Na dowód tego obcięła warkocze.

Umorusana smarem Ada wychyliła się z kabiny traktora i zawołała do Bena:

- Hej, zwinna małpko, podaj mi klucz francuski.

Przez dziewięć lat nie poznał nikogo innego. Widział jedynie matkę i dwie ciotki. Miał skórę koloru miedzi jak Rachel. Ciemne włosy. Ostre rysy. Ale oczy odziedziczył po ojcu.

Rachel patrzyła, jak rzuca kurom resztę ziarna i pędzi pomagać ciotce. Pociągało go wszystko, co wiązało się z mechaniką. Wszystko, co wymagało rozebrania na części i ponownego złożenia. Jak brzmi w języku Odawa określenie złotej rączki?

- Złom - powiedziała Ada, kopiąc traktor.

Rachel odłożyła siekierę i przyglądała się wyblakłej zielonej ciężarówce, która wjechała na podjazd, zwolniła, zahamowała i zaczęła się cofać. Źle się czuła, kiedy obcy ludzie przyjeżdżali na farmę. Któregoś dnia, pomyślała, zakonnice tu wróca.

- Idź do domu - powiedziała do Bena, gdy ciężarówka zakręcała.

Samochód objechał podjazd. Rachel, z polanem w jednym ręku, otarła czoło. Miała na sobie męską koszulę zawiązaną w taliu i dżinsy. Nadal nosiła krótkie włosy, które czesała tylko wtedy, gdy musiała.

Otworzyły się drzwiczki. Wsiadł jakiś mężczyzna. Rachel zauważyła, że to Indianin. Wojskowe spodnie. Fryzura na jeża. Wysoki. O niewyraźnie znajomej twarzy.

- Możemy w czymś pomóc? - zapytała go Bliss.

Mężczyzna oparł się o drzwi ciężarówki i kiwnął głową w stronę Rachel.

- Na tablicy przy drodze jest napisane, że sprzedajecie drewno na opał.

Rachel osłoniła oczy dłonią i patrzyła przez zmrużone powieki. Wpatrywała się w linię jego brwi, w linię przyciętych nad nimi włosów. Nie widziała go od dziesięciu lat, ale pamiętała, jak bardzo się wstydziła, gdy przyjechał sprzedawać drewno i zobaczył ją w kuchni Marchów.

- Honda?

Włosy miał krótkie i szczeciniaste. Miała wrażenie, że ją rozpoznał, ale nie zdradził się z tym w żaden sposób.

- Znasz tego człowieka? - zapytała Ada.

- To Honda Jackson. Jest nad jeziora Podkowa - odpowiedziała Rachel, krzyżując ramiona na piersi. Chciała dorównać butą Hondzie. - Przynajmniej tak się nazywał, kiedy byłem dzieckiem.

- Ach, chodzi o to jezioro! - powiedziała Ada. - Czy nadal ktoś tam mieszka?

- Tak. A ludzie nazywają mnie Honda Jack. - Honda Jack spojrział na Adę z miną człowieka interesu. - Co z drewnem?

- Dziesięć dolarów za wiązkę. - Ada nie spuszczała z niego wzroku.

- Dziesięć dolarów? Za taką cenę nikt go ode mnie nie kupi!

Ada popatrzyła na jego ciężarówkę.

- Dziesięć dolarów to dziesięć dolarów. Nie prowadzimy działalności charytatywnej.

- Może i nie. - Honda Jack zignorował obecność Rachel, spojrział na dom, przyjrzał się polom. - Z tego, co widzę, przydałby się wam ktoś do pomocy.

Ada podrapała się po głowie, sprawiając, że włosy stanęły jej dęba.

- Honda Jack, dobrze słyszałam? - Zagryzła dolną wargę, co robiła zawsze, kiedy się zastanawiała, zupełnie tak samo, jak wiele lat wcześniej, gdy pochyliła się nad Rachel i powiedziała:

„A teraz postąpisz w taki oto sposób”. - Wariackie nazwisko - orzekła w końcu. - Wiesz, jak naprawić gaźnik?

Tego wieczoru Honda w spodniach ubrudzonych smarem podobnie jak Ada zasiadł z nimi do obiadu. Nakładając sobie groszek, cebulę i gruby plaster wieprzowiny na parujący chleb, opowiadał o dorastaniu nad Podkwa, o zdobywaniu środków do życia łowieniem ryb i wycinaniem drzew McCready'ego - dopóki nie zamknięto tartaku - o tym, jak stamtąd odszedł w poszukiwaniu pracy, jak trafił nawet do Korei, gdzie niemal zamarzył na śmierć.

- Jak było w Korei, panie Jacku? - zapytała Bliss.

- Pani się wychowała na tej farmie?

- Mieszkam tu całe życie.

- W takim razie pewnie pani wie, jak to jest, kiedy się marzenie - odpowiedział, żując mięso.

- Do czego pan zmierza? - spytała Ada.

- Próbuję wytłumaczyć, że Michigan to tropiki w porównaniu z Koreą Północną - kontynuował. - „Mroźna Syberia”, ot, co to jest. - Opowiedział, jak wyciągnął z bunkra sześć trupów, nie licząc różnych fragmentów ciał, rozerwanych wybuchem. - Minie wiele czasu, zanim będę mógł spokojnie patrzeć na mięso.

Przez cały obiad Ben nie spuszczał z Hondy oczu. Był taki sam jak wszyscy mężczyźni, którzy tu zagładali. Rzeźnik. Lekarz. Rolnik mieszkający trochę dalej.

- Mowa trawa - odezwał się. - Przecież właśnie je pan kotlet.

Honda Jack rzucił do tyłu głowę i roześmiał się. Rachel zobaczyła złoty ząb, za który prawdopodobnie zapłaciło wojsko. Przesunęła językiem po własnym ukruszonym zębie.

- Opowiedz mi o ciotce Minnie - poprosiła.

- Mogę powiedzieć tylko jedno. - Honda przestał się śmiać. - Cały czas się zastanawia, dlaczego nie wróciłaś.

Ada i Bliss wstały, żeby posprzątać ze stołu.

- Pomóż ciotce - powiedziała Rachel do Bena. Czy mogła wybierać? Mężczyźni poszli na wojnę. Kobiety zajmowały się dziećmi. Teraz miała przynajmniej własne życie, dach nad głową, który nie przeciekał. Meble, nawet jeśli nie należały do niej. Ponownie zwróciła się do Hondy: - Pamiętasz kogoś jeszcze z mojej rodziny?

- Pamiętam twoją babkę - odpowiedział, kiwając głową. - Winay zawsze się mną opiekowała. Kiedy twoja matka odeszła, byłem jeszcze bardzo mały.

- Tak samo jak ja.

- Dlaczego więc nie wrócisz do domu? - zapytał Honda, odchylając się na krześle. Mamy teraz ogród. Kilka przyczep kempingowych. Znowu jest tam niemal wioska.

- Dom? - odezwała się Rachel głosem pełnym niedowierzania. Mimo to nadal przecież czuła zapach ptasich piór, ziemistą woń gliny. Zęby Hondy są na pewno tak samo nadkruszone jak jej od gryzienia kamieni, paznokcie u nóg ma czarne od stania na lodzie w cienkich mokasynach, w oczekiwaniu na srebrzysty błysk, dzięki któremu będą mieli co jeść przez tydzień... trzask palącego się drewna na ognisku, złapana ryba, upieczona i podzielona. - Przecież ta ziemia nawet do was nie należy.

- To miejsce też nie jest twoje. - Honda uniósł dłonie i trzymał je nad głową.

Rachel dostrzegła tatuaż na jego ręku. Zwinięty kawałek liny. A może wąż. Otworzyły się drzwiczki w zegarze z kukułką, chłopiec i dziewczynka wysunęli się, zrobili kilka obrotów i zniknęli.

- Dziwię się tylko, że McCready nie wykarczował całego lasu, żeby sprzedać drewno - powiedziała.

- Myślisz, że go to obchodzi? Ile ma? Dwa tysiące akrów? Po co miałyby zaprzętać sobie nami głowę?

Rachel wstała, żeby posprzątać ze stołu.

- Moim zdaniem przekonasz się jeszcze, że tacy ludzie dobrze się orientują w tym, co mają.

Przez tydzień Honda spał na kanapie i pomagał w gospodarstwie. Ada i Bliss płaciły mu drewnem opałowym, które, jak przypuszczała Rachel, Honda sprzeda po trzykrotnie wyższej cenie, niż one mu proponowały. Nie miało to jednak znaczenia. Trzeba było obsiać czterdzieści akrów ziemi, a z jego pomocą praca trwała dwa razy krócej.

- Pojedziemy kiedyś nad jezioro Hondy, mamó? - zapytał Ben.

- A co wiesz o tym jeziorze?

Ben nie przyjmował do wiadomości słowa „nie”. Chodził za Hondą krok w krok. Indianin opowiadał mu o wodzie tak gład-

kiej i czystej, że pływanie w niej przypominało zanurzanie się w aksamicie. W jeziorze mieszkały duchy. Całe to miejsce pełne było magii.

- Nie jesteś do końca Indianinem - powiedział mu Honda - dopóki nie mieszkasz w takim miejscu.

Ben całymi godzinami leżał na brzuchu na werandzie z kredkami świecowymi, które dostał od Bliss. Malował obrazy przedstawiające wodę i niebo, odtwarzał własne wspomnienia z plaży, gdzie matka i ciotki zabierały go każdego lata. Z kredek zostały ogryzki, oklejające je papierki dawno odpadły. Nadal jednak bawił się nimi, tak samo jak klockami wystruganymi przez Adę z klonowego drewna i bębenkiem, który Rachel zrobiła mu z kozłej skóry. Właściwie były to rupiecie, a nie prawdziwe zabawki, ale Rachel rozumiała jego uwielbienie dla nich, bo ona też kiedyś zbierała podobne rzeczy - kawałki szkła znalezione na plaży, piasek, patyczki wyrzucone na brzeg.

- To piękne - powiedziała, patrząc na niebieską smugę, narysowaną świecową kredką. - Wygląda jak woda.

Każdego dnia Ben jeździł z Hondą na traktorze, siedział obok niego. Rachel patrzyła z werandy, jak mężczyzna pochyla się nad chłopcem i szepce mu sekrety, zmyślane opowieści, kłamstwa. Wszystko, co Rachel trzymała przed chłopcem w tajemnicy. Przodkowie, historie - legendy Aniszinabi.

- Ej - odezwała się pewnego dnia do Hondy. - Po co nabijasz mu głowę bzdurami?

- To czemu zostawiłaś ją pustą?

Spojrzał na nią tak hardo, że odwróciła wzrok. Wiedziała, że zastanawia się, kto jest ojcem chłopca. Niech sobie myśli, że to jakiś obibok, który od niej uciekł, pijaczek, który zwiął w chwili, gdy trafiła mu się flaszka.

Rachel z kolei ciekawiło, czy Honda ma dziewczynę. Rodzinę. Nie spytała jednak, udając, że nic ją to nie obchodzi. Poza tym to nie była jej sprawa. Do niej należała pomoc przy gotowaniu, sprzątanu, rąbaniu drewna i zbieranie dzikich porów w lesie. Niedługo nadejdzie maj, a czerwiec zapowie lato. Trzeba się będzie zająć polami. Do tego czasu traktor na pewno znowu się zepsuje. Hondy jednak już tu nie będzie, a z nim odjedzie ciężarówka pełna wiązek opałowego drewna.



- Nie chcesz, żeby Ben spotkał się z ludźmi z własnego szczepu?

Jego szczep. Przez te wszystkie lata Rachel odwiedziła Moss Village tylko raz. Nie wystarczyło jej odwagi, by pójść do Marchów, ale któregoś dnia zjawi się tam i wbiegnie po frontowych schodach, ciągnąc za rękę ciemnowłosego synka, spyta o panią March i przedstawi jej wnuka. „Modliłaś się o dzieci - powie Rachel. - Słyszałam”.

- Byłeś tam, kiedy umarła moja babcia - odezwała się do Hondy. - Widziałeś wszystko.

- Widziałem płonąca chatę. Nic więcej. I małą dziewczynkę, rozpaczającą po babci.

Czarne oczy Hondy stały się czerwone od słońca, skóra ciemna. Głęboka blizna rozdzielała mu brwi. Na policzkach miał dzioby po ospie. Jego twarz na pewno wyglądałaby lepiej, gdyby zapuścił włosy, pozwolił opaść im na ramiona, tak jak być powinno, przystroił je piórami i tasiemkami naszytymi koralikami, gdyby splótł je w warkocze.

Do tej pory zabieranie Bena nad Podkowę wydawało się jej zbyt ryzykowne. Ktoś mógłby powiedzieć o nim zakonnikom. Poza tym, co takiego zyskała, kiedy tam żyła?

- Kłamiesz - powiedziała.

- Nie. Słyszałem jedynie o tym, co widziałeś. Sam chciałbym to zobaczyć. Ale chyba nie mam odpowiednich oczu, oczu *uabino*. Ty byłaś jedyna.

- *Oczy uabino?* - powtórzyła Rachel, śmiejąc się lekko. Pokręciła głową. - *Oczy szamana, też coś!*

Siedziała na werandzie z obiema kobietami i Hondą. Przed nimi Ben biegał w kółko po trawie, udając ptaka, wiatr lub wartką rzekę - Rachel nie potrafiła tego odgadnąć. Wydawał przy tym świergotliwe dźwięki, a potem zawodził i jęczał, przykucał, fikał koziołki.

- Dziwny dzieciak - odezwał się Honda. - Co on wyprawia?

- Ma po prostu fantazję. - Jako dziecko Rachel sama udawała, że jest ptakiem, rybą, pływała w górę strumienia, szybowała nad drzewami. Kiedy wuj pił, zawsze wyobrażała sobie, że jest głęboko pod wodą.

- Nie różni się od innych chłopców - dodała Bliss.

- Liże kamienie. - Ada pokiwała głową. Spojrzała na Rachel. - Większość matek przyłałoby dzieciom za coś takiego.

Rachel wzruszyła ramionami. Nauczyła syna poznawać subtelny smak kamieni i ziemi. „Ziemia kryje tajemnice. Zawsze zawiedzie cię do domu” powiedziała mu.

- Jestem samolotem! - zawołał Ben. - Jestem kamikadze! - Podskoczył i biegł z rozpostartymi ramionami, zataczając koła i udając warkot silnika. Rzucił się ku werandzie, udał, że się o nią rozbija i staje w płomieniach. Ada i Bliss chichotały na ten widok, ale Rachel się nie śmiała. Siedziała w milczeniu, zastanawiając się, co przywiódło mu na myśl katastrofę samolotu, skoro tutaj widywał jedynie od czasu do czasu samoloty ze śmigłami, lecące z Mackinaw do Beaver.

- Aaaaa! - krzyczał Ben.

Rachel wzdrygnęła się. Powinien się bawić z innymi dziećmi, a nie ciągle popisywać przed nią lub tańczyć z wiatrem. Miał dziewięć lat. Gdyby żył pośród Indian, znałby pieśni i kroki tańców. Ale on sam je wymyślał albo śpiewał z Bilss *Tipperary*.

- Pamiętasz tę starą zakonnice, która przyjeżdżała kiedyś nad jezioro? - zaczął Honda, jakby czytał w jej myślach. - Tę, która miała coś na twarzy?

- Siostra Marie? - włączyła się Ada. - Ależ ona na mnie spojrzała ostatnim razem...

- No więc chyba nie popatrzy tak już na nikogo - wszedł jej w słowo Honda. - Umarła, ot tak. - Pstryknął palcami. - W samym środku spowiedzi.

Rachel przeszedł dreszcz. Przypomniała sobie ręce zakonnicy, odciągające ją od babki. Z czego siostra Marie mogła się spowiadać? Powiedziała Rachel o małżeństwie Woody'ego, a potem odesłała ją na czas porodu. Rachel przeniosła spojrzenie na Hondę.

- Chłopak będzie tancerzem - powiedział mężczyzna, wytrzymując jej wzrok i zmuszając ją do spuszczenia oczu. - Nie ma wątpliwości. - Zwinął kawałek tytoniu w palcach, tak samo jak robiła to babka Rachel. Profil także miał do niej podobny - zdradzający wyniosłość i rozbawienie.

A może powinni wrócić nad jezioro Podkowa, nawet na jeden dzień. Zobaczyć nowe przyczepy, latryny, ogród, którym

przechwalał się Honda. Słońce zachodziło, niebo stawało się pomarańczowe.

- Jak byłam mała - odezwała się Rachel - babcia powtarzała mi, żebym nigdy nie zaufała żadnemu Jacksonowi.

- Wielu ludzi tak uważa. - Honda roześmiał się. Zagwizdał w stronę Bena, dając mu umówiony sygnał. Kiedy chłopiec się zjawił, Honda sięgnął do kieszeni i pochylił się, żeby pokazać mu matowy pieniążek. - Jest japoński - powiedział. - Można to poznać po dziurce w środku.

Ben podniósł monetę do oczu, spojrzął przez dziurkę i oddał ją Hondzie.

- Ta jest koreańska - powiedział Honda, wyciągając następną. - Gównu warta. Można nią jedynie zatkać jakąś dziurę.

- Mogę ją zatrzymać?

Honda spojrzął na Rachel.

- Mam tego znacznie więcej nad jeziorem. Może przyjedziecie, pokazałbym je wam.

Jeziro Podkowa. Stały tam jedynie nędzne chaty. Nie było nic do jedzenia.

- Może przyjedziemy - odpowiedziała Rachel.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Następnego dnia wyruszyli ciężarówką, kierując się autostradą ku zachodowi, mijali akry uprawnej ziemi, sięgające horyzontu niczym morze i tak samo szmaragdowe, z pojawiającymi się od czasu do czasu wypami gubiących liście lasów.

- Siedziałem w dziurze latryny, w gównie - opowiadał Honda. - Większość moich kumpli zginęła, a tu zjawia się Koreańczyk i podchodzi do miejsca, gdzie się schowałem. Pomyślałem, że już po mnie. A potem on po prostu rozpiął spodnie i się wysikał. - Zerknął w bok na Rachel. - Był to jedyny deszcz, jaki nazwałbym największym błogosławieństwem.

Rachel zamknęła oczy. Pomyślała, że jeśli ich nie otworzy, znowu stanie się małą dziewczynką, która jedzie nad jezioro ze starym Jeddą. Wcześniej zajrzeliby do sklepu w Conway i kupili żyłkę, haczyki i whisky. Jedda od razu otworzyłby butelkę zębami, prowadząc ciężarówkę jedną ręką, pokazywałby jej gasienice atakujące przydrożne drzewo, tajemne miejsce, gdzie rosła stewia.

- Czujesz ten zapach? - spytał Honda.

Rachel wciągnęła głęboko powietrze, przesiąknięte aromatem balsy.

- Zbierałem je kiedyś - dodał, kiedy skręcali w polną drogę. - Teraz mam linię produkcyjną z prawdziwego zdarzenia. Saszetki z sosnowymi igłami, mokasyny, małe toporki i co tylko chcesz. Rozumiesz. Towar, jaki kupują turyści.

- Masz modele łódek? - włączył się do rozmowy Ben.

- To turyści jadą tam taki szmat drogi? - zapytała Rachel, otwierając oczy. Poznawała las - brzozy jak z popiołu i cieliste sosny.

Wjeżdżali krętą drogą między wydmami, nazywanymi Śpiącymi Siostrami z powodu ich wspaniałych zaokrągleń.

- Skąd, do licha! - odpowiedział Honda. - To myjeździmy do nich. - Wpadli na wybój. Ben krzyknął, a Rachel chwyciła się ramy okna. - Plan mam taki - Honda mówił dalej. W Moss Village, gdzie bogacze przyjeżdżali na lato, miał zamiar otworzyć niewielki sklep i sprzedawać indiańskie ozdoby. - I inne rzeczy także. Importowałbym je z Japonii.

- Prawdziwe indiańskie wyroby - powiedziała Rachel.

- Myślisz, że potrafią je odróżnić?

Za szybami przesuwały się drzewa. Pachniało sosnową żywicą. Wilgotną ziemią. Jeziorem. Honda zatrzymał samochód i zaciągnął ręczny hamulec. Rachel poczuła w nozdrzach zapach dymu - nieustęplicy dym znad ognisk, który pamiętała z dzieciństwa, niezależnie od tego, czy było coś do ugotowania, czy nie. Dym uspokajał duchy, a poza tym przywodził na myśl posiłek, co było lepsze niż nic.

- *Bo-žu* - wyszeptła Rachel pod nosem, patrząc na przyczepy, ustawione na pogorzelsku.

Gdy była dzieckiem, stała tu wioska złożona z szałasów i obłożonych korą wigwamów. W powietrzu unosił się dym znad ognisk, z oddali dochodziły odgłosy pił ścinających drzewa. Teraz śmierdziało tu rdzewiejącymi puszkami po konserwach i benzyną. Widać było trzy przyczepy - trzy razy więcej, niż widziała poprzednio. Z ganku jednej z nich jakaś kobieta przekomarzała się z dwoma mężczyznami pochylonymi nad otwartą maską samochodu. Kilkoro dzieci bawiło się w berka pomiędzy praniem, trzepoczącym na wietrze. Jedno z nich upadło, wstało i zaczęło płakać. Łzy ciekły do chwili, gdy cała grupka skupiła się wokół niego, roześmiała się i odbiegła. Skąd te dzieci się tu wzięły?

Ben wyskoczył z ciężarówki. Honda gwizdnął. Wszyscy na nich spojrzeli.

- Hej! - zawołał Honda. - Przyjechała Rachel Winnapee.

Zawstydzona Rachel pomachała nieśmiało ręką. Kobiety patrzyły na nią jakby była cudzoziemką. Chciała im powiedzieć, że mieszkała tutaj jako dziecko, a to dawało jej w końcu jakieś przywileje, ale dwanaście lat usunęło na dobre jej ślady z plaży. Rachel usiłowała wygładzić włosy, ale był to daremny wysiłek. Ob-

ciągając bluzkę, ruszyła ścieżką. Jej tenisówki zapadały się w glinę. Na końcu plaży stała chata Minnie. Obok zostało puste miejsce po chacie babki Rachel. Ujęła Bena za rękę, podeszli razem do drzwi Minnie i zapukali.

- Czego? - usłyszeli ze środka.
- To ja! - zwołała Rachel. - Twoja siostrzenica.
- Jaka siostrzenica?
- Twoja jedyna siostrzenica, ciociu. Otwórz.

Drzwi otworzyły się na oścież. Stała w nich Minnie ubrana w męską koszulę i spódnicę drukowaną w żonkile. Słomkowy kapelusz miała nisko zsunięty na czoło. Na piersiach przypięła broszkę z jeleniego rogu.

- A więc wróciłaś na kolanach?
- Nie wracam, a poza tym... - zaczęła Rachel, przyglądając się ubraniu ciotki - ...a m a radziłaś mi nie wracać.

Minnie wyciągnęła papierosa owiniętego w tytoniowy liść i spojrzała na Bena.

- Twój?
- Możemy wejść?

Drzwi zatrzeszczały znajomo. W pokoju unosił się zapach czegoś niestrawionego. Minnie była jak zawsze potężna, ramiona i nogi miała niczym pnie drzewa. Spod kapelusza zwiślał jej koński ogon z siwych włosów. Znowu uważnie przyjrzała się Benowi.

- *Au-nisz aus-uej-bi-sit au-uej?*

Rachel czuła, że Ben przygląda się uważnie dziwnemu ubraniu kobiety i łachom wywieszonym w oknie.

- On nie rozumie.
- Widzę. - Minnie nie była zachwycona. - Czego ty go właściwie uczysz?

Rachel rozejrzała się wkoło, spodziewając się, że zobaczy buty wuja, jego nóż i wędkę.

- Ciągle jeszcze nie przyjęłaś Jeddy z powrotem?
- Przyjęłam, ale potem znowu go wykopałam. - Minnie wskazała głową okno. - Mieszka po drugiej stronie jeziora.

Ben wyjął z pudełka ostry pazur.

- Odłóż to - kazała mu Rachel.
- To pazur rosomaka - wyjaśniła chłopcu Minnie. - Nosi się go w pióropuszu.

Ben nie odrywał oczu od pudeł z piórami i paciorkami, zębami jadowymi węży, futrami, włosiem, muszlami i skórami.

- Mogłabym ci z tego zrobić pióropusz - powiedziała Minnie, wskazując papierosem na pudełka.

Ben dotknął sukienki pokrytej setkami metalowych stożków, które brzęczały niczym grad na blaszanym dachu.

- Słyszysz? - odezwała się Minnie. - *Ken-saj-totwem nau?* To język twoich przodków.

- Och, dajże spokój - powiedziała Rachel.

Minnie podeszła bliżej i kucnęła, żeby zajrzeć Benowi w twarz. Jej ciemne oczy napotkały jego niebieskie tęczówki, szukały w nich wskazówek. Położyła mu dłonie na ramionach, pogładziła po rękach, obróciła go, przejechała dłonią po kręgosłupie, obmacała nogi. Ben usiłował się wyrwać, ale Minnie zbliżyła do niego swój duży, ostro zarysowany nos i powąchała go.

- Liże kamienie - powiedziała i po raz pierwszy się uśmiechnęła.

Zostali do wieczora. Rachel siedziała obok Hondy i patrzyli, jak Ben puszcza kamykami kaczki na jeziorze. Na drugim brzegu paliła się latarnia. Czy to Jedda czekał na pozwolenie Minnie, by wrócić? Nigdy nie wzięli ślubu, bo jak mawiała Minnie: „Po co zawracać sobie tym głowę?”.

- Jest dobrze, nie uważasz? - zapytał Honda, patrząc na Rachel.

Pozbawione koloru jezioro odbijało w sobie niebo. Rachel jako dziecko leżała obok babki i patrzyła w niebo, aż nauczyła się go na pamięć - uważała, że skrzące się gwiazdy to duchy, które nazwała *Mi-sze-kii* i *Uabuzi*. Plejady i Orion. Nocna tęcza - zorza polarna - *Aurora borealis*, z pewnością była Manitu. „Zbyt wiele widzisz na niebie”, powiedziała do niej babka, ale Rachel i tak chciała zobaczyć jeszcze więcej.

Indianie rozpalili na plaży ogniska. W świetle płomieni twarz Hondy poczerwieniała. Patrząc na węża na jego ręku, wijącego się w jej wyobraźni w rytm bębna, Rachel zastanawiała się, czy Honda ma inne tatuaże. Może w okolicach krzyża. Imię jakiejś dziewczyny na przedramieniu.

- No więc - odezwał się Honda. - Mam propozycję. - Rozległo się niskie, kojące pohukiwanie sowy. Rachel nastawiła uszu; zaraz pewnie przyłączy się jej towarzysz. - Twoja babka była prawdziwą artystką, najlepszą w okolicy. W latach dwudziestych ludzie kolekcjonowali wszystko, co zrobiła z piór i kołców jeżozwierza. - Jest. Pohukiwanie innej sowy w odpowiedzi. - Oczywiście wtedy sprzedawała to za marne grosze. W sklepie moglibyśmy brać za nie znacznie więcej.

- Ile? - Rachel podniosła się.

- Dwadzieścia, trzydzieści dolarów za pudełko. Mogłabyś tu zostać i pracować z Minnie.

Rachel pokręciła przecząco głową.

- Te pudełka nie były warte życia jeżozwierzy, które dla nich zabito.

- Widzę to trochę inaczej. - Wskazał ręką na drugi brzeg jeziora. - Gdyby sklep okazał się zyskowny, moglibyśmy w końcu wykupić tę ziemię. Doprowadzić elektryczność. Zbudować lepszą drogę.

Rachel odpędziła ćmę. Ogniska jaśniały. Usiłowała wyobrazić to sobie, widzieć świat jego oczami, ale zobaczyła jedynie grupę wyrzutków na cudzej ziemi.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Latem, gdy nad polami słyhać było granie świerszczy i koników polnych, brzęczenie pszczół szukających pyłku, Ben chował się za stodołą lub w krzakach bzu, choć znaleźć go mogły jedynie ciotki albo matka. Czasami w domu zjawiała się obca dziewczyna - za każdym razem inna - ale zwykle wszystkie były dziwne i gnuśne, nie nadawały się do niczego.

Bawił się w wojnę, używając kijka jako karabinu, czołgał się i przykucał, padał na brzuch i zakrywał głowę rękami. Widywał nad sobą samoloty, stawał się jednym z nich, zrzucał bomby, buchające płomieniami. Kiedy zostawał sam, kładł się na trawie i próbował, jak smakują zielone żdźbła. Miały piaskowy smak pełen radości, mówiący o rosnących tu kiedyś lasach.

Traktor w stodole stawał się cielskiem gigantycznej bestii. Może stegozaura. Było to jedno ze słów, jakich nauczył się w szkole. Będzie wracał do tej szkoły każdej jesieni. Do budynku oddalonego o niecałe pięć kilometrów, gdzie robiło się liście z papieru i śniegowe płatki z bibułki. Teraz jednak był czerwiec, lekcje się nie odbywały. Każdego ranka słońce wschodziło nad wzgórzem porośniętym wiazami, znad pół unosiła się mgła i w porze śniadania powietrze stawało się od niej gęste jak śmietana.

Wieczorami było chłodniej, kiedy gałęzie klonu ocierały się o siatkę przeciw owadom, a niebo zapełniało się gwiazdami. Za każdym razem, gdy któraś z nich spadała za horyzont, Ada lub Bliss wołały: „Szybko! Życzenie!” a matka odpowiadała: „A czego tu sobie życzyć?”

Ale Ben miał mnóstwo życzeń. Marzył o rowerze, na którym mógłby śmigać drogą. O chłodnym jeziorze w pobliżu, w którym

mógłby pływać. W jego życiu dominowały kobiety. Goszczone tu dziewczyny nie były zamężne, a przecież Bliss powiedziała mu, że nawet Maria miała Józefa. Ben widział konie parzące się wiosną, byki z krowami. Wiedział, skąd biorą się dzieci, ale matka zawsze odpowiadała mu niejasno, gdy o to pytał, dlatego doszedł do wniosku, że chyba jest jednak dziewicą. Mimo to chciałby mieć ojca. A kiedy widział łodzie mknące przez zatokę do Mackinaw, śnił, że ma jedną z nich.

Bliss powiedziała mu, że na Mackinaw odbywały się indiańskie spotkania wielu szczepów - *pow-wow*.

- Załóż się, że na tej wyspie jest pochowany niejeden twój przodek.

Ben zamierzał spytać matkę, czy na wyspie Mackinaw leży w grobie jego ojciec. Od tygodni matka stała pochylona nad kuchennym stołem, pełnym kawałków kory i paciorków. Może Honda niedługo wróci, a wtedy znowu będą jeździć traktorem. Teraz wszystko wkoło rośnie. Kukurydza. Lucerna. Pszenica. W zagrodzie pojawiło się nowe jagnię. Ben zapytał, czy mogą je zatrzymać, ale Ada odpowiedziała, że jagnięta muszą być sprzedane. Na ścianie salonu wisiała makatka z napisem „Jezus kocha swoje owieczki”, ale Ben powątpiewał w jego prawdziwość, bo dlaczego w takim razie trzeba je oddawać rzeźnikowi?

Obracał w palcach kolce jeżozwierza, ostre jak stosiny piór. W szafie Minnie widział pióra. Pozszywała je, a potem obwiązała mu nimi głowę, żeby pokazać, jak się je nosi. Gdyby miał pióropusz, tańczyłby wokół podwórza jak Indianin i skalpował kowbojów, gdyby go zaatakowali.

Na blacie była rozmazana kropla krwi matki. Ben podszedł bliżej, powąchał jej skórę. Była dla niego ciepłym, które zawsze go przyciągało, znał jej smak, podobnie jak smak mleka, cukru i kamieni. Na podwórzu rosły jagody, ale matka powiedziała mu, żeby ich nie jadł. „Będziesz po nich chorował”, wyjaśniła. Kiedy szli na plażę, Ada wycierała mu piasek z buzi, kazała go wypluć, ale on lubił jego smak i zawsze chował trochę w kieszeni na potem.

„Kim był tata?” pytał matkę.

„Żołnierzem i żeglarzem”, odpowiadała. „Dzielnym człowiekiem. Zginął, jak inni, na wojnie”.

Ben wyobrażał sobie ręce ojca. Czy były twarde od ciągnięcia lin? Czy stał za sterem, gdy okręt płynął do bitwy?

Kiedy matka skończy robić pudełka, Honda przyjedzie je obejrzeć. Ben dostrzegł wzór wykonany przez nią na okrągłym kawałku kory. Wydawał się nierówny, zwichrowany, jak jego rysunki, ale podobał mu się zygzakowaty szlak, niemal taki sam, jaki cofające się fale zostawiały na piasku. Ada mówiła, że jego matka się usamodzielnia, ale ona odpowiadała na to, że naszywanie paciorków to bezużyteczne zajęcie.

Niebieskie linoleum z białymi smugami na blacie kuchennego stołu było identyczne z tym leżącym na podłodze. Ben lubił wyobrażać sobie, że to jezioro Michigan widziane oczami mewy. Czasem szybował nad nim i przyglądał się białym grzywom przetaczających się fal. Gdy patrzył w dół, widział okręt unoszący się na grzbiecie fali, a potem opadający trawersem. Fale rozbijały się i załamywały na dziobie, ojciec stał za sterem z rękami zaciśniętymi na kole sterowym. Jego ojciec był wojownikiem i żeglarzem. A potem okręt wywracał się i tonął.

- Ktoś przyjechał - powiedziała Rachel.

Ben szybko się podniósł. Jeszcze zanim zobaczył ciężarówkę, rzucił się stronę drzwi, przebiegł przez werandę i znalazł się na podwórzu. Honda wysiadł powoli z samochodu i ukląkł, żeby ich twarze znalazły się na tej samej wysokości.

- Cześć, mały - powiedział, gdy Ben podbiegł do niego i objął go za szyję.

- Cześć, Honda! - odpowiedział Ben. - Pójdziemy popływać?

Mężczyzna zmierzwił chłopcu włosy, na tyle już długie, że zachodziły mu na uszy.

- Gdzie jest mama?

Ben wskazał na dom, a potem ruszył za Hondą, nie odstępując go dalej niż na metr, z powrotem do kuchni, gdzie matka pochylała się nad piórami. Dwa ukończone pudełka stały z boku. Rachel wycierała dłonie w ścierkę.

- I co? - spytała.

Honda odsunął krzesło od stołu, obrócił je oparciem do przodu i usiadł. Ramiona i nogi miał tak potężne, że wyglądał na nim jak gigant dosiadający kucyka.

- A co masz? - odpowiedział pytaniem.

Ben nie spuszczał oczu z Hondy, gdy ten oglądał uważnie pudełka, trzymając każde, jakby było co najmniej jajkiem wielkanocnym.

- Niewiele pamiętam z tego, jak robiło się wzory - powiedziała Rachel. Nadal miała w rękach ścierkę. - Potrzebne mi mniejsze pióra.

- Mogę ci je skombinować.

- A jakieś farby? - zapytała. - Takie, które nie blakną od razu.

- Mogłabyś zająć się szyciem.

- Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty?

Ben wyjrzał przez okno. Jagnię w zagrodzie ssało wymię matki.

- Nie ma pośpiechu - powiedział Honda. - Pomysłów mam na razie pod dostatkiem. Mokasyny i temu podobne. Pióropusze. Kiedy jednak się zdecydujesz, Minnie mówi, że ma pokój dla ciebie i małego.

Chłopiec natychmiast spojrzął na matkę. Usta jej drżały, ale nie uśmiechała się.

- Dostałem transport czegoś takiego - zwrócił się Honda do Bena i pociągnął go za ramię. - Wyjął z kieszeni małe drewniane pudełko, płaskie i wąskie. - Patrz - powiedział, otwierając wieczko, odsłaniające ćwierćdolarówkę. Machnął dłonią nad pudełkiem i zatrzasnął je. - Teraz ty spróbuj.

Ben otworzył pudełko, ale moneta zniknęła.

- Jak to zrobiłeś? - zapytał.

- Czary. - Honda roześmiał się. - A co myślałeś?

- Nie ma czegoś takiego - wtrąciła się Rachel.

- Nie? - odpowiedział Honda i ponownie przesunął dłoń nad pudełkiem, a potem poprosił Bena, żeby je otworzył. Ćwierćdolarówka leżała na dawnym miejscu. Z ciągle śmiejącymi się oczami Honda powiedział Benowi, że może zatrzymać pudełko. Z drugiej kieszeni wyjął muszlę, taką samą, jakie można znaleźć na brzegu Podkowy. - Masz. Włóż ją do wody, a zobaczysz, co się stanie.

Ben nalał w zlewie wody do słoika, postawił go na stole i wrzucił muszlę. Rozległo się ciche „plum”, a potem muszla zatonąła i spoczęła na dnie niczym gigantyczny mięczak. Przez szkło widać było linoleum na blacie. Wyobraził sobie ryby przepływające obok wraku łodzi podwodnej, zagrzebanej w piachu. Nagle muszla się otworzyła. Małe kwiatki z papieru - różowe, żółte i zielone - unosiły się z jej wnętrza i kołysały w wodzie.

- Honda uważa, że byłbyś dobrym tancerzem - odezwała się Rachel.

- O raju! - odpowiedział Ben, zapatrzony w podwodny ogród.

- Może - włączył się do rozmowy Honda. - Powiedziałem jedynie, że to możliwe. Ale jeśli tak jest i sami się o tym przekonamy, mógłbyś wziąć udział w sierpniowym konkursie w czasie *pow-wow*.

Ben wyjął z kieszeni koreańską monetę, którą dostał od Hondy, i wrzucił ją do słoika. Opadając na dno niczym tonący statek, wylądowała w muszli, przygniatając kwiatki. Podwodny ogród zafalował i wchłonął ją.

- Co ty na to? - zapytał Honda.

Ben widział wyraźnie, że zdaniem matki była to strata czasu. Odwrócił się od słoika i zaczął patrzeć przez okno na pola. Wyciągnie później monetę ze słoika i zakopie ją razem z wojskową finką, którą znalazł poprzedniego lata. Wszystkie swoje skarby zakopywał w kącie podwórza, gdzie rosła wyższa trawa. Matka trzymała swoje w pudełku. Za mniej więcej miesiąc nadejdzie pora zbierania kukurydzy. Na obiad będą jedli kukurydziane kolby.

- Nosiłbym wtedy pióropusz?

- Niewykluczone.

Za dwa miesiące krzaki rosnące za klonowym zagajnikiem staną się ciężkie od jagód. Chłopiec będzie zbierał je z ciotkami, a potem zrobią z nich słodki i gęsty dzem. „Szukaj tam, gdzie rosną sumaki, tylko uważaj na ręce”, powiedziała mu Bliss. Ciernie na łodygach krzaków były ostre, dlatego ręce krwawiły mu tak samo jak dłonie matki.

W połowie czerwca zrobiło się tak gorąco, że Rachel i Ben kładli się na podłodze w kuchni, szukając ochłody. Rachel przyciskała twarz do cętkowanego linoleum. Upał wprawiał ją w stan półdeliryjny, przepełniała ją dziwna tęsknota. W niektóre noce otaczał ją zapach jeziora Michigan, słyszała szum fal, czuła wrzynające się w ciało kamyki. Rankami miała siniaki na rękach.

- Są i inne plaże - powiedziała do Bena, kiedy męczył ją prośbami o powrót nad Podkowę.

Ale Ben chciał pływać w spokojnej wodzie jeziora o mulistym dnie, zobaczyć jeszcze raz tamtą kobietę - staruszkę mającą kolekcję piór i kości.

- To wariatka - skwitowała jego błagania Rachel. - Zapomnij o niej.

Ada weszła do kuchni z wiadrem i przeszła nad Rachel i Benem.

- I jak ja mam zmyć podłogę? Wokół was? A może macie jednak trochę wstydu i sami to zrobicie?

Ben się roześmiał. Rachel westchnęła i usiadła, krzyżując nogi.

- Ben chce tam jechać. A Honda mówił, żebyśmy oboje wrócili i zostali jakiś czas u Minnie.

Ada napełniła wiadro.

- A co w tym złego? - zapytała po długim milczeniu.

- Sama powinnaś zobaczyć - odpowiedziała Rachel. - Jest gorzej, niż myślisz. A jeszcze teraz Honda zmusza wszystkich do robienia „autentycznych indiańskich” śmieci na sprzedaż, jakby to miało ich uratować.

- W tym upale tylko kąpiel w jeziorze może nas uratować - powiedziała Ada, zakręcając kran. - Co mu odpowiedziałas?

Rachel przesunęła palcem po wzorze na linoleum. Ben nie spuszczał z niej oczu w oczekiwaniu na to, co powie. „Daj dzieciakowi szansę spróbować. Niech się dowie, jak to jest być Indianinem”, mówił Honda.

- Może - odezwała się po chwili, unikając wzroku Ady. - Powiedziałam mu, że to możliwe.

Dwa dni później, kiedy Honda znowu przyjechał, Rachel zapakowała rzeczy do jednej ze starych walizek Ady. „To tylko na lato”, powiedziała ciotkom. Mimo to Bliss prawie cały ranek spędziła w kuchni na drylowaniu wiśni, a oczy Ady były dziwnie zaczerwienione.

- Dziewięć lat - odezwała się, odgarniając do tyłu krótkie siwe włosy.

- Przecież nie umieramy - odpowiedziała Rachel.

- Nie ma się czym martwić - wtrąciła się Bliss. - W sierpniu będziemy miały dwie rodzące, więc nawet dobrze się składa, bo przyda się twój pokój.

- Gotowi? - zapytał Honda, stawiając walizkę na ciężarówce.

Ben poszedł w kąt podwórza i wykopał swoje skarby, a potem włożył je do niewielkiego worka. Kiedy przybiegł z powrotem i wdrapał się do szoferki, ręce miał pobrudzone ziemią, pachnącą trochę końskim nawozem.

Drzwiczki zostały zatrzaśnięte, z domu nadbiegła Bliss i wrzuciła przez okno do ciężarówki jakąś torbę.

- Przyda się wam na drogę.

Ben otworzył torbę, sięgnął do niej i wyciągnął wiśnię. Kiedy włożył ją do buzi, poczuł smak ziemi, która ubrudziła mu rękę. Honda zapuścił silnik. Rachel patrzyła przed siebie, za to Ben wiercił się, bo chciał zobaczyć, jak ciotki na werandzie stają się coraz mniejsze. Uniósł rękę, żeby im pomachać, ale zniknęły już z pola widzenia.

Usta miał umorusane sokiem wiśni. „Jedziemy tylko na lato”, powiedziała matka. Zamieszkają u Minnie, w jej walącej się chacie, a wtedy Ben doceni, jak dobrze im było na farmie. Chłopiec wiedział, że będzie tęsknił. Myślał o ciotkach, jagniętach, polach - ale teraz przyciągało go jezioro, dźwięk bębnow. Mieli zamieszkać wśród obcych w lesie, gdzie jego matka żyła, gdy była dzieckiem. Ciężarówka mknęła obok gospodarstw i łąk, świerszcze grały, a wysoka do kolan kukurydza szumiała na wietrze.

Na drodze przed sobą Rachel dostrzegła pochylone drzewo, znaczące miejsce, gdzie skręcało się w kierunku jeziora. Ben zachowywał się cicho przez większość jazdy, Honda zaś nucił coś pod nosem. Za każdym razem, gdy zmieniał biegi, Rachel chwytała za ramę okna. W lasach było parno. Siedzące w gałęziach cykady nawoływały się nawzajem: „O dżiii, o dżiii, ksy, ksy, ksy”. Przypomniały się jej dni, kiedy chodziła z babką zbierać korę w tym właśnie lesie - Rachel szukała wtedy kręgów na pniach. Oddzierały płaty kory, które powiązane skórzanymi rzemieniami, wzmocnione stewią i pokryte piórami albo kolcami stawały się pudełkami. Wskazując na puste miejsca między drzewami, Honda powiedział jej, że Indianie wycinają drzewa. Potrzebowali drewna na ogniska, a on zamierzał sprzedać im parę wiązek.

- Uważacie, że to miejsce jest waszą własnością? - zapytała Rachel, spoglądając na niego ponad głową Bena.

Honda zaśmiał się i powiedział, że może tak jest, ale prawda była inna: pan McCready chciał po prostu, żeby wycięli kilka drzew. Przysługa za przysługę.

- Myślałam, że on nie zawraca sobie wami głowy.

Wjechali na porośniętą trawą miejsce w pobliżu chaty Minnie. Honda wysiadł z ciężarówki, spojrzął poważnie na Bena i wskazał głową jezioro.

- To dupek - powiedział. A potem uśmiechnął się.

Ben odpowiedział uśmiechem i wyskoczył z samochodu.

Patrząc na syna, biegnącego nad jezioro, Rachel zastanawiała się, czy to, co robi, jest w porządku wobec pana McCreadyego. W końcu to on pozwolił im tu zostać, mimo że tartak został dawno zamknięty. Co z tego, że chciał wykarczować kawałek własnej ziemi? Wdychając powietrze, Rachel pokiwała głową i spojrzała na Hondę.

- Po tylu latach?

- To niezupełnie tak. On nie każe się nam wynosić - odpowiedział Honda. - Poza tym to okazja zarobienia pieniędzy.

Może tak, może nie, pomyślała Rachel, ściągając walizkę ze skrzyni ciężarówki. Ruszyła w kierunku chaty Minnie. Będzie im ciasno, to pewne, więc gdyby Rachel miała odrobinę oleju w głowie, powinna zawrócić. Szalona stara kobieta - jej dom pełen był przecież ptasich kości zebranych na plaży, cekinów ze starych ubrań, egzotycznych i pozbawionych jakiegokolwiek wartości.

Minnie czekała na ganku. Podchodząc coraz bliżej, Rachel zmusiła się, by spojrzeć w twarz starej kobiety, twarz kogoś, kto został, dał się wkopać w ziemię, zapuścił korzenie, stał się jak porost na drzewie. Ręce Minnie poznaczone były śladami po ukłuciach kolców. Kiedy Rachel się zbliżyła, starucha uniosła cętkowaną dłoń w geście powitania i wymamrotała coś niezrozumiałego. Rachel, której pamięć indiańskiego języka była równie wyszczerbiona jak jej zęby, z trudem powstrzymywała się od odwrotu.

- *Ach-nin* - powiedziała Minnie.

Rachel, klnąc w duchu samą siebie za zamordowanie własnego języka, wyszeptała pod nosem jakąś obelgę. Nie padły jednak żadne następne słowa. *Ach-nin* zawisło w powietrzu, przerażające w swojej prostocie - było odawańskim odpowiednikiem „Witaj”.



Ranki nadchodziły wcześniej, przynosząc ze sobą zapach gotowania i ostry warkot uruchamianych silników samochodowych. O świcie ten i ów powtarzał dzieciom, żeby się pośpieszyły, i zaczynała się codzienna krzątania. Samochody odjeżdżały, uwożąc swoich pasażerów do pracy w tartakach, stacjach obsługi, do zmywania talerzy po śniadaniu w jadłodajniach, do zamiatania cudzych chodników.

Rachel spędzała ranki z Minnie na sortowaniu kolców i naradzaniu się nad wzorami. Każdego popołudnia Honda zabierał Bena na plażę pokrytą muszlami małży. Niewyobrażalnie długo Ben nie potrafił dostrzec żadnej różnicy pomiędzy tym, co robił, a tym, co raz za razem pokazywał mu Honda. Uderzenia bębnow brzmiały początkowo smutno w jego uszach - jak wiatr jesienią, kiedy opadły już ostatnie liście. Teraz jednak ich rytm stawał się szybszy, mocniejszy, niemal dziki.

- Musisz tupać - mówił Honda. - Schył się. Myśl o czymś, co cię naprawdę rozświeciza.

Ben pochylił twarz tak nisko, że mógł niemal lizać ziemię. Kiedy się uczył poruszać jak orzeł, wąż i jeleń, jego matka raz po raz, pochylając się, wchodziła lub wychodziła z chaty Minnie. Dźwięk dzwoneczków przymocowanych do nadgarstków i kostek nóg rozśmieszał go, gdy tańczył na plaży, pohukiwał jak Indianin, uderzał ręką usta i wołał: „Uuu uuu uuu!”.

- Gdzie to słyszałeś? - zapytał Honda.

- W radiu.

- Zapomnij o radiu. Radio jest gównem warte. Widziałeś tu jakiś odbiornik?

Ben pokręcił głową. Żadnych radioodbiorników. Brak światła. Nie mieli nawet kuchni z piekarnikiem, takiej, jaka stała w domu Ady i Bliss. Honda zaczął bębnić i zawodzić. „Stań się wężem nisko w trawie! Sową na wierzchołku drzewa!”

Chłopak uderzył lekko ziemię dużym palcem u nogi.

- Mocniej!

Uderzył ponownie, ale tym razem bardziej przypominało to kopnięcie.

- Pomyśl o orle, Ben. Wzbij się!

Gdy tylko zaczął się poruszać, tupać, kręcić, pomyślał o tych wszystkich chwilach, kiedy udawał, że jest samolotem lecącym wysoko nad polami kukurydzy. Spod drzew powiał wiatr i uniósł go

do góry. Wznosił się jak ptak, w gardle narastał mu krzyk. Honda miał zabrać go jutro z matką do miasta i pokazać nowy sklep. Obiecał, że pójdą do portu, w którym stały łodzie.

Ben otworzył usta, rozpostarł skrzydła i leciał coraz wyżej i wyżej. Pod nim wiła się rzeka, przebijająca się do oceanu. Kontynenty malały. Uderzał tak mocno stopami, aż pobiełały od gliniastego pyłu. Robił wszystko, co Honda mu kazał. Honda mógłby być jego ojcem. Zresztą dla Bena był ojcem. Bolały go kolana, naprężony ponad miarę kręgosłup, ale tańczył, płuca, męczone dla zabawy, wdychały powietrze, zbyt rzadkie, by je napełnić.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Półtora kilometra od Moss Village Rachel po raz pierwszy zobaczyła przelotnie jezioro, wrzynające się w krajobraz, zapowiadające koniec pól i początek miasta. Niedługo potem znaleźli się na Main Street, minęli tani sklep wielobranżowy, rzeźnika, aptekę i bank. Czy nie było tu wcześniej sklepu z krówkami? Przed nimi górowała nad okolicą wieża katolickiego kościoła. Rachel spięła się na wspomnienie spowiedzi, konfesjonału, oddechu wścibskiego księdza. Czy zakonnice rozpoznałyby ją teraz, gdy nie ma już siostry Marie? A może stała się po prostu kolejną dziewczyną, która dorosła?

- I jak? - odezwał się Honda. - Tak właśnie zapamiętałaś to miejsce?

Przez wszystkie te lata Rachel wróciła tu tylko raz. Ada radziła jej, żeby trzymała się z dala od tego miejsca, bo najlepiej byłoby, gdyby wszyscy myśleli, że dziecko Rachel Winnapee umarło, a ona sama gdzieś przepadła. Mimo to pewnej zimy Rachel przyszła na zamarznięty półwysep, gdzie domy i stróżówki były zabite deskami i opustoszałe. Usiadła na werandzie domu ukochanego mężczyzny, jak robiła to pewnej jesieni wiele lat wcześniej, i wpatrywała się w skute mrozem, szare jezioro, wspominała gorący piasek plaży, teraz przykryty lodem. Potem nigdy więcej już tam nie wracała.

- Byłam jedynie młodą dziewczyną - powiedziała.

Ben przyłożył do oczu palce złożone w kształt lornetki i patrzył na łódzie zacumowane w porcie. Kilka żagli kołysało się w równym rytmie, niczym mewy na wietrze.

- Mój tata był żeglarzem - powiedział, spoglądając na Hondę.

- Naprawdę? - Honda uniósł brwi i popatrzył na Rachel.

- Umiesz żeglować, Honda? - spytał Ben.

Honda roześmiał się i odpowiedział, że od czasu do czasu pływa kanoe. Kiedy chłopak odwracał od niego wzrok, Rachel zauważyła cień rozczarowania w jego oczach.

Poprawiła włosy. To nie było kłamstwo, przynajmniej w części dotyczącej żeglarstwa. Przekazywała synowi strzępki historii o Woodym, tak samo, jak on dawał jej muszelki i podarte kartki. Za każdym razem, kiedy Ben naciskał na nią coraz mocniej, odpowiadała mu, że to bez znaczenia. „Nie masz nawet jednego zdjęcia?“, zapytał kiedyś. Odpowiedziała, że nie było żadnych fotografii, i takie wytłumaczenie musiało mu wystarczyć.

Podjechali do krawężnika, Honda zahamował, wysiadł, otworzył drzwiczki przed Rachel i trzymał je ostentacyjnie, jakby chodnik należał do niego. Wiedziała, co zobaczy - jakąś szopę w tylnej alejce, trzymającą się kupy tylko dzięki drutom, którymi była obwiązana, zwykłą norę. Nikt nie przyjdzie do tego sklepu, pomyślała, kiedy prowadził ją wąską uliczką między dwoma budynkami. Jak ktoś miałby znaleźć to miejsce? Ale gdy wyszli na zalane słońcem podwórze, aż ją zatkało.

Było to coś więcej niż zwykłe stoisko - naprawdę. Obłożone korą ścianki, drewniany dach - przypominało szkatułkę w kształcie wigwamu, schowaną za starymi ceglanymi domami przy Main Street.

- Popatrz tylko na to - powiedział Honda, pokazując, w jaki sposób można otworzyć przednią ściankę, unosząc ją do góry niczym bramę garażu. Zamocowane na zawiasach skrzydła wyglądały jak zapraszająco rozpostarte ramiona.

Wnętrze wypełniały stopy koszyków, ubrań ze skóry ozdobionych paciorkami i futrem, mokasynów, bębenków z kory brzozej, fajek i pióropuszy.

- O raju! - szepnęła Rachel, przesuając palcami po naszyjniku z pazurów.

- Wiedziałem, że to zrobi na tobie wrażenie.

- Nie mogłeś wiedzieć - odpowiedziała Rachel, przypatrując się ręcznie malowanemu szyldowi „Punkt sprzedaży” i usiłując się uśmiechnąć. Na zakurzonym kontuarze napisała palcem swoje inicjały. - Daj mi ścierkę.

Tu jest jak w lesie, pomyślała, pośrodku głuszy. A nie jak kilka przecznic od klasztoru. Niecały kilometr od Beck's Point.

Ben bez namysłu usiadł na podłodze i bawił się kanoe z kory brzozowej. Unosił je do góry i opuszczał na wymyślonych fałdach. Przez chwilę Rachel poczuła się bezpieczna i spokojna w tej maleńkiej, otulonej korą szopie, schowanej za innymi budynkami. Nikt jej tu nie znajdzie. Nikt nie wypowie głośno jej imienia.

Przez całe popołudnie rozpakowywali pudła i układali towar na odkurzonych półkach. Honda planował, że na otwarciu poczęstuje gości podpłomykami i piwem. Minnie też tu przyjdzie, żeby opowiadać klientom historie o tradycjach plemienia Odawa.

- Popatrz - odezwał się Honda w pewnej chwili. - Zamówiłem cały transport. - Wyjął z pudła dziecięcy pióropusz z jaskrawo kolorowych piór, z metką „Wyprodukowano na Tajwanie”. Paciorki przyszyto na nim bardzo niedbale, ale Honda upierał się, że sprzeda tego całą tonę.

- Chcesz taki? - zapytał Bena.

Chłopiec wziął pióropusz. Zaczął się poruszać w rytm uderzeń bębna, istniejącego wyłącznie w jego wyobraźni. Teraz mógł już bez trudu zmienić się w ptaka.

- Z czego się śmiesz? - zapytał Honda uśmiechniętą Rachel, kiedy nacisnął klawisz kasy i rozległ się dzwonek.

Rachel wzięła do ręki chwytek snów - druciane kółko, obciążone skórą, ozdobione paciorkami i piórami, którego wyplatany środek przypominał pajęczynę. Miał odstraszać koszmary i zatrzymywać przyjemne myśli. Cały sklep przepełniała mieszanina rzeczywistości i magii. Do czego na przykład służyła fajka? A te maleńkie, wystrugane z drewna niedźwiedzie? Honda upierał się, że łączą się z tradycją plemienną, choć niekoniecznie bezpośrednio i nie z plemieniem Odawa.

- Jakim cudem udało ci się pożyczyć pieniądze na to wszystko, a nie zdobyłeś nawet centa na zakup ziemi, której tak bardzo pragniesz? - zapytała Rachel.

- Ziemia? - roześmiał się Honda. - Waszyngton nie dałby złamanego grosza na wykupienie naszej ziemi. Pożyczają pieniądze na rozkręcenie interesu. Ale na ziemię? - Pokręcił głową. - Rząd nie jest taki głupi - dodał.

Mewy skrzeczały nad nią, walcząc o kawałki chleba rzucane przez jakieś dziecko. Rachel doszła tego dnia do pirsu - była to najdłuższa trasa jej codziennych wypadów od tygodnia, od kiedy była w mieście. Pierwszego dnia przespacerowała się jedynie na odległość jednej przecznicy i zawróciła. Widok portu i wieży kościoła sprawił, że robiło się jej niedobrze ze strachu.

Teraz miała ochotę stanąć na końcu przystani i wpatrywać się w Beck's Point. Kilka dni wcześniej, gdy zobaczyła Hondę z chłopcem, pomyślała o Woodym - jego dłoniach, gładkich jak wosk, lekko zaróżowionych. Pomyślała o jego udzie, nagłym braku ciała. Pomyślała o jego twarzy. Smaku jego warg na jej ustach.

Nigdy do niej nie napisał. Nawet raz. Kiedyś przyszło jej do głowy, żeby poprosić go o pieniądze, ale od samej myśli o tym zebrało się jej na wymioty. Wolała raczej rąbać drwa, żąć zboże, tkąć narzuty, niż posunąć się do tego. Nawet teraz dłonie jej drżały od zycia.

Żagle łódek łopotały, zegar na wieży kościoła wybił trzecią. Na końcu Beck's Point, wyraźnie widoczny w świetle dnia, stał dom Marchów. Oślepiająco biały i niezmienny, wydawał się odizolowany i pełen duchów, jakby pokolenia rodziny, która go zamieszkiwała, przenikały się wzajemnie, skóra przez skórę, kości przez kości, krew przez krew, nietknięte.

Wyzywam cię, wyzywam cię, pomyślała Rachel. Nagle, zupełnie beztroško, odwróciła się i inną ścieżką pobiegła z powrotem do sklepu. Honda pewnie ślęczy właśnie nad cennikiem i zerka od czasu do czasu na Bena, żeby kazać mu pochylić się niżej w tańcu albo w inny sposób trzymać ramiona. Czując się niemal rażnie, Rachel minęła tani sklep wielobranżowy, sklep żelazny, wdychała cukrowy zapach sklepu z krówkami. W osłoniętych markizami oknach widziała odbicie i zastanawiała się, do kogo ono należy. Na pewno nie do dziewczyny, która wydeptywała ścieżkę pomiędzy Beck's Point a klasztorem. Tu była kobieta bez warkoczy, o ramionach i twarzy brązowych od nadmiaru słońca. Nadal miała szorstkie dłonie, ale dziewczyna, która sprzątała talerze ze stołu, znikła bezpowrotnie.

Skrzynia ciężarówki była wyładowana porąbanym drewnem. Ben oparł czoło o szybę. Po wschodniej stronie jaśniała niska linia horyzontu. Honda pochylił się i majstrował przy radiu, ale słychać było

prawie wyłącznie trzaski. Przez całą drogę do Moss Village Honda nie przestawał mówić o tańcu, o *pow-wow*, o tym, że kiedy o n był chłopcem, ta sztuka niemal zaginęła.

- Teraz wszystko jest inaczej - powiedział.

- Jak inaczej? - zapytał Ben. Matka radziła mu, żeby nie traktował Hondy zbyt poważnie.

- Och... sam rozumiesz... lepiej - odpowiedział Honda, przekrzykując urywany głos komentatora meczu baseballowego. - Minnie uczy cię nowych słów?

Ben skinął głową, ale zapamiętanie jakiegoś słowa w całości przypominało nabieranie wody sitem. Były szybkie jak rzeka i wariackie. Wpadały na siebie jak fale, pękały niczym lód w marcu.

Wschodzące po drugiej stronie jeziora słońce kładło na wodę czerwoną smugę.

- Czerwone niebo o świcie - powiedział Honda.

Za kilka godzin rozpocznie się świąteczna parada Czwartego Lipca. Honda obiecał, że zabierze Bena i jego matkę, żeby ją obejrzeli, a potem na pokaz sztucznych ogni. Przejeżdżali właśnie przez bramę Beck's Point, pomachali stróżowi. Mijali budynki trzy razy większe od domu Ady i Bliss.

- To była kiedyś ziemia Indian - powiedział Honda. - Zostaliśmy z niej obrabowani.

Ben poprawił pióropusz. Nie paliły się żadne światła poza tymi w oknach piwnic. Honda zatrzymał ciężarówkę, zaciągnął ręczny hamulec, zostawił silnik na jałowym biegu, a potem dał znak Benowi, żeby za nim poszedł do tylnego wejścia domu tak dużego i chaotycznie zbudowanego, że chłopak zaczął się zastanawiać, czy nie mieszkają w nim duchy.

Kamienne schody prowadzące do kuchni w podziemiu cuchnęły pleśnią i zjeżdżałym jedzeniem, ale wewnątrz pachniało maślanym ciepłem. Honda uchylił kapelusza przed dwiema ciemnoskórymi kobietami, siedzącymi przy starym, porysowanym, drewnianym stole.

- Drogie panie?

- Nie widzę potrzeby kupowania drewna przy takim upale - odezwała się jedna o skórze ciemniejszej od skóry Minnie.

- Wie pani, co mówią o pogodzie w Michigan - nie dawał za wygraną Honda.

- Zmienna jak nastroje - weszła mu w słowo ciemnoskóra ku-

charka. Obróciła się do Bena i przyjrzała jego pióropuszowi. - No proszę, słoneczko, jaki masz ładny pióropusz. Na pewno pomagasz tacie.

Ben zastygł w bezruchu.

- Podejdz tutaj - powiedziała, wskazując głową rząd ciastek, przypominających świderki. Była wielka, czarna i lśniąca. - Po- częstuj się.

Druga kobieta - młodsza - roześmiała się.

- On się ciebie boi!

- Dziecko drogie - mówiła dalej gruba kucharka. - Będzie ci smakowało.

Wzięła jedno z posypanych cukrem ciastek i położyła na ta- lerzyku. Benowi podobał się dźwięk jej głosu, sposób mówienia, powolny i ciepły. Ślinka mu pociekła.

- Jesteś prawdziwym przystojniakiem. - Kucharka pochyliła się ku niemu. - Nie pamiętam, gdzie widziałam takie oczy.

- Ma je po matce - wtrącił się Honda.

- Naprawdę? - zapytała kucharka, wpatrując się w jego twarz.

Ben robił to samo, odkrywając w jej rysach coś pradawnego i tajemniczego. Rzędy snopków. Pole, z którego kosy zrywają się do lotu.

- Niech i tak będzie. Nazywam się Ella Mae - dodała.

- Ben. - Chłopak odgryzł kawałek ciastka.

- Będziesz oglądał dzisiaj fajerwerki, Ben?

Ben potwierdził skinieniem głowy. Matka mu to obiecała. Dźwięk brzęczyka sprawił, że aż podskoczył. Nagle obie kobiety wstały, zaczęły nalewać kawę, rozstawiać talerze. Podczas gdy Honda ruszył z powrotem do ciężarówki, Ben usiadł na krześle i wpatrywał się w młodszą kucharkę. Gdy nalewała owsiankę do miseczki, drzwi otworzyły się i do środka wszedł chłopiec w pidżamie. Miał niemal białe, niezbyt gęste, potargane włosy. Usiadł ciężko na krześle i prze- chylił głowę na ramię. Potem obrócił się i spojrział na Bena.

- Co jesz? - zapytał.

Ben wzruszył ramionami, oblizując palce.

Ella Mae podała tacę z jedzeniem młodszej kobiecie, a potem zwróciła się do blondynka.

- Biegnij na górę, kochanie, i usiądź na swoim miejscu. Sama przyniosę ci śniadanie.



- Chcę to samo co on. Daj mi - powiedział, wskazując głową na Bena.

- Dostaniesz to samo. Ale idź już.

- Chcę zostać tutaj. Gaga już zjadła, mama jeszcze śpi. A tatuś rzygał.

- A niech to! - Kiwając głową, Ella Mae ruszyła ku schodom.

Chłopiec ponownie przechylił głowę na ramię. Ręce miał tak białe, że wydawały się lekko niebieskie. Honda wołał z podwórza, bo potrzebował pomocy, ale Ben nie mógł oderwać oczu od tych miękkich, białych dłoni. Gdyby ich dotknął, jego ręce przeszłyby przez nie na wylot.

Chłopak obrócił głowę i patrzył na Bena spod na w pół przy-  
mkniętych powiek.

- Moja mama kupiła wczoraj pięć nowych sukienek.

- I co z tego?

- Chcesz je zobaczyć?

Ben pokręcił przecząco głową.

- Mogę wziąć kawałek? - zapytał chłopak, wskazując na talerzyk Bena.

Ben przesunął ku niemu talerz. Blondynek łapczywie oderwał kawałek cytrynowego ciastka i włożył go do buzi. Trochę cukru pudru zostało mu na brodzie.

- Mam na imię Rory.

- Ben - odpowiedział Ben, unosząc do góry oblepioną cukrem rękę.

- Skąd to masz? - zapytał Rory, wskazując pióropusz.

Ben opowiedział mu o sklepie przy bocznej ulicy, o paciorkach, kościach i zębach.

- Są też cukierki klonowe - dodał. - Jeśli lubisz słodcyce.

- Mama pozwala mi jeść krówki.

Honda znów zawołał ze schodów.

- Muszę iść - powiedział Ben.

Na podwórzu Honda ściągał skórzane rękawice i ocierał pot z czoła. Klepiąc Bena po plecach, powiedział, że muszą jeszcze zawieźć drewno w pięć miejsc. Jeszcze pięć, więc jeśli wszędzie będzie się tak objadał, rozchoruje się przed paradą.

- Możesz w to uwierzyć? - powiedział do Bena. - Mieszkają tutaj tylko latem.

Patrząc na wielkie budynki - każdy wystarczająco duży, by zmieściło się w nim pięć rodzin - Ben zastanawiał się, jak wyglądają zimowe domy tych ludzi. Honda opowiadał mu, że Indianie składali kiedyś wigwamy i wyruszali w głąb łąd, zanim spadł śnieg. Ale te domy były za duże, żeby je ruszyć z miejsca. Musieli je tu zostawiać.

- Wiesz, jak Indianie nazywali Amerykę, zanim zjawili się tu biali? - zapytał Honda.

Ben pokręcił przecząco głową.

- Nasza ziemia! - powiedział Honda, śmiejąc się i pokazując złoty ząb. Wyprowadził ciężarówkę przez bramę, zerkając we wsteczne lustro.

Drapało w gardle od zapachu hot-dogów i metalicznego śwędu zimnych ogni. Kiedy na ulicy rozległ się dźwięk puzonów, Ben przechnął się do pierwszego rzędu składanych krzesłek ustawionych na trawniku przyjezdni, żeby mieć lepszy widok.

- Hej, mały! - krzyknął ktoś. - Odsuń się od jezdni.

- Wszystko w porządku. - Honda sięgnął w dół i posadził sobie Bena na ramionach.

Rachel głęboko odetchnęła. Nikt nie miał ochoty na wszczynanie kłótni z Hondą - może z powodu tatuażu, a może jego postury.

Wzrok Bena zatrzymał się na jadącej na czele parady łodzi z chromu i czerwieni. Z jej głębi wyłożonej poduszkami gruby mężczyzna i jego żona rzucali cukierki. Szybki jak błyskawica Honda wyciągnął rękę i chwycił lecącą w powietrzu brązową krówkę.

- Więc o to chodzi. - powiedział. - Z pozdrowieniami od burmistrza.

Z ciągutką w ustach Ben uniósł rękę jakby salutował, kiedy mijał ich samochód pełen weteranów wojennych w mundurach. Za nimi jechały dzieci na rowerach z paskami biało-niebiesko-czerwonej krepiny przeplecionymi przez szprychy. Mażoretki całe w cekinach i cylindrach pomalowanych w narodowe barwy rzucały w górę pałki i żonglowały nimi w zawrotnym tempie. Rachel zauważyła, że Ben wygląda na bardzo szczęśliwego, jakby dostało mu się najlepsze miejsce na świecie, i nikt nie zdołałby teraz opuścić go na ziemię.

Znacznie niżej inny chłopiec o włosach jakby pozbawionych

koloru, z małą amerykańską chorągiewką w rączce, wpatrywał się w Bena. Nagle rzucił się do przodu i uderzył Bena w nogę.

- Hej, uważaj - powiedział Honda, wpatrując się w malca.

Chorągiewka chłopca zwisała bezwładnie z patyka. Rachel miała ochotę pochylić się i zacząć nią machać. Zupełnie niezainteresowana paradą matka chłopca zapaliła papierosa i poprawiła na nosie okulary słoneczne. Początkowo Rachel nie zwróciła na nią uwagi, ale w pewnym momencie, gdy ją rozpoznała, poczuła zimny dreszcz. Nogi się pod nią ugięły, w głowie miała pustkę i nagle zdała sobie sprawę, że koniuszki jej palców pachną kolcami jeżozwierza, a włosy wyglądają jak nieprzystrzyżony żywopłot. Wpatrując się w błyszczące od potu, jasne pukle na karku kobiety, Rachel wdychała jej zapach, wyczuwalny poprzez jej własne odurzające perfumy, na które składały się szare mydło i krochmal. Niemal słyszała syczenie żelazka i czuła opór materiału, rozpościeranego na desce do prasowania.

Płonąc ze wstydu, zaczęła właśnie szeptać: „Panno Elizabeth”, kiedy Ben krzyknął niespodziewanie:

- Mamo! Patrz! Konie!

Honda obrócił się i spojrzął na Rachel.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha - powiedział.

To nie duch, pomyślała Rachel. Kobieta odeszła, trzymając chłopca za rękę. Już znacznie dalej, na chodniku wypełnionym przez miejscowych i letników, widziała ich dwie jasne głowy, których ruch świadczył, że szli tak, by o nikogo się nie otrzeć. Zniknęli w tłumie opalonych turystów, ale zanim Rachel straciła ich z oczu, była gotowa przysiąc, że chłopiec odwrócił się i popatrzył na nią, uniósł chorągiewkę i pomachał.

Zdawało się, że słońce w ogóle nie zajdzie. A nawet potem zmierzch utrzymywał się i drażnił, kiedy rakiety wystrzelone po drugiej stronie portu ze świstem wszczynały fałszywy alarm. Po każdym wybuchu Ben patrzył w górę, spodziewając się, że zobaczy na tle nieba wyraźne, jasne dymne smugi, jakie za sobą zostawiały, ale zupełna ciemność zapadła dopiero około dziesiątej wieczorem.

Siedzieli na falochronie owinięci kocami. Honda wskazał palcem na barkę pośrodku portu. Była płaska, toporna, nie pobudzała

wyobraźni, ale przy pierwszej salwie zmieniła się w okręt wojenny, lotniskowiec, całą flotę. Ben czuł zapach prochu, poznał smak deszczu popiołów. Od czasu do czasu woda skwierczała i bulgotała.

Pięć ogłuszających eksplozji zabarwiło niebo purpurą i bielą. Ben słyszał ludzi na przystaniach w Beck's Point. Wspominał smak cynamonowego ciastka i że Ella Mae nazwała go „przystojniakiem”. Gwizdy, brawa, trąbienie klaksonów. Wybuchy następowały po sobie szybciej, grzmoty się wzmogły. Gwiazdy gęsto upakowane na letnim niebie mieszały swój blask z fajerwerkami, migotały i rozmywały się, aż wreszcie Ben nie mógł ich odróżnić od sztucznych ogni.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Woody stał oparty o poręcz na werandzie, palce zdrowej nogi oparł o słupek.

- Wszystko tu przegniło.

Trawa nadal skrzyła się od rosy. Na plaży stróże zbierali puste butelki i wypalone zimne ognie z poprzedniej nocy. Woody stał z matką i malarzem. Dom wznosił się nad nimi na dwa piętra - cztery, jeśli liczyć wieżyczkę i półpiętro sutereny, gdzie mieściła się kuchnia i pokoje służby.

Bolała go noga. Ból niemal zupełnie zanikał, a potem wracał z głęboką artretyczną zajadłością. Nie chciał tu być, nie chciał przyjeżdżać. Z każdym mijającym latem wymagało to od niego coraz większego wysiłku. Jazda pociągiem. Kąpielówki. Elizabeth martwiła się jedynie zaproszeniami i ubraniem. „Proszę, Woody. Spróbuj”, mówiła.

W końcu jechał. Elizabeth i jego matka to fatalna kombinacja. Nie było sensu podważać ich przekonaniem, że przyjaciele za nim tęsknią, że dom potrzebuje jego ręki, że to dla dobra Rory'ego. Musiał się zgodzić. Jego małżeństwo, które nigdy nie było zbyt udane, znalazło się w fazie wyjątkowych napięć. Poza tym parne lato w St. Louis nie przynosiło nic poza pogorszeniem zdrowia.

Malarz podrapał się po głowie. W rękę trzymał filiżankę. Powiedział, że zima była fatalna, więc jej skutki zupełnie go nie zaskakują.

- W środku też, pod lodówką i pod większością wanien - powiedziała pani March.

Woody westchnął. Mimo zespołu ludzi doglądających rezydencji

ryny pordezwiwały i kruszyły się. Farba puchła i odłaziła płatami. Szyby w niektórych oknach popękały.

- Powinniśmy go zburzyć - powiedział i odwrócił się, zanim matka zdążyła mu przypomnieć, że to jej dziadek zbudował ten dom. „Pomyśl, co to znaczy”, dodałaby na pewno.

- A Rory? - zapytała, patrząc na jego plecy.

- Pójdzie z torbami, próbując go utrzymać w jakim takim stanie.

Poza tym niewiele zostanie z banku, którym Rory mógłby zarządzać. Aktywa malały, pożyczki stawały się coraz mniej opłacalne. Woody nigdy nie radził sobie najlepiej z podejmowaniem decyzji. Te zaś, które podejmował, najczęściej okazywały się chybione.

Zapatrzył się na port, ale trudno było mu się skoncentrować, właściwie nic go nie obchodziło. Ból powoli obejmował mu podstawę czaszki. Nim dzień dobiegnie końca, Woody będzie marzył o śmierci.

- Gdzie jest Elizabeth? - zapytał, zaskoczony rozdrażnieniem w swoim głosie. Czy ona rzeczywiście nazwała go dziś rano „żałosnym człowiekiem”? A może „godnym pożalowania”? „Popatrz tylko na siebie. Myślałam, że już z tym skończyłeś” - powiedziała, kiedy przytąpała go w łazience.

Jednak morfina zawsze zwyciężała.

- Cholera - odezwał się malarz - te stare domy! Niektóre mają tak spaczony podłogi, że niedobrze się robi na sam ich widok.

- Opowiada pan bzdury - włączyła się pani March. - Ten dom został solidnie i porządnie zbudowany. Nasza rodzina ma go od zawsze.

- Grzyb - odpowiedział malarz. - Wszystko przez grzyb.

Woody zaczął stukać łaską w poręcz. Rory był na górze, dochodził do siebie po fajerwerkach. Słabowite dziecko. Blade. Oglądali pokaz z końca przystani. Siedzieli w namiocie. Woody usiłował cieszyć się widokiem, ale huk sprawiał, że aż zrywał się w środku. Czekanie bez końca na to, co ma nastąpić, bolesne wspomnienie eksplozji bomb. Zawsze już będzie nienawidził ogni sztucznych.

- O, tu jest! - zawołała matka radośnie, widząc jego żonę w spodniach koloru limonek. - Elizabeth! Usiłujemy podjąć decyzję.

- W jakiej sprawie?

- Koloru farby - odpowiedziała pani March.
- I czy warto sobie tym zwracać głowę - dodał Woody.

Elizabeth wzruszyła ramionami. Włosy miała zaczesane do tyłu i przewiązane nad czołem białą jedwabną opaską, oczy ukryła za słonecznymi okularami.

- To twój dom, Woody - powiedziała.

Kłótnia z nią nie miała sensu. Zaraz po ślubie poszedł do niej, ona sączyła martini, paliła papierosa i powiedziała: „Nie”. Dobrze wiedziała, że on tak naprawdę jej nie chce. Elizabeth zawsze postępowała słusznie, tak jak zawsze postępowała słusznie jego matka. Chciał się napić tej ich słuszności, skropić nią czoło i zyskać błogosławieństwo.

- Golf? - zapytał.
- Co?
- Czy idziesz grać w golfa?

Wyobraził sobie, jak umieszcza piłkę na podstawce, robi zamach kijem, a trener kładzie jej jedną rękę na brzuchu, drugą na ramieniu i mówi: „O tak, pani March. Ruch zaczynamy od biodra”.

- Właściwie to czekam na Rory'ego - odpowiedziała. - Wybieramy się razem do miasta.

- Tylko nie pozwalaj mu jeść krówek, dobrze? - odezwała się na to pani March. - Znowu będzie po nich chorował. - Obróciła się do malarza, jakby to była jego wina. - Nigdy nie było tu czegoś takiego jak sklep z krówkami. To przez turystów. Od końca wojny.

Elizabeth nasunęła okulary na opaskę. Policzki miała zaróżowione, oczy jej błyszczały.

- Chartreuse - powiedziała.
- Co?
- Pomalujcie to w kolorze likieru chartreuse. Dzięki temu sąsiedzi będą mieli o czym mówić.
- Nie żartuj - zaczęła pani March.

Rory w zbyt obszernych krótkich spodenkach zszedł po schodach. Woody, patrząc, jak żona bierze syna za rękę i rusza w kierunku chodnika, postanowił zadzwonić do doktora Harbisona z prośbą o kolejną receptę. Bryza wzbijała do góry kropelki wody z grzyw fał na końcu zatoki. „Powinienem iść popływać. Minęło już tak wiele czasu”, powiedział do siebie Woody.

- Żartowała, prawda? - zapytał malarz. - Chodzi mi o kolor farby.

Woody czuł się śmiertelnie zmęczony. Potrzebował odpoczynku. Elektryk i hydraulik mieli przyjść po południu, żeby porozmawiać o ciekących ubikacjach i dodatkowych gniazdkach elektrycznych. Woody zastanawiał się, jakby było, gdyby płynął i płynął, aż do chwili, kiedy nie mógłby wykonać następnego ruchu. Opaść pod powierzchnię i patrzeć na ciemniejące światło.

- Na biało - powiedział do malarza, unosząc do góry łaskę. - Zawsze malowano ten dom na biało.

Rachel rozpakowywała paczkę z króliczymi łapkami. „Przynoszą szczęście”, powiedział jej Honda. Pal tytoń przy pełni, żeby kuku-rydza dobrze rosła, powieś chwytnacz snów nad łóżkiem, żeby mieć przyjemne myśli. Ale i tak nie ma nic lepszego na szczęście niż królicza łapka.

Zafascynowana tym Rachel wzięła do ręki odciętą łapkę zwierzęcia, ufarbowaną na ohydny różowy kolor, pogłaskała się nią po policzku, dotknęła nią czoła, piersi i ramion z wiarą, że przyniesie jej to odmianę losu.

- Przepraszam?

Nie usłyszała dzwonka przy drzwiach. Rachel obróciła się. Zaparło jej dech. Od wielu dni miała nadzieję, że uda się jej choćby zobaczyć pannę Elizabeth. A teraz pewna Elizabeth była tutaj, trzymała za rękę chłopca. Przez chwilę Rachel nie mogła wydobyć głosu. Zzerała ją ciekawość. Zaciśnęła mocniej w dłoni króliczą łapkę, wlepiając wzrok w kobietę. Jak nic, weźmie mnie za idiotkę, pomyślała.

Panna Elizabeth uśmiechnęła się. Jeśli coś można było o niej powiedzieć, to na pewno, że zrobiła się ładniejsza, choć może trochę zeszczuplała. Miała ze sobą torebkę, która wyglądała jak koszyk. Na rękę pierścionek z dużym niebieskim kamieniem. Rachel czekała na słowa: „Och, to ty!” ale panna Elizabeth patrzyła na nią obojętnie, jakby nigdy wcześniej się nie widziały. To pewnie przez moje włosy, pomyślała Rachel. A może panna Elizabeth nigdy tak naprawdę się jej nie przyjrzała i zwracała uwagę jedynie na dłonie, które podawały jej papierośnicę i zabierały pustą filiżankę po herbacie.

Chłopczyk pociągnął matkę za dłoń.

- Mamo!



- Syn zamęcza mnie prośbami o pióropusz. - Ponieważ Rachel nie odpowiedziała, Elizabeth mówiła dalej: - Rozumie pani, takie coś z piór. Dowiedział się od kogoś, że tutaj można to kupić.

- Czy to pani syn? - zapytała Rachel. Jej głos wydawał się dochodzić z daleka. Jakże idiotycznie brzmiał!

- Nie widać tego po nim, prawda? - Elizabeth nadal się uśmiechała. - Powinien troszkę się opalić.

- Jego oczy... - powiedziała Rachel, widząc w chłopcu Woody'ego, tak samo, jak widziała go w oczach Bena.

- To alergja.

- M a m o ! - zawołał chłopak i pociągnął ją tak mocno za ramię, że Rachel myślała, iż Elizabeth krzyknie.

Panna Elizabeth jednak wzruszyła ramionami i teatralnie wzniosła oczy w górę. Rozejrzała się po sklepie.

- To nowy sklep, prawda? Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałam. Biję na głowę sklep wielobranżowy.

Rachel się ręce trzęsły, kiedy wyjmowała kilka pióropuszy z celofanowych opakowań i rozkładała je, jeden po drugim, aż utworzyły na kontuarze istną tęczę z piór.

- Piękne - powiedziała panna Elizabeth. - Naprawdę coś warte tego uwagi. - Wyjęła z torebki salema i zapaliła.

Chłopiec przesuwając ręką po każdym pióropuszu i kręcił głową.

- Jego był lepszy.

- No, rzeczywiście! - odezwała się jego matka. Szturchnęła go, a potem zaczęła chodzić po sklepie. Dotknęła chwytaacza snów, uderzyła delikatnie w bęben. Zatrzymała się przy skrzynce wypełnionej pudełkami z kory i piór. - Co to?

Rachel stała tak blisko, że widziała ślady szminki na papierosie panny Elizabeth, widziała, jak ta zdejmuje kawałek tytoniu, który przykleił się jej do zęba. Przez moment oszołomienia miała ochotę wziąć od niej papierosa i sama się zaciągnąć.

- Ależ to pracochłonne! - powiedziała panna Elizabeth. - Kto, do licha, ma tyle czasu, żeby robić coś takiego?

- M a m o ! - zawołał znów chłopiec.

Zanim jednak zaczął marudzić, w drzwiach zjawili się Ben i Honda. Panna Elizabeth spojrzała na nich i uśmiechnęła się.

- Och, dzień dobry! To pan sprzedaje drewno. - Wyciągnęła rękę.

Ołśniewa go, pomyślała Rachel, tak samo, jak i mnie oczarowała.

- Pańska żona pokazywała mi te urocze pudełka. Koronkowa robota! Naprawdę.

Honda przeniósł spojrzenie z panny Elizabeth na Rachel. Uniósł brwi, jakby mówił: „Moja żona?”.

- Nie jesteśmy małżeństwem - wtrąciła się Rachel.

- Och - odpowiedziała panna Elizabeth. - Przepraszam.

- Zastanawiałem się, czy mogę mieć twój - odezwał się Rory, klepiąc Bena po ramieniu i wskazując jego pióropusz.

- No cóż, nie.

Rachel zaśmiała się niespodziewanie, trochę spazmatycznie. Honda ponownie na nią popatrzył. Rachel zakryła usta ręką.

- I bardzo dobrze - wtrąciła się panna Elizabeth. - Rory'emu rzadko ktoś się sprzeciwia.

Obaj chłopcy pochylili się nad pudełkiem z grotami do strzał.

Zanim wyszli, panna Elizabeth zdecydowała się kupić pióropusz, maleńką szkatułkę z kadzidłem i parę dziecięcych mokasynów.

- A to co takiego? - zapytała, wskazując na pudełko ozdobione piórami, stojące za ladą.

Rachel wzięła owalną szkatułkę z niebieską czapłą wyszytą na wieczku.

- Właściwie jeszcze nie jest skończone - wyjaśniła. Zastanawiała się, gdzie panna Elizabeth kupiła takie bładozielone spodnie. Miały kolor świeżo skoszonej łąki. - Muszę jeszcze naszyć to i owo. - Niemal wbrew swojej woli zaproponowała pannie Elizabeth, że przyniesie jej to pudełko, kiedy będzie gotowe.

- To byłoby wspaniale - odpowiedziała panna Elizabeth. - Łódź mojego męża nazywa się „Niebieska Czapla”. - Zmrużyła oczy. - Wydaje mi się, jakbym już panią gdzieś widziała.

Rachel spiekła raka, ale panna Elizabeth zdążyła się odwrócić - jej ciekawość była równie nietrwała jak światło na wodzie. Tymczasem Rory wrócił - dziwnie wyglądające, białe dziecko, teraz w pióropuszu na głowie.

- Houk! - powiedział i uniósł rękę.

Panna Elizabeth roześmiała się, Honda aż jęknął. W oddali dzwony na wieży kościelnej wybijały południowe crescendo.

Drzewa dawały korę tylko przez sześć tygodni w roku. Tę wiedzę przekazała Rachel babka. W innym czasie trzeba było ją odrywać, a drzewo przestawało być przyjacielem.

Dziękuję ci, drzewo, że dzielisz się swą skórą, pomyślała Rachel, dotykając dna pudełka. Wyrwała z głowy czarny włos, wzięła do ręki pęczek włókien stewii i obwiązała go nim. Kawałkami nylonowej żyłki zamocowała go na brzegu pudełka. Zapach przypomniał jej dni, kiedy siadywała z babką nad strumieniami, pociągała nosem, a babka powtarzała: „O, właśnie tu!”

A teraz wspomnienia znowu ją opadły. Widziała zieleń spodni panny Elizabeth w młodych letnich listkach, w trawie na łąkach, na powierzchni stawów. Raz lub dwa w zeszłym tygodniu wydało się jej, że ją widzi, idącą chodnikiem i skręcającą za róg, ale kiedy biegła, żeby ją dogonić, nie znajdowała tam nikogo.

Poprzedniej nocy śniła, że znalazła się na tanecznym parkiecie pod kopułą z gwiazd. Czuła dotyk policzka jakiegoś bezimiennego mężczyzny, wdychała zapach jego wody kolońskiej, smakowała martini, które piły z panną Elizabeth jedno po drugim. Muzyka sprawiała, że kołysała się coraz szybciej, aż zauważyła, że jej sukienka staje się ciężka od naszytych na niej szyszek i głośno brzęczących dzwoneczków. Wszyscy stanęli w miejscu i zaczęli się jej przyglądać. Usiłowała przerwać taniec, ale nie mogła. Szemrząc w smudze tworzonej przez srebrne szyszki, obracała się niczym duch uwięziony w ich świetle.

Następnego dnia nie potrafiła skupić się na pracy.

Pudełko zostało ukończone. Ręce się jej trzęsły, kiedy zawiązywała supełek. Nie była to jedna z jej najlepszych szkatulek, ale w sumie wyszła całkiem nieźle. Rachel przesunęła palcami po wieczku, obejrzała dokładnie równiuteńkie piórka. Jej umiejętności znacznie wzrosły. Babka byłaby z niej dumna.

- Co cię opętało? - zapytał Honda, kiedy kolejny raz gwałtownie odwróciła głowę na dźwięk dzwonka przy drzwiach.

Przyjrzał się jej sukience. Była co prawda używana, z drugiej ręki, ale jeszcze w dobrym stanie i nawet modna. Kołnierzyk na przykład. Sposób wszycia spódnicy. Jednak Honda nic nie powiedział. Był bardzo zajęty przez cały ranek, wystukiwał cyfry na kasie, wpisywał sumy w notatniku. Rachel zastanawiała się, czy sklep przynosi dochód. Wszystko na to wskazywało - mieli ciągły przepływ

klientów, w większości dzieci, które kupowały klonowe cukierki, pióropusze i skórzane portfele. Przychodziła też zaskakująco duża liczba letników, kupujących głównie koszyki i pudełka z piórami, czasami pasy wyszywane paciorkami.

Rachel także miała co robić. Wychodząc tego ranka z Hondą, zostawiła Bena nad jeziorem. Nie chciała odpowiadać na jego pytania, nie miała też ochoty tłumaczyć się Marchom z niczego, gdy do nich przyjdzie z synem. Postanowiła iść tam sama, osobiście się przekonać, jak tam jest. Czy pani March pozna dziewczynę, której nadgarstek poperfumowała?

„Bóg błogosławi wszystkim naszym celom, Rachel”.

A tak naprawdę, jaki miała wtedy cel? Rozśmieszać Woody'ego? Spacerować? Tańczyć? Przecież pani March chciała zobaczyć kolory na jego policzkach - cokolwiek - kiedy wydawało się, że był tak bliski śmierci.

Rozległ się gwizd oznajmiający południe. Rachel wstała. Honda odgarnął z czoła włosy, które urosły mu tak, że spadały na oczy.

- Dowiesz się, czy nie potrzebują więcej drewna, dobrze?

Ale Rachel ledwie go słyszała. Opakowała pudełko w szary papier, przewiązała sznurkiem. W głowie miała zamęt, oddech krótki. Kiedy wyszła do Beck's Point, drzwi za nią trzasnęły, zadźwięczał dzwonek.

Dom wymagał odmalowania. W jasnym świetle słońca przypominał twarz staruchy. Rachel stała od strony portu i patrzyła na popękane szyby i zatkałe rynny, w których ptaki uwiły gniazda. Dostrzegła fragment zasłonki w pokoju, zajmowanym niegdyś przez pannę Elizabeth - ten sam drukowany perkal. Czy spali w wielkim łóżku z narzutą w kwiaty? A może w pokoju Woody'ego, z półkami, na których stały dziecięce książki i zabawki?

Postanowiła nie iść do kuchni. Zamiast tego weszła po schodach na werandę. Na blacie wiklinowego stolika wiatr bawił się stronami gazety. Mucha bzycała wokół na wpół zjedzonej kanapki, leżącej na tacy. Przysiadła i podfruwiała. Rachel zapukała do drzwi.

Wszędzie panowała cisza. Usłyszała jakieś głosy, ale dochodziły zza zamkniętych drzwi. Czy powinna zawołać? Przyciskając do piersi pachuszkę, odwróciła się, gotowa odejść. Przychodzenie tu

było szaleństwem. Nie wiedziała nawet, czy Woody jest w domu ani też co mogłaby powiedzieć pani March lub pannie Elizabeth. Czy pamiętają choćby jej imię?

Przyjdę jutro, pomyślała. Albo Honda przywiezie paczkę razem z drewnem.

- Tak? - Drzwi otworzyły się na oścież.

Rachel obróciła się. Oczekiwała widoku Jonaha, ale w drzwiach stała Mandy - Mandy starsza o minione lata.

- Witaj - powiedziała Rachel.

Mandy przyglądała się jej z otwartymi ustami. Rachel miała właśnie powiedzieć o pudełku, kiedy Mandy odezwała się pierwsza.

- Boże, dziewczyno, co się stało z twoimi włosami?

- Z włosami?

- Z warkoczami.

- Obcięłam.

Oczy Mandy zwęziły się.

- Nieważne - powiedziała Rachel i zanim Mandy zdążyła zapytać, po co przyszła, dodała: - Wpadłam, żeby się zobaczyć z panną Elizabeth.

Mandy miała włosy zaczesane do tyłu i spięte w kok pod siatką. Zaczynała tyć, jak jej matka. Rachel zastanawiała się, czy nadal jest taka pobożna. Czy pomodliłaby się za duszę Rachel?

Mandy wyprostowała plecy i wydeła policzki.

- Pani March - powiedziała tonem, jakby poprawiała Rachel - nie ma w tej chwili w domu. - I znowu zmrużyła oczy. - A właściwie po co chcesz się z nią widzieć?

Za Mandy w korytarzu Rachel dostrzegła postać dziewczyny - czy była Indianką? - odkurzającej schody. Zapach cebuli i wosku. Pająk tkął pajęczynę w rogu okna.

- Przyniosłam jej to. - Rachel pokazała paczkę.

- Panie wyszły z domu.

A panicz Woody? Ale Rachel nie spytała. Było to już bez znaczenia. Nie miała tu nic do roboty.

- Dopilnujesz, żeby panna Eliza... pani March to dostała? Bardzo proszę.

Mandy wzięła paczuszkę i potrząsnęła nią.

- Mama mi powiedziała, że się stąd wyprowadziłaś. Zaczęłaś chodzić do szkoły czy coś w tym rodzaju.

- Raczej coś w tym rodzaju - powiedziała Rachel. Po chwili zapytała: - Dlaczego twój ojciec nie otworzył drzwi?

- Nie żyje - odpowiedziała Mandy. - Już od dwóch lat.

Rachel przypomniała sobie ciężkie powieki nad oczami Jonaha, równie nieprzeniknionymi jak u jej wujka Jeddy. Kto teraz podaje Marchom drinki?

- Nie wiedziałam.

- A niby skąd miałybyś wiedzieć?

Rzeczywiście. Rachel zrozumiała, że nie zostanie zaproszona do środka. Życie toczyło się dalej, tyle że bez niej. Mogła wracać do sklepu Hondy.

- Pozdrów ode mnie mamę.

Mandy otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmyśliła się. Skinęła głową i patrzyła za Rachel, która odwróciła się, zeszała po schodach i ruszyła w kierunku chodnika. Po drugiej stronie trawnika Victor przycinał żywopłot. Rachel uniosła rękę, żeby mu pomachać, ale stał odwrócony tyłem. Przeszła więc na drugą stronę domu. Będzie mogła przynajmniej przejść się plażą przy zatoce. Może nawet się wykąpie.

Szła brzegiem kamienistej plaży. Domy na skraju Beck's Point здаwały się na nią gapić, zaciskając usta, oskarżając ją o bezprawne wtargnięcie. W jednej ręce trzymała buty, drugą opędzała się od końskich much. Wkrótce znalazła się na dzikiej i opustoszałej części plaży. Nie było tu miejsca dla dzieci. Ani dla kochanków. Ale wspomnienia krępowwały jej kostki u nóg, przylepiały się do niej niczym piasek.

Przed nią była wydma. Zanim wróci do sklepu, położy się na niej, ukołyszę w jej ciepłe. Zmagając się z osuwającym się piachem, dotarła na szczyt. Trochę niżej jakiś mężczyzna siedział twarzą do jeziora. Zapatrzyła się w niego jak zahipnotyzowana. Najpierw rozpoznała jego kark. Znała tę szyję, jej zapach, linię tętnicy, kręgi. Włosy zdradzały, że był niedawno u fryzjera. Gdyby chciała, mogłaby przytulić się do niego, wypowiedzieć jego imię. Siłą stłumiła w sobie chęć do krzyku.

Można było pomyśleć, że na coś czeka - wpatrywał się przed siebie, jakby widział jezioro po raz pierwszy. Laskę położył sobie na

udach, jakby to było dziecko. Rachel zakryła usta dłonią. Warstwa cirrusów pobieliała niebo. Cień zakrył słońce.

- Witaj - powiedziała, kiedy udało się jej odzyskać głos.

Uniósł głowę i zamrugał oczami. Uśmiechnął się uprzejmie jak do kogoś nieznanego. Zapamiętała go inaczej. Przedtem był szczupły, sama skóra i kości. Ale teraz wydawał się jeszcze bardziej wymizerowany. Powędrowała wzrokiem ku jego rękóm. Potem dostrzegła pulsującą żyłę na szyi przy krtani. Miała ochotę położyć mu głowę na piersiach, poczuć ciepło jego ciała przez koszulę. Chciała dać mu w twarz.

Czekała.

Woody nie widział jej dokładnie. Stojąc na tle mglistego nieba, miała wokół siebie aureolę jak anioł. Odchrząknął, usiadł bardziej prosto, i już miał powiedzieć: „W czym mogę pomóc?” gdy nagle, w jednej chwili, ją rozpoznał.

- Mój Boże! - odezwał się. Usiłował wstać, ale na piasku poruszał się niezdarnie.

- Nie wstawaj, proszę - powiedziała Rachel drewnianym głosem.

I tak by nie zdołał, nawet gdyby chciał. Miał dziwne wrażenie, że przewraca się do tyłu.

- Nie poznałem cię.

- To przez moje włosy.

Niespodziewanie Rachel uklękła obok. Wpatrywała się w jego twarz. Pamiętał ten wyraz nieufności, sposób patrzenia, jakby za chwilę miała się odwrócić i uciec. Nie była wytworem wyobraźni. Ani pamięci. Upajał się jej oddechem, samą jej obecnością. Zamknął oczy, uspokoił zmysły, a myśl o niej stała się powietrzem dla jego płuc. Odetchnął z ulgą, uniósł powieki i zobaczył, że nie odrywa od niego wzroku.

- Powiedzieli mi, że wyjechałaś.

Opadła na piasek i usiadła, ze spojrzeniem wciąż utkwionym w jego twarzy. Zauważył, że Rachel jest boso, jej stopy wydawały się brązowe na tle ascetycznie białego piachu. Najwyraźniej wahała się, dobierała słowa.

- Masz syna - odezwała się w końcu.

- Tak. - Woody zastanawiał się, skąd ona wie o Rorym.

Przede wszystkim jednak chciał wiedzieć, dlaczego tu przyszła.

Miał milion pytań, ale pękły jak bańki mydlane w chwili, gdy o nich pomyślał. Marzył jedynie o tym, by jej dotknąć.

- Wiedziałaś? - Błyskawicznie wysunęła rękę i uderzyła go w policzek. Instynktownie uniósł ramię, kiedy zamachnęła się ponownie.

- Rachel! - zawołał, chwytając jej pięść.

Oddychała ciężko.

- Nie odpisałaś na żaden z moich listów! - W oczach miała złość i łzy. - Nawet się ze mną nie pożegnałaś!

- O jakich listach mówisz?

W sporej odległości od nich jakieś dzieci urządziły sobie wyścigi na plaży i śmiejąc się, biegły do jeziora. Powiała bryza. Cienie wydawały się spłaszczać i niknąć, gdy kolor umykał powoli z nieba. Zacisnęła palce na jej nadgarstku. Włosy Rachel były teraz krótkie. Rozwiewał je wiatr.

- Przecież zostawiłem ci list!

- Mogłeś mnie przynajmniej zawiadomić, że się żenisz - powiedziała Rachel, łkając. Rozdygotanymi palcami dotknęła jego oczu. - Oczy twojego syna mają ten sam kolor.

- Spotkałaś Rory'ego? - Puścił jej rękę.

- Nie... twojego drugiego syna.

Nagle jego świat zawalił się niczym budowla z piasku. Szukał wyjaśnienia w jej oczach, kształcie nosa, policzkach. Zobaczył wszystko w jej nieruchomym spojrzeniu. Znowu nie mógł wypowiedzieć słowa. Cień wokół słońca stał się niemal czarnym twardym pierścieniem, wiatr zmienił kierunek i wiał ku wschodowi. Na plaży dzieci gramoliły się z wody i owijały w ręczniki.

- Pośpieszcie się! - wołała do nich niania. - Zaraz będzie padać!

Trawa rosnąca na wydmie tuliła się do piasku.

Woody odwrócił się tyłem do Rachel, ale ona i tak zapatrzyła się w jezioro. Wiatr rozwiewał jej włosy, wciskał je do oczu. Odgarnęła je i zaczerpnęła powietrza. Pokiwała głową.

- Ben - powiedziała. - Ma na imię Ben.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Rachel wróciła do sklepu i zastała tam Hondę pochyloną ze śrubokrętem nad kasą. Zamknęła drzwi i oparła się o nie. Włosy miała potargane, w butach pełno piasku.

- Jezu - odezwał się Honda, wyciągając splątany kawałek papierowej taśmy. - Nie można liczyć na tej przeklętej maszynie! - Zatrzasnął wieko. - Kasa jest zepsuta, a na dodatek McCready wyjechał i zrobił swoje.

Rachel czuła pulsowanie w nadgarstku, w miejscu, gdzie dotknął jej Woody. Na plaży zaczęło padać. Pomogła mu wstać i ruszyli razem ścieżką. Czy Woody naprawdę płakał? A może to tylko deszcz? Jej sukienka zupełnie przemokła.

- On nie wiedział - powiedziała w przestrzeń, nadal zdziwiona i zła, że żaden z jej listów nie dotarł do Woody'ego.

- Gadaj zdrowa, nie wiedział! - odpowiedział Honda. - Po tylu latach. Ci faceci... wszyscy są tacy sami.

- O czym ty mówisz? - zapytała Rachel.

- A niech mnie diabli! Co ci się stało? - Honda popatrzył na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. Odłożył śrubokręt.

Rachel odgarnęła do tyłu mokre włosy. Jak miała mu powiedzieć, że jej syn ma ojca - żywego?

- Słyszałaś coś z tego, co mówiłem? - zapytał Honda.

Pokręciła przecząco głową.

- McCready - zaczął Honda. - McCready sprzedaje jezioro!

Przez chwilę Rachel nie mogła sobie uprzytomnić, kim był McCready.

- Dwadzieścia tysięcy dolarów! - Honda uderzył pięścią w kontuar.

Rachel rozpoznała pradawny gniew Indian Odawa, prapradziadów, którzy stracili ziemię na mocy oszukańczego traktatu. Przez wszystkie te lata grupa zachowywała się, jakby jezioro było jej własnością. Któż inny bowiem łowił tu ryby zimą w przeręblach, polował w lasach, wychowywał dzieci w skupisku niby-domów, stojących nad jeziorem? Nawet babka Rachel opuściła Moss Village jako dziewczynka, by zamieszkać nad Podkową, już po sprzedaniu plaż. Przedtem Odawa obozowali nad wodą niemal wokół całego jeziora. Płynący kanoe nocą wzdłuż brzegu widział plaże pokryte kropkami ognisk, słyszał pieśni, czuł zapach tytoniu.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała Rachel, myśląc jednocześnie o reszcie ludzi, którzy nie będą mieli się gdzie podziać.

Honda pokręcił głową i zacisnął pięści. Dwadzieścia tysięcy dolarów to ogromna suma, a McCready miał znak dolara wypisany na żrenicach i na pewno nie zejdzie z ceny.

- Chryste! - powiedział Honda. - Hewettowie z Beck's Point planują urządzenie tu jakiegoś ośrodka wędkarsko-myśliwskiego. Nad naszym jeziorem!

Przeklęte jezioro, pomyślała Rachel. Honda potrafił myśleć tylko o nim. Wybawienie tkwi w ziemi, powiedział jej. To ona była kiedyś ostoją sprawiedliwości dla Indian i ona teraz ją przywróci.

Indianie. Rachel niemal splunęła tym słowem. Ludzie bez korzeni, bez miejsca, dokąd mogliby pójść.

- A może sam kupisz jezioro, skoro tak bardzo go pragniesz? - spytała.

Popatrzył na nią, jakby postradała zmysły. Może rzeczywiście tak było. Nie mogła przestać myśleć o Woodym, o dotyku jego długich palców, kiedy złapał ją za rękę.

- Kupić? - odpowiedział. - Myślisz, że na mokasynach i chwytaczach snów można zarobić takie pieniądze?

Rachel rozcierała sobie skronie. Głowa bolała ją od słów. Postanowiła, że jutro pójdzie na wydmy i porozmawia z Woodym. Powiedział, że tam będzie, jak wtedy, wiele lat temu, kiedy spotykali się każdego dnia o trzeciej. Pomówią o życiu, jakie wiedli. Pomówią o Benie. Może zaplanują jakoś spotkanie Woody'ego z synem. Żałowała, że nie może pomóc Hondzie, ale jezioro Podkowa wy-

dawało się jej teraz miejscem bardzo odległym, równie dalekim i niematerialnym jak pamięć.

Przyszła nazajutrz, jak obiecała. Woody zauważył, że jest tak samo ubrana. Miała na sobie tę samą ładną sukienkę, choć z przetartym obrąbkiem. Chciał jej dotknąć, ale usunęła się, unikając dotyku, jakby bała się, że wyparuje od tego jak jego sny po morfinowym oszołomieniu.

Usiedli w zagłębieniu wydmy, zasłonięci przed wiatrem. Rachel podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Woody wyciągnął się na piachu i próbował wygodnie się ułożyć. Nie było to łatwe. Mimo upływu tak wielu lat noga nadal bolała go jak diabli.

- Twoja żona przyszła do sklepu, w którym pracuję - powiedziała Rachel, wpatrując się w odległy punkt pośrodku jeziora. - Czy ona wie, że się spotykamy?

Woody skrzywił się, ale to było uczciwe pytanie. Przypomniał sobie, jak stał z Elizabeth przed ołtarzem, obciągnięte satyną guziki na plecach jej sukni, przywodzące na myśl lśniący groszek. Odurzała go słodki zapach lilii. A może były to róże, które pachniały tak upojnie tamtego dnia?

- Widzisz tę płyciznę? - Wskazał palcem skały. - Jak to daleko twoim zdaniem?

- Nie wiem. - Rachel wzruszyła ramionami. - Łatwo tam dopłynąć.

- No właśnie. Niewielka odległość między tym miejscem a tamtym. Czteryście, może sześćset metrów kanału na tyle głębokiego, że może tam pływać żaglówka. Kiedy byłem dzieckiem, uważaliśmy to za rodzaj sprawdzianu. Chodziło o to, komu uda się ominąć tę płyciznę. Kurs lewą burtą, na zachód, ale jeśli cię zepchnęło, byłeś załatwiony, utykałeś tam. - Spojrzał na nią. - Mój brat był kimś w rodzaju bohatera.

Lip kochał żeglowanie, uwielbiał przeprowadzać łódź przez grzywy fal, bawić się z wiatrem tak, by jak najlepiej go wykorzystać. Unieruchomiony w głębi lądu, musiał nienawidzić tego, że przyszło mu umrzeć na jakiejś szosie w Belgii, z dala od zapachu i mgieł jeziora.

Ale Woody w niczym nie przypominał Lipa. To Lip powinien

wrócić z wojny, to on powinien zarządzać bankiem. Taki był plan. Znał się na prowadzeniu banku, próbował nawet, i to z niejakim powodzeniem, wyjaśnić Woody'emu, na czym polegają dywidendy, kapitał, dochody i wydatki, tłumaczył wszystko tak klarownie, jakby mówił o seksie, i zmusił Woody'ego do złożenia przysięgi, że nigdy nie sprzeda swoich udziałów.

Woody'ego jednak to w ogóle nie obchodziło. Zawsze mieli mnóstwo pieniędzy. Wystarczyło, że zadzwonił do swojego człowieka w banku. Nie dbał o majątek, po prostu czasami czegoś potrzebował. Na przykład książek. Prezentu dla Elizabeth. I było tak do chwili tuż po ich zaręczynach, gdy Chinnery, wiceprezes, wezwał go do siebie.

„Sam rozumiesz, wszystko sprowadza się do kredytu” - powiedział zza ogromnego biurka. Woody siedział naprzeciw niego, z marynarską czapką w rękę, w nieskazitelnie wyprasowanym mundurze. Lip był już wtedy od roku na wojnie. Chinnery mówił dalej, na jego świecącym nosie pobłyskiwały okulary. „Chociaż masz więcej, niż potrzeba, musisz to zachować. To znaczy kapitał. Rdzeń, korpus, że tak powiem. Dla twoich potomków”.

Korpus. Ciało. Zwłoki.

Dwa tygodnie później przyszedł telegram. Nazwano to bitwą o Ardeny. Tysiące poległych żołnierzy, ale tylko jeden się liczył.

Lip.

- Udało mu się przepłynąć?

- Nie rozumiem? - zapytał Woody, wstając.

- Twojemu bratu? Czy udało mu się przepłynąć?

- Nie tylko. Uderzył dziobem, ale zdołał utrzymać kurs, mimo że w pobliżu płynęły trzy inne łodzie.

- Moim zdaniem miał po prostu szczęście.

- Nie - odpowiedział Woody. - Był bohaterem. - Czuła na sobie jej wzrok. - Ja nie jestem bohaterem, Rachel. - Usiłował wyczytać coś w jej oczach, ale wydawały się obojętne. Znów spróbował jej dotknąć.

- Nie - powiedziała. - Ślubowałam.

Odwrócił spojrzenie.

- Nie wiedziałem, że jesteś religijna.

- Myślisz, że tylko o to chodzi? - Rachel pokręciła głową. Trzeba było widzieć te wszystkie dziewczęta, powiedziała mu, przychodzące

po pomoc do Ady i Bliss, jedna po drugiej. Wtedy złożyła śluby, obcięła warkocze.

Woody nie potrafił jej za to winić, naprawdę. Kiedy wszystko zostało powiedziane i zdecydowane, sama wychowała syna.

- Twój syn - odezwał się i ponownie spojrzął na zatokę, gdzie trzy żaglówki ścigały się, płynąc z wiatrem. - Nasz syn. Mówiłaś, że lubi łodzię?

Tego wieczoru Woody siedział z matką i Elizabeth na werandzie od strony zatoki.

- Powinniśmy przyciąć drzewa - odezwała się Elizabeth.

- Mówię o tym od lat - powiedziała matka, lekko pry-chając.

- Ściąć drzewa, wybrukować drogę... - wymamrotał Woody.

Zatoka przybrała odcień gorejącego błękitu, jaki zwykle pojawiał się pod koniec słonecznego dnia. Teraz, kiedy Jonah nie żył, Drinki przyrządzał Woody - dla Elizabeth jak zwykle gibsona, sherry dla matki. Jego martini stało na stole nietknięte.

- Chcę wziąć „Niebieską Czapkę” i zniknąć na kilka dni - prze-rwał ich nudną rozmowę o niczym. - Od lat nie wypływała.

- Woody! - Matka niemal rozlała sherry.

Widać było, że jest zadowolona. Przez chwilę czuł się zakłopotany, jakby niespodziewanie ogłosił, że zacznie grać w polo. Elizabeth popatrzyła na niego tak jak zawsze - jakby obok, ukradkiem, sprawdzając, czy trzęsą mu się ręce.

Odchrząknął i dodał:

- Rory trochę by się opalił.

- Rory nie znosi wody - zaprotestowała Elizabeth.

- Mógłby się przełamać.

- Ma chorobę morską.

- Zbyttnio na niego chuchasz, Elizabeth.

Matka na pewno się z nim zgadza! Zawsze krytykowała sposób, w jaki Elizabeth wychowywała jej wnuka.

- Co ty na to, mammo?

Matka odchyliła się na oparcie i odetchnęła głęboko. Wykrzywiła usta, jakby sherry była skwaśniała.

- Czujecie ten zapach? - zapytała.

Woody rozłożył ręce, zrezygnowany. Nic dziwnego, że ojciec tak mało czasu spędzał w domu, woląc zostać w biurze albo w klubie.

Ale rzeczywiście w powietrzu czuło się coś słonawego, przyprawiającego o mdłości.

- Jestem przekonana, że tego lata znowu będziemy mieli wysyp ałozu.

Dwa razy w ciągu ostatniego dziesięciolecia woda wyrzucała na brzeg całe ławice - nieubłagany wieloletni cykl mordował nieprzeliczoną populację maleńkich rybek właściwie bez widocznego powodu.

- Boże - powiedziała Elizabeth. - Nie możemy przejść do środka?

Na słabo widocznym przeciwległym brzegu Woody dostrzegł nikię światełka Chibawassee, gdzie Żydzi z Chicago spędzali wakacje. Dawniej było tam pole golfowe. Wiele lat temu. Ojciec i kilku innych panów gościli kiedyś u członków klubu z Chibawassee. Zagrali w dwie pary, a później ojciec zaprosił ich na obiad. Pokazał potem nowym znajomym swoje żeglarskie trofea. Woody zapamiętał zapach cygar i zastanawiał się, czy ojciec także palił.

- Nic z Nowego Jerku, Charles? - zapytał jeden z Żydów. - Tylko z Wielkich Jezior?

- Wolę żeglować po jeziorze Michigan - odpowiedział ojciec swobodnie.

- Naprawdę? - zdziwił się mężczyzna. - Jeśli o mnie chodzi, wolałbym puchar nowojerskiego jachtklubu.

Po ich wyjściu matka otworzyła wszystkie okna, żeby pozbyć się dymu z pokoi. Przez całe lata rodzice Woody'ego śmiali się z „jachtklubu w Nowym Jerku”. Opowiadając tę historię, matka nieodmiennie mówiła o strasznym smrodzie cygar.

- Nie można przed tym uciec - powiedział Woody do Elizabeth, ale ona i tak już się podnosiła.

- Och, Woody - odpowiedziała. - Zawsze można spróbować.

Ben czekał, trzymając matkę za rękę. Powiedziała mu, że nauczył się żeglować, dlatego przez ostatnie kilka dni wyobrażał sobie, jak odczuwa się wtedy wiatr i zacinające krople zimnej wody. Czy łódź będzie się wznosiła na falach i opadała? Czy będzie nią kołysała na boki?

Teraz stali na wielkim pirsie w mieście. Silny powiew wiatru sprawił, że zacumowane łodzie zmieniły pozycje. Te, które zakotwiczono, jęczały, obijały się o siebie, napinały łańcuchy. Rachel usiłowała przygładzić włosy, ale kosmyki wymykały się spod jej dłoni i falowały wokół głowy.

- Już niedługo - powiedziała, obserwując port.

Liny zwisające z masztu wielkiego jachtu, cumującego na końcu przystani, wydawały klekoczący odgłos. Chłopiec wpatrywał się w szczyt masztu i zastanawiał, czy potrafiłby wspiąć się na niego, ale w tym momencie matka mocniej ścisnęła go za rękę.

- Spójrz!

Motorówka podpływała do nich wolno z warkotem silnika, wypuszczała kłęby spalin. Mężczyzna, który w niej siedział, miał krótkie czarne włosy.

- Ahoj! - zawołał, podpływając do przystani.

Matka Bena roześmiała się, a on popatrzył na nią, nie bardzo wiedząc, co widziała w tym wesołego. A może ten mężczyzna nie był żeglarzem. Może w ogóle tak naprawdę nie mieli nigdzie żeglować, lecz jedynie popłynąć motorówką.

Nieznajomy wyciągnął rękę. Ben musiał ją chwycić, żeby zejść po stopniu. Łódka obijała się lekko o przystań.

- Wchodź na pokład - powiedział mężczyzna.

Ben spojrział na Rachel, która kiwnęła głową w stronę łodzi.

- No, dalej - powiedziała. - Przecież masz na to ochotę. - A kiedy Ben wziął przybysza za rękę, dodała: - To jest pan March.

- Cześć - powiedział Ben. Usiłował cofnąć dłoń, ale pan March trzymał ją mocno i patrzył na Bena, jakby chłopak był co najmniej prezentem urodzinowym.

- Jest do ciebie bardzo podobny - odezwał się do Rachel, puszczając rękę Bena i odwracając się, żeby pomóc jego matce.

- O tyle, o ile. Przyjrzyj się jeszcze raz.

Odpychając motorówkę od przystani, pan March zawrócił do portu. Płynęli w stronę Beck's Point. Wiatr rozwiewał zapach spalin z silnika Diesla. Dziób rozcinał wodę, tworząc na falach postrzępione na biało V.

Ben wskazał palcem zakotwiconą smukłą niebieską łódź, kołyszącą się na falach.

- To twoja łódź? - zapytał.

- To „Niebieska Czapla” - odpowiedział pan March. - Popłynię z nami Hank ze sklepu z łodziami. Będzie pomagał. - Obrócił się do Rachel. - Postanowiłem też zabrać Rory'ego.

Rachel siedziała na rufie. Ben jeszcze nigdy nie widział u niej tak sztywno wyprostowanych pleców. Włosy matki zdawały się żyć własnym życiem, tańczyły na wietrze we wszystkie strony. Zastanawiał się, czy to woda ją przeraża, czy też wyraz jej twarzy świadczy o czymś innym. Jej sukienka wydawała mu się w jakiś sposób nieodpowiednia. Czy nie powinna włożyć spodni? Ostatnio zaczęła także malować usta. Nawet Honda to zauważył.

- Pierwszy raz na łodzi, co? - spytał March, spoglądając na Bena.

Chłopak nie odpowiedział. Od zawsze czekał na chwilę, kiedy znajdzie się na jeziorze i pomknie po wodzie. Co z tego, że nigdy nie pływał łodzią - w wyobraźni przeżył to tysiące razy, co z pewnością miało jakieś znaczenie.

Podpłynęli do niebieskiego kadłuba. Żagle objęły się zaciekle o maszt. Zza burty wychylił się człowiek o opalonej twarzy i wyciągnął rękę.

- To Hank - wyjaśnił pan March.

Ben pozwolił mężczyźnie wciągnąć się na pokład. Potem weszła matka, a na końcu pan March, który przedtem przywiązał motorówkę do boi.

- W porządku? - spytał Hank, obejmując pana Marcha. Ben zauważył, że pan March chodzi sztywno, skrzywił się, gdy stawał na pokładzie, a kiedy przekładał nogę nad poręczą, musiał ją podtrzymać ręką.

- Rory - powiedział pan March do jasnowłosego chłopca. - Chodź tutaj.

Rory siedział w kokpicie, obejmując ramionami kolana. Miał na sobie pomarańczową kurtkę i wyglądał trochę na dziwnie naburmuszonego. Patrzył w przestrzeń, jakby wolał być na brzegu.

- Rory? - odezwał się pan March. - To jest panna...

- Mów do mnie Rachel.

Tym razem chłopak nawet na nią nie spojrzął, skinął jedynie głową, jakby resztę ciała miał sparaliżowaną. Jednak dla Bena nie miało to najmniejszego znaczenia. Ważne było tylko to, że znalazł



się na łodzi, pośrodku portu, wiał odpowiedni wiatr i za chwilę mieli wypłynąć.

Rachel ciągle nie mogła wydobyć głosu. Wydawało się jej, że to wszystko sen - Łódź, jezioro, Woody. Na motorówce Woody wyciągnął rękę i Ben ją ujął. A teraz byli razem na jeziorze. Patrzyła na ojca, na syna, widziała jednego w drugim. Musiała odwrócić wzrok. Żałowała, że nie wzięła ze sobą opaski. Wiatr rozwiewał jej włosy. Nagle poczuła się zmęczona, jakby nie spała od wielu lat. Opłynęli koniec cypla. Uświadomiła sobie, że nigdy nie widziała Beck's Point od tej strony, że domy z takiej odległości wydają się znacznie mniejsze. Niemal czuła zapach gotowanych ziemniaków, kulek naftalinowych i perfum o zapachu bzu na komodach starych kobiet.

Hank zawołał, że czekają ich silne podmuchy wiatru. Rachel kurczowo uchwyciła się wciągarki. Łodzią rzuciło do góry. Ben się roześmiał. Rory wyglądał na chorego. Rachel żałowała go przez chwilę. Widziała wyraźnie, że Ben jest krwią z ich krwi i kością z kości - miał niebieskie oczy Woody'ego i jej miodową skórę Odawa. Drugi chłopiec robił wrażenie pozbawionego życia, jak drzewko, które usycha, zanim dorośnie.

Woody wyjaśniał obu chłopcom - a tak naprawdę Benowi - zasadę działania żagli, jak je ustawiać, że kiedy wiatr wieje z jednej strony, trzeba zrobić to i to, a kiedy z drugiej, należy je inaczej ustawić, a jeśli się tego nie zrobi, stanie się coś takiego a takiego.

- Nie powinieneś tego dotykać - powiedział Rory do Bena, który zaczął ciągnąć linę.

Łódź opadła dziobem w dół i nabrała wody Rachel krzyknęła. Rory złapał się mocno siedzenia. Ale Ben się śmiał, i Woody roześmiał się także, bo Ben wyglądał na bardzo szczęśliwego.

- Miałem brata takiego jak ty - powiedział Woody do Bena, znów wskrzeszając dawno zmarłego bohatera.

Zanim jednak Rachel zdążyła się wtrącić ze słowami: „Przeستاń. Mieszasz mu tylko w głowie”, Ben zawołał do Rory'ego:

- Często pływasz?

Rory skinął głową i zmusił się do nikłego uśmiechu.

- jasne - odpowiedział. - Ciągle. Widzisz tamten dom? - Wskazał ogromny biały budynek na końcu Beck's Point. - Jest nasz.

- To co?

- Ma dwanaście sypialni!

Ben nie odpowiedział. Rachel współczuła chłopcu. Wyglądał tak niezdrowo, a Woody prawie nie zwracał na niego uwagi. Nawet Hank przechodził obok niego, jakby chłopiec był jedynie częścią wciągarki.

- Ojej! - wtrąciła się. - To bardzo wiele łóżek do posłania.

Rory utkwiał w niej wodnistoniebieskie oczy, policzki lekko mu się zaróżowiły.

- Tak - odpowiedział powoli. - Ale my sami ich nie ścielimy.

Łódź uderzyła dziobem o falę, rozbryzgując wodę na boki i do góry.

- Czy któryś z was, chłopcy, ma ochotę stanąć za sterem? - zapytał Woody.

- Nie - odpowiedział Rory, ale Ben niemal wskoczył Woody'emu na kolana.

Rachel poczuła szczypanie w oczach. Wmawiała sobie, że to z powodu wiatru, słońca, wszystkiego, byle nie wdzięczności i poczucia utraty, które ogarnęły ją niczym fale przypływu. Ben trzymał teraz koło sterowe, a Woody otoczył go ramionami i pokazywał, jak obierać kurs, powtarzając: „Patrz na żagle, Ben. Obserwuj pogodę”.

- Kto cię nauczył żeglowania? - zapytał Ben, spoglądając na Woody'ego.

Woody utkwiał spojrzenie w horyzoncie.

- Ojciec - odpowiedział po jakimś czasie.

Żaglówka śmigała przez fale. Znajdowali się teraz pośrodku zatoki, domy na brzegu stały się ledwie widoczne. Zielone wzgórza, od czasu do czasu łacha wydmy.

- Przygotować się do zwrotu przez sztag! - krzyknął Woody.

Rachel spostrzegła, że wiele wysiłku kosztuje go utrzymanie równowagi. W którymś momencie omal go nie podtrzymała, ale zaraz pomyślała o Rorym i odsunęła się.

Hank wskoczył do kokpitu, odwiązał linę od knagi, przeskoczył na drugą stronę i zaczął kręcić jak oszalały korbą wyciągarki. Nadal trzymając Bena, Woody obracał koło sterowe. Żagle przesunęły się nad pokładem. Ben aż krzyczał z zachwytu.

- Poluzuj, Hank! - zawołał Woody.

Żagle zwiotczały, wiatr przycichł. Zrobiło się znacznie ciszej,

kiedy wracali ku brzegowi. Przechwytnjąc się fali, żaglówka rzuciła się do przodu.

Rachel popatrzyła na Roryego, który zrobił się zielony.

- Woody, masz na pokładzie coś do picia? - zapytała.

- Co mamy, Hank?

- Coś gazowanego. Chcecie, chłopcy?

- Moim zdaniem to znakomity pomysł - powiedziała Rachel, wskazując głową na Rory'ego.

Woody był szczęśliwy. Odgarnął włosy z mokrej od wody twarzy. Przy kursie na lewą burtę mógł, wspierając się na zdrowej nodze, usiąść na nawietrznej, choć z zawietrznej lepiej było widać żagle. Ojciec go tego nauczył. Powiedziałyby: „Popatrz na lik. Wykorzystaj wiatr. Widzisz, jak zmienia się zanurzenie? Tego ci właśnie trzeba”.

Ben wpatrywał się w żagle, studiował je. Jego spojrzenie wędrowało od szekli do szekli, kiedy usiłował zrozumieć, jak to wszystko działa. On to widzi, pomyślał Woody. Widzi, na jakiej zasadzie wiatr porusza łódź.

Rachel siedziała z wyprostowanymi plecami, niemal sztywno. Chciał jej dotknąć, ale wiedział, że odtrąci jego dłoń.

„Masz syna”, przypomniałyby mu. „Masz żonę”.

Woody marzył o tym, żeby jej powiedzieć, że nie tknął żony od wieków, ale wydało mu się to wulgarne, nawet wobec dziewczyny, która - choć działo się to przed bardzo wieloma laty - sprawiła, że zaczął wierzyć w istnienie nadziei.

Ale tak naprawdę nadzieja nie istniała. Nie można przecież uciec ze służącą Indianką.

- Dobrze się czujesz, Rory? - zapytał.

Rory skinął głową, choć nieruchomy wzrok miał utkwniony gdzieś w przestrzeni.

Woody przypomniał sobie niecierpliwość własnego ojca na widok jakiegokolwiek słabości, a teraz musiał zwalczyć podobną niechęć w sobie. Ile razy był porównywany z Lipem? „Popatrz na brata. Powinieneś być odważniejszy, Woody”, powtarzał ojciec. Ale odwaga jakoś do niego nie pasowała. Łatwiej było ustępować, robić to, co każe matka.

- A więc - odezwał się do Bena. - Twoja mama powiedziała mi, że ćwiczysz do konkursu?

- Tak - odpowiedział Ben, trochę zadyszany. Miał zamiar zostać tancerzem, wykonującym taniec zaklinaczy w rytm bębnow.

- Czy to ma coś wspólnego z Indianami albo coś w tym rodzaju? - zapytał Rory, który przestał być już tak zielony. Pił colę.

Tego ranka Woody był surowy dla Roryego, wykrzykiwał szczerliwie polecenia. „W taki sposób wiąże się sznurek, Rory. Nie linę! Linę! To jest węzeł. Tak, przełóż tutaj! Na rufę, nie na dziób!”. Wspomniał mu jedynie mimochodem, że zabiorą na łódź chłopca, którego Rory poznał w indiańskim sklepie. Rory popatrzył wtedy na niego, jakby uważał, że ojciec oszalał. Traktował Bena z coraz większą pogardą, choć już wcześniej zachowywał się wobec niego protekcjonalnie. Woody dostrzegał to w swoim synu, podobnie jak w innych członkach ich sfery - udawane zainteresowanie, przesadną uprzejmość.

- Popatrz - powiedział. - Widzisz? Tam, gdzie załamują się fale? To skały, które widać z daleka, z naszego domu.

Spomiędzy drzew wyłaniał się dom Marchów. Woody był niemal w stanie odróżnić sylwetki Elizabeth i matki, stojących na werandzie.

- Kiedy opływasz tamto miejsce z bliska kursem zachodnim - mówił - może cię czasami trochę popchnąć. Wiatr rozbija się o cypel i zmienia kierunek.

- Co to oznacza? - zapytał Ben.

- Ścigałeś się kiedyś i pobiegłeś po wewnętrznym łuku? Im więcej zetniesz, tym mniejszy dystans masz do pokonania. To samo dotyczy łodzi.

- Ale to przecież oszukiwanie?

- Nie - odpowiedział Woody. - Oszukujesz tylko wtedy, gdy zboczysz trochę z kursu i poprowadzisz łódź dnem po mieliźnie.

Przez chwilę obaj wpatrywali się w grzywy fal, rozbijające się o brzeg.

- Udało ci się to kiedykolwiek? - spytał Ben.

Woody pokręcił przecząco głową.

- Byłem na łodzi, kiedy dokonał tego mój brat. Musi wiać idealny wiatr. W każdym innym wypadku przyszpili cię do dna. W ten sposób można nawet stracić kil.

Ben skrzyżował ręce na piersi i zapatrzył się w dal.

- Nie wygląda zbyt groźnie - powiedział po chwili.

Woody roześmiał się.

- Rzeczywiście nie wygląda, prawda? Popłyniemy jeszcze kiedyś, to dam ci szansę spróbować.

- A jeśli zaryje w dno? - zapytał Rory.

- Hank nas z tego wyciągnie, dobrze mówię, Hank?

- Holowałem z tych cholernych skał tyle łodzi, że nawet nie umiem ich policzyć - odpowiedział Hank.

Rachel wyglądała na zaabsorbowaną własnymi myślami. Z zacisniętymi ustami wpatrywała się w posiadłość Marchów. Wzrok Woody'ego podążył za jej spojrzeniem. Teraz już wyraźnie widział dwie kobiety przy poręczy. „Niebieska Czapla” płynęła blisko brzegu. Będą musieli postawić kliwer, żeby minąć to miejsce.

- Wiedziały, że nas zabierasz?

Nie odpowiedział.

- Podciągnij żagle, Hank. Halsujemy. Schylić głowy!

Bom z jękiem przesunął się nad pokładem, po czym zawisł luźno z głośnym trzaskiem. Przez sekundę łódź kiwała się na falach, po czym przechyliła się na sterburtę.

- Mocuj!

Woody z trudem przeszedł na drugą stronę kokpitu i skierował łódź w prawo, na środek portu. Matka całymi latami usiłowała go zmusić do powrotu na żaglówkę. Skoro miał ochotę przewieźć jakiegoś dzieciaka z miasteczka, to co? Zawsze mógł powiedzieć, że to taki rodzaj dobroczynności - coś, co potrafiłaby zrozumieć.

Ben przeszedł teraz na dziób. Woody'emu ponownie przypomniał się Lip. Chłopiec miał potargane włosy.

Mogą znowu wypłynąć. Woody był tego pewien. Tak właśnie powinien postępować ojciec. Nauczyć syna, jak zachowuje się wiatr, zapoznać go z językiem fal na wodzie. Woody znał tę zatokę jak nikt. Nauczy chłopaka żeglować.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Woody oparł się o komodę matki. Patrzył przez okno jej pokoju na zatokę, błyszczącą w porannym słońcu. Tego lata woda przy rafach była płytsza. Stado mew przysiadło na skałach, ale z tej odległości wyglądało to tak, jakby stały na wodzie. Od dwóch tygodni Woody zabierał Rachel i Bena na „Niebieską Czapkę”. Przecinali razem tafłę jeziora niemal po horyzont i z powrotem. Nigdy wcześniej nie spędzał w Beck's Point więcej czasu niż tydzień, najwyżej dwa. Teraz jego pobyt rozciągnął się do miesiąca.

- Co to za ludzie, z którymi żeglujesz? - zapytała go matka. Siedziała przy biurku. - Jestem ciekawa.

Czemu matka upierała się przy takich akurat zastłonach? Były jak wszystko w tym domu - stare i zniszczone.

- Woody?

Nie dalej jak wczoraj Elizabeth skomentowała wypłowiałe obicia mebli, ale matka i tak twierdziła, że są w doskonałym stanie. Przecież sprowadzono je tu aż z Chicago.

- Co takiego? - Woody wyprostował się.

- Przyglądałam ci się któregoś dnia przez lornetkę. Czy to znajomi Hanka?

Woody skrzyżował ręce na piersiach i rozejrzał się po pokoju matki. Po kilku razach przestał zabierać ze sobą Rory'ego. Chłopiec wykręcał się od pływania jak mógł i skarżył na chorobę morską.

- Co o tym myślisz? - zapytała matka.

Boże, jakże nienawdził krucyfiks nad jej łóżkiem. Matka odłożyła pióro. Dostrzegł, że robiła jakąś listę.

- Sama nie wiem, co o tym sądzić - powiedziała.

Udręczone ciało Chrystusa wisiało na krzyżu. Krew ściekała kropelkami z nadgarstków Mesjasza, jego stóp i brwi.

- Pamiętasz pierwsze lato po wojnie? - zapytał Woody.

Oczy matki powędrowały za jego wzrokiem utkwionym w krzyż, ale zaraz potem znowu spojrzały na niego.

- To był trudny okres - odpowiedziała. - Szczerze mówiąc, okropny.

- Tak. - Woody pokiwał głową. - Musiałem od nowa uczyć się chodzić.

Matka milczała przez chwilę.

- Ale chodzisz! Chodziłeś i nawet tańczyłeś! A potem ożeniłeś się z Elizabeth.

- No właśnie, ożeniłem się z Elizabeth.

- A co to ma wspólnego z żeglowaniem?

- Nic, pod żadnym względem.

Wypływali codziennie, a Ben wskazywał wtedy palcem na brzeg i pytał: „Kiedy?” „Niedługo”, odpowiadał Woody.

- W ogóle nie pływasz z Elizabeth - mówiła dalej matka.

- To nie twoja sprawa, mamo. - Woody odwrócił od niej twarz.

Matka wzięła do ręki plik listów, a potem rozłożyła je na biurku.

- To o nią chodzi, prawda?

Ten broczący krwią Jezus. Miał ochotę zerwać go ze ściany.

- To ta dziewczyna. Ta, która tutaj pracowała - głos matki brzmiał świętoszkowato. Twarz miała równie spokojną jak Dziewica z *Piety*.

- Ona ma imię, wiesz, Rachel. A chłopak nazywa się Ben. Wtedy myślałaś, że umarł, po co więc byłoby nadawać mu jakieś imię?

Nie potrafił odczytać z jej twarzy, czy usiłuje opanować pogardę, czy ukryć satysfakcję. Zamknęła oczy, jakby odmawiała różaniec. Zastanawiała się, którego świętego prosić o pomoc. Ostatecznie jednak spojrzała na syna.

- No więc? - spytała.

- Więc?

- A co mam powiedzieć? - Zaśmiała się krótko. - To doprawdy załosne.

- Że mam syna?

- On nie jest twoim synem, Woody. Nie jest. Twoim synem jest Rory.

- A Ben?

- To mały Indianin. Kto wie, skąd się wziął?

- Ale to mój syn, mamo. - Woody odrzucił głowę do tyłu. - Tak samo jak Rory jest moim synem. Moim synem i dzie-  
dzicem. Podobnie jak ja jestem twoim dziedzicem. Nie możesz  
tego zmienić.

Przez chwilę na ustach igrał uśmiezek. Kiedy się odezwała, głos  
miała zimny jak lód.

- Nie?

- Jest synem swego ojca.

- Wyprę się go.

- Ale ja nie.

- Och, myślę, że jednak tak - odpowiedziała tonem, jaki znał  
od dzieciństwa.

- Kim jest dla ciebie ten facet? - Zapytał tego popołudnia Honda,  
gdy Rachel szykowała się do kolejnej wycieczki łodzią.

Zaczesawała włosy do tyłu i przewiązywała pod opaską.  
W ustach trzymała spinki do włosów. Wyjęła je, jedną po drugiej.

- Już ci przecież mówiłam. - Spojrzała na niego z irytacją. - Jako  
młoda dziewczyna pracowałam u jego rodziny. Chyba pamiętasz.

- To właśnie mi powiedziałaś! - krzyknął za nią Honda, gdy  
wyszła na zewnątrz.

Później, kiedy czekali na Woody'ego, który miał ich zabrać  
z przystani, Ben zapytał:

- O co Honda tak się wścieka?

- To ty mi powiedz.

- Chodzi o Podkowę?

Rachel osłoniła dłonią oczy od słońca i popatrzyła w kierunku  
portu.

- A co ty wiesz o jeziorze?

Ben uciekł spojrzeniem, jak zawsze, kiedy wiedział więcej, niż  
powinien.

- Wiem, że wszyscy będą musieli znaleźć jakieś inne miejsce  
do zamieszkania.



Zanim jednak Rachel zdążyła powiedzieć, że nie jest aż tak źle, że wpadli na dobry pomysł, Woody i Hank podpłynęli do przystani. Rory'ego, jak zwykle, z nimi nie było. Rachel pomachała im.

Tego popołudnia popłynęli daleko w głąb zatoki. Wiał słaby zachodni wiatr i dopiero, gdy znaleźli się w połowie drogi do Chibawassee, Woody zdecydował halsować. Już w porcie zapowiedział im, że może uda się im pokonać Good Hart, płynąc z wiatrem, minąć Sturgeon, a może nawet pomknąć na wschód do Mackinwa.

- A to zajmie nam resztę dnia - powiedziała.
- No to płynimy! - zawołał Ben.
- Wiatr jest idealny - dodał Woody, patrząc na Rachel. Uniósł brwi.

To prawda, pomyślała. Dzień jest wymarzony. Jasnoblękitne niebo spotykało się na horyzoncie z ciemniejszą niebieską wodą. Wszystko było skąpane w słońcu. Kryształowe powietrze. Gdzieś tam, na wzgórzach wznoszących się łagodnie w oddali, niewielka grupa Indian zaczynała przygotowania do *pow-wow*. Będą sprzątali polanę w głębi wybrzeża, tuż za lasem. Najpierw przyjadą ciężarówki, potem pojawią się wigwamy. Wokół kręgu zostanie zamocowana lina, a pośrodku, pod konstrukcją z gałęzi i konarów, będą siedzieli bębniarze i śpiewacy.

Nazajutrz, wieczorem, Ben będzie tańczył. Teraz wpatrywał się przed siebie, stojąc przy burcie łodzi - można by pomyśleć, że dokładnie wie, co się tam dzieje. Nagle Rachel poczuła się zmęczona, jakby za trudno było jej to wszystko łączyć. Dwa życia, z których jedno było potajemne. Za każdym razem, kiedy była z Woodym, musiała tłumić w sobie przemożną chęć, by go dotknąć, przytulić, by językiem prześledzić szlak jego żył.

Wyraz twarzy Bena ponownie ją zaskoczył. Widziała u niego podobny zachwyt w chwilach, gdy coś rozebrał na części albo zrozumiał zasadę działania jakiegoś urządzenia. Teraz Woody uczył go, jak sprawić, by łódź tańczyła. Nie byle jaka łajba, ale wielki, lśniący jacht z pełnym ożaglowaniem.

- Jeszcze nie raz wypłyniemy - powiedział Woody do Bena.
- Nigdy nie spotkałem dzieciaka, który uczyłby się tak szybko - orzekł Hank. - Nawet twój brat taki nie był, Woody.

Następnego popołudnia Woody czekał na wydmie. Dzień był ciężki od upału, parny, bezwietrzny i niósł w sobie oczekiwanie. Rachel mogła zjawić się na piaszczystym wzniesieniu w każdej chwili. Poprosił ją, żeby przyszała, a ona mu to obiecała. Niechętnie.

- *Pow-wow* - powiedziała i dodała, że musi wrócić nad jezioro, żeby zająć się przygotowaniami.

Tępy ból pełzył mu wzdłuż kręgosłupa ku szyi. A co, jeśli mu odmówi? Tego nie brał wcześniej pod uwagę. Nawet owego ranka, kiedy poszedł do notariusza - chudego, bladeżółtego mężczyzny, którego doświadczenie w sprawach testamentów i nieruchomości ograniczało się do przekazywania gospodarstw rolnych.

- A pańska żona? - zapytał notariusz. - Czy ona o tym wie?

Woody piorunował go wzrokiem za tę impertynencję, aż prawnik obrócił pismo, podyktowane przez Woody'ego, i powiedział:

- Proszę tu podpisać.

Widzisz, mamó, nigdy nawet nie przypuszczałaś, że byłoby mnie stać na coś takiego, pomyślał Woody.

Było to cudowne uczucie, jak wtedy, gdy pierwszy raz dopłynął do skał - bohater wbrew samemu sobie. Przez moment czuł się przytłoczony ciężarem podjętej decyzji. Nigdy nie miał tyle śmiałości co Lip. Teraz naprawdę osiągnął uniwersalny kompromis. To właśnie pewność, pomyślał. Jasność jednego celu, jaką musieli mieć piloci kamikadze.

„Odmów w tej intencji różaniec, mamó”.

- Woody? - Usłyszał głos Rachel. Głęboki, gardłowy tembr, który kochał.

Gdy usiadła obok niego i zagrzebywała stopy w piasek, wyciągnął rękę i dotknął końcówki włosów. Nie poruszyła się. Włosy były mokre od potu, potargane przez wiatr i szorstkie - nie przypominały anielskiej jedwabistości włosów Elizabeth. Rory miał włosy po matce - jasne, niemal pozbawione koloru.

- Jak myślisz? - zaczął Woody. - Czy powinienem przyjść na *pow-wow*?

Rachel roześmiała się.

- W bleszerze i krawacie? - Jej śmiech był słodszy od narkotyku. - Byłeś kiedyś na indiańskim *pow-wow*?

- Co roku w St. Louis. W sezonie to impreza, na którą zaproszenia są najbardziej poszukiwane.

- Żartujesz sobie? - Spojrzała na niego poważnie.  
- Nigdy nie żartuję. - Odpowiedział jej równie poważnym spojrzeniem. - Wiesz, że jestem ponurakiem.

- A masz chociaż pojęcie, gdzie jest jezioro Podkowa? - Rachel odwróciła od niego wzrok i siłą powstrzymywała uśmiech.

- Jakoś je znajdę.

- To kawał drogi stąd. Za lasem.

Wiele lat temu opisała mu dokładnie miejsce. Poświatę nad chatami w zimie. Zieloność wody. Woody zamknął oczy i ponownie wyobraził sobie jezioro. Wyglądało lepiej niż w rzeczywistości, to pewne. Mimo to nadal się nad tym zastanawiał.

- Czy naprawdę jest tak zielone, jak mówiłaś?

- Co takiego?

- Woda. Mówiłaś, że jest zielona.

- Jest tylko jeden sposób, żebyś się o tym przekonał. Ale ty nigdy nie przyjedziesz.

Woody zmienił pozycję, rozmasował kikut.

- Byłem u notariusza. - Mówił powoli i starannie dobierał słowa. Jak do dziecka. Chciał, żeby zrozumiała, jakie to ważne, że jest zdeterminowany, ale ona patrzyła gdzieś obok niego, jej uśmiech niknął. - Widzisz, chcę, żeby Ben dostał to, co mu się należy... - Głos mu się załamał i ucichł.

Z biura notarialnego wrócił w stanie euforii. To on zarządzał funduszem powierniczym, nieprawdaż? „Mam syna. Drugiego syna i nie chcę, żeby go pominięto”, powiedział urzędnikowi. I podpisał odpowiedni dokument, który to stwierdzał.

Rachel obojętnie wpatrywała się w jezioro. Po policzku spłynęła jej kropelka potu. Woody odchrząknął. Warunki funduszu powierniczego były jasno określone. Co prawda, teraz zasoby pieniężne zostały uszczuplone, suma jednak nadal była pokaźna, wyjaśniał. A ponieważ miał dwóch synów, Ben także otrzyma jej część.

- Po co mi to mówisz? Myślisz, że właśnie o to mi chodziło?

- Nie bądź głupia... - Policzki Woody'ego poczerwieniały. Odwrócił wzrok. Nigdy o tym nie pomyślał.

- To ty jesteś głupi.

- Masz rację. - Odwrócił się do niej i chwycił ją za ramiona. Głos wiał mu w krtani. Usiłował dotknąć jej twarzy.

Odepchnęła jego ręce i wstała.

- Za mało o mnie myślisz - powiedziała.

- Myślę o tobie przez cały czas - odrzekł po chwili milczenia.

Kruk sfrunął z drzewa z głośnym krakaniem. Woody dostrzegł na zatoce łódź o kadłubie wyłożonym drewnem, jej silnik buczał uporczywie. Po chwili zmieniła kurs i zawróciła w stronę portu. Woody czuł obecność Rachel obok siebie, marzył, by jej dotknąć, przytulić i powiedzieć: „Zapomnij o mojej matce. Zapomnij o Elizabeth. To była pomyłka, nie widzisz tego? Wtedy zbrakło mi odwagi, ale dziś uznałem syna za własnego”.

Rachel pochyliła się i zerwała źdźbło trawy. Włożyła je do ust.

- On myśli, że jego ojciec nie żyje.

Woody położył się na wydmie. A może jednak żyje, pomyślał. Po raz pierwszy od tygodnia czuł pulsowanie w nodze. Przypomniał sobie o morfinie przysłanej tydzień temu od lekarza, leżącej w szufladzie - nietkniętej. Każdego dnia, gdy miał spotkać Rachel, potrafił oprzeć się pokusie. „Wyzywam cię, wyzywam”, zdawał się powtarzać narkotyk. A fale szeptały: „Nadal, nadal”. I Woody nadal chciał jej dotknąć.

- To dobry żeglarz, Rachel.

W jej spojrzeniu było coś więcej niż litość. Pomyślał, że płakała, choć jej oczy pozostały suche, a wzrok twardy.

- Tak, ale powinienes zobaczyć, jak tańczy.

Woody oparł się o poręcz na patiu klubu w Beck's Point i wyciągnął papierosa. Był wieczór. Elizabeth tańczyła w środku z jakimś mężczyzną. Najprawdopodobniej z Maksem Baileyem. Obiad dobiegł końca. Kelnerzy we frakach sprząтали talerze, orkiestra zaczęła grać, goście przenieśli się pod okna, skąd słyhać było szmer przyciszonych rozmów i od czasu do czasu śmiech.

Woody wpatrywał się w szal trzymany w rękę. Choć wieczór był ciepły, matka prosiła, żeby przyniósł go z patia, a teraz nie potrafił zmusić się do wejścia tam z powrotem. Muzyka grała zbyt głośno, rytm był za bardzo natarczywy.

- Alkoholoła heca już mnie nie podnieca... - rozbrzmiewał śpiew.

Po co właściwie on i Elizabeth wzięli ślub? Z pewnością miała inne możliwości, choć w tamtym czasie świat wydawał się mniejszy,

życie krótsze, no i człowiek skłaniał się do tego, co było mu znane w rozpadającym się wszechświecie. Woody znalazł pociechę w rozpacz, w jej nieuniknioności, w wywodzącym się z niej tępy ból. Poznać to, co najgorsze, czuć żar pod skórą dłoni, dźgnięcie w udo i wiedzieć w tej samej chwili, że jest się wyjątkiem.

- I tak dostanę... od ciebie... kopniaka! - głośno śpiewała piosenkarka.

Teraz trochę niepokojąca była świadomość, że może istniały inne możliwości. Widział w Benie własną twarz, i to tak, jak nigdy nie dostrzegał tego w Rorym, a szeroko otwarte, zaciekawione oczy chłopca zmuszały go do ponownego przemyślenia wielu spraw. Zapewne przekroczenie pewnych granic może nabrać jakiegoś znaczenia. A życie jest czymś więcej niż skazaniem na wąte pasmo egzystencji, jej nieustanną powtarzalność.

- Woody? - Stała za nim matka. Poczł jej perfumy jeszcze zanim się odezwała.

- Tak, mamó.

- Obiecałeś, że przyjdiesz z powrotem.

Na chwilę oboje ulegli czarowi widoku, jaki przedstawiał port, poprzecinany smugami światła boi i miasta. Gdzieś tam inna grupa brała udział w przyjęciu, ale hałas dochodzący z klubu zagłuszał wszystko, aż wydawało się, że to jedyne miejsce na ziemi.

- Wiesz, co myślę? - zapytał.

- O ile pamiętam, twoim zdaniem nigdy tego nie wiedziałam.

- Myślę... - Wskazał głową do tyłu w stronę jasno oświetlonych okien klubu. - Myślę, że moja żona świetnie się bawi z cudzym mężem.

Matka milczała przez jakiś czas.

- Przejdźmy się - powiedziała w końcu i wzięła go pod rękę.

Woody ujął laskę i odeszli w stronę bram wjazdowych Beck's Point. Przechodzili pod snopami światła rzucanego przez latarnie, Woody patrzył na cienie, rosnące i malejące do nicości, i słucał matki, opowiadającej, jak będąc dziewczyną, szła tym właśnie chodnikiem z młodym mężczyzną, za którego nie wyszła, ale który w tamtym czasie ją bawił.

- Wtedy nie było wojen. Dobrze się żyło.

- Wojny są zawsze, mamó.

- Ale nie tutaj. - Mocniej ścisnęła go za ramię.

Nie było sensu się z nią spierać. Dla matki, jak długo istniał Beck's Point, to, co działo się wszędzie indziej, nie miało znaczenia.

Minęła ich jakaś para. Wymamrotali wzajemnie: „Dobry wieczór”.

- Nie wiem już, kto kim jest - powiedziała matka, gdy odeszli trochę dalej.

- Ja wiem.

- Czujesz to?

- Od lat.

Zatrzymali się przy przystani. Muzyka z klubu ucichła. Gdzieś trzasnęły drzwiczki samochodu. Słuch Woody'ego wyłuskał z oddali nikły rytm wybijany przez bęben, niewyraźny dźwięk zawodzonych pieśni. Wiedział, że to niemożliwe. *Pow-wow* odbywało się wiele kilometrów stąd. Co najmniej pół godziny jazdy samochodem.

- Słyszysz?

- Co? - Matka nastawiła uszu.

- Ten dźwięk? To bębny z *pow-wow*.

Powiedział Rachel, że przyjedzie. Śmiali się oboje z jego blezera i krawata.

- Nie - odpowiedziała matka. - Nic nie słyszę.

- Posłuchaj.

Za nimi rozlegał się nierówny takt słabo słyszalnej muzyki klubowego bandu. Ze wzgórz, całe kilometry od tego miejsca, dochodziło pulsowanie bębnów, wysoki krzyk.

- Czy słyszysz jakieś głosy? - zapytała matka. - Bo czasami...

- Ustało! - powiedział, unosząc do góry rękę.

Matka chwyciła go jeszcze mocniej za ramię i świdrowała wzrokiem.

- Woody - odezwała się. - Martwię się o ciebie i Elizabeth. Jeśli zamierzasz ją opuścić...

Nie odpowiedział.

- To się nie uda, Woody. Przysięgałeś.

Przez chwilę machał laską. Przysięgi? Miał ochotę powiedzieć: „Do diabła z przysięgami”. Składanymi matce. Żonie. Rachel. Miał na końcu języka: „Do diabła z wami wszystkimi”, ale jedno spojrzenie na twarz matki powstrzymało go. W Lydii March nie było żadnej kruchości. Miała kamienną wytrzymałość świętej. W świetle latarni jej rysy wydawały się niemal groźne.

- Przez wszystkie te lata - zaczęła, wytrzymując jego wzrok - musiałam wysłuchiwać podobnego gadania. Przedtem cię broniłam, ale nie przejdę na twoją stronę, gdy zechcesz rzucić własne życie dla jakiejś Indianki. Nie pasujesz do niej, Woody. Chinnery złoży oświadczenie. Może nawet Elizabeth. Nie potrafisz zarządzać bankiem. Nie umiesz radzić sobie z własnym życiem. Stracisz wszystkie prawa.

- Moje prawa?

Nagle Woody poczuł się znowu jak małe dziecko, jakby go przyłapano na oglądaniu świńskich obrazków. Ścisnął mocno laskę i stłumił przemożną ochotę uderzenia matki. Obserwowanie, jak się zgina pod ciosem, byłoby bardzo wyzwalającym przeżyciem - nawet kojącym. Wiedział jednak też, że zwyciężyła, jak zawsze wygrywała, niezależnie od tego, jaki arsenał miała do dyspozycji. Po zawiętrznej sprowadzi łódź na mieliznę. Porzuci ją na skałach. Kto uwierzy narkomanowi?

- Nie módl się za mnie, mamó - powiedział Woody i odszedł, podpierając się laską. - Nigdy więcej.

Tego wieczoru zebrali się Chippewa, Siuksowie, Odawa i Cree. Tańczyli razem pod gwiazdami. To *pow-wow* było jedynie niewielką namiastką tego, co kiedyś było ogromnym spotkaniem plemion. Dawno temu przybywali tu pieszko lub przypływali kanoe. Teraz zjawiali się w pordzewiałych pontiakach, noszących imiona dawno zmarłych wielkich wodzów.

Od zachodu słońca walili w bębny i zawodzili, wtedy też zjawili się tancerze, by tupiąc, deptać chwasty i zrobić miejsce dla następnych - pierwsi pokazywali swoje umiejętności Tancerze Trawy, a potem dołączyła do nich cała procesja, w której wzięła udział nie tylko mała grupa znad jeziora Podkowa, ale też szczepy z Chibawassee i z północy, z całego obszaru od Górnego Cypla, a nawet z Wisconsin.

Od lat nie odbyło się żadne *pow-wow*. W każdym razie w tej części kraju. Nie, od czasu, gdy Rachel była mała. Jedda zorganizował wtedy taki zjazd w czasie krótkiego okresu trzeźwości, kiedy doszedł do wniosku, że trzeba wskrzesić stare zwyczaje plemienne i oddać cześć przodkom.

- Przybyło nie więcej niż dwadzieścia osób - wspominała Minnie. - To oczywiście. A większość z nich nie miała zielonego pojęcia o tańcu.

Teraz zebrała się setka lub więcej Indian. Mężczyźni ozdobieni pazurami, kośćmi i piórami wydawali się nawet strojniesi od kobiet. W swojej przyczepie Honda pomagał Benowi w przygotowaniach do tańca. Chłopak ćwiczył od miesięcy i znał wszystkie kroki na pamięć - wiedział, kiedy tupać, kiedy podskakiwać, kiedy się cofać albo obracać. Wieczór był ciepły. Honda malował twarz Bena białym i czarnym tłuszczem, aż zaczęła wyglądać niemal strasznie. Ben oglądał skórzane spodnie, które miał włożyć, i powiedział coś o upale.

- Indianie nie znają potu. Tylko biali chłopcy się pocą - wyjaśnił mu Honda i trzepnął go lekko pięścią w ramię. - Jesteś białym chłopakiem, mały?

Rachel nasrożyła się. „Mój syn. Mój dziedzic”. Przez całą drogę nad jezioro myślała o słowach Woody'ego.

Wkrótce Ben miał na sobie sznury naszyjników, bransolety i nasierśniki. Jego włosy okazały się za krótkie, by zapleść je w warkocze, więc Honda napluł w dłoń i zgarnął je do góry, po czym nałożył mu pióropusz, nasuwając na czoło ozdobioną paciorkami opaskę. Oprawione w srebro kolce jeżozwierza zwiślały chłopcu na plecy.

- A teraz - powiedział Honda - stój nieruchomo. - Wziął słoik z białą farbą z pudła z narzędziami i zaczął wcierać ją w twarz Bena.

- Mogę zobaczyć? - zapytał Ben.

- Śmiało.

Ben z powagą przejrzał się w lustrze. Oczy miał obramowane na czarno jak bandyta lub szop, reszta jego twarzy była zupełnie biała. Stojący za nim Honda wariacko szczyrzył w uśmiechu zęby niczym rozpierany dumą ojciec. Rachel wiedziała, że większość dzieci nie zdobywa żadnego trofeum za pierwszym razem, nawet jeśli są bardzo dobre. Pierwszy występ był jedynie sposobnością okazania szacunku i zyskania estymy u pozostałych. Miała świadomość, że można liczyć jedynie na to, że Benowi się uda, że zatrzyma się w odpowiednim momencie na głos bębna i nie potknie w czasie pokazu.

Usłyszała prowadzącego, który ogłaszał teraz pokaz tańca zakli-



naczy. Ben był gotów do wyjścia. Rachel kiwnęła energicznie głową w stronę drzwi, gdzie stały Ada i Bliss.

- Idź i pokaż ciociom, jak tańczysz. Przejechały taki szmat drogi tylko po to, żeby cię zobaczyć.

Nogi ugięły się pod Benem na chwilę, jakby były z waty, ale odepchnął się od Hondy i ruszył w stronę wyjścia.

Woody usiadł na brzegu łóżka i wsłuchiwał się w strzępy muzyki, dochodzące przez otwarte okno. Elizabeth mogła wrócić do domu lada moment. Ile czasu zabrało jej zorientowanie się, że już go tam nie ma? Rory spał w swoim pokoju. Matka schroniła się w zaciszu własnej sypialni.

„Stracisz wszystkie prawa”.

Bolała go głowa. Nadal był na wpół świadomy odległego dudnienia bębnow. Otworzył paczuszkę od lekarza, wziął do ręki ampułkę. Przezroczysta i pozbawiona koloru ciecz. Z biurka wyciągnął strzykawkę. Przeszedł go dreszcz. Od ostatniego zastrzyku minął ponad miesiąc, ale ból w nodze, rozmowa z matką, daremność wszelkich wysiłków sprawiły, że ta decyzja wydawała się nieunikniona.

Opukał ampułkę paznokciem, odłamał górną część, wciągnął płyn do strzykawki, wbił igłę w zgięcie ramienia i nacisnął tłoczek. Położył się na poduszce. Teraz był już pewien bębnienia. A może to jednak puls w jego żyłach? Zamknął oczy. Myślał o parach tańczących w klubie. O Malcolmie McGee i siostrach Miller. Nie, to było wiele lat wcześniej. Teraz wszyscy oni gdzieś przepadli.

„Nie wiem już, kto kim jest”.

Może pójdzie na wydmcę i poczeka na Rachel. Wstał. Gdzieś z głębi domu doszedł go hałas. Elizabeth? Postanowił wyjść, zanim żona znajdzie go leżącego bezwładnie na poduszce.

„Myślałam, że już z tym skończyłeś”.

Przeszedł korytarzem, w dół po schodach, gdzie niemal się przewrócił, ale w porę chwycił się poręczy. A potem przez jadalnię na werandę. Na dworze grały świerszcze. Nigdy przedtem nie były tak głośne.

Wydało mu się, że ktoś go woła: „Woo-dyyy!”.

Lip! Był tego pewien. Lip pływał i krzyczał: „No, chodźże, mięczaku!”.

Niemal ze śmiechem Woody, potykając się, zszedł po schodach z werandy. Zapomniał laski i raz nawet rozciągnął się jak długi, posmakował ziemi, maleńkich nasion trawy. Podniósł się jednak i jeszcze bardziej zdeterminowany ruszył w kierunku plaży. Był przekonany, że zastanie tam Rachel. Przyjdzie po imprezie i będą tańczyli tuż przy linii wody. Tak jak wiele lat temu - gdy pomagała mu pływać.

„Nie potrafisz zarządzać bankiem. Nie umiesz radzić sobie z własnym życiem”.

Znalazł się na plaży. Czarne fale uderzały o brzeg. Gdzieś tam ktoś uderzał w bęben. Gdzieś tam ktoś śpiewał pieśń o miłości, tak smutną, że Woody aż się skrzywił.

„Woo-dyyy!”.

Lip tam był, na skałach. Niewielki dystans do pokonania, naprawdę. Coś około kilometra. Da radę, jeśli tylko zdejmie ubranie.

„Poszedłem do notariusza, Lip. Mam syna”.

Zrzucił spodnie, oderwał rękawy od koszuli. Czuł teraz zapach wody - słonawy jak łzy. Wskoczył. Chwilę potem płynął, będąc myślami z Rachel i chłopcem. Musi jedynie dotrzeć do płyctyny! Ramiona mu słabły, proteza ciążyła w dół. A ten księżyc! Gdzie indziej widziało się tak piękny księżyc?

Ze sporej odległości dochodził zbliżający się warkot motorówki. Łoskot silnika stał się ogłuszający. Przestraszył się na moment, a potem panika ustąpiła miejsca uldze. Gdyby teraz zawrócił, utonąłby, zanim dotarłby do brzegu. Zresztą nie tam na niego nie czekało. Wszystko się wypaliło, zostało tylko pływanie aż do chwili, gdy ramiona odmówią posłuszeństwa.

Robiło się późno. Zapalono ogniska, na niebie pojawiły się gwiazdy. Ochłodziło się. Ada i Bliss usadowiły się na składanych krzesłach i komentowały stroje. Obok nich Rachel otulona szalem po raz kolejny przyglądała się tłumowi. Wiedziała, że on się nie zjawi, była tego pewna od chwili, kiedy obiecał, że przyjdzie. Absurdalność tej pewności odczuła nagle jak policzek.

Mimo to nadal przepatrywała morze twarzy, myśli o propozycji Woody'ego rozrastała się niczym balon. Najbardziej wzruszała ją w tym naiwna gorliwość.

Spomiędzy Indian wyłuskiwała twarze białych. W większości byli to widzowie, poza tym kilkoro mieszkańców. Tego popołudnia Rachel poznała dziewczynę, która wyglądała bardziej na Irlandkę niż Ojibwe i niemal się roześmiała, kiedy usłyszała, jak tamta doskonale mówi narzeczem Chippewa. I co ja wiem? - pomyślała.

Ale wiedziała jedno: on tu nie przyjdzie. Ben zatańczy i nigdy się nie dowie, że ojciec chciał obejrzeć jego popis, ale nie przyjechał. Odrzuci zapis Woody'ego. Niech Ben nadal myśli, że jego ojciec nie żyje. Że nie jest nim ten pan z łodzi, który sadza go sobie na kolanach i uczy żeglowania.

- On będzie następny - powiedział Honda, podchodząc do niej z tyłu z chłopcem. Obejmował Bena. - Rachel?

- Hmm? - Wyrwana z zamyślenia, obróciła się i napotkała utkwione w siebie spojrzenie Hondy.

- Wygląda na to, że kogoś się spodziewasz.

- Nie - odpowiedziała, potrząsając głową, i przeczesła włosy palcami.

- W każdym razie tak to wyglądało - dodał.

Skrzyżował ramiona na piersi. Rachel ponownie zwróciła uwagę na tatuaże na jego rękach. Zastanawiała się, jakie to uczucie, gdy wtłacza się coś we własne ciało. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego pięści.

- Nie - powtórzyła. - Nikogo. - Uśmiechnęła się do Bena i pokikiwała głową. - No proszę, ależ pięknie się prezentujesz.

- Wystraszył mnie na śmierć - wtrąciła się Ada, klepiąc Bena po ramieniu.

- Gotów? - Honda przyklęknął przed chłopcem.

Ben potwierdził skinieniem głowy. Ramiona miał skrzyżowane podobnie jak Honda, na twarzy ten sam wyraz. Rachel zakryła usta dłonią i odwróciła się, przerażona, że chłopak jest tak bardzo podobny do Woody'ego - i jest w równym stopniu Marchem, jak Winnapee. Nie mogła złapać tchu przez zaciśniętą krtań. Niemal się rozpłakała.

Ben ruszył w kierunku kręgu razem z innymi dziećmi i wkrótce dołączył do fali tancerzy. Znalazł sobie miejsce, zatrzymał się i przez chwilę trwał w zupełnym bezruchu z ramionami wzdłuż ciała i opuszczoną głową. Śpiewak rozpoczął pieśń, wysoko i cicho, przyłączyły się bębny. Ben uniósł kolano, potem przy drugim ude-

rzeniu bębna opuścił nogę z piętą w dół, niewiele brakowało, by się spóźnił, ale zaraz przyśpieszył i złapał tempo.

- No, dalej - wyszeptał Honda.

Przez chwilę Ben jakby się zagubił, stracił rytm, ale zaraz rozpoczął taniec od nowa, szybko i z przejęciem. Pot spływał mu po policzkach, rozmazując i mieszając białą i czarną farbę.

- Co on wyprawia? - zapytał Honda.

Ben najwyraźniej odnalazł się w tańcu. Był jednym z najmniejszych chłopców, ale poruszał się szybko i z rozmysłem. Rachel dostrzegła, że tańczy w taki sposób, w jaki jego ojciec uczył się chodzić - każdy krok był pełen determinacji, każdy krok głosił światu odmowę poddania się.

- Widzisz to? - powiedziała Bliss.

Pozostali chłopcy - a zwłaszcza jeden, noszący symbole innych szczepów - mieli większe doświadczenie. Brali już udział w podobnych konkursach, prawdopodobnie wiele razy. Ben nie miał szans na wygraną. Nie na tym *pow-wow*. Ale później...

- Dobrze go przygotowałeś - powiedziała Ada do Hondy.

Honda wzruszył ramionami, ale Rachel dostrzegła, że się uśmiechnął. Choć chłopak przegra, tańczy z uczuciem i gracją.

Znów rozejrzała się po tłumie. Żałowała, że Woody tego nie oglądał. „Widzisz! To właśnie jego korzenie”, powiedziała by mu.

Mimo to jednak twarze skupione wokół ognisk były obce. Tony muzyki stały się wyższe, zawisały, zda się, w nocnym powietrzu. Gwiazdy błyszczały coraz jaśniej. Na ich tle rysowały się wzruszająco faliste sylwetki drzew. Znad ognisk unosiły się iskry i łączyły ze śpiewem, dudnieniem bębnów, podzwanianiem. Nagle w jednej chwili wszystko ucichło.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Od czasu, gdy była małą dziewczynką, Rachel nie spała na plaży, gdzie słyszało się kumkanie żab, można było patrzeć w gwiazdy i czuć zastygłą w spokoju nocy wodę. Ogniska powoli dogasały. Rachel słyszała jednak nadal niskie głosy, śmiech dochodzący z tipi, a nawet miarowe oddechy śpiących. Leżała obok Bena; chłopiec wiercił się, jakby nadal tańczył we śnie. „Ciii, już dobrze”, powiedziała.

Daremność tego wszystkiego. Szczepy złożone z hołoty, bieda z nędzą aż bijąca w oczy. Większość tych ludzi nie miała nawet na papierosy, więc co tu mówić o ubraniu, samochodach czy dachu nad głową. A gdzie w tym poczucie wspólnoty? Nie mieli nic wspólnego poza rozpaczą pośród krzykliwego i jaskrawo kolorowego rozgardiaszu. Kiedyś spłonęła tu chata. Teraz widać było zarysy wigwamów, krągłe, łagodne krzywizny przyczep kempingowych. Dziwna wydawała się myśl, że tu był kiedyś jej dom - a jeszcze dziwniejsza, że miał być znowu.

Jakże ludzie lubią tłoczyć się razem! Nawet w Beck's Point z jego wspaniałymi domami - pobudowano je w zasięgu wzroku jeden od drugiego, niczym krąg złożony z dzieci, zebranych, by wysłuchać bajki na dobranoc. Zastanawiała się, gdzie Woody śpi tej nocy i czy jest w łóżku sam. Gdyby przyjechał popatrzeć na taniec Bena, nie potrafiłaby dłużej mu się opierać.

Ale nie przyjechał.

Musiała zasnąć, bo nagle nastał świt i widziała wyraźnie zarysy trzciny, drzew i wydłużone deski przystani. Niedługo zapłoną ogniska, ich dym stanie się zarówno słodki, jak przerażający.

Ben poruszył się obok niej.

- Pożeglujemy, mamó? - zapytał.
- Nie dzisiaj - odpowiedziała.
- A pójdziemy do sklepu?

Rachel milczała. Miała ochotę poleżeć jeszcze nad jeziorem przez kilka chwil, udawać, że znowu jest dzieckiem, słyszeć babkę wołającą: „Rachel! Rachel! Czas wracać do domu!”. Może babka przygotuje podpłomyki. Może zaplecie Rachel warkocze.

„Masz zbyt delikatne ręce, a potrzebne ci silne, jak moje” powtarzała Rachel babka.

- I co o tym myślisz? - zapytał Honda, rozkładając ostatni koc.

Przez cały ranek pomagali członkom rodziny w pakowaniu. Wiele osób ścisnęło dłoń Rachel i dziękowało jej po angielsku, w języku Odawa i Cree. Ich głosy się mieszały - słowa umykały, brzmiały znajomo, obco, były zapomniane. A potem odjechali równie szybko, jak się zjawili, zostawiając za sobą okrągłe place wygniecionej trawy, czarne oczodoły ognisk, zapach tytoniu i kurzu. Minnie położyła ręce na biodrach i kiwała głową. To było dobre *pow-wow*. Takie, które przyniesie im szczęście.

Rachel czuła, że jej szczęście się odmieniło. Był poniedziałek. Nazajutrz wypłyną z Woodym na jezioro jak w każdy wtorek od miesiąca. Będzie czekała na niego przy pirsie, a kiedy pomoże jej wsiąść do motorówki, ona powie: „Więc jednak nie przyjechałeś”. A potem opisz mu umiejętności, grację ruchów Bena, będzie się przypatrywać Woody'emu spod przymkniętych powiek, żeby zobaczyć błysk dumy z syna, o jaką zaczynała go podejrzewać.

Niedługo rodziny z Beck's Point, Chibawassee i Pont du Lac spakują walizki i wyruszą do St. Louis, Chicago, Detroit, z powrotem do szkół, klubów, uniwersytetów o murach porośniętych bluszczem. Rachel wiedziała już, co chce powiedzieć Woody'emu. Właściwie przepowiadała już sobie te słowa. „Musisz postąpić w taki sposób. Podziel się z nim swoim bogactwem. Naucz go żeglowania, gry w golfa, zarządzania bankiem. Wszystkiego poza tańcem na gołej ziemi, kiedy wyje się beznadziejnie za tym, co zostało utracone”.

Nastał wtorek. Rachel i Ben poszli na przystań i czekali na Woody'ego, ale dzień mijał, a motorówka nie nadpływała. Dzieci rzucały mewom chleb. Ptaki pikowały w dół, walczyły między sobą o namokłe kawałki.

- Chodźmy stąd - powiedziała nagle Rachel.

Najpierw *pow-wow*, a teraz to. Ale Ben nie chciał odchodzić z przystani. Był przekonany, że pan March się zjawi.

- Chodź! - powtórzyła Rachel, ciągnąc go za rękę.

Kiedy wrócili, Honda rozmawiał przy kontuarze z jakimś mężczyzną. Gdy się obrócił, Rachel rozpoznała w nim Hanka, pomocnika z „Niebieskiej Czapli”. Gdy weszła, zapadła cisza.

Honda odchrząknął i podał jej kopertę.

- Przyszło do ciebie pocztą.

Rachel wzięła ją od niego. Dostrzegła elegancki nadruk kancelarii notarialnej. Wsunęła kopertę do kieszeni. Wędrowała wzrokiem od Hondy do Hanka.

- Coś jeszcze? - zapytała.

Honda odgarnął włosy do tyłu. Wyglądał, jakby się zadławił kamieniem. Niespodziewanie uderzył klawisz kasy, wyciągnął z przegródki banknot i powiedział do Bena:

- Masz tu trochę forsy. Może pójdziesz i kupisz sobie krówek?

Rachel uniosła brwi. Honda nigdy nie dał Benowi prawdziwych pieniędzy. A Ben, nie czekając, aby Honda nie zmienił zdania, chwycił banknot i wybiegł ze sklepu.

- O co chodzi? - zapytała Rachel.

Hank podrapał się po brwi, jak zawsze, kiedy sprawdzał wiatr. Rachel zauważyła, że nos ma mocno różowy, ze schodzącą skórą, a oczy przekrwione.

- Zdarzył się wypadek. Przynajmniej... - zrobił przerwę - ...na to wygląda.

Czekał, jakby się spodziewał, że ona wie o reszcie, ale nie miała o niczym pojęcia.

- Gdzie jest Woody?

- Jakies dzieciaki wypłynęły motorówką. - Honda wstał. - Nie zauważyły go.

Hank patrzył na nią, jakby oczekiwał wybaczenia. W końcu rozłożył ramiona.

- Dlaczego pływał nocą w jeziorze? On? Z jedną nogą?

Rachel poczuła, że uginają się pod nią kolana. Zakryła uszy rękami, z gardła wyrwał jej się jęk i trwał, aż się zachłysnęła. Dlaczego Honda jej dotyka? Po co klęczy przed nią, bierze jej twarz w dłoń i tuli tak mocno, że ona nie może się poruszyć, oddychać?

- To był wypadek, Rachel - powtarzał Honda. - Wypadek. Nawet nie wiedział, co go uderzyło.

Dzwony uderzyły tego ranka o wczesnej godzinie. Rachel od lat nie była w katolickim kościele. A teraz stała po drugiej stronie ulicy i patrzyła na wylewających się ze świątyni żałobników, ubranych ciemno mimo upału. Wyglądali jak kruki. Ptaki śmierci.

Nie weszła do środka, nie potrafiłaby usiąść pomiędzy nimi i udawać, że jest jedną z nich. Człowiek, którego opłakiwali, i ten, którego ona знаła, nie byli tymi samymi ludźmi. Dla nich był synem, mężem, kimś równego im stanu. Dla niej był kochankiem. Mężczyzną z okaleczonym ciałem, którego ból kołatał przez jedno lato, kiedy on myślami nadal był na wojnie.

Zaczekała, aż wszyscy wyszli. Patrzyła na dwie kobiety wsiadające do buicka Marchów. Przez chwilę wydawało się, że reszta pogrzebów gości jakby celowo opóźnia odjazd, stoi w grupach i rozmawia, ale wkrótce odeszli lub odjechali w kierunku Beck's Point. Rachel rozejrzała się wokół w poszukiwaniu karawanu. Nikt nie wyniósł trumny z kościoła. Czyżby nie zostało nic do pochowania?

Przeszła przez ulicę, a potem ruszyła chodnikiem obok placu, gdzie kiedyś się bawiła. Przesuwała palcami po słupkach ogrodzenia. Zatrzymywała jej palce, błagały, żeby tam wstąpiła. Figura Matki Boskiej w ogrodzie pochylała głowę w kierunku tablicy, na której napisano, że Jezus zbudował ten kościół, by zbawić indiańskie sieroty.

- Przepraszamy bardzo.

Rachel odwróciła się. Dwoje turystów w bermudach uśmiechało się do niej szeroko.

- Czy pani mówi po angielsku?

Rachel potwierdziła ponurym skinieniem głowy.

- Zastanawialiśmy się właśnie... - zaczęli. Przeczytali napis na tablicy o tym, jak Jezus zbudował tu klasztor, żeby pomóc Indianom. A potem zauważyli ją obok figury i dostrzegli rysy Indianki. Wyszłoby z tego wspaniałe zdjęcie.



- Pani jest Indianką, prawda?

Rachel zaczęła się śmiać. Przewróciła oczami. Musiała wyglądać jak szalony pielgrzym, któremu odebrało mowę ze szczęścia po otrzymaniu rozgrzeszenia.

- Przepraszam - powiedziała. - Właśnie przyszedłam, żeby się pomodlić.

Zostawiła ich zdziwionych tak, że pootwierali usta, i pobiegła w stronę kościoła. Zatrzymała się przy drzwiach, a potem weszła w niebieską poświatę.

- Ojczy? - wyszeptała.

Nikt nie odpowiedział. Echa dzieciństwa - wyciszone szepty dziewczynek, grzechotanie różańców. Rachel przyklękła, weszła pomiędzy ławki, przeżegnała się i uklękła. Pochyliła głowę do modlitwy, ale nie mogła zacząć. Nie modliła się od lat.

Zdobiące ołtarz wazon z liliami i tunbergiami o czarnych dnach kielichów napełniały wonią powietrze, w którym jakby nadal rozbrzmiewały pożegnalne mowy.

- Ojczy? - wyszeptała ponownie.

Konfesjonał stał z boku - komnata małych kłamstewek i drobnych przewinień, a czasami wydukanej prawdy. Podniosła się z klęczek, podeszła do zasłonki na przodzie konfesjonału. Wciągnęła głęboko zatęchłe powietrze jego wnętrza. Co powiedziałaaby dzisiaj księdzu? Otoczona czystością niczym całunem, pogrzebała przeszłość w taki sam sposób, w jaki jej syn zakopywał swoje skarby. Odebrała mu ojca, odrzuciła jego uczucia, zaparła się nawet jego urodzenia. Z własnych słów czerpała krew okupienia. Mówiła.

Żadnej odpowiedzi. Nawet echo milczało. Rachel przygładziła włosy, poprawiła sukienkę, namacała palcami list w kieszeni. Wiedziała, co musi zrobić. Przecisnęła się przez drzwi, wyszła na światło popołudnia, a słońce wymierzyło jej ostry, pewnie zadany policzek.

Weranda Marchów była przepełniona. Parny upał wygnał wszystkich na zewnątrz. Siedzieli na poręczach, schodach, wiklinowych fotelach. Mężczyźni, którzy normalnie nie zdjęliby marynarek, stali w samych koszulach, niedawno jeszcze nakrochmalonych, teraz zwiotczałych. Wynajęci z klubu kelnerzy krążyli z tacami pełnymi

mrożonej herbaty, choć kilku panów i garstka pań poprosili o coś mocniejszego, żeby złagodzić napięcie i dla zabicia czasu. Kiedy Rachel przechodziła przez jadalnię, zdawało się, że nikt nie zauważa Indianki w wypłowiałej sukience. A może stała się dla nich niewidzialna, nie przejmowali się jej obecnością i otwarcie szeptali o „niewielkim problemie” Woody’ego i o tym, że Elizabeth będzie miała teraz o wiele lepiej.

W kuchni panowała chyba jeszcze większa wilgotność niż na zewnątrz. Ella Mae, ubrana w fioletową sukienkę, z kapeluszem noszonym jedynie do kościoła, nakrywała do stołu. Rachel spostrzegła się, że płakała. Mandy z kolei robiła wrażenie zupełnie niewzruszonej. Sprawnie się krzątała. Można by nawet pomyśleć, że spodziewała się takiego obrotu spraw.

- Mamo - odezwała się Mandy. - Zobacz, kto przyszedł.

Wyraz twarzy Elli Mae nie zmienił się o jotę. Wpatrywała się w ścianę, jakby nie słyszała.

- Mamo! - zawołała głośno Mandy, zniecierpliwiona.

Tym razem Ella Mae spojrzała na Rachel, otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła.

- Słyszałam, że wróciłaś - powiedziała w końcu.

Rachel popatrzyła na Mandy, która wzruszyła ramionami.

- Mówią, że to właśnie ciebie zabierał na łódź - ciągnęła Ella Mae.

Słyszac to, Rachel wzięła się w karby, gotowa na tyradę, jakiej się spodziewała. Litanię oskarżeń, stek zarzutów. Ale Ella Mae pokiwała jedynie głową i dodała:

- W głębi duszy miałam nadzieję, że to go rozweseli. Da mu jakiś cel, rozumiesz, to ponowne spotkanie z tobą.

- Jakiś cel - powtórzyła Mandy pod nosem.

- Pamiętasz - zaczęła Ella Mae, wskazując ręką krzesło, gdzie Rachel zwykle siedziała - jak ciężko się napracowaliśmy, żeby zmusić go do chodzenia?

Rachel usiadła obok Elli Mae.

- A jak się darł? - mówiła dalej kucharka. - Byłam pewna, że odejdzie. Zawsze chciał wszystko rzucić. Ale kiedy tego nie zrobił, nabrałam pewności, że musi mieć jakiś powód. - Roześmiała się niskim głosem. - I na pewno nie była to jego mama.

Rachel uśmiechnęła się po raz pierwszy od bardzo wielu dni.

Ella Mae gwałtownie podniosła ręce do głowy, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nadal ma na niej kapelusz.

- Nic dziwnego, że tak mi gorąco - powiedziała. Zdjęła kapelusz i zaczęła się nim wachlować. Nie spuszczała oczu z Rachel. - Powiedziała mi, że nie wrócisz, bo pojechałaś do szkoły. To prawda?

Rachel pokręciła głową.

- To co się działo w takim razie? - wtrąciła zrzędliwie Mandy.  
- Przynieś małej lemoniadę - poleciła jej matka.  
- Też coś - Mandy wyduła wargi. - Pracowała tu przez dwa sezony. Chyba jeszcze pamięta, gdzie są szklanki.  
- Muszę się zobaczyć z panią March - powiedziała Rachel.  
- Napij się lemoniady - poradziła kucharka. - Nie ma pośpiechu. Niech się najpierw pożegna z gośćmi.  
- A skąd wiesz, że w ogóle będzie chciała z tobą rozmawiać? - zapytała Mandy.

Rachel spojrzała na nią spokojnie.

- Nie będzie chciała.

- Ale porozmawia - dodała Ella Mae, kiwając głową.

Kiedy Ella Mae dała jej przyzwolenie, Rachel poszła na górę. Chciała jedynie powiedzieć prawdę i to samo usłyszeć w zamian. Wazon z lekko podwiedłymi gladiolami stał wśród niezjedzonych potraw. Zimny udziec jagnięcy, miski z młodymi ziemniakami, galaretką miętowa, auszpik i groszek w curry. Rachel rozpoznała kilkoro przyjaciół Woody'ego. Stali przy wiszących na ścianie zdjęciach, które zawładnęły przeszłością. Był tam Woody na żaglówce. Rachel poczuła ból, widząc go za kołem sterowym, jego oczy, na fotografii jasnoszare. Znajdowało się tam sporo oficjalnych portretów rodzinnych, wszyscy siedzieli w ogrodowych fotelach albo spacerowali po falochronie, na przystani lub stali na schodach werandy. Wspaniałe ujęcie panny Elizabeth trzymającej jakieś trofeum. Najbardziej jednak ścisnął serce Rachel widok Woody'ego jako chłopca. Zarys jego szczęki był taki sam jak u Bena. I to wąskie pasmo włosów między głębokimi zakolami nad oczami pełnymi strachu.

Ella Mae powiedziała jej, że Woody umarł natychmiast, że dzieciaki, które płynęły motorówką, myślały, że wpadły na konar.

Był zbyt poszatkowany, żeby wystawić otwartą trumnę na widok publiczny, dlatego niezgodnie z tradycją prezbiteriańskich Marchów skremowano go, zmieniono w popiół.

- Wiesz, co trzeba było umyć przede wszystkim następnego dnia? - zapytała kucharka. - Tę cholerną protezę.

Rachel dotknęła zdjęcia Woody'ego, jakby chciała je pobłogosławić, a potem ruszyła ku następnym schodom. Na górze po lewej stronie znajdował się pokój gościnny, ten sam, który zajmowała kiedyś panna Elizabeth. Drzwi były zamknięte. Rachel zastanawiała się, czy wdowa spędziła to popołudnie na picciu. Mijając pokój panny Elizabeth, zatrzymała się na chwilę i nastawiła uszu, ponieważ jednak niczego nie usłyszała, poszła dalej. Miała wrażenie, że powinna nieść bieliznę pościelową. W każdej chwili Ella Mae mogła wrzasnąć, żeby się pośpieszyła. Gdyby stała wystarczająco spokojnie, Woody mógłby pojawić się zza rogu, przytulić ją do siebie i szukałoby potem pustego pokoju. Szła szerokim korytarzem wyłożonym orientalnym dywanem, aż znalazła się przed pokojem pani March.

Rachel stanęła w drzwiach i odchrząknęła. Pani March siedziała jak zwykle przy biurku, przed sobą miała rozłożoną papeterię, jakby już wzięła się do odpowiadania na listy kondolencyjne i dziękowała wszystkim za kwiaty. Takie piękne kwiaty! Ustawiono je w całym domu.

Rachel rozejrzała się po pokoju. Wyglądało na to, że nic się nie zmieniło, postarzało się może, ale nic poza tym. Jezus nadal wisiał na krzyżu. Para szarych irchowych rękawiczek leżała na poduszce.

- Przyszłam powiedzieć, że pani współczuję.

Pani March siedziała tak sztywno, że Rachel pomyślała - może zamarła z żalu. Jej nos, przypominający ptasi dziób, rysował się na tle okna, podświetlany blask wczesnowieczornego jeziora. Ciche pulsowanie fal. Niski szmer rozmów prowadzonych na dole.

- Musieliśmy poddać go kremacji - odezwała się pani March. - Czy wiesz, co to oznacza dla katolika?

Rachel przypomniało się wyschnięte, kruche ciało babki, leżące na płonącym stosie. Przez całe lata zakonnice powtarzały jej, że Jezus, który poszedł do nieba, wróci sędzić żywych i umarłych. Zastanawiała się więc, jak będzie mógł osądzić popiół?

- Wychowały mnie zakonnice, pani March - odparła. - Czy wspominały pani, że moja babcia została spalona, zanim mogłam ją pogrzebać?

Nozdrza pani March rozszerzyły się na krótką chwilę. Na biurku leżał różaniec.

- Wiesz, że miałam córkę, która umarła jako niemowlę?

Dziecko dostało grypy. Rachel przypomniała sobie pusty pokój z dzieciennym łóżeczkiem. Potwierdziła skinieniem głowy.

- Modliłam się wtedy o cud - mówiła dalej pani March. - Nie chciałam niczego więcej.

- Ja swoje modlitwy już odmówiłam - powiedziała Rachel.

Ale pani March zdawała się jej nie słyszeć.

- Straciłam wszystkie dzieci. - Odwróciła się plecami do Rachel, jakby chciała w jeziorze poszukać wyjaśnienia wątpliwości. - Wolałabym, żebyś już poszła.

Rachel ponownie popatrzyła na pokój, zebrane w nim rupiecie, fotografie, koronkową narzutę na łóżko, eleganckie politurowane meble, wspaniały widok na zatokę. Jeszcze kilka dni wcześniej chciała tego wszystkiego dla Bena. Teraz zastanawiała się dla czego.

Od tamtej pory minęło dziesięć lat. Pani March z pewnością wiedziała. Nie spostrzegłaby kolorów na policzkach Woody'ego, powracających wraz z poprawą jego nastroju? Przyznała się Rachel, że błagała o cud. Czyżby nie widziała ich spacerujących plażą? Nie wyczuwała nikłego zapachu kulek na mole z koców, na których leżeli na strychu? Poprzyklejane na łódkach Rachel kępki wełny z pledów wyglądały jak tatuaż, warkocze miała zaplecione w pośpiechu, oczy błyszczące bardziej niż oczy Woody'ego, kiedy budził się z morfinowego snu. Pani March na pewno to dostrzegła! Piasek na ramionach Woody'ego, siniaki na karku dziewczyny. Może zakonnice jej powiedziały. Może pani March mimo wszystko czytała jej listy.

Jednak pani March nie dodała już słowa więcej.

- Mam list - odezwała się Rachel. - Od Woody'ego i jego prawnika.

Pani March wpatrywała się w widok za oknem. Rachel podejrzewała przez chwilę, że czuje się dotknięta, iż ona wymieniła imię Woody'ego.

- Woody - mówiła dalej - chciał, żeby wszyscy poznali prawdę.

- A jak dokładnie brzmi ta prawda? - zapytała pani March, odwracając się ponownie do Rachel.

- Że mój syn jest jego. Że Woody uznał go za swoje dziecko.

Stało się. Słowa prawdy zostały wypowiedziane w konfesjonale sypialni pani March i usłyszała je tylko ona.

- Nie spodziewaj się, że się z tym pogodzę.

- To jest w liście, pani March. Podpisał go.

- Cóż, w takim razie masz swój dowód - odpowiedziała pani March. Przycisnęła dłonie do uda, jakby chcąc powstrzymać ich drżenie. - Czego jeszcze chcesz?

Kropła potu spłynęła pomiędzy piersiami Rachel. Ostatecznie okazało się, że to, czego chciała, nie różni się tak bardzo od tego, na czym zależy pani March. Że pozbędzie się jej na dobre. Że Ben nigdy o niczym się nie dowie. Że Rachel wymaże z pamięci Marchów równie chętnie, jak oni zapomną o niej.

- Chcę pieniędzy - powiedziała, wytrzymując spojrzenie pani March. Pieniądze się przydadzą. Babka ją tego nauczyła. Rachel weźmie, co się jej słusznie należy. Ani więcej, ani mniej. Chciała sprawiedliwości, nie jałmużny.

- Oddasz mi list, jeśli ci za niego zapłacę? - zapytała pani March głosem pełnym pogardy.

- Tak.

- Zrzekniesz się wszelkich... roszczeń?

- Przysięgnę.

- Nie spodziewałam się po tobie takiego tupetu. - Pani March otworzyła szufladę, wyjęła książeczkę czekową i wzięła do ręki pióro. - Wiesz, kim była osoba, która pierwsza zobaczyła wniebowstąpienie Chrystusa? - Widząc wyraz twarzy Rachel, pani March niemal się uśmiechnęła. - Nierządnica.

Rachel odsunęła na bok gniew i pomyślała o Podkowie, jej zielonej wodzie, pełnej trzciny, plażach pokrytych muszelkami małży. W lesie dym z płonących cedrowych kłód wznosi się zapewne nad kominami i ogniskami. Niedługo starcy zaczną palić oset, żeby zanęcić jesienne ryby. Może któryś z nich nauczy Bena, jak zarzuca się wędkę, i zabierze następnej zimy na połów w przerebli. Nocą słychać będzie pieśni. Czasami wypiją to i owo. Drzewa obfitowały

w korę na pudełka i uzdrawiający sok, lasy rosły się życiem, były ich całe akry, rozciągających się na wzgórzach, przypominających kształtem pochylające się ciała siostr. Mogliby stać się właścicielami tej ziemi - ta garstka pozbawionych korzeni Indian.

Trzydzieści srebrników, jak napisano w Biblii, kupiło Judaszową zdradę i życie niewolnika. Rachel pomyślała o Hondzie. Pomyślała o Minnie. Wymieniła cenę.

## **Część trzecia**



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

1970

Upał i jeszcze goręcej. Ściana drzew. Trawa, która przecina skórę. Wypalone niebo z wbijającą się w nie rozpiętą plandeką nie miało żadnego znanego mu koloru. Ben znajdował się bardzo daleko od zapachu stewii, daleko od plusku fal, jęku i trzeszczenia sosen, był o lata świetlne od łagodnego ciepła wyblakłego słońca północnych szerokości geograficznych. Dlatego zjadł grudkę ziemi, niewielką; język szukał znajomego smaku minerałów i mikroskopijnego życia. „Zawsze zawiedzie cię do domu”, powiedziała mu kiedyś matka. Wyczuwał smak zmurszałych liści i kory, plejstocenowych owadów, maleńkich, futerkowych ssaków.

Od wielu dni z oddziałem przedzierającym się na północ przez dolinę zagłębiał się coraz bardziej w dżunglę. O rzeczach, które widzieli inni żołnierze, opowiedział Benowi szeregowiec nazwiskiem Spenger.

- Kobiety i dzieciaki, stary - mówił Spenger, z oczyma skamieniałymi od wspomnień. Ich głosy brzmiały nisko, gdy szli przez dżunglę. - Nie chcieliśmy, ale porucznik powiedział, że jeśli tego nie zrobimy, zginiemy. - Szeregowiec zjawił się poprzedniego dnia - był jednym z nowo przybyłych, zbyt zdenerwowanych, żeby spać, tak przerażonych, że aż nazbyt chętnie pociągali by za cyngiel.

- I co zrobiliście?

Włokąc się noga za nogą obok niego, Spenger uniósł broń i zaterkotał, udając strzały.

- Postąpiłbyś tak samo. - Przez chwilę bawił się kolbą karabinu, a potem wycelował go w siebie. - Moja wina - dodał głosem równie pustym jak jego oczy.

Ben przypomniał sobie pierwszy raz, kiedy Honda uczył go

strzelania z łuku i jak zamarł, stając oko w oko z jeleniem. Teraz bolała go głowa, a skóra cierpła na samą myśl o tym, co go czekało. Przez pobłyskujące korony drzew w parnym powietrzu przeświecał księżyc. W domu srebrne promienie wytyczały jasną ścieżkę do jeziora, biegły za nim do lasu, gdy tropił nocne zwierzęta, zmieniały śnieg w błękitny metal. Tutaj, w dżungli, księżyc był jedynie ciemną żółtawą kulą.

- Nie możesz tracić zimnej krwi - powiedział mu Honda.

Spenger zapalił jointa i wypuścił z ust dym.

- Nie jesteśmy żadnymi bohaterami, stary - odezwał się po chwili.

Ben żuł grudkę ziemi i myślał o zapachu, jaki wyczuwał ostatnio, przypominającym gnijące liście - był pewny, że niedługo sami się o tym przekonają, jak to jest z ich bohaterstwem. Zawsze wiedział, kiedy zbliżała się burza, kiedy wiatr miał się zmienić. Skóra na czaszce zaczynała go mrowić. Nawet w cudownie jaśniejące błękitem lipcowe dni, gdy wydawało się, że nic złego nie może się wydarzyć, potrafił wyczuć burzę.

Wycelował przed siebie karabin i rozejrzał się wokół. Za nim Spenger trzymał broń niczym Carlos Santana gitarę, ale wtedy, trochę ponad dziesięć metrów przed nimi, ktoś wszedł na minę przeciwpiechotną.

- Pułapka! - wrzasnął porucznik.

Grad pocisków posiekał bambusy, nastąpiła bieganina i krzyki, jak zawsze w zasadzce. Ben rzucił się na ziemię i patrzył na Spengera spazmatycznie potrząsającego karabinem-gitarą.

- Padnij! - wydarł się na niego i opuścił hełm nisko na czoło.

Ale ciało Spengera wykręcało się nadal w upiornym tańcu, aż w końcu upadło.

Powietrze stało się gęste od wilgoci i oparów krwi. Ben obrócił się na bok. Trzymał swój M-16 wycelowany do strzału i szukał wzrokiem żołnierzy z oddziału, gotów oddać serię na widok najmniejszego ruchu. Poza obrazem patroszonych ryb i ćwiartowanych królików nic nie przygotowało go na odór trzewi i krwi. Dzwoniło mu w uszach. Na spodniach czuł wilgoć i ciepło. W porozrywanych bambusach wypatrzył przed sobą dwoje oczu ciemniejszych niż jego własne, utkwionych w nim hipnotyzująco. Uniósł broń, opuścił ją trochę i rwącym się głosem krzyknął:

- Chcę wrócić do domu!

Za sobą słyszał terkot. Potem wybuch. Przycisnął twarz do ziemi, tym razem smakowała jak leśny ił ze słodkim posmakiem sosnowej żywicy. Wokół niego dorośli mężczyźni - choć jeszcze wczoraj chłopcy - gięli się w pół i padali.

Kiedy Ben rozejrzał się ponownie, wszędzie leżeli żołnierze. Niektórzy jęczeli. Prawa strona twarzy i kark piekły go jak po poparzeniu słońcem. Porucznik upadł na kolana, zdjął hełm i zwymiotował. Z radiotelefonu leżącego na trupie dowódcy dochodził niewyraźny głos: „Słyszycie nas?”. Ale mikrofon został zniszczony, nie mogli odpowiedzieć.

- Cicho tam! - wychrypiał Spenger. Krwawił z ust. Rzucił czymś w radiotelefon, a Ben, myśląc, że to granat, zakrył ramionami głowę, ale była to tylko gruda ziemi.

- Pierdoła! - zwołał Spenger, kiedy pecyna odbiła się od metalu z głośnym „bang”. Spojrzał na wstającego powoli Bena. - Chryste, stary! Twoja twarz!

Zanim jednak Ben zdążył zapytać, o co mu chodzi, porucznik, zapominając najwyraźniej o swojej randze, zwrócił się do niego:

- I co teraz zrobimy?

Ben dotknął policzka. Nie bolał za bardzo, ale poczuł pod palcami surowe, miękkie mięso. Trzęsąc się, wziął do ręki szczyptę ziemi i włożył ją pod język, jakby to był tytoń do żucia. Smakowała nadzieją - zyznością i mchem. Zjadł jej trochę więcej.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - zapytał Spenger. Białka oczu mu pożółkły, a krew miał wszędzie - plamiła mu koszulę, spływała po twarzy.

- Skąd jesteś? - spytał Ben.

- Z Missisipi. - Mimo że krew bulgotała mu w gardle, odpowiedział spokojnie, wyraźnie.

- Masz - powiedział Ben. - Spróbuj tego.

Szeregowiec wpatrywał się w grudkę ziemi, którą Ben wyjął z ust, spojrzał na Bena jak na szaleńca, ale powoli rozchylił wargi.

- Missisipi - powtórzył Ben i włożył mu ziemię w poranione usta. - Poczuj smak.

Spenger zaczął żuć. Trochę śliny pociekło mu z kącika ust. Ponad śpiewem świerszczy Ben usłyszał staccato helikopterowych wirników.

- Cholera - odezwał się Spenger, jakby dopiero teraz poznał prawdziwy zapach ziemi. - Zupełnie jak w domu. - Błoto z brzegu rzeki, krwi gnój, asfalt na szosie, miękący w letnim upale.

- Połknij - poradził Ben.

Krtań szeregowca zacisnęła się spazmatycznie, kiedy przełykał, maleńka grudka Missisipi została mu jednak na języku. Ben nie wiedział, do kogo się modlić, gdy oddech kolegi stał się płytszy, zwolnił i ustał. Helikoptery lądowały na granicy dżungli, wzbijając w górę tumany pyłu. Ben wytarł zakrwawione palce o bolący policzek, zarzucił karabin na ramię i kucając co chwilę, ruszył w stronę maszyn, do domu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Pochylona nad stołem Rachel oddzielała cienkie kolce od grubych i słuchała z radia piosenki country Joe i Fisha. Niedługo mieli nadawać wiadomości - prognozę pogody i najnowsze doniesienia o sytuacji na wojnie. Zawsze uważała jesień za martwą porę roku. Liście schły i opadały, trawa brązowieła. Woda i powietrze robiły się chłodne. Noc zawisała nad światem na zbyt długo, świt zaczynał szarzyć czarne niebo o późnej porannej godzinie.

Pokrzykiwania lelka. Wkrótce Rachel poczuje zapach dymu z ognia rozpalanego w chatach i przyczepach kempingowych wokół jeziora. Wyprostowała się i po omacku szukając drogi między pudełkami z paciorków i stewii, otarła się o strój z dzwoneczkami, który właśnie szyła.

- Ciii - powiedziała.

Na zewnątrz unosił się przenikliwy zapach gliny i płytkiej, stałej wody. Kiedy szła nad brzeg jeziora, las otaczały wstęgi mgieł. Gdyby widać było horyzont, patrzyłaby właśnie w jego kierunku, wyszukując jakiegoś znaku. Ale horyzontu nie było - jedynie wierzchołki drzew i w oddali zbocza wzgórz. Nur wypłynął spomiędzy wysokich nadbrzeżnych zarośli i przecinał taflę jeziora. Rachel czuła, że jezioro już staje się ciężkie od nadchodzącego chłodu.

Minęły trzy tygodnie od ostatniego telefonu Bena z Dakoty Południowej. O swojej ranie mówił bardzo oględnie. Spytała go, kiedy wróci do domu, ale połączenie było bardzo złe, toteż nie usłyszała odpowiedzi. Zatrzymał się u rodziny kierowcy ciężarówki, którego poznał, podróżując autostopem. Gdzieś w Dakocie Południowej, powtórzył. To było w październiku, teraz zaczynał się listopad, a on nie zadzwonił ponownie. Do Stanów Zjednoczonych wrócił

w sierpniu. Dostałby bilet na samolot, ale nie spieszył się do domu. Wybrał autostop. Chciał zobaczyć kraj, za który walczył.

Pachniało wilgotnymi liśćmi i tłuszczem smażonym w jednej z przyczep. Rachel słyszała, jak Minnie pobrzękuje patelniami, a także cichy gwizd czajnika z wodą na herbatę. Później matki będą wołały dzieci, krztusząc się, zawarczą silniki samochodów. Rachel przywlecze się z plaży, wypije trochę herbaty, usiądzie przy stole zarzuconym kołcami, piórami i brzoźową korą. Ostatnio coraz częściej odczuwała swój wiek. Trochę brakowało jej jeszcze do czterdziestki, ale plecy bolały ją od wieloletniego pochylania się, od żmudnej pracy. Twarda skóra, silne dłonie.

Codziennie Honda wypytywał ją o wieści. Irytowało ją ciągłe odpowiadanie, że nie wie nic nowego.

- Wróci - mówił Honda. - Wszyscy wracamy.

Minęły dwa lata, od kiedy Ben wyjechał z Wietnamu, i wtedy właśnie zobaczył więcej świata niż w całym swoim wcześniejszym życiu. Pewnego razu za Wodospadami Siuksów po drodze do domu zepsuł się samochód, którym jechał. Złapał wtedy inną okazję. Pojechał z dziewczyną imieniem Trudy. Dotarł z nią do Duluth. Dzięki dwóm następnym okazjom znalazł się na południowo-wschodnim brzegu Jeziora Górnego.

- *Giczi-gu-mi* - powiedział mężczyzna, który go zabrał. Uśmiechał się przy tym szeroko. - Wy, Indianie, nadal je tak nazywacie?

Po przekroczeniu mostu w Mackinaw Ben ruszył piechotą z Pellston. Wędrówka go nie zniechęcała. Niewiele miał do niesienia, powietrze zaś w niczym nie przypominało duchoty panującej w dżungli, którą maszerował przez wiele kilometrów.

Ostatnie kilka kilometrów przejechał w furgonetce z dziewczyną, która zaproponowała mu jointa. Rozmawiali o Nixonie i Kambodży. Jej zdaniem była to jedna wielka pomyłka.

- Jedziesz do Kanady, prawda? - zapytała.

Ben, zapatrzony w wiekowy sad z jabłoniemi, który mijali, pokręcił przecząco głową.

- Byłem tam - odpowiedział.

- W Kanadzie? - zdziwiła się. Włączyła Janis Joplin i bardzo starała się nie patrzeć w bok na jego twarz, kiedy obrócił się w jej stronę.

Za sadem rozciągała się pusta przestrzeń, wykarczowana kiedyś pod pole uprawne wielkości gospodarstwa jego przybranych ciotek, która teraz zarosła zupełnie chwastami. Stojący tam dom pochylał się na jeden bok, jakby przygnieciony ręką olbrzyma.

- Nie - powiedział Ben, odwracając się od niej. - W Wietnamie.

Po tych słowach dziewczyna umilkła. Zaczęła się piosenka Joni Mitchell, a ona usiłowała śpiewać razem z nią, ale nie potrafiła brać wysokich tonów. Wysadziła go tam, gdzie poprosił, zanim jednak odjechała, wychyliła się przez okno i powiedziała:

- Hej, gdybyś kiedyś potrzebował czegoś...

- Dzięki - odparł Ben, skręcając w ścieżkę prowadzącą nad jezioro, pokrytą grubą warstwą liści i wijącą się meandrami przez półmrok odartych z szaty drzew.

Wieczór był pochmurny, niebo groziło deszczem. Ben postawił kołnierzyk kurtki i ruszył do domu. Nagły snop słonecznego światła przywrócił liściom ich naturalne, ostre kształty - klonu, brzozy, olchy - ale chmury zamknęły się nad nimi znowu, zmieniając wszystko w kotłowaną brąz. Po raz kolejny stracił orientację. Szukał czegoś znajomego na niebie, w okolicznych zabudowaniach, w wodzie. Plaża przypominała mu coś, o czym kiedyś śnił - grubą warstwę mułu i bagno. Na jej końcu stały chaty, brzydkie, z otwartymi drzwiami. Ludzie często mawiają, że Indianie stanowią jedność z ziemią, ale patrząc na ten melanż drewnianych bali, drutów i papy, Ben zaczął w to powątpiewać.

Skrzypnęła rama z siatką przeciw owadom, zamocowana w otworze drzwiowym. Obejrzał się i zobaczył ją. Zamarła w bezruchu, oniemiała, jakby zobaczyła Manitu.

- Mamo - powiedział, rezygnując ze słowa „mamusia”, którego używał, gdy był dzieckiem.

Otworzyła usta, wykrzyknęła jego imię i zaczęła biec ku niemu. Przywarli do siebie. Jej zapach przywodził na myśl glinę.

Usiedli naprzeciw siebie przy kuchennym stole. Ben zauważył siwe pasemka w jej włosach, usiłował dociec, skąd wzięty się zmarszczki wokół jej oczu. Chaty stały blisko siebie. Miały cienkie ściany. Jeszcze jako dziecko słyszał przez nie odgłosy nocy. Chrapanie. Kaszel. Pijackie awantury. Uprawianie seksu.

Nie było tu żadnej prywatności.

- Co z twoją twarzą? - powiedziała jego matka, dotknęła jej, a potem cofnęła palce i przycisnęła do ust.

- Był wybuch - wyjaśnił. Chciał jej powiedzieć o tym, jak siedział wśród zabitych żołnierzy. Za pomocą ziemi wskazał ich duchom drogę do domu. Czasami - jak teraz - siedzieli obok i wpatrywali się w niego.

Od ilu to już lat jest wyższy od matki? Pamiętał, jak pierwszy raz przyjechali nad Podkowę i jak bardzo nie chciała tu zostać. Ale wtedy okazało się, że ich szczep może kupić tę ziemię - cud prawdziwy - a matka i on przy pomocy Hondy zbudowali chatę tuż obok miejsca, gdzie kiedyś mieszkała jej babka. „To święte miejsce”, powiedziała mu matka, a on wiedział, że to prawda. Czuł bliskość ducha babki. Teraz jego matka zyskała swoje miejsce, zakorzeniła się równie mocno jak biała sosna.

Na suficie wisiała lampa. Jej światło tworzyło monstrialne cienie, napotykać porozwieszane koszyki, pióra, skóry zwierzęce. Matka pokazała mu pudełka, które robi z kory i piór. W sklepie nie pracowała już od wielu lat, ale na pudełka jej roboty nadal było bardzo duże zapotrzebowanie.

- Jak na wszystko, co indiańskie - dodała.
- Honda musi być tym uszczęśliwiony.
- Och, znasz Hondę.

Rachel powiedziała, że Honda współpracuje z Narodową Radą do spraw Indian. Miała pewne plany.

- Jeśli zostaniemy dostrzeżeni, zyskamy prawa.

Wdychając zapach chaty, Ben przypomniał sobie słodką woń gotowanej kukurydzy, drożdżowy aromat chleba. Miał około dziesięciu lat, kiedy zbudowali chatę. Pamiętał, jak pomagał Hondzie przy dachu. Te dachy i werandy nie były dużo lepsze od tych, jakie widywał nad rzeką Ho Szi Min. Prowizoryczne konstrukcje, równie wytrzymałe jak mrowisko.

- Prawa? - zapytał Ben.
- Jesteś znowu w domu.

Matka ponownie dotknęła jego policzka. Deszcz zaczynał przeciekać przez dach i tworzył kałuże na podłodze. Zamknął oczy, czuł wyraźnie smak gliny podawanej z ust do ust, od matki do niego, z pokolenia na pokolenie, uformowanej z kości, ciała i pamięci.



O zmierzchu matka wstała, żeby rozpalic ogień.

- Nie przejmuj się. Niedługo znowu zatańczysz. Włosy szybko ci odrosną.

Chciał jej wierzyć, ale cienie rzucane przez bębunki i pióropusze wiszące na ścianach zmieniały je w demony.

Nadeszła zima, a z nią śnieg, ale Ben nie zatańczył ani razu, nie uderzył ręką w bęben. W niektóre ranki nie potrafił zmusić się do wstania z łóżka.

- To nic - mówiła Rachel. - Jesteś przecież w domu.

Kiedy jednak dotykała jego ręki, wyrwał się i odsuwał od niej.

Gdy spał, Rachel przyglądała się bliznom na jego twarzy. Przypominał się jej wtedy mokry piasek wysychający na słońcu. Z jego umysłem było gorzej. W niektóre noce krzyczał przez sen, zwijał się w kłębek, zakrywał rękami głowę albo ścisnął je między kolanami. Minnie warzyła leki, które miały go uspokoić - napary z korzeni, eliksiry z kwiatów. A on nadal odwracał się do ognia w ciągu dnia, siedział owinięty w koc i wpatrywał się w płomienie, jakby chciał w ten sposób wypalić wspomnienia.

Był już koniec grudnia, kiedy Honda z hukiem otworzył drzwi. Miał na sobie myśliwską kurtkę, w rękę trzymał łuk i pęk strzał z lotkami z piór.

- Czas wyjść z domu! - powiedział.

Ben pokręcił przecząco głową i wrócił do patrzenia w ogień.

- Odejdź - powiedział.

- Masz zamiar gnić tutaj? Pozwolić, żeby matka karmiła cię do końca życia?

Włosy Bena stały się całkiem długie, mógł już niemal związać je w kitkę. W niektóre dni się nie golił. Choć z drugiej strony nie miał mocnego zarostu. Wyglądał wtedy jakby miał twarz w cętki - sztywne kępki włosów sterczały spomiędzy blizn po oparzeniach.

Honda zdjął ze ściany parę rakiet śnieżnych i wyciągnął je w kierunku Bena.

- Ubieraj się - powiedział.

Na dworze padał gęsty śnieg. Rachel stała w drzwiach i patrzyła, jak idą przez zamarznięte jezioro i kierują się ku ogromnym lasom

na drugim brzegu. Ben urósł, stał się wyższy od Hondy. Pochylił, suwali nogę za nogą niczym niedźwiedzie ubrane w zimowe kurtki. W końcu sylwetki ich obu zniknęły jej z pola widzenia, zostawiając za sobą pajęczą nić śladów na pokrytym puchem śniegu jeziorze.

W lesie panowała cisza. Od czasu do czasu rozlegał się jedynie szelest śniegu spadającego z drzew przy najmniejszym ruchu. Ben zaczepił rakieta o jakiś patyk, wyszarpnął go i zaklął.

Honda szedł, nie zatrzymując się. Przedzierał się między drzewami i zmuszał Bena do zwiększenia tempa. Ben nie mógł się nadziwić, że ten potężnie zbudowany mężczyzna z taką lekkością przemieszcza się po śniegu. Przez wszystkie lata, kiedy razem polowali, Ben zawsze wysuwał się daleko do przodu, biegł „na zwiady”, pierwszy dostrzegał jelenia, zająca, lisa - i wracał, by się tym pochwalić.

- Jezu! - zawołał, dysząc. - Zwolnij trochę.

Ale Honda nie zmniejszył tempa. Zamiast tego zaczął mówić. Opowiadał Benowi, jak było w Korei, jak niemal zamarzli, idąc wiele kilometrów przez śnieg do Hunrei, żeby wyłuskać przeklętych Koreańczyków.

- Dopiero potem przekonaliśmy się, że wszędzie wokół są Chińczycy, każdy się wtedy zarzekał, że jak tylko dojrzy jakiegoś żółtka, wykończy go i tyle.

- Tutaj nie ma ich zbyt wielu - wtrącił Ben.

Honda rzucił mu spojrzenie przez ramię i szedł dalej.

- Z tego, co wiem, nie ma tu też zbyt wielu żołnierzy Wietkongu.

Przykucnął i wskazał zająca, wyskakującego zza drzewa. Bez słowa wyciągnął strzałę z kołczanu, napiął łuk, odchylił się w tył i zwolnił cięciwę. Powietrze rozcięła srebrna smuga, strzała utkwiała w pniu.

- Niech to szlag! - zaklął Honda.

Kiedy doszli do drzewa, wyciągnął ją, obejrzał dokładnie grot i włożył strzałę do kołczanu na plecach. Znów ruszyli przed siebie. Ben chciał mu powiedzieć, że Wietnam różni się od Korei, że dżungla była jak jedno drzewo, którego korzenie wbijały się w ciało, sondowały i dusiły. Nie dawało się tam oddychać. Nie było czym

sikać, bo całą wodę człowiek z siebie wypacał, aż on i jego koledzy śmierdzieli niczym rzygowiny i bagno.

Kiedyś dostrzegł tam kota. Tak mu się przynajmniej początkowo zdawało. Gdy podszedł bliżej, przekonał się, że to było dziecko.

- Tam! - wyszeptał Honda. - Widzisz?

Ben spostrzegł szybkie i śmiałe ruchy zwierzęcia, ale zanim zdążył krzyknąć: „Nie strzelaj, Honda! To dziecko!” strzała leciała już i błyskawicznie sięgnęła celu.

Ben rzucił się naprzód, krzyczał, potykał się. Honda go złapał, obaj upadli, krztusili się śniegiem, pięści poszły w ruch. Honda chwycił go za kołnierzyk i zaciągnął do zabitej ofiary.

- Patrz, Ben! Patrz! To tylko pieprzony zając! - wrzeszczał.

- O Boże - wyjęczał Ben, ciężko dysząc. Zobaczył, co to jest. - Człowieku!

Łzy mieszały się ze śniegiem. Śnieg się rozpuszczał, łzy zamarzały. Białe czapy spadały z konarów na jego ramiona. Gdzieś w lesie rozległ się trzask łamanej gałęzi, w powietrze wzbił się ptak, a potem nastąpiła cisza.

- Nie mogę tu zostać - powiedział Ben.

- To tylko zając - powtórzył Honda. Zagłębił pięść w poplamionym śniegu. Uczcił zabite zwierzę, smarując twarz Bena zimną krwawą posoką.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Walenie młotem i odgłosy kucia przerwały ciszę poranka. Ben przytupywał dla rozgrzewki. Minęło piętnaście lat, od kiedy pan March zabrał go na „Niebieską Czapkę” i uczył zeglowania. Tego dnia powodowany dziwnym kaprysem poszedł do warsztatu, gdzie sprzedawano i naprawiano łodzie, w nadziei, że może potrzebuja kogoś do pracy. Powietrze było gęste od wymieszanych zapachów lakierni i pasty do czyszczenia mosiądzu, smaru i benzyny. Na zimnie oddech zamieniał się w parę. Ben podszedł do faceta zajętego przy żaglu i zapytał, czy pracuje tu jeszcze mężczyzna imieniem Hank.

- Nie. Chyba że bycie właścicielem nazywasz „pracą”. - Wskazał przy tym kciukiem na biuro.

Ben znalazł starego pomocnika w środku. Siedział z nogami na blacie biurka, pokrytego fakturami i zamówieniami. Kawa w dzbanku na kuchence elektrycznej wyglądała jak smoła. Hank, z oczami nadal nabiegłymi krwią, ogryzał ołówek i patrzył spod przymrużonych powiek.

- Pamiętam cię. Jesteś chłopaczkiem z łodzi.

- Ben Winnapee, proszę pana. - Ben wyciągnął do niego rękę.

Hank nadal miał zgrubiałą skórę na dłoniach. Ben przypomniał sobie, jak energicznie stawał żagle.

- Wiedziałem, że pojawisz się tutaj wcześniej czy później - powiedział Hank, wpatrując się w blizny na policzku Bena. - Za bardzo kochasz żagle. - Wziął do ręki kubek z kawą, skrzywił się i odstawił go. - Jesteś takielarem, Ben?

Ben patrzył na zdjęcia wiszące na ścianie - wielkie łodzie pod pełnymi żaglami pochylone przez boczny wiatr. Poczul dawne podniecenie i nagle znowu był tamtym dziewięciolatkiem.

- Nie, proszę pana. - Odwrócił się do Hanka. Uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu miesięcy. - Ale mogę się nauczyć.

W ciągu następnych trzech miesięcy Ben stał się takielarzem. Nauczył się sprawdzania szwów na żaglach, szukania miejsc, gdzie płótno się przetarło, cerowania kieszeni na listwy, wiązania węzłów na końcach lin i stapiania zakończeń za pomocą zapalniczki. Śledził ich drogę przez bloki i nawinięcie na kołowroty, poznał sposoby przewlekania fału przez fokbramsailing i mocowania żagli do masztów. Polerował piaskiem kadłuby i kile. Skrobał. Rozpuszczalniki, pasty do metalu i rozcieńczalniki do lakieru przestały być dla niego tajemnicą. Podobnie jak odpowiednie ustawianie żagli przy pośpiesznej zmianie kursu. W słoneczne dni pracował bez koszuli, jego ciemne włosy związane w kitkę błyszczały, pot kroplił mu się na plecach. Hank żeglował z nim niemal codziennie. Testowali łodzie, upewniali się, czy są szczelne i czyste, zanim na letnie wakacje przyjadą ich właściciele.

Po raz pierwszy Ben zauważył ją w dalekim końcu hangaru. Poznał charakterystyczną niebieską farbę, teraz fatalnie wyblakłą. Gładził dłońmi górną część nadburcia, wachał kadłub. Pamiętał zapach przez te wszystkie lata. Ryby. Morska piana. Mewy.

- Hej! - zawołał do chłopaka, który pracował razem z nim. Wypychali kadłuby w kołyskach na podwórze, brudząc piachem kile. - To łódź Marchów? - zapytał.

- No - odpowiedział chłopak i jak każdego dnia około dziesiątej zapalił jointa. - Uwierzysz, że co roku ta skorupa jest wystawiana? Ale oni i tak nią nie pływają. Unosi się po prostu na wodzie niby jakaś dekoracja.

Ben obchodził łódź, przywodzącą mu na myśl zranione zwierzę. Ster był pordzewiały, kil nieczyszczony. Większość lin się splątała, ale to wszystko było do naprawienia. Świeża farba na kadłub. Tarcie piaskiem oczyści kil z osadu. M n ó s t w e m piasku. Niemal widział już, jak kil tnie wodę, jak wiatr wydyma żagle. Łajba odzyska formę.

Ben sprawdził listę zadań.

- Tu jest napisane, że mamy ją postawić na wodzie.

- Hej, człowieku, to w końcu ich pieniądze, co nie? - Chłopak zaciągnął się głęboko jointem i uśmiechnął do Bena głupkowato.

Ben poszedł później do biura Hanka. Hank nalał do kubka parującą smolistą kawę i podał ją Benowi.

- Znalazłeś już jakieś lokum? - zapytał.

Ben sączył kawę. Do tej pory Hank pozwalał mu nocować w magazynie żagli, gdzie zrobił sobie legowisko pod spinakerem, nadymanym elektrycznym wiatrakiem. Jedwabny materiał unosił się nad nim niczym tęcza. Przez całą noc słyszał niskie buczenie wiatraka, obijanie się fałów i want. Żadnej artylerii. Żadnych bomb. Tam sypiał na ziemi, obrzucony błotem niesionym przez monsun. Tutaj sypiał na podłodze obok łóżka matki. Spanie pod żaglem było lepsze.

- Jeszcze nie - odpowiedział.

- Ktoś zostawił dla ciebie kilka wiadomości - odezwał się Hank po chwili i przesunął w jego stronę parę kartek papieru. - Chyba twój ojciec.

- On nie jest moim ojcem - uciął Ben. Wypił kolejny łyk kawy i odstawił kubek. Wiedział, dlaczego Honda dzwonił. Matka go sprawdza, jest ciekawa, kiedy wróci nad jezioro. - Hej, Hank - powiedział Ben, wsuwając zapisane kartki do kieszeni. - Znasz tamtą łódź? „Niebieską Czaplę”?

- Co z nią?

- Tak się właśnie zastanawiałem... czy ktoś nią pływa?

Hank bujał się na krześle w przód i w tył. Wpatrywał się w Bena znad brzegu trzymanego w ręku kubka. Zdawał się ważyć każde słowo.

- Sytuacja jest dość nieciekawa - powiedział.

Ben potaknął skinieniem głowy. Wiedział wszystko o głupiej, bezsensownej, nagłej śmierci. Mimo to życie toczyło się dalej. Matka mu to powiedziała.

- W Chibawassee jest jeden facet. - Hank roześmiał się. - Żyd. Od lat usiłuje kupić tę łajbę od starszej pani. Myślisz, że ją sprzeda? - Prychnął z podziwem. - Jest uparta jak oni wszyscy.

Ben wyjrzał przez okno. Po drugiej stronie podwórza chłopak opuszczał na podnośniku „Niebieską Czaplę”. Ben zastanawiał się, na ile chłopak jest sprawny i czy jeszcze bardziej nie zniszczy farby. Pani March ma rację, pomyślał.

- Myślisz, że zechce ze mną rozmawiać?

- Jak ci mówiłem... - Hank ściągnął usta i wydał gwizdzący dźwięk.

„Niebieska Czapla” uderzyła o tafelę wody. Ben aż zamrugał oczami, kiedy otarła się o przystań.

- Cholera - powiedział. - Warto będzie spróbować.

Tego popołudnia, kiedy odholowali już „Niebieską Czapkę” na jej miejsce cumowania przy posiadłości Marchów, Ben poprosił chłopaka, żeby wysadził go na przystani. Stał teraz przed starym białym domem, wznoszącym się na murawie na końcu Beck's Point. Ku wschodowi trawa zanikała, ustępując miejsca wydmiem. Pamiętał, jak znalazł się tu pierwszy raz z Hondą, latem, kiedy przywieźli drewno opałowe, jak bardzo bał się tamtych dwóch czarnych kobiet w kuchni; przerażały go wtedy wszystkie wiekowe domy ze skrzypiącymi werandami, wieżyczkami i zwariowanymi schodami.

Poszukał w kieszeni gumki, zgarnął włosy do tyłu i związał je. Paznokcie miał zwykle czarne, ale tego ranka się kąpał, więc wypłuwał spod nich prawie cały smar. Wchodząc po schodach na frontową werandę, zagwizdał melodię, którą gwizdał w Wietnamie podczas atramentowych nocy, wypełnionych cykaniem świerszczy, gdy leżeli w namiotach, usiłowali spać i nastawiali uszu, zawsze gotowi, że usłyszą coś, co nie będzie graniem owadów.

Na poręczy wisiał poprzecierany ręcznik. Coś przyciągnęło wzrok Bena, ale był to jedynie słomkowy kapelusz z szerokim rondem, dyndający na oparciu krzesła. Kołysał się na wietrze, jakby do niego machał.

- Mogę w czymś pomóc?

Obrócił się i zobaczył stojącą w drzwiach kobietę. Początkowo nie widział jej wyraźnie. Może z powodu cienia panującego na werandzie. Połowa twarzy kobiety kryła się za ciemnymi okularami, podobnymi do tych, jakie nosiła Jackie Kennedy. Ale to było dwie kadencje prezydenckie wcześniej i teraz okulary wydawały się staromodne.

- Przyszedłem się zobaczyć z... - zaczął, ale nie dokończył zdania.

Kobieta wpatrywała się w niego natarczywie. W dłoni ścisnęła szklanekę. W pierwszej chwili pomyślał, że jest mniej więcej w jego wieku. Zwiódł go ręcznik owinięty wokół bioder - pewnie dobrze wiedziała, że ma świetną figurę. Miała jasne włosy. Nie był to jednak

blond młodej dziewczyny, ale raczej trwały kolor, z rodzaju tych, jakich nigdy się nie zmienia, skoro się je raz wybrało.

- Przyszedłem w sprawie łodzi - wyjaśnił w końcu.

- Dzięki Bogu - odpowiedziała przesadnie trzeźwo. - Napije się pan czegoś?

- Przepraszam?

- Nie ma za co. - Wesołość zniknęła z jej głosu. Spojrzała na port i wskazała głową „Niebieską Czapkę”. - Domyślałem się, że oficjalnie rozpoczęto już letni sezon. - Znow zwróciła się do niego. - Czy teraz trzeba wam płacić z góry?

Ben założył ręce na piersi. Może w ogóle nie powinien był tu przychodzić.

- Zastanawiałem się po prostu, czy macie państwo kogoś, kto by nią pływał.

Odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się. Uśmiech miała pogodny i zaraźliwy, Ben także miał ochotę się uśmiechnąć.

- Nie - odpowiedziała. - Nikogo. - Chwyciła kapelusz wiszący na krześle i włożyła go na głowę. Był to dziecinny odruch - zachowała się jak mała dziewczynka, która chce zwrócić na siebie uwagę.

- Nazywam się Elizabeth March - wyszeptła, jakby dzieliła się z nim tajemnicą. - Nie jestem osobą, z którą powinien pan o tym rozmawiać. - Przez chwilę Ben zastanawiał się, czy nie jest trochę stuknięta. Przypominała mu pijanych walców żołnierzy, którzy nagle stracili dowódców. Beznadziejność położenia stawała się ponad ich siły, dlatego płakali albo wariowali, albo bili się w piersi, żeby pozbyć się strachu. - Proszę za mną - dodała.

Elizabeth March poprowadziła go werandą na drugą stronę domu. Budynek wydawał się równie zaniedbany jak „Niebieska Czapka”. Dzbanek do podlewania stał obok doniczki z uschniętym geranium. Rynny wymagały oczyszczenia.

- Rory? - odezwała się kobieta do młodego mężczyzny, rozpartego na dziwnej sofie, umieszczonej na szynach tak, że można było ją suwać w przód i w tył. - Ten człowiek przyszedł w sprawie łodzi.

Kurz, niczym warstwa popiołu, pokrywał meble. Nawet pająki siedziały zobojętniałe na pajęczynach. Rory, z półprzymkniętymi oczami, wyglądał, jakby spał, ale uniósł się i westchnął, usiadł i przecesał palcami włosy, cienkie jak nić pajęczyny. Ben przypomniał sobie chłopca, cierpiącego na morską chorobę, ubranego w za dużą



kamizelkę ratunkową, który nie znosił żeglowania. Na stole obok Rory'ego stała puszka po zupie Campbella, pełna pędzli, i pobrudzona niebieską farbą deseczka.

Rory odchrząknął.

- Nie zapłaciliśmy rachunku? - zapytał. Nie patrzył na Bena. Wzrok utkwił we własnych kolanach. - Babcia nie najlepiej się czuje od jakiegoś czasu, ale zadzwonię do sekretarki...

- Nie - przerwała mu Elizabeth March. - On chce nią pływać. Rozumiesz... to jak wyprowadzanie psa na spacer.

- O to chodzi? - zwrócił się Rory do Bena. - Chcesz doprowadzić do stanu używalności „Niebieską Czaplę”?

Ben nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Przychodzenie tutaj było głupim pomysłem. A jeszcze głupiej by było, gdyby się zgodzili.

- Widziałeś, w jakim stanie jest łódź? - zapytał Rory.

- Sam zakładałem takielunek - odpowiedział Ben.

- W takim razie wiesz, że to wrak.

- Nie jest tak źle. Mogę doprowadzić do porządku olinowanie i porządnie przewietrzyć żagle. - Ben musiał panować nad głosem, żeby nie brzmiał zbyt entuzjastycznie.

- Matka zawsze mi powtarzała, że bym co roku wietrzyła ślubną suknię - wtrąciła Elizabeth March.

- Posłuchaj - powiedział Ben. - Gdybym tylko mógł się do niej zabrać...

Rory zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Dobrze, właściwie dlaczego nie? Porozmawiam z Gagą i powiem jej, że ktoś ma ochotę popływać jej starą łodzią. Gdzie mogę cię znaleźć?

Spojrzenie Bena powędrowało na papier leżący na stole. Niebieskie smugi na nim były poszarpane, zdradzały niemal zaciekłość.

- Mieszkam w sklepie z łodziami.

Podążając za wzrokiem Bena, Rory powiedział:

- Lazur. - Śmiejąc się szczerze, dodał: - Wspaniały niebieski kolor moich wakacyjnych wspomnień.

Dzień był za ciepły na chodzenie po pokładach łodzi umieszczonych w kołyskach, przewlekanie lin przez bloki, tarcie brzuchem o an-

typoślizgową szorstką powierzchnię. Chciał być teraz na jeziorze, chwycić najmniejsze powiewy wiatru, który dmuchał pośrodku zatoki, patrzeć, jak woda rozbryzguje się o nadburcie, czuć rytmiczne przetaczanie się fal. Zamiast tego jednak wdychał opary z puszkii z WD-40 i zajmował się dwoma upartymi blokami.

Słońce paliło mu kark. Zdjął z głowy chustkę, którą założył na modłę Cyganów, i zawiązał ją wokół szyi. Mógłby wskoczyć do wody w pobliżu przystani, ale była zanieczyszczona i aż tęczowa od ropy. Od dwóch tygodni czekał na wiadomość od Rory'ego Marcha i coraz bardziej się irytował.

- Cholera! - zaklął, kiedy sworzeń, który usiłował wsunąć w wielokrążek, złamał się na pół.

Przez dwa ostatnie tygodnie patrolował nocami w niewielkiej motorówce plaże Beck's Point, sprawdzał oświetlenie miejsc cumowania i boje. Policzył domy. Tych, które mógł dostrzec, było sześćdziesiąt. Wyłączał silnik i dryfował. Jeszcze przed Wietnamem wiedział, na czym polega rozpoznanie - wypatrzenie, gdzie pasie się jeleni, lis ma norę, jastrząb gniazdo. Nocami kołysał się na wodzie przy pirsie, jedną ręką trzymał się pala i obserwował, niewidzialny, przyjęcia na werandach, kogoś ubierającego się przy oknie, nastolatki palące papierosy na plaży. Bezimienny statek, równie nieuchwytny jak jutrzeńka, pozbawiony kształtu i zanurzony w wodzie jak algi. Trzy noce z rzędu śniły mu się bagna, siki, powietrze rozedrgane od wybuchów.

Teraz w upale dnia patrzył na obrzmiały rząd domów za lasem masztów. Głupotą było chcieć tego. To gorsze od tęsknoty za kobietą. Poza tym spanie w magazynie zagli miało swoje plusy, bo niskie buczenie wiatraka zagłuszało brutalny terkot karabinów, które strzelały w jego snach.

- Telefon do ciebie, Winnapee! - krzyknął Hank, wychylając się zza drzwi biura.

Spuszczając się po burcie łodzi, Ben pomyślał, że to pewnie Honda albo matka. Potrzebował jeszcze trochę czasu, a potem im powie. Niedługo wróci nad jezioro. W biurze podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Czy to Ben? - rozległ się głos po chwili milczenia.

- Tak.

- Czy to ty byłeś u nas niedawno?

Ben obrócił się i spojrzął na mapę wiszącą na ścianie. Przele-  
dził wzrokiem linię brzegu, jaśniejsze linie oznaczające rzeźbę dna,  
liczbowe oznaczenia głębokości.

- To ja.

- Moja babka chciałyby się z tobą zobaczyć.

Pokój z rzędem okien wydawał się ciężać ku wodzie. Stoliki i biurko  
były zagracone podobnie jak wszystkie blaty w chacie jego matki,  
ale zamiast stewii, kory i piór tu stały na nich fotografie, srebrne  
puzderka, leżały koronki. Nad łóżkiem wisiał krzyż, a Ben nie  
potrafił oderwać oczu od czerwonych plam na przebitych gwoź-  
dziami dłoniach Jezusa. W pokoju pachniało lekarstwami. Rosnąc,  
Ben widział w niektórych chatach igły, ampułki z insuliną, whisky,  
syrop na kaszel. Tutaj też było z tego to i owo. Leki dla chorych,  
środki przynoszące ulgę umierającym.

- Nie jest na sprzedaż - powiedziała pani March.

Jej wózek inwalidzki stał odwrócony do niego tyłem. Wpatry-  
wała się w okno. Włosy miała obcięte byle jak - ani uczesane, ani  
zakręcone - jakby pozbyła się czegoś niepotrzebnego.

- Przepraszam, co?

- W dzisiejszych czasach ludziom się wydaje, że wszystko jest  
na sprzedaż - mówiła dalej. - Proszę mi pomóc.

Przeszedł przez pokój, kiedy zaczęła kasłać, i wyciągnął ku niej  
rękę. Jej dłoń przypominała w dotyku wyjedzony przez robaki  
owoc.

- Spójrz tylko - powiedziała, wskazując głową jezioro, gdy  
kaszel ustał. Grupa łodzi unosiła się na falach mniej więcej dwa  
kilometry od brzegu. - Podaj mi lornetkę.

Znalazł ją obok wózka.

- Młody Bailey jest głupi jak but. Jego ojciec też był głu-  
pi - wyszczała, unosząc ją do wysokości oczu.

Wzrok Bena podążył za jej spojrzeniem. Zobaczył fale rozbijające  
się o brzeg.

- A teraz, synu... - urwała zaczęte zdanie i popatrzyła na Bena.  
W jej oczach była mądrość jelenia, który widział już w życiu łuk  
i wszystko wiedział. - Jestem starą kobietą - powiedziała, trzęsąc  
głową. - Wzrok płata mi figle.

- Wracając do łodzi - odezwał się Ben. - Nie chcę jej kupować. Chcę ją wyremontować. Czy wnuk pani tego nie przekazał?

I znowu to spojrzenie. W końcu podniosła się z wózka.

- Zapomniałam, jak się nazywasz.

Może miała starczą demencję.

- Ben - odpowiedział. - Pracuję w sklepie z łodziami.

- Przepraszam... ale co z twoją twarzą?

Odruchowo dotknął dłonią policzka.

- To z Wietnamu. Po wybuchu.

- Ach - odpowiedziała, kiwając głową, jakby wiedziała wszystko o takich sytuacjach. - Mój syn został ranny podczas wybuchu.

- W nogę?

Pani March popatrzyła na niego zaskoczona i spytała, skąd wie o nodze syna.

- Bo zabierał mnie na żagle - wyjaśnił Ben. Opowiedział, że miał wtedy dziewięć lat, ale było to dla niego najpiękniejsze lato w życiu.

- Masz jakieś nazwisko, Ben, prawda? - Wychyliła się do przodu i utkwiała w nim wzrok.

- Winnapee.

- Winnapee? - Zamrugęła powiekami, jakby nagle światło zaczęło drażnić jej oczy.

Przez chwilę, stojąc w tym pokoju, Ben wolał, żeby jego nazwisko nie miało aż tak indiańskiego brzmienia. Wydawało się wariacko nie na miejscu. Lepsze byłoby Winston. Albo Winfield. Odwróciła się od niego tak szybko, że uznał to za odprawę, ale uniosła do góry lornetkę, a po chwili ją opuściła.

- Nie będzie to panią wiele kosztować - powiedział pośpiesznie, by uprzedzić odmowę. - Jeśli pozwoli mi pani spać na łodzi...

- Dawno temu mieliśmy tu służącą - zaczęła pani March, nadal wpatrzona w okno. - Z klasztoru.

Ben poprawił włosy. Kitka wydała mu się za ciasno związana.

Stara kobieta jakby wzięła się w karby i wróciła do teraźniejszości.

- Jak miała na imię twoja matka? - zapytała.

- Rachel.

Pani March zamyśliła się na chwilę.

- Mój wnuk, Rory, ograniczyłby się z pewnością do wejścia po

trapie i za nic nie spałby na lichej łajbie. Dlaczego ciebie miałyby to pociągać?

- Sypiałem w gorszych miejscach.

Usta jej drgnęły, niemal się uśmiechnęła.

- Podaj mi laskę. - Pchnęła lekko wózek. - Nienawidzę tego. Mój syn czuł to samo. Nauczył się chodzić od nowa, ale dla mnie jest już chyba na to za późno. - Świdrowała Bena oczami. - Więc chcesz mieszkać na „Niebieskiej Czapli”?

- Hank pozwoli mi używać podnośnika. Mógłbym ją remontować po pracy.

- Jesteś zaradny, prawda? - Pani March nacisnęła guzik dzwonka. - Dziad mojego męża też był zaradny. Pożyczał pieniądze wojsku Północy, żeby mogło kupować od niego zaopatrzenie. - Wskazała pożółkłą fotografię na ścianie - portret dawno nieżyjącego człowieka o wymizerowanej twarzy. - Pomysłowe, nie uważasz?

Ben nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Wszyscy w tej rodzinie bez przerwy zmieniali temat rozmowy. A teraz pani March najwyraźniej go oceniała.

- Jest jeden warunek - dodała.

Ben popatrzył na krucyfiks. Na twarzy Jezusa malowały się smutek i godność.

- Jeśli wypłyniesz tą łodzią będziesz musiał zabrać mojego wnuka.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Żagle były na w pół zbutwiałe z powodu długiego nieużywania. Ben rozłożył je w doku tak, że płótno pokryło całą wolną przestrzeń. Wkrótce w powietrze uniósł się zapach chloru i amoniaku, zaszurała twarda szczotka.

Czwartego dnia pojawił się Rory. Rozstawił składane krzesółko, posmarował się oliwką dla dzieci. Jego skóra stała się w słońcu różowa i piegowata.

- Naprawdę myślisz, że to warte zachodu? - zapytał.

Burzowa chmura rzuciła cień, a potem się przesunęła. Wzrok Bena powędrował wzdłuż fokbramsztagu, do miejsca, w którym krzyżował się z masztem. W hangarze pod domem, gdzie trzymano łodzie, znalazł obok starych jak świat spinakerów i rozpadających się kamizelek ratunkowych porządne kliwry. „Niebieska Czapla” miała już pomalowane burty.

- Czy twoja rodzina korzystała kiedykolwiek z tej łodzi?

Rory pokręcił przecząco głową. Zaczynał go męczyć wyjątkowy entuzjizm Bena. Drwiąco-poważnym tonem rzucił, że sprzedadzą „Niebieską Czaplę” do przerobienia na łódź ratunkową, albo jeszcze lepiej poślą ją na dno.

- Kto stanie za sterem? - zapytał, zapalając kolejnego papierosa.

- Starsza pani wygląda na wilka morskiego - powiedział Ben.

- Słuszna ocena.

- A ty?

- Rzygam tak, że żołądek wywraca mi się na drugą stronę.

- Nie pamiętasz mnie, prawda? - Ben zwinął linę i zawiesił ją na kołku.

Rory palcami zaczesał włosy do tyłu. Był z rodzaju dzieci-letników, które Ben z kolegami chwytały w zasadzki w lesie, wydając przy tym okrzyki wojenne. „Oddawaj forszę, błada twarzy!”. Później Honda się o tym dowiedział i niemal rzucił nim o ścianę. Ale słowa matki bolały bardziej niż pięści. Kazała mu trzymać się z dala od tych ludzi. „Wydaje ci się, żeś twardy, bo jesteś Indianinem - mówiła. - Posłuchaj jednak... ci ludzie walczą, żeby zwyciężyć”.

- Pamiętam - odpowiedział Rory, ale Ben nie do końca mu wierzył. Czy pamiętał szok, jaki wywołała zimna woda jeziora, rozpryskująca się na jego twarzy? Uczucie, jakie towarzyszyło przecinaniu fal? Czy siedział na kolanach ojca, jak Ben, podczas gdy pan March trzymał go za ręce ułożone na sterze?

Rory poprawił okulary słoneczne, lustrzane, takie, jakie noszą piloci.

- Przypomnij mi, gdzie mój ojciec cię spotkał. Czy twoja matka i Hank byli...

- Nie. - Poirytowany Ben pokręcił głową. Jego matka i Hank na pewno nie byli... Z tego, co wiedział, matka nigdy nikogo nie miała. - Spotkaliśmy się w kuchni, pamiętasz?

- Nie wolno nam było często tam chodzić - odpowiedział Rory i wruszył ramionami. Wstał, przeciągnął się. Jego uniesione ramiona były równie nieukształtowane jak ramiona chłopca.

Do niczego nieprzydatny dzieciak-letnik, pomyślał Ben.

- Posłuchaj - odezwał się Rory. - Nie napiłbyś się lemoniady albo piwa, lub czegoś w tym rodzaju?

- Nie masz nic lepszego do roboty?

- To znaczy?

- Masz jakichś przyjaciół?

- A ty?

Ben zagryzł wargi i przyznał, że nie.

Zadowolony z siebie Rory wziął ręcznik i narzucił go na szyję.

- Nie nawiadzę łodzi! - krzyknął przez ramię, kiedy wychodził z doku i kierował się w stronę domu.

Po kilku dniach pani March ponownie wezwała Bena do swojego pokoju i tym razem dokładnie go o wszystko wypytała. Jak trzyma się kil łodzi?

Odpowiedział jej, że prosto. Ale jest zniszczony. Nawet liny nie mają bezpiecznych zamocowań.

- A co z kołem sterowym? - spytała pani March. - Zawsze był z nim problem przy zwrocie na sterburtę.

- Gdybym mógł wymienić niektóre żagle...

- Te żagle są oryginalne. - Nie oczekiwała po nim doprowadzenia „Niebieskiej Czapli” do nieskazitelnego stanu. Miała po prostu pływać. - Ta łódź była kiedyś klejnotem tego portu. Dwa razy w tygodniu zapraszaliśmy na nią gości. - Oczy jej błyszczały, gdy opisywała, jakim nieustępliwym żeglarzem był jej mąż, jak żeglował między płycznami, żeby zwyciężyć w zawodach, i trzymał kurs nawet wtedy, gdy lina raniła syna w dłonie tak, że krwawiły. - Pokaż mi ręce - poprosiła Bena.

Ben usiłował wyobrazić sobie, jak to musiało wyglądać - farba na kadłubie szklista, szaroniebieska, słońce odbijające się w mojących częściach.

- Dorastałeś tu gdzieś w okolicy? - zapytała, puszczając jego dłonie.

Ben niezbyt pewnie rozejrzał się po pokoju. W wazonie stały purpurowe kwiaty. Okulary do czytania były jednocześnie zakładką w książce.

- Niedaleko.

- W którym miasteczku?

- To nie było miasteczko, proszę pani.

- Chodziłeś do szkoły?

- Do college'u? Nie.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim z powodu kosztów. Poza tym poszedłem od razu do wojska.

- Rozumiem. - Wpatrywała się w niego przez chwilę. Zanim pozwoliła mu odejść, dodała: - Możesz naprawić żagle. Śmiało.

Stało się to codziennym rytuałem. Pani March zapraszała go do swojego pokoju, dowiadywała się o „Niebieską Czaplę”, a potem pytała o coś zupełnie niezwiązanego z łodzią. Czy ma przyjaciół? Czy wierzy?

- Czy matka wychowała cię po katolicku?



Roześmiał się i pokręcił przecząco głową.

- Nie, proszę pani. Powiedziała mi, że religii ma po dziurki w nosie.

- Jednak chyba w coś wierzysz? W Wielkiego Ducha?

- Uważa pani, że wszyscy Indianie są zabobonni?

- Nie mówię o zabobonach. Chodzi mi o wiarę. - Wychyliła się z fotela i świdrowała go wzrokiem. - Widzę, że się ze mną nie zgadzasz.

Nic nie odpowiedział, a ona zaczęła masować powykręcane artretyzmem palce.

- Zastanawiam się czasami, czy ten dom odczuwa ból i czy cierpi tak samo jak ja z powodu tych szponów. Gdyby to było w mojej mocy, obciąłabym je. - Nagłe chwyciła się mocno poręczy fotela i pochylona, zaczęła kastać. Potem wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną i splunęła w nią. - Skoro w nic nie wierzysz, jak sobie poradziłeś w Wietnamie?

- Z czym?

- Z umieraniem.

Ben wpatrywał się w przetarty dywan o wystrzępionych brzegach. Zginęła połowa ludzi z jego plutonu. Matka mu powtarzała, że nie ma sensu zwracać się z cymkolwiek do Boga, ale mimo to on się modlił. Kiedyś położył kamyk na piersi zabitego, tak jak uczył go Honda, żeby ciało nie zatrzymywało uwalniającego się ducha. Raz nakarmił konającego ziemią.

- Moja matka mówi, że życie toczy się dalej. - Ben podniósł wzrok na panią March. Jej oczy były zamglone, cierpiące. - Myśli pani, że to prawda?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego wskazała szkatułkę, stojącą na nocnej szafce obok łóżka.

- Tyle zostało z mojego syna. Mężczyzny, który zabierał cię na żagle.

Ben popatrzył na szkatułkę, a potem na krucyfiks wiszący na ścianie. W końcu, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, zapatrzył się we własne dłonie.

- Umieram. Wiesz o tym - kontynuowała pani March. - Zżera mnie rak. Obcinają mi ciało kawałek po kawałku i powtarzają, że powinnam mieć nadzieję na to, że wszystko dobrze się ułoży. Cóż, zawsze miałam nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej. - Po-

nownie utkwiła wzrok w szkatułce z prochami. Mówiła ze ściśniętym gardłem. - Wiesz, w jaki sposób mój wnuk uniknął wojska? Powiedział, że woli chłopców. - Spojrzała na Bena. - Uważasz, że nie kłamał?

Ben odpowiedział, że nie wie.

- Kiedyś nazywało się takich mężczyzn w określony sposób. Przypuszczam, że pod tym względem nic się nie zmieniło - powiedziała.

- Rory jest w porządku - oznajmił Ben.

Ale pani March nie słuchała. Znowu skupiła spojrzenie na szkatułce, jakby wołała, by to jej prochy tam były. - Czasami przesypuję jego prochy przez palce i zadaję sobie właśnie to pytanie: Czy życie toczy się dalej? Kiedyś natrafiłam na kawałek kości. Pomyślałam, że to może kręć. Albo ząb. - Opierając się niezadarnie dłońmi o poręczę wózka, wstała. - Powiedz mi, jak nazywają kobiety, które straciły dzieci? - spytała, mrugając oczami i patrząc na Bena.

Ben stał na brzegu zatoki i wpatrywał się w płycizny. Od tygodnia oceniał odległość i usiłował odgadnąć, w jaki sposób można przeprowadzić łódź między nimi. Pani March przysięgała, że to wykonalne, ale nie umiała powiedzieć, jak to zrobić, chyba że wiatr byłby szatańsko właściwy, ale nawet wtedy...

Lubił tę stronę cypla. Widać stąd było, jak duże jest jezioro - wielkie niczym ocean; wybrzeże Wisconsin znajdowało się poza zakrzywieniem Ziemi. Plaża odseparowana od świata. Wydymowa. Niewygrabiona do doskonałości jak plaże przy porcie, gdzie bawiły się dzieci, a panie z towarzystwa siadywały natarte olejkami i czytały magazyny.

Widział fale rozbijające się o linię skał. Przy innym świetle można było odnieść wrażenie, że są bliżej. Tego dnia jednak niebo było nieskazitelnie czyste, więc wszystkie kontury nabierały większej ostrości.

- Hej!

Okrzyk przywrócił go do rzeczywistości. Ktoś stał na plaży i machał ręką. Osłaniając oczy dłonią, Ben rozpoznał Elizabeth March. Pamiętał pierwszy raz, kiedy ją spotkał, jak się wtedy śmiała i jak on również miał ochotę się uśmiechać. Stała przy górcie piasku. Kiedy Ben podszedł bliżej, zobaczył, że to piaskowy zamek - ogromny,

z wieżyczkami, papierowymi chorągiewkami przylepionymi do cienkich patyczków, murem obronnym i armatami z kamyków.

- Piękny - powiedział.

- Wiem - odrzekła wesoło jak dziecko.

Ben przykucnął. Była tam fosa i zwodzony most, a nawet trakt, wyłożony maleńkimi kamykami.

- Pani go zbudowała?

- Ja? - roześmiała się. - Nie mam takich talentów. Odkryłam go dziś rano, kiedy zesłam na plażę popływać. Jest fantastyczny, nie sądzi pan? - Podniosła kamień i puściła nim kaczkę na wodzie. Patrząc, jak tonie, odgarnęła włosy z twarzy, obróciła się nagle do Bena i uśmiechnęła. - Łódź wygląda wspaniale.

Ben wzruszył ramionami. Czuł przedziwną mieszaninę zapachu perfum i papierosów.

- To szczerą prawdą - mówiła dalej. - Jest jak zabytek. Ta Łódź. Szkoda, że nie widział jej pan jakieś dwadzieścia lat temu.

Chciał ją zapytać, dlaczego przygląda mu się czasami z okna. Widział ją z doku.

- Dam głowę, że była piękna - odpowiedział.

Jej uśmiech skojarzył mu się z szafą grającą w tawernie Pier, miał w sobie jakąś tęsknotę, a zarazem pewną skuteczność.

- Tak. - Pokiwała głową. - Była piękna. - Między jej brwiami utworzyły się niewielkie zmarszczki.

- Znałem pani męża - powiedział Ben.

Przez chwilę Elizabeth March wyglądała na zmieszaną. A potem znowu uśmiechnęła się w typowy dla siebie, zaraźliwy sposób.

- Naprawdę?

- Zabierał mnie na łódź, kiedy byłem mały. Gdyby nie on... - głos mu się załamał.

- Gdyby nie on, to co?

- Nie wiem. - Ben wzruszył ramionami. - Tak jakby odmienił moje życie.

Znów podniosła kamień i puściła nim kaczkę. Tym razem kamień odbił się dwa razy, zanim utonął w fali.

- Miał dar wpływania na ludzi - powiedziała.

Zanim jednak Ben zdążył zapytać, co ona przez to rozumie, głośny huk odbił się echem na plaży. Ben padł na piasek, zakrył głowę rękami i czekał na podmuch eksplozji.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Na końcu plaży leżał stos cedrowych bali - nieporuszony i cichy. Ben powoli usiadł.

- Mój mąż także nienawidził hałasu. Po wojnie - powiedziała Elizabeth, siadając obok niego. Wpatrzyła się w jezioro niewidzącymi oczami.

Ben przetarł dłońmi twarz. Był to tylko odgłos przekraczania bariery dźwięku przez samolot. Wiedział, że loty ćwiczebne B-52 odbywają się z Manistee, choć przez moment nie mógł pozbyć się wrażenia, że piasek zaczyna rozrywać pociski artyleryjskie.

Popatrzył na płycizny. Może rzeczywiście znajdowały się dalej, niż myślał. Motorówka przemknęła obok, wzbijając fale, które najpierw rozbiły się o skały, a potem uderzyły o brzeg. Poczuł wodę wokół kostek i zobaczył twarz Elizabeth, kiedy zawałały się ściany zamku z piasku.

Ben przyglądał się własnej twarzy w pociemniałym lustrze na dziobie „Niebieskiej Czapli” - grubym brwiom, aksamitnej skórze na jednym policzku, oszpeconej bliznami na drugim, jakby zastygły na nim strużki wosku. Wcześniej tego popołudnia dostał wiadomość od Mandy, że zapraszają go do domu na obiad. Związał włosy w kitkę, włożył pożyczoną od Hanka koszulę z kołnierzykiem i ruszył w stronę rezydencji Marchów.

Jedli obiad tylko we czworo. Pani March siedziała na wózku inwalidzkim u szczytu stołu, nad którym mrok rozpraszało jedynie słabe światło świec. Ben i Rory zajęli miejsca naprzeciw Elizabeth March. Ciało swędziało Bena pod pożyczoną koszulą, czuł, że zupełnie tu nie pasuje. Ale został zaproszony i teraz wszyscy troje wpatrywali się w niego.

- Mam nadzieję, że jesteś głodny - odezwała się pani March, naciskając pod stołem guzik brzęczyka.

Wkrótce potem Mandy krążyła wokół nich z półmiskami jagnięciny i młodych ziemniaków.

- Pieczywo? - spytała uprzejmie i podsunęła mu koszyk z ciepłymi bułeczkami.

Ben spojrzał na Lydię March. Nie miał zielonego pojęcia, po co go tu zaprosiła. Wydawała się zahipnotyzowana jego dłońmi, tym jak je, jak bawi się srebrnymi sztuczkami.

- Powiedz mi, czy zastanawiałeś się kiedyś nad obcięciem włosów? - odezwała się po chwili.

- Przepraszam, co?

- Nie mogę się do nich przyzwyczaić - wyjaśniła, machając ręką za głową.

- Jakby to powiedzieć... - Ben przełknął głośno. - Indianie tak właśnie je noszą.

- Mógłby też włożyć świeżą koszulę, Gaga - wtrącił Rory, szturchając Bena łokciem pod żebra.

Ben spojrzał ostro na Rory'ego, a potem zwrócił się do pani March:

- Nie jestem hipisem ani kimś takim.

- Dzięki Bogu i za to - odezwała się Elizabeth March, tłumiąc uśmiech.

- Mój mąż był świetnym żeglarzem - mówiła dalej pani March. - „Niebieska Czapla” to jego łódź.

- Słyszałem. Sam ją zbudował? - zapytał Ben, wbijając nóż w mięso.

Pokręciła głową.

- Zamówił ją jeszcze w latach dwudziestych. Chcesz zobaczyć zdjęcie z jej chrztu?

- Pewnie - odpowiedział Ben z widelcem w połowie drogi do ust.

- Widzicie, kogoś to jednak zainteresowało - powiedziała pani March, kierując te słowa do Elizabeth i Rory'ego. Żadne z nich jednak nawet nie próbowało się podnieść. - Pomóż mi z wózkiem. - A kiedy Ben pchał wózek do jej pokoju, dodała: - Widzieli je milion razy.

- Kiedy byłem mały - mówił Ben do przerzedzonych włosów pani March - ten dom lubiłem najbardziej ze wszystkich.

- Naprawdę? - odpowiedziała pani March niemal wesoło i swobodnie, czego nie słyszało się często. - Mój syn wpadł kiedyś na pomysł, żeby go zburzyć. A widzisz, w Europie są katedry, które stoją od stuleci. - Wskazała dłonią zdjęcia wiszące na ścianie. - O tutaj. 1922 rok. Poświęciliśmy na to butelkę Dom Perignon. W tamtych czasach wszyscy piliśmy szampana.

Ben ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami przyjrzał się z bliska wyblakłej fotografii, na której widać było młodą panią

March w kapelusiku nasuniętym nisko na oczy oraz łysiejącego mężczyznę w fularze.

- Jej budowa kosztowała dziesięć tysięcy dolarów - mówiła Lydia. - W tamtych czasach to była fortuna.

Ale Ben przesunął się już ku innym zdjęciom. Pan March senior z końmi do polo. Woody March z kimś, kto wyglądał na jego brata, z raketami tenisowymi w dłoniach. Pociemniały surowy portret starszego mężczyzny. Młoda, pełna życia Elizabeth March - Ben spojrział na nią dwukrotnie.

- Moja synowa i wnuk już nie oglądają tych fotografii - powiedziała pani March.

- Takiego właśnie go zapamiętałem - odezwał się Ben, pokazując czarno-białe zdjęcie Woody'ego, stojącego na przystani z Elizabeth.

- Nigdy mi się nie podobało - stwierdziła pani March. - Zdjął wtedy protezę. Powiedział, że skóra go swędzi.

Oboje byli w kostiumach kąpielowych. Elizabeth miała wąskie okulary słoneczne i robiła miny do aparatu. Woody March opierał się na lasce, patrzył poważnie w obiektyw. Lewa nogawka kostiumu kąpielowego zwisała pusta.

- Kiedy stracił nogę?

- Na wojnie - odpowiedziała pani March po dłuższej przerwie. - Wojna i ci okropni Japończycy. Zrzuciliśmy już wtedy na nich bombę, wiesz którą, a oni ciągle wysyłali samoloty przeciwko naszym okrętom. Takie marnotrawstwo. Dlatego nie mogę im wybaczyć.

Tymczasem w jadalni Mandy, pobrząkując porcelaną, sprzątała po pierwszym daniu. Rory wymówił się czymś i wyszedł z pokoju.

- Rozumiesz mnie, prawda? - Pani March dotknęła ręki Bena.

Z łazienki dobiegł odgłos spuszczenia wody. Ben wolno pokiwał głową. Pochylił się ku ścianie z fotografiami. Oboje z panią March studiowali galerię zdjęć, każde z nich usiłowało odczytać znaczenie poszczególnych portretów. Cały czas trzymała dłoń na jego rękę.

- Masz obsesję czy co? - zapytał Rory, oparty o ściankę kokpitu. Wyjął marlboro z paczki i spojrział koso na Bena. Poranek dopiero

się zaczynał, nijaki i pozbawiony kolorów, wiatr zmienił kierunek ze wschodniego na zachodni. - Szaleju się najadłeś?

- Szmelc - wymamrotał Ben, niemal upuszczając śrubokręt.

Przez całe dni pracował w sklepie z łodziami, a „Niebieską Czapkę” remontował w wolnym czasie. Po godzinach przyholował łódź do Hanka i użył jego podnośnika, żeby oczyścić kil piaskiem. Teraz był ponownie przy przystani Marchów, nadawał ostateczny szlif masztom, upewniał się, że bloki wytrzymają, a liny będą się przesuwają bez problemów. Zawisł na bosmańskiej ławce, żeby dobrać się do masztu, i balansował na rejach.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział Rory. Miał na sobie szorty i niebieski blezer, choć było jeszcze bardzo wcześnie. Poluzował krawat. Ben nawet z wysoka widział, że oczy ma przekrwione.

- A co tu jest do rozumienia? - zapytał.

- Jeszcze nigdy nie widziałem kogoś tak przejętego łodzią - wyjął Rory, wypuszczając głośno powietrze. - Albo czymkolwiek innym, jeśli chodzi o ścisłość.

Ben opuścił się na pokład. Przez mgłę spowijającą port przebiegały się światła latarni ulicznych.

- To jasne, że Gaga zaczęła się tobą interesować - mówił dalej Rory. A ponieważ Ben nie odpowiadał, dodał: - Jestem wariatem, wiesz. Mam to na piśmie.

- Myślałem, że uczyłeś się w college'u.

Rory pokręcił głową.

- Wylali mnie. Z Princeton. Chodziły tam cztery pokolenia Marchów, a mnie wyrzucili.

- Dlaczego?

- No właśnie! - wykrzyknął Rory. - To, co w jednej kulturze jest dewiacją, w innej może być celem, do którego się dąży. Uzależnienie od narkotyków mojego ojca? Bezwarunkowo akceptowane w dziewiętnastowiecznej Brytanii.

- Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem. - Ben skrzyżował ramiona na piersi.

- Och, zapomniałem - dodał Rory prawie wesoło. - Ciebie tam nie było.

Rory zgasił papierosa. Ben miał ochotę powiedzieć: „Miałeś przynajmniej ojca, palancie”, ale zamiast tego spytał:

- Jesteś narkomanem?  
- Niewykluczone. - Rory utkwiał wzrok w Benie. - Powiedziałbym, że mam skłonności.

- Dlaczego cię wylali?

Rory westchnął.

- To długa historia. Smutna, choć niepozbawiona weselszych akcentów. Moja niezdolność do służby na przykład. - Ruchem głowy wskazał identyfikatory nadal wiszące na szyi Bena.

Kiedy patrzyli na znikające ostatnie smugi mgły, Ben wytarł ręce ścierką do smaru, nalał kawy i podał ją Roryemu.

- Widzisz... - zaczął Rory. Wziął kawę i zapatrzył się w nią. - Chodzi o to, że jeśli nie śpi się całą noc, można zyskać nowy sposób patrzenia na świat. - Wypił łyk kawy i popatrzył w stronę domu. - I coś takiego, jak choćby nadzieję. - Odwrócił się tyłem do Bena. - Posłuchaj, to, co mówiłem o ojcu...

- Nie ma sprawy.

- Właściwie by ł bohaterem. - Rory zakrył usta ręką tak energicznie, że rozległo się głośne klaśnięcie. - A może powinienem powiedzieć: bohaterski? Biorąc pod uwagę dramatyczne okoliczności. Nogę i resztę. Wypadek z łodzią.

Ben pamiętał, co powiedział mu Hank - że niektórzy ludzie myślą, że nie był to wypadek, ale samobójstwo. Cokolwiek to było, wszystko się zmieniło po tamtym lecie. Honda zjawił się z pieniędzmi na wykupienie Podkowy, a matka zdecydowała się zamieszkać tam na stałe. Powiedziała, że chce, żeby poznał Indian. Nauczył się zapomnianych słów. Teraz jednak leżące w głębi łądu jezioro zbyt go przytłaczało, a język okazał się nie do rozszyfrowania.

- Robisz coś w przyszły poniedziałek? - zapytał Rory'ego, leżącego w kokpicie.

- Przyszły poniedziałek, przyszły poniedziałek... - Rory zamknął oczy, otworzył je i popatrzył na Bena. - Dlaczego pytasz?

- Muszę cię nauczyć żeglować.

Rory rozejrzał się po kokpicie. Ben widział obrzydzenie na jego twarzy.

- Wietnam musiał być rzeczywiście głównianym doświadczeniem - powiedział Rory, cedząc każde słowo.

Ben pomyślał o miętowozielonych pociskach smugowych, o trzasku ognia artylerii przeciwlotniczej. Zaczął opowiadać



o dziecku, które wziął za kota. Ale rezygnacja Rory'ego była inna niż jego, i Ben nie wiedział, jakich użyć słów.

W kuchni pachniało bekonem, benzyną i curry z poprzedniego wieczoru. Ben siedział przy stole naprzeciw Mandy i jadł widelcem jajecznicę.

- Kiedy ostatnio miałeś coś w ustach? - spytała Mandy. Przy-mrużyła oczy, badając go wzrokiem od ramion po brzuch. - Sądząc po twoim wyglądzie, chyba wtedy, gdy byłeś tu na obiedzie.

Ben uśmiechnął się i poklepał po brzuchu. Poprzedniego dnia Mandy pojawiła się na przystani i stanęła z rękami na biodrach. Musiał pochylić się do niej z masztu.

- Pani March powiedziała, że mamy cię karmić.

A teraz cackały się z nim, jakby był Jezusem po głodówce.

- Pamiętam cię jako dziecko - powiedziała Ella Mae. - Poczę-stowałam cię ciastkiem, kiedy przyszedłeś tu z tatą.

- On nie jest moim ojcem - wyjaśnił Ben. - Ale o ciastku nie zapomniałem.

- Wiesz co? - Ella Mae wyglądała na zadowoloną. Ujęła jego rękę. - Popatrzę sobie.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się we wnętrze jego dłoni, aż znieczierpliwiony Ben cofnął ją.

- Nigdy przedtem nie widziała pani ręki? - powiedział.

Ella Mae posłała mu poważne spojrzenie i wydeła policzki.

- Widywałam ręce - odpowiedziała. - Na niektóre nie chciałbyś nawet rzucić okiem, bo linie były tak splątane. - Wstała, poprawiła fartuch i usiadła ponownie, wyglądając go na kolanach. - Ale nigdy wcześniej nie widziałam takiej ręki jak twoja.

- Co masz na twarzy? - zapytała Mandy, dokładając mu jajecz-nicy na talerz.

- Blizny od poparzenia - odpowiedział Ben i zerknął na tablicę z numerkami, wiszącą na ścianie.

- H m m - odpowiedziała Mandy.

- Takie ręce - powtarzała Ella Mae, kręcąc głową.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Handlarz drewnem - wyjaśniła kucharka, podnosząc się wolno. Popatrzyła na Bena. - Mówisz, że nie jest twoim ojcem?

Honda stał w drzwiach, kiedy Ella Mae je otworzyła. Zerknął na Bena. Nie widzieli się przeszło miesiąc, ale pierwsze, co Honda powiedział po wejściu do środka, to:

- Niech lepiej ktoś powstrzyma wyciek benzyny, zanim to całe miejsce wyleci w powietrze.

- Niech lepiej ktoś naprawi bardzo wiele rzeczy w tym domu - dodała z przekąsem Mandy.

- W sklepie z łodziami powiedzieli mi, że właśnie tutaj cię znajdę. - Honda wpatrywał się w Bena. - Jak widzę, nawet cię tu karmią.

Mandy przewróciła oczami.

- Nie narzekam - odpowiedział Ben.

- Ludzie zepsuli chłopaka - powiedział Honda nie wiadomo do kogo. - Zawsze psują dzieci.

- Ten chłopiec jest wyjątkowy - odrzekła poważnie Ella Mae.

- Czyżby? - Honda popatrzył na Bena. - Może byś mi pomógł?

Na dworze w nieruchomym powietrzu ranka stała ciężarówka Hondy, załadowana drewnem na opał. W poszukiwaniu szyszek myszkowała tam wiewiórka, ale uciekła, gdy mężczyźni podeszli bliżej.

- Tam - odezwał się Honda, podał Benowi parę płóciennych rękawic i wskazał głową kamienną ścianę kuchni.

Zaczęli rozładowywać ciężarówkę i układać kłody. Żaden z nich się nie odzywał, ale wszystko robili w znany im od lat, rutynowy sposób, kiedy chłopiec pomagał mężczyźnie w dostawach drewna dla letników. Wreszcie skończyli, Honda zdjął rękawice i rzucił je na skrzynię samochodu.

- Matka czeka na jakąś wiadomość od ciebie. - W słońcu było widać, że Honda posiwiiał na skroniach.

Ben oparł się o stos drewna i patrzył na przysiadającego i podrywającego się co chwilę motyla o delikatnych skrzydłach.

- Jestem zajęty - odpowiedział.

- Aż tak?

- Mam mnóstwo pracy.

- Jak żarcie u tych ludzi?

Więc tu jest pies pogrzebany, pomyślał Ben, chodzi mu przede wszystkim o letników, którzy ukradli nam tę ziemię.

- Jesteś nam potrzebny - dodał Honda po chwili. - Za kilka dni odbędzie się *pow-wow*. Jeśli sprawa przejdzie w rządzie, niewykluczone, że będzie to miało dla nas ogromne znaczenie.

Ben przetarł opalone powieki. Jasne, pomyślał. Jak pieniądze. Ale i tak miał już plany na następny tydzień. Zamierzał zabrać Rory'ego na żagle. „Niebieska Czapla” czekała na pierwszy rejs po remoncie. Tyrał na tę chwilę przez cały miesiąc.

- Wiedziałeś, że twoja matka pracowała u tych ludzi? - Honda kiwnął głową w stronę domu.

Ben łożył ręce na piersi. Przecież Honda doskonale się orientował, że matka niewiele mu mówiła. Honda wszedł do ciężarówki i wychylił się z okna.

- I co o tym myślisz? - zapytał.

Ben wzruszył ramionami.

- Życie toczy się dalej.

- To prawda - powiedział Honda i zapuścił silnik. - Ale tak czy siak, musisz podjąć jakąś decyzję.

Tego wieczoru po wodzie niosła się muzyka. Ale nie bębnienie, do którego Ben był przyzwyczajony, ani też uporczywe dudnienie rock and rolla. Ta była lekka i zwiewna, niematerialna jak cicha rozmowa, a jednak go poruszała, starodawna i obca jak muzyka kościelna.

Postanowił przejść się plażą wzdłuż zatoki i przemyśleć to, co powiedział mu Honda. Przez cały dzień nie widział Rory'ego. Może Rory spał do wieczora, a potem wstał, wygładził blezer i poszedł gdzieś w noc. Wsłuchując się w muzykę, Ben zastanawiał się, czy można przywrócić młodość ruchem ciał, obracających się, zespolonych. Widział kiedyś, jak szamanka wyleczyła tańcem człowieka, przejęła jego chorobę i odzyskała zdrowie dopiero, gdy inni tancerze zaczęli krążyć wokół niej. Indianie uważali, że ocalenie tkwi w klaszynie dłońmi, wspólnym rytmie serc i bębnow.

Księżyc otoczony był mglistym pierścieniem. Kiedy Ben szedł ścieżką ku plaży, błyskawica rozdarła chmury. Bose stopy zagłębiły się w piasku, równie kojącym jak dotyk jego matki. Kto mógłby powiedzieć, że przekroczył dopuszczalną granicę?

Na skraju wody zaczął się poruszać, najpierw powoli, w takt nikłej urywanej muzyki, która niosła się po jeziorze z klubu, a potem

w takt kadencji, rodzącej się w jego umyśle. Miarowe bicie fal, potem bębny i pieśń dochodząca z oddali. Tupał w piachu, przykucał nisko na kamienistej plaży. Ra-ta-ta w jego głowie przypominało mu terkotanie karabinu, krzyki przebijające się ponad huk wystrzałów. Obracał się, kołysał. I znowu. Obraz czegoś płonącego. *Hija-ha-ha, hija-ha-ha*. Kręcił się w kółko. Muzyka z klubu zmieniła się w coś innego, jakby Spenger fałszował Hendriksa. Ben wypiął pierś jak Spenger, kiedy dostał serię w plecy, a krew i ślina pociekły mu z kącików ust.

Co oznaczały okrzyki w tańcu wojny? Czy były jedynie prośbą o zwycięstwo, prostym wołaniem, by to cudza krew się polała? Nawet Odawa zajęli tę ziemię, dokonawszy najpierw rzezi. Cała wioska nad jeziorem została zmieciona z powierzchni ziemi w bitewnym szale toporów.

Nad horyzontem zapulsowała błyskawica. Fala uderzyła o brzeg, omyła mu kostki u nóg, a on nadal tańczył, łydki i ramiona miał pokryte piaskiem. Rozległ się przeciągły jęk gromu.

- Ben?

Elizabeth March stała na plaży niedaleko od niego. Jej sylwetka wydawała się niewyraźna w bladej poświacie księżyca, włosy miała prawie białe. Objęła się gołymi ramionami, a on odgadł, że trochę się przestraszyła, widząc, jak on kręci się w rytm niesłyszalnych bębnow. Przystanął, przecesał palcami włosy i przerzucił je na plecy.

- Przepraszam - powiedział, łapiąc oddech.

- Nie przestawaj - odpowiedziała.

Musiła być w klubie, bo miała na sobie długą srebrzystą suknię, której tren ciągnął się po piachu. Chciał ją ostrzec przed falami, że mogą zaskoczyć człowieka, ale ona i tak stała już przy brzegu i miała zmoczoną suknię, tyle że najwyraźniej w ogóle się tym nie przejmowała.

Ben zaśmiał się, oparł dłonie na kolanach i ciężko dyszał.

- Nie tańczyłem od lat.

Stała teraz po kolana w wodzie, piękna niczym królowa studenckiego balu, mimo że miała czterdziestkę czy coś koło tego. Prawdopodobnie była w wieku jego matki, ale on nie mógł oderwać wzroku od jej złocistych włosów.

Kołysała się lekko między falami, jakby ona także tańczyła w rytm niesłyszalnej muzyki.

- Kiedyś uwielbiałam tańczyć - powiedziała. - Gdy byłam młodą dziewczyną. Woody miał na sobie mundur i wirowaliśmy w walcu pod rozproszonym światłem, aż tak mi się kręciło w głowie, że bałam się, iż upadnę.

Uderzyła ją kolejna fala. Elizabeth zachwiała się. Ben zastanawiał się, czy jest pijana. Kiedy ujął ją pod ramię, oparła się o niego i zapatrzyła w niebo.

- Te wszystkie gwiazdy - powiedziała.

Skórę miała gładką i zimną.

- Pani marznie.

Ponownie objęła się ramionami. Drżała.

- Zatańcz ze mną - poprosiła.

- Nie wiem jak.

- Widziałam cię...

Roześmiał się.

- To, co pani widziała, nie było tańcem.

- A czym w takim razie?

Złością. Rozpaczą. Ciągłe trzymając ją pod ramię, powiedział:

- Modlitwą... może.

Teraz ona się zaśmiała.

- Moja teściowa modli się bez przerwy.

Ben pomyślał o bezużytecznych komórkach namnażających się w ciele starej pani March - kłopotliwa obfitość, której ani nie chciała, ani się o nią nie modliła. Zabijały ją, pożerały tkanki, rozpierały się w trzewiach, panoszyły w płucach. Pokazała Benowi skremowane szczątki syna i powiedziała wtedy: „Widzisz? Na koniec okazuje się, że jesteśmy tyle warci, co rybie ości”.

Elizabeth przysunęła się bliżej do niego.

- Wydaje się jej, że jest nieśmiertelna. Myśli, że cała ich rodzina jest taka. - Jej oczy nabierały blasku w świetle gwiazd. - Spędziłeś trochę czasu z moim synem. Jakie są szanse, że się ożeni i będzie miał dzieci? - Dopiero teraz Ben się zorientował, że jest bardzo pijana. - Tego właśnie matki chcą dla swoich dzieci.

Zatoczyła się tak, że musiał ją podtrzymać. Zaczął ją powoli kołysać. Łzy płynęły jej po twarzy. Dotknął jednej i oblizał palec. Perfumy, łzy i tusz do rzęs mieszały się, gdy poruszali się razem, popychani falami tam i z powrotem. Smakowała rozczarowaniem

i udręką, nieugiętą nadzieją, a Ben poczuł, że zna ją podobnie jak znał ziemię, trawę i deszcz.

Myślał o tym, czego chciałaby dla niego matka - żeby wrócił nad jezioro i tańczył z grupą. Dla niej znaczyło to tak wiele, dla niego prawie nic. Zapomniał nawet kroków.

Nadal się kołysząc, patrzył na czubek głowy Elizabeth March, czekał na sygnał, ale ona odsunęła się od niego i uśmiechnęła. Przerwała zaklęcie.

- To wspaniałe zakończenie parszywego wieczoru - powiedziała.

Ben potrząsnął głową, żeby oczyścić myśli. Ponad nimi przeświecała poprzez drzewa poświata otaczająca dom. Podobał mu się ten dom, podobał mu się dumny, wielkopański sposób, w jaki wznosił się nad jeziorem, wrośnięty w ziemię niczym głaz, stojący tam przez eony. Powinien go nienawidzić za wszystko, co sobą reprezentował - pyszałkowate poczucie, że ma prawo do tego miejsca, oparte na przydziale ziemi i bardzo krótkiej historii. Jego współplemieńcy wiązali jakoś koniec z końcem, żyjąc z tego, co pozostało z ich kultury. Mokasyny sprzedawane w sklepach z pamiątkami. Pudelka dekorowane piórami i kolcami. Czas, gdy karczowali lasy, minął bezpowrotnie, handel futrami odchodził w zapomnienie. Indianie przenosili się do miast, zapominali o puszczech i jeziorach. Kobiety pracowały w domach białych ludzi, prały ich bieliznę, szorowały podłogi.

Wzrok Elizabeth podążył za jego spojrzeniem. W oknie pani March zamigotało światło.

- Ktoś powinien podpalić to miejsce. - Uniosła do góry mokry tren sukni i ruszyła po ciemnym od wody piachu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Był wczesny wieczór. Taflę jeziora marszczył wiatr. Odwłoki komarów nabrzmiwały. Zbudowana na plaży prowizoryczna wioska zniknęła. Dziesiątki ludzi - a może więcej - biwakowało wokół jeziora w przyczepach kempingowych i samochodach, tipi, namiotach lub na rozłożonych na ziemi kocach. W jednej z przyczep ktoś włączył radio - prawdopodobnie stary Jedda - i słuchał relacji z meczu rozgrywanego w Detroit. Rachel słyszała odległe trzaski zakłócające głos komentatora, ogłaszającego koniec gry, okrzyki radości i czyjeś przekleństwo w odpowiedzi.

- A niech mnie! - powiedziała Minnie. - Facet ma niewyparzoną gębę.

- Gęba gębie nierówna - odpowiedziała Ada, która przyjechała z Bliss, żeby zobaczyć *pow-wow*.

Dzień skończył się fatalnie, bo jedna z dziewcząt przebiła sobie dłoń szydłem. Uczenie dziewcząt wyrobu przedmiotów z kory było dużą sztuką i nie po raz pierwszy Rachel zastanawiała się, jak jej babka z nią wytrzymała.

- Mam lepsze rzeczy do roboty - powiedziała skaleczona dziewczyna, kiedy Ada opatrywała jej rękę.

- I ja także - wymamrotała pod nosem Rachel.

Nauka obchodzenia się z korą okazała się katastrofą. Cierpliwie pokazywała dziewczętom, jak posługiwać się szydłem, żeby ją przebić. „Myśl o wzorze. Myśl o tym, jak pióra będą się układać”, powtarzała dziewczynie. Ale dziewczyna nie potrafiła się skupić, a teraz była nad wodą i puszczała kaczki z przyjaciółmi, flirtowała z chłopakami, którzy przyjechali z Escabany. Rachel siedziała na werandzie razem z Adą, Bliss i Minnie w starych bujanych fotelach,

które Honda jako tako posklecał z połamanych mebli znalezionych na wysypisku albo też dostał od letników, którzy nie chcieli kupić od niego drewna na opał.

- Ach, te dziewczyny - odezwała się Rachel.

- A ty byłaś inna? - zapytała Minnie.

Ada roześmiała się i powiedziała, że pamięta, jak Rachel uparła się pewnego razu iść zimą pieszo nad jezioro.

- Brzuch miała już wielki jak balon, ledwie widziałyśmy jej głowę wystającą ponad zaspy.

- I co z tego? - wtrąciła Rachel. - Przecież poszłyście za mną.

Ada zacisnęła usta i spojrzała na Bliss. W ciągu ostatnich kilku lat wzrok Bliss bardzo się pogorszył, nie panowała nad ruchami prawego oka. Mimo to uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- Jak byśmy się wytłumaczyły zakonnicom?

- Ada coś by wymyśliła i nakłamała. - Mówiąc to, Rachel uniosła brwi. Odpędziła od siebie komara. - Jak zawsze.

- Ha! - Westchnęła Ada.

- Ciii - powiedziała Minnie. - Kim jesteś, żeby mówić o kłamstwie?

Rachel unikała jej wzroku. Jeśli kłamała, to zawsze w dobrej intencji. Czym skończyłoby się bowiem, gdyby Ben wiedział, że rodzina ojca się go wyrzekła, zapłaciła jej za zrzeczenie się wszelkich roszczeń, albo - co gorsza - że ona sama ją o to poprosiła? „Pieniądze z szantażu, ukradzione Marchom”, wyjaśniła Hondzie. On roześmiał się wtedy i powiedział: „I bardzo dobrze”, ale Rachel wymogła na nim przysięgę, że ogłosi wszystkim, iż to jego pieniądze. Lepiej, żeby ta suma pochodziła od niego niż od niej. „A co mam im powiedzieć? Że znalazłem je na ulicy?” pytał Honda. „Skłam, że wygrałeś na jakiejś zaszranej loterii, powiedz, co ci ślina na język przyniesie”, poradziła mu Rachel.

I tak też zrobił. Ale nikt nie uwierzył. Krążące na ten temat plotki, od najgłupszych po najśmielsze, w końcu ucichły; wybuchły ponownie, gdy ktoś wściekł się pewnego razu na Hondę, ale potem zanikły zupełnie. Od czasu do czasu słychać jeszcze było pradawne powiedzenie: „Nie można ufać Jacksonom”, ale już nikt tego nie słuchał. To, skąd pochodziły pieniądze, było bez znaczenia. Najważniejsza była ziemia.

Na początku z powrotem sprowadziło się tylko kilka ro-



dzin - pozostałość po tych, którzy mieszkali tam kiedyś, a potem wyjechali. Większość zjawiła się później. Wszyscy powtarzali, że należą do szczepu, ale Rachel zastanawiała się, czy aby na pewno wszyscy są Indianami, tym bardziej z plemienia Odawa. Indianin blondyn? Ale Honda przypomniał jej, że wszystko jest możliwe. Bardzo wielu miało w żyłach indiańską krew, nawet jeśli była to połowa, ćwierć czy jedna ósma. „Popatrz na siebie, popatrz na Bena”, dodał Honda.

Ale Bena tam nie było. Ada, Bliss i Minnie bez przerwy pytały, kiedy przyjedzie, aż w końcu ucięła to krótkim: „Kto to wie? Nie było go tu od miesięcy”.

*Pow-wow* miało się zacząć następnego dnia. Bena uznawano za jednego z najlepszych tancerzy i chociaż Honda nie chciał się do tego przyznać, wiedziała, że jest dumny z jej syna. Dlaczego udaje, że nic go to nie obchodzi? Teraz Honda, zdobywca głównianej nagrody w loterii, stał się *ogema* - przywódcą grupy. Od lat prowadził negocjacje ze Stowarzyszeniem Indian Odawa Północnego Michigan, dokładał starań, by wywalczyć to, czego nie zapewniały traktaty. Stawką były pieniądze. Grupa szykowała się do prezentacji, chciała przedstawić swój przypadek, żeby zwrócić uwagę na sytuację Indian. Szczep znad Podkowy. Gdyby wzbudziło zainteresowanie, wszystko mogłoby się zdarzyć. Chodziły słuchy, że wybierają się do nich przedstawiciele rządu federalnego. Każdy, kto był członkiem SIOPM, zyskiwał prawa, ale najpierw musiał zostać przyjęty, zgodnie z obowiązującymi regułami.

- Honda ostatnio za ciężko pracuje - powiedziała Minnie, jakby czytała w myślach Rachel.

Bliss wolno pokiwała głową.

- Ktoś powinien się nim zaopiekować - dodała.

Wszystkie trzy kobiety popatrzyły na nią, ale Rachel udawała, że tego nie dostrzega. Honda był dla niej praktycznie jak brat. Poza tym miewał inne kobiety. Czyżby nie widziały tatuaży na jego rękę?

- Skoro już mowa o zbyt ciężkiej pracy - zaczęła Rachel - my dwie też nie młodniejecie. Powinnyście skorzystać z oferty, jaką przedstawili wam ci ludzie.

Oko Bliss wolno pozezowało w bok, co jeszcze bardziej ją postarzyło. Przez czterdzieści lat mieszkały razem z Adą na farmie. Ręce miały zgrubiałe od pracy, twarze zniszczone i wymizerowane

od niełaskawej pogody i pomagania dziewczętom przy porodach. A teraz całą ziemię wokół ich gospodarstwa wykupili jacyś inwestorzy i podzielili na działki budowlane - mieli stawiać na nich domy o trzech sypialniach, tak zwane wielopoziomowe ranca w kształcie litery A.

- Jak chwasty - skwitowała to Ada.

- Ciii - powiedziała Bliss, usiłując skupić wzrok na Rachel. - A gdzie byśmy wtedy mieszkali?

- Dlaczego nie tutaj? - odpowiedziała Rachel i wzruszyła ramionami.

- Jasne - wtrąciła Minnie. Poklepała Adę po ramieniu, może cokolwiek za mocno. - Będziecie honorowymi członkiniami plemina.

- To zaszczyt - odpowiedziała Ada, rozmasowując ramię.

- Jesteśmy rodziną - dodała Rachel. - Przynajmniej zawsze mi to powtarzałyście. Poza tym - pogładziła Bliss po ręce pokrytej odciskami - zawsze wam się tu podobało.

Zdrowe oko Bliss patrzyło do góry. Rachel zorientowała się, że Bliss się zastanawia. Jej rodzina miała to gospodarstwo od pokoleń. Było ich domem. Ale Rachel wiedziała, że nie dają już rady. Farma podupadała, praca na niej przerastała ich siły.

Tymczasem nad jeziorem młodzież zbija się w ciasną grupkę i w ciszy dzieliła się papierosem. Ktoś wrzucił kamień do wody. Utworzyły się kręgi, marszcząc gładką taflę. Powiadano, że Maczi-Manitu mieszka na dnie jeziora Podkowa, że kiedyś zwabiał dziewczęta, stojące nad brzegiem. W noce jak ta, kiedy powietrze stało nieruchome i gęste, widywano czasami utopione dziewczęta tańczące na wodzie.

- A to co, do cholery? - zapytała Ada.

Głośny, przenikliwy pisk niósł się echem nad wodą.

- Nur - wyjaśniła Rachel. - *Mong*.

- Coraz lepiej sobie radzisz - pochwaliła ją Minnie, zaskoczona, że Rachel zna to słowo. - Kiedy wróciłaś tu za pierwszym razem, niczego nie pamiętałaś.

- Miałas nawet kłopot z trafieniem tutaj - dodała Ada.

- Niewiele pamiętałam. - Rachel pokiwała głową.

Ponad sto lat wcześniej rząd federalny złamał nikczemnie postanowienia traktatu i próbował wysiedlić ich do Kansas. Indianie

Odawa nie zgodzili się. Zamiast tego zapakowali dobytek na kanoe i popłynęli na wyspę Manitoulin, by czekać, aż pewnego dnia będą mogli odkupić swoją ziemię.

- Ale teraz... - zaczęła Minnie.

- Teraz ta ziemia jest nasza - powiedziała Rachel. Wzięła do ręki szydło i kawałek kory. Nagle poczuła się równie zrosnięta z tym miejscem, jak dwie akuszerki ze swą farmą. - I zawsze będzie nasza.

Było ciemno, kiedy Rachel przekradła się nad jezioro - wokół panowała cisza typowa dla godziny przed świtem, kiedy cały świat śpi. Zrzuciła nocną koszulę i weszła do wody. Palce stóp zagłębiły się w owsiankową miękkość gliny i rozkładających się liści. Woda była ciepła jak siuski i zamulona. Najmniejszy powiew nie poruszał sosnami. Czasami, gdy pływała, wyobrażała sobie rybie wcielenie Manitu, *au-sej-uej* i *nau-mi-gon*, obserwujące ją wampirzymi oczami. Wyobrażała sobie Woody'ego, jego ducha zaplątanego w wodorosty.

Ale nie tego ranka. Teraz rozcinała taflę niespiesznymi ruchami urodzonej pływaczki i myślała o sukience z dzwoneczkami, którą właśnie kończyła dla siostrzenicy jednej z przyjaciółek - siedemnastoletniej dziewczyny znanej pod imieniem Jolene, choć matka nazywała ją Roześmianym Strumieniem. Trzysta sześćdziesiąt pięć dzwoneczków przyszyła do tego stroju, po jednym na każdy dzień roku. Rozmieściła je zygzakami, żeby podkreślić zgrabną figurę dziewczyny. Jeśli Ben zjawi się na *pow-wow*, może zwróci uwagę na Jolene-Roześmiany Strumień.

Sukienka, którą miała włożyć Rachel, była uszyta z koźlęcej skóry i ozdobiona paciorkami. Każdego roku dodawała coś do niej, naszyła szkiełka, podarowane przez Woody'ego, pośrodku haftu przedstawiającego słońce z promieniami wszyła kamyk z Potoskey, którego zastygła przed wiekami powierzchnia pobłyskiwała małeńkimi gwiazdkami. Pozostałe prezenty od Woody'ego trzymała w pudełku razem z warkoczami, które ucięła po urodzeniu Bena. Któregoś dnia naszyje wszystkie te dziwności na sukienkę - zardzewiały wagonik dziecięcej kolejki, kartki wydarte z książek - wplecie je we wzór, który tylko dla niej będzie coś znaczył.

Kiedy wyszła z wody, jej ciało parowało. Świt przemienił czerní nocy w szarość. W brzasku mogła już rozróżnić kształty, ale jeszcze nie kolory. Pochylony komin nad szafasem. Skała na plaży. A na skraju lasu - tipi i przyczepy kempingowe ustawione w rzędzie na czas *pow-wow*.

- Rachel.

Na piasku stał Honda. Początkowo go nie rozpoznała. Podniosła koszulę i zakryła się. Jej mokre włosy, nieokiełznana pamiątka po jakimś bezimiennym francuskim przodku, opadały krętymi kaskadami na plecy.

- Czujesz ten zapach? - zapytała.

- Ogniska?

Pokręciła przecząco głową.

- Deszczu.

Choć na porannym niebie nie widać było nawet jednej chmury, zapowiadały go wszystkie oznaki. Zapach wody, jej włosy, zawijające się w szczególny sposób do góry.

- Zawsze miałeś lepszy węch - powiedział Honda.

- To Ben tak naprawdę ma dobry węch.

Z jednej chaty wyciekała wąska smuga światła gazowej lampy. Honda najwyraźniej na coś czekał, wpatrywał się w nią. Rachel nigdy nie czuła się pewnie w jego obecności. Teraz szybko włożyła koszulę i poszła w stronę chat.

Ruszył za nią.

- Znalazłem go. I sklep z łodziami, w którym pracuje. Powie-dzieli mi tam, gdzie go szukać.

- I gdzie jest? - Uniosła dłoń i dodała z goryczą: - Nie, nie mów mi. Wszędzie, tylko nie tutaj.

- Jeszcze nie jest gotów, Rachel.

- Pytałam cię o to?

- W bardzo wielu słowach.

Rachel przystanęła i obróciła się przodem do niego.

- Po co mi to wszystko mówisz?

Honda skrzyżował ramiona na piersi. Był wielki i twardy jak stary buk.

- Więc skończ z tym czekaniem i z tą głupią nadzieją. Mężczyźni powinni odchodzić od matek.

- I co mają niby wtedy robić? Pracować na łodziach?

- Lubi je.
- To jego ziemia.
- Naprawdę?

Honda dotknął jej ramienia. Przez tyle lat żyła jak zakonnica, owijała się żałobą niczym szalem. Jakże szczęśliwa byłaby siostra Marie, wiedząc, że jej podopieczna, mała poganka, mimo wszystko pędzi klasztorny żywot.

- Spóźnisz się - powiedziała Rachel niespodziewanie. - Musisz ustawić krąg.

Na chwilę jego ręka zacisnęła się mocniej na jej ramieniu. Chyba chciał jeszcze coś dodać, ale po chwili odsunął się od niej. Ruszył w kierunku chat. Przez moment na samą myśl o przyszywaniu dzwoneczków poczuła ból w dłoniach. Pociągnęła nosem. Naprawdę zbiera się na deszcz, pomyślała.

O godzinie dziesiątej trawa na łące za wioską była już udeptana, pośrodku zaś stanęła altana z gałęzi i desek. Honda tak wszystko zorganizował, że każdy mógł postawić stragan z jedzeniem, piciem, wyrobami sztuki ludowej lub książkami - ze wszystkim, co mogło sprawić, że turyści, którzy przyjadą oglądać *pow-wow*, chętnie wydadzą pieniądze. Szczep z Escanaby sprzedawał paciorki i skóry. Inny z Manistee był tej wiosny na zachodnich terenach, skąd wrócił z tanimi turkusami i wymyślnymi nowymi krokami tańca.

Wokół unosił się zapach podpłomyka, parzonej kawy i niski szmer indiańskiej paplaniny. Rachel chodziła od ogniska do ogniska, podchwytywała strzępki rozmów, plotki - kto wziął ślub, kto się rozwiódł, komu urodziło się dziecko, co dzieje się między SIOPM a rządem federalnym, jaka potrawa z ryb jest najlepsza, trochę o bingo i prawach do ziemi. Jakiś nastolatek w podkoszulku z podobizną Myszkki Miki biegał wokół grupy dziewcząt i wydawał okrzyki wojenne, żeby zwrócić na siebie ich uwagę. A one ze śmiechem odwracały się do niego plecami.

Ben powinien tu być, pomyślała Rachel. Powinien tańczyć z innymi mężczyznami. Chłopiec z jaskrawo pomalowaną twarzą przypomniał jej o czasie, kiedy tańczyli nad jeziorem niedaleko Ponshewaing. Ustawiła tam wtedy stoisko z pudełkami z piór i sprzedała wszystkie letnikom z Moss Village i Chibawassee, któ-

rzy opowiadali jej o wyprawach do Arizony i Nowego Meksyku, o wyrobach z paciorków i tkaninach, jakie tam widzieli. Nie było tam jednak nic równie ładnego jak to, co ona proponowała; tak mówili. I chociaż Rachel nigdy się do tego otwarcie nie przyznała, aż pokraśniała z dumy.

Ta ziemia pełna była piachu. Wysokie trawy pozlepiane farbą, jaką nałożyły na nie indiańskie pędzle, krwawnik, oset. W dalekim końcu jeziora, gdzie płynęły strumienie, rosły brzozy dające korę. Były tam i modrzewie, z których uzyskiwano środek leczący artretyzm i zwiększający krzepliwość krwi. Te wszystkie drzewa. Tak wiele ich ścięto na materiał dla tartaków, a mimo to ciągle odrastały, żeby można było ścinać je ponownie, zrobić z nich okiennice, pociąć na deski, palić nimi pod kuchnią.

Niedługo nadejdzie pora. Wszyscy się zgromadzą w uroczystym modlitewnym tańcu. Dawniej szczepy nie zawsze żyły w zgodzie, ale teraz łączyła je wspólna sprawa. Prawo do połowów. Ziemi. Przedstawiciele w rządzie. Zbierali się na naradę, jak przed setkami lat w Mackinaw, kiedy biały człowiek zabrał im dzieci, by uczyć je obcego języka, innego sposobu życia.

Nagły pisk z głośników i wszyscy spojrzeli na Hondę Jacka, uderzającego w mikrofon i powtarzającego: „Próba, próba mikrofonu”. Nadal wydawał się zadziwiony faktem, że mają prąd elektryczny, choć sam układał kable. Honda zaprosił wszystkich do udziału w korowodzie. Uczestników konkursu. Gości. Wszystkich.

Minnie wachlowała się w altanie dla starszyny.

- Wygląda na to, że zmierzamy ku dobremu - powiedziała do Rachel.

Wkrótce krąg zapełnił się tancerzami w kostiumach z trawy i tradycyjnych, z dzwoneczkami, oraz szamańskich. Kolory rozmazywały się, gdy wirowali w jednym wspianym tańcu. Rachel gładziła palcami piórko sójki, zatknięte w warkocz.

- No, dalej - ponagliła ją Minnie.

- Ale ty też - odparła Rachel.

- Jestem na to za stara, a poza tym słońce piecze.

Rachel dołączyła do tancerzy i znalazła się w kręgu. Wzrok miała utkwiony przed siebie, twarz poważną, w rękę zaciskała piórko niczym wachlarz. Korowód prowadził stary Jedda, któremu Minnie ponownie wybaczyła, potrząsał laską udekorowaną futrem i pió-

rami. Przywiązane do kostek u nóg dzwonki pobrzękiwały w rytm bębnow. Od czasu do czasu któryś z tancerzy wyskakiwał z szeregu, robił kilka obrotów i wracał na dawne miejsce. Rachel patrzyła na twarze tłumu w nadziei, że dostrzeże Bena, ale widziała jedynie obcych ludzi.

Trawa pod jej stopami była zdeptana i sucha. Tancerze, którzy przybyli nawet znad strumienia Battle i rzeki Brule, zamilkli w kręgu. Dwaj bębniarze i Honda zaczęli mówić o tym, jak kiedyś zabrano im ziemię, ale mimo to trzymają się razem jak rodzina. Na polach uprawnych, parkingach, stadionach powinni być widoczni. Rachel rozejrzała się wokół po nieznanym twarzach. Czy naprawdę jest spokrewniona bocznymi liniami z tymi ludźmi? Popatrzyła na Hondę. Miał zamknięte oczy, lekko się kołysał. W cieniu altany widać było czerwoną twarz Minnie obok bladych w porównaniu z nią twarzy Ady i Bliss. Dwoje małych dzieci przepychało się, tłumiąc śmiech. Jakaś staruszka sprzedawała świecidełka. Bębny zaczęły uderzać najpierw łagodnie, a potem coraz mocniej. Rachel pomyślała o dłoniach babki. Pomyślała o Woodym. Kto jest teraz jej rodziną? Młody mężczyzna stał na baczność obok liny, włosy miał związane w kitkę, oczy skrywał za ciemnymi okularami. Rachel patrzyła, jak się pochyla, podnosi grudkę ziemi i wkłada ją do ust. Wymówiła jego imię. Bębny ucichły.

Ziemia miała posmak gliny, zawierała okruchy jego przodków, a nawet coś jeszcze starszego. Ben rozejrzał się wokół kręgu. Honda nie przesadził - zebrało się tu na pewno więcej niż sto osób. Większości nie znał. Matka była pewnie z Minnie w namiocie-kuchni albo w altanie, skąd przepędzała dzieciaki ze składanych krzesel, żeby starsi ludzie mieli gdzie usiąść. Mogła też ze straganu sprzedawać swoje pudełka z piór, a obok ktoś oferował mokasyny albo wyszywane paciorkami zakładki do książek czy plakietki z namalowanymi fragmentami oryginalnej poezji w języku Indian. Obserwował tłum i szukał jej.

Tymczasem w kręgu stanęli tancerze tradycji. Był to jeden z tańców Bena, ale nie radził sobie z nim najlepiej. Podwójny podskok, stopami obutymi w imitację skóry, głowa nisko, ramiona swobodnie zwisające po bokach. Potem zacznie się taniec zaklinaczy - udający

wojowników Indianie będą skakali w kucki z głowami wysuniętymi do przodu niczym drapieżne ptaki.

Ben grzebał stopą w ziemi. Letnicy obserwujący występ wyglądali, jakby właśnie wrócili z nad jeziora, włosy mieli zaczesane do tyłu i rozjaśnione słońcem, oczy zaczerwienione, skórę opaloną. Przypuszczał, że łatwo można by wziąć go za jednego z nich.

Uderzał palcami w rytm bębnow i pieśni, ale ciało miał napięte. Stary Jedda wziął mikrofon i dopasował stojak do swojego wzrostu.

- Korowodzie - zaczął i mówił o honorze plemienia, o walce swego ludu, który musiał bronić granic, jakich w ogóle nie chciał ustanawiać. - Mimo to walczyliśmy - kontynuował. Teraz jednak nadszedł czas odpłaty, pora zajęcia miejsca wśród ludzi honoru. Wielu biło się zażarcie, oddało życie za życie innych, straciło ręce, nogi, umysły. - Ja na przykład walczyłem w pierwszej wojnie światowej. Tyle że mnie dopisało szczęście - rozgadał się na dobre.

Przeciągły pisk mikrofonu uniemożliwił dalszą opowieść. Kiedy ponownie zapadła cisza, Jedda podjął watek.

- Stanie Geeshegaw, wystąp! - powiedział. - Pierwsza wojna światowa. Syn Josiaha Geeshegawa, który walczył pod Grantem. Merle Olway, wystąp! Pierwsza wojna światowa. I Lenie Tuckerze. I bracia Kiosha.

Wymienił całą listę nazwisk. Ben przestępował z nogi na nogę, przesuwając językiem grudkę w ustach, podczas gdy Jedda przywoływał weteranów drugiej wojny światowej i tych, którzy służyli w Korei.

- Podejdiesz tu, Hondo Jacku?

Honda, wyższy od reszty, wystąpił przed tłum. Miał na sobie tradycyjny ubiór, napierśnik z paciorków i pióropusz. Ben zastanawiał się, czy są dziełem matki. Patrzył, jak Honda podchodzi i szepcze coś Jeddzie do ucha. Jedda skinął głową.

- I z Wietnamu - powiedział, pochylając się do mikrofonu. - Williamie Wemegwase, wystąp!

Wkrótce wywołani mężczyźni utworzyli półokrąg wzdłuż granicy kręgu. Starsi z dawniejszych wojen, niektórzy w wieku Bena, o zmęczonych oczach z identycznym wyrazem zranienia. Ben czuł, że Spenger jest teraz z nim.

- Przepraszam?

Ben się odwrócił.



- Czy ty nie jesteś aby synem Rachel Winnapee?

Dziewczyna była młoda i ubrana w sukienkę z dzwoneczkami, włosy splecione ciasno w warkoczyki upięte miała w koszyczek z tyłu głowy. Takie dziewczyny go peszyły - były ładne i dobrze o tym wiedziały, a ich wesołość i beztroska brzmiały obco w jego uszach.

- Uszyła moją sukienkę - oznajmiła dziewczyna.

Głos miała wysoki i śpiewny, podobny do głosów dziewczyn z Delty, odważnych młodych kobiet, które uważały, że muszą śmiać się i tańczyć, żeby szeregowi żołnierze stawiali im drinki.

- Ładna - ocenił Ben.

- Tylko posłuchaj. - Dziewczyna zaczęła podskakiwać w miejscu, ale jego uwagę przyciągnął głos Jeddy, a nie pobrzękiwanie dzwoneczków na jej sukience.

- Dzisiaj - grzmiały głośniki - wrócił do nas kolejny syn i chcemy, żeby reprezentował wszystkich, których darzymy szacunkiem za to, że służyli naszemu krajowi w Wietnamie.

Ben poczuł w uszach niewyraźne buczenie. Chciał powiedzieć: „To ta ziemia mnie ocaliła”. Ale zaczęło wywoływać jego nazwisko, Honda wpatrywał się w niego i gdzieś tu była także matka. Zawahał się przez chwilę, otarł policzek o ramię, przykucnięty przeszedł pod liną i ruszył przed siebie, aż stanął twarzą w twarz ze swoim dawnym nauczycielem. Honda ujął jego dłoń, włożył w nią orle pióro i zacisnął na nim pałce. Zanim Ben zdążył cokolwiek powiedzieć, śpiewacy zaczęli pieśń honoru i czci, i żalu za tymi, którzy polegli, a Ben i Honda stali na czele korowodu. Jedda wyjaśnił widzom, że każdy, kto walczył, może się przyłączyć, że wszyscy wojownicy okazali się dzielni i muszą stanąć razem.

- Wszyscy - powtórzył.

Ben ścisnął w rękę pióro, myśląc jednocześnie, że nie jest dla niego. Reprezentował Spengera, szeregowca z Missisipi, i innych, których duchy pospieszyły do domów. Obrócił się i powiedział to Hondzie, ale ten jedynie pokręcił głową.

- Ty jesteś tutaj. I tylko to się liczy - odrzekł. - Zatrzymaj je.

Rachel wiedziała, że jej nie dostrzegł. Stała się niewidoczna w tłumie jak drzewo w lesie. Nie po raz pierwszy zobaczyła w swoim synu Woody'ego. Patrzyła, jak potykając się, występuje przed zebranych,

niepewny, do której z grup oddzielonych liną przynależy. Kiedy prowadził korowód, chciała do niego podejść, ale ona i pozostałe kobiety mogły się przyłączyć dopiero na końcu.

Szeregi mieszały się, mężczyźni, młodzi i starzy, stawali jeden za drugim, powłócząc nogami lub stawiając energiczne kroki; niektóre głowy były pochylone, inne uniesione wysoko, jedni byli Indianami, inni nie. Wkrótce całe rodziny poszły w ślady Rachel, stały się częścią korowodu, zakręcającego, aż stał się spiralą złożoną z wojowników i tych, którzy ich kochali. Zataczali coraz węższe koła, wreszcie trzy rzędy znalazły się ramię przy ramieniu. Jakiś chłopak w lewisach stał przed Rachel, na tylnej kieszeni miał naszytą amerykańską flagę. Kobiety trzymały dzieci na rękach. Słońce chyliło się ku zachodowi, a Rachel mrugała powiekami, oślepią jego blaskiem, i wydało się jej, że kogoś widzi - żołnierza, chudego i utykającego - obrócił się ku niej. Serce zabiło jej żywiej. Mogłaby przysiąc - te oczy! Bo właściwie dlaczego Woody nie miałby się przyłączyć do tej potrójnej spirali wojowników, zapominających o stopniach wojskowych w swojej solidarności i ofiarności? Mogłoby ich przybyć tysiące, setki tysięcy, cała rzeka bohaterów, ale zanim ku niemu pobiegła, zanim wymówiła jego imię, krąg zacieśnił się jeszcze bardziej, obraz Woody'ego zniknął. Na początku szeregu, obok chłopaka, który nigdy nie będzie jego synem, Rachel zobaczyła Hondę - zimny śnieg Korei topniał na jego twarzy.

Ogniska na plaży dogasały. Taniec trwał do dziesiątej wieczorem. Rachel usiadła na bujanym fotelu, naprawionym przez Hondę, Ben na werandzie obok niej. W chacie Minnie na plaży Ada i Bliss już spały.

- I tak to jest - odezwała się Rachel.

Jej syn wyglądał lepiej, włosy mu odrosły, blizna przestała być tak rażąca. Od ilu miesięcy go nie widziała? Opalił się, zmęźniał, wydawał się silniejszy, niż zapamiętała. Kiedyś zawsze myślała o nim jak o chudym jak patyk chłopcu ze zbyt dużą głową, dziecku, którego wszędzie było pełno. Dałaby sobie rękę uciąć, że kiedy widziała go po raz ostatni, był o połowę młodszy. Ale czym jest pamięć? Refleksem światła na lustrze wody.

- Łódzie - powiedziała. - Nic dziwnego.

Po uroczystości przywitani się, objęli, ale oboje byli tym skrupowani. Jeszcze jako nastolatek Ben zachowywał się naturalnie i spontanicznie, tulił się do niej, nazywał ją „mamusią”, brał ją za rękę. Ale teraz już nie.

- Uwielbiałeś tańczyć - powiedziała. - Byłeś jak wichur.

Rozpadał się deszcz. Ogniska skwierczały i zaczęły dymić. Zaproponowała mu, żeby został na noc, ale on pokręcił przecząco głową.

- Pamiętasz łódź, którą pływaliśmy tamtego lata? - zapytał.

Rachel przeszedł dreszcz, jakby zerwał się wiatr, choć krople spadały miękko i równymi strugami. Ach, zatem on wie, domyślił się, tak jak poznał historię skał poprzez ich smak.

- Pamiętam - odpowiedziała.

Ben gładził się po bliźnie orlim piórem i wpatrywał przed siebie, jakby mógł coś wyczytać w pomarszczonym deszczem jeziorze. Przynajmniej jest nasze, pomyślała Rachel.

- Ten jasnowłosy chłopiec... - zaczęła.

- Rory? To malarz. Artysta. Choć jego babka nie jest tym zachwycona.

No pewnie, pomyślała Rachel i niemal się uśmiechnęła. Deszcz miał gęsty zapach zieleni. Spadał obrzmiałymi kroplami z dachu, z drzew. Chrzcząca ulewa, która wydawała się ją obmywać, dudniła kroplami o ziemię, oczyszczała powietrze. Nadszedł czas, pomyślała Rachel.

- Chciałabym ci coś pokazać.

Wstała i weszła do chaty. Trzasnęły za nią drzwi z siatką. Minęło tyle lat, od kiedy pytał o ojca. Ale widząc Woody'ego w korowodzie, wiedziała, że to znak.

Wróciła z pudełkiem po butach, które trzymała pod łóżkiem, i podała je synowi.

- Otwórz.

Ben uniósł pokrywę i wyjął mały zardzewiały wagonik kolejki-zabawki.

- Znalazłam go na dnie wazy z zupą - wyjaśniła Rachel.

Ben obracał zabawkę w dłoni niczym delikatne ciało ptaka, który wleciał przez okno. Odłożył go i sięgnął po kamyk z Petoskey, odpruty od sukienki. Znalazła go w koszu z bielizną, powiedziała Rachel. Kiedy wyjmował kolejne przedmioty, mówiła mu, gdzie je

znajdowała, jakby przypominała sobie kawałek ziemi, kiedyś do niej należący, który utraciła. Kleszcze kraba w kieszeni, szkiełko z plaży zmatowione piaskiem w zwiniętej serwetce. Kamień wielkości ludzkiego serca. Ben wyjął mapy, pożyczkę i kruche ze starości. Rozłożył je powoli.

- To mapy Filipin. - Sunął palcem wzdłuż szerokości i długości geograficznych, znalazł wyspy Mindanao, Samar, Luzon.

Następnym przedmiotem była chusteczka higieniczna złożona w pakiecik. Rozwinął ją i wziął do ręki kosmyk, jaśniejszy od włosów Rachel. Deszcz rozpadał się na dobre, powietrze wypełnił zapach mokrej wełny, przywodzący na myśl wilgotne dziecięce brwi.

- Pukiel włosów - powiedziała Rachel. - Znalazłam je w książce, którą mi podarował.

- Kto?

- Twój ojciec.

Ben potarł kosmyk palcami, powąchał go, polizał, pogładził się nim po policzku. Podniósł go do ust - jak opłatek pobłogosławiony przez księdza.

A potem wziął do ręki zdjęcie pogięte w kilku miejscach, o wytartych, ząbkowanych krawędziach. Widać było na nim młodego mężczyznę siedzącego na przystani i rozpryskującego stopami wodę. Wyznała mu, że je ukradła, gdy była jeszcze bardzo młodą dziewczyną.

- Woody March? - spytał Ben.

Popatrzyli sobie w oczy. Rachel sięgnęła do pudełka i wyjęła jeden warkocz. Trzymała go w zaciśniętej pięści.

- Obcięłam je, kiedy się urodziłeś.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Mózg Bena zdawał się nie mieścić w czaszce. Ktoś wołał go po nazwisku.

- Winnapee?

Leżał skulony u podstawy masztu. Słońce, stojące już wysoko ponad koronami drzew, przypiekało mu jedną stronę twarzy. Uniósł powoli powieki, zamrugał i zobaczył na pokładzie Roryego z trzema osobami, których nie znał.

- Która godzina?

- Około pierwszej - odpowiedział Rory, unosząc brew. Był ubrany w szorty, jedną stopę opierał o gigantyczną lodówkę turystyczną.

- Jaki dzisiaj dzień? - zapytał Ben.

Pozostało mu niejasne wspomnienie o tym, jak biegł drogą od jeziora Podkova, a potem siedział w szoferce ciężarówki. Nie spodziewanie znalazł się w tawernie Pier i trzymał w zaciśniętej dłoni ociekającą wilgocią butelkę piwa. Musiało być około drugiej nad ranem, kiedy go w końcu stamtąd wyrzucili. Tak, właśnie, jest poniedziałek, uprzytomnił sobie: to dzień, w którym obiecał pani March - swojej babce - zabrać Rory'ego na łódź.

- Skrzyknąłem kilkoro przyjaciół. Zabierasz nas czy nie? Bo jeśli nie, to z prawdziwą przyjemnością będę sączył drinka na werandzie.

- W porządku - odpowiedział Ben.

Rory wskazał ręką lodówkę.

- Kanapki - wyjaśnił. - I piwo. Ella Mae zapakowała je rano.

- Myślałem, że nie wolno ci wchodzić do kuchni.

- Wszystko się zmienia - odpowiedział Rory, a potem odwrócił

się do przyjaciół. Mówił każdemu po imieniu i nazwisku, jakby dopiero ich poznał i wypowiadał je po raz pierwszy w życiu. Hewett. Bailey. Kitty jakaś tam.

Rozpromieniony spojrzął na Bena, jakby kompletując załogę, dokonał niemal cudu.

- Kitty chciała cię poznać - powiedział, wskazując dziewczynę.

Ta przewróciła oczami i weszła na pokład, mijając Bena. Jeden z dwóch facetów - Hewett albo Bailey - wskoczył za nią i rozejrzał się.

- Widzę, że poskładałeś jakoś staruszkę - powiedział. - Gdyby to ode mnie zależało, byłaby już na śmietniku.

- Moim zdaniem to piękna łódź - wtrąciła Kitty. - Taka staroświecka.

Od zachodu wiała już dość silna bryza. Zapowiadał się dobry dzień na żeglowanie, nawet jeśli miało się kaca. Dlaczego poszedł do baru? I wtedy przypomniał sobie, co powiedział i co matka na to odpowiedziała.

„Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiłaś?”.

„Przysięgam Lydii March”.

Ben powlókł się do kokpitu, włączył wiatrak, przekręcił klucz w stacyjce, żeby zapuścić silnik. Diesel zacharczał, woda bryzgała za rufą, a Ben instruował wszystkich, jak otwierać i nalewać piwo, żeby się nie spieniło, ustawiał szklanki.

- Pomóż mi z pokrowcem żagla - poprosił Roryego.

- Jasne, brachu... - odpowiedział Rory.

- Brachu? - odezwał się Hewett kpiąco. Uniósł do góry brwi, patrząc na Rory'ego.

- To takie wyrażenie, debilu - powiedział Rory. - Ogólnie oznacza sympatię albo kumplostwo. Solidarność braterską rasy lepszych ludzi. - Wzruszył ramionami i popatrzył na Bena. - Zgadzasz się ze mną, brachu?

Kiedy wypływali z doku, Ben chodził tam i z powrotem przy burcie i odpychał łódź od nabrzeża. Wiatr przybierał na sile, Ben ustawił jacht dziobem do nawietrznej i pokrzykiwał na Hewetta i Baileya, żeby wciągnęli główny żagiel i kliwer. Kiedy łódź złapała wiatr, żagle wydeły się i popłynęli.

- Och, Boże - jęczał Rory, gdy znaleźli się już poza portem

i osłoną, jaką dawał falochron. Skręcili. Łodzią zaczęło kołysać. - Nienawidzę tego.

Ale nie Ben. Czekał na tę chwilę całe lato. Opór koła sterowego, napięte żagle. Pomyślał, że mógłby płynąć aż po horyzont, mknąć, aż zabraknie mu sił. Albo aż łódź roztrzaska się na skałach. Przesunął fokaszot o dwa stopnie. Złote włosy Kitty rozwiewał wiatr, a ona kręciła głową. Bailey i Hewett wrócili do picia piwa, rozmawiali i ignorowali Rory'ego, który był bledszy niż zwykle.

Dziesięć, dwanaście kilometrów do Chibawassee i będą mogli wyjść tam na brzeg albo wrócić i potańczyć na falach wzdłuż brzegu Beck's Point. Śmieci pływające na wodzie mieszały się z głębokim ciemnym niebieskim kolorem jeziora, które wydawało się równie bezkresne jak niebo.

„Mój ojciec żeglował po tym jeziorze”.

Ben niemal czuł rozkoszny trzask pękających desek. Rory ścisnął głowę dłońmi. Hewett (a może to był Bailey?) patrzył na niego rozbawiony, a potem spojrzął na Bena.

- Hej, Winnapee! Ile ciotka Lydia zapłaciła ci za obwożenie tego gogusia?

- To mnie powinna zapłacić - jęknął Rory.

„Moi przodkowie wiosłowali tędy, płynąc ku wybrzeżu”.

Ben postanowił halsować. Powiedział wszystkim, żeby kucnęli, kiedy będzie robił zwrot. Poluzował żagle i skierował łódź w stronę brzegu w Beck's Point.

Hewett wyrzucił za rufę pustą butelkę po piwie i przyjmował zakłady, jak długo utrzyma się na powierzchni.

- Lubisz się zakładać, Ben? - zapytał.

- To zależy.

Teraz byli już blisko plaży. Dom Marchów stał wiernie na końcu cypla.

O czym ona wtedy myślała? Ona - która chciała, żeby Ben nauczył się indiańskiego sposobu życia. Zapłacili jej.

„Skłamałaś”.

Czy Lydia March patrzy na nich z okna? Przez ostatnie kilka dni nie wstawała z łóżka, ale wiadomość o tym, że pożeglowali, mogła jej dodać sił. Gdyby wyjrzała, zobaczyłaby swój klejnot portu znowu pod żaglami. Pytania pojawiały się i znikwały niczym płynące fale. „Popatrz tylko na to”, chciał powiedzieć Ben, kierując dziób łodzi ku

mieliznom. Najmniejsza zmiana wiatru i kurs zupełnie się zmieni. Wiatr przed chwilą zmienił kierunek, powiał ku północy. Anomalia, która nie mogła trwać długo, za moment znowu powieje na wschód, a wtedy sprowadzi ładną pogodę, albo prawie ucichnie i bardzo łagodnie, ale równo dmuchnie ku zachodowi.

- Chcecie się założyć? - zapytał Ben.

Prowadził „Niebieską Czapkę” pewną ręką, łapiąc wiatr w żagle.

- Widzicie te płycizny? - spytał, pokazując na jezioro za prawą burtą.

- Podpływasz za blisko - odezwał się Rory.

- Jak myślisz, ile je dzieli od brzegu?

- Billy Bailey pływa tędy bez przerwy na nartach wodnych - wtrąciła Kitty, która oderwała się na chwilę od oglądania lakieru na paznokciach u stóp. Kiwnęła głową w stronę Bailey'a. - Powiedz im, Billy.

Billy oparł się o kołowrót i wzruszył ramionami.

- Łatwizna.

- A co powiesz na przepłynięcie tamtędy? Tą łodzią? - spytał Ben.

Bailey roześmiał się, pokręcił głową. Jego powolne ruchy i roz-targnienie w oczach przypominały Benowi Spengera.

- Nie da rady, stary. Ta łódź to wanna.

- Już tego dokonała.

- W zamierzchłej przeszłości.

- A więc - powiedział Ben, skręcając koło sterowe, przez co żagle wyduły się jeszcze bardziej - załóżcie się ze mną?

Przez chwilę wszyscy milczeli. A potem ten drugi - Hewett - powiedział:

- A jeśli posadzisz ją na skałach?

Ben po kolei patrzył każdemu z nich w oczy. Solidaryzowali się z nim; wprawdzie każdy się zakładał, ale wszyscy chcieli, żeby się udało. Kiedyś dokonał czegoś podobnego ze swoim plutonem przed natarciem.

„Jakie mamy szanse?”.

„Zerowe”.

„Co mi dasz, jeśli przeżyjemy?”

- Włożę marynarkę i krawat i pójde do waszego jachtklubu.

- Chciałbym to zobaczyć - powiedział Rory.



- A jeśli wygrasz? - zapytał z rozbawieniem Bailey. Jego szeroki uśmiech przypomniał uśmiech Spengera.

- Postawię wam piwo w Pier - odpowiedział Ben. - Może też udzielię wam kilku lekcji tańca trawy.

- Lekcje tańca? - Kitty podniosła na niego wzrok.

Wyobrażając ją sobie w sukience z dzwoneczkami, Ben tłumił śmiech.

- No to jazda! - krzyknął Bailey.

Nawet Rory wyglądał na zaciekawionego.

Starannie dobierając słowa, Ben opisał manewr przepłynięcia obok mielizny, jakby mieli się przeprawić przez pole minowe.

- Będziecie robić, co wam powiem - zakomenderował. - Nie wahajcie się nawet przez sekundę.

Zerknął na dom Marchów. Okna przypominały niewidzące oczy, w których odbijało się jezioro, ale z niewiadomych powodów nabrał przekonania, że Lydia March na nich patrzy.

Wiatr był wprost wymarzony. Dziesięć stopni na północ, wystarczająco, by złapać go w zagle i utrzymać łódź równolegle do plaży, unikając zepchnięcia na skały.

- Hewett - polecił Ben. - Pilnujesz kliwra. Kiedy powiem „hals”, łap szoty i przesuń go na drugą stronę. Nie czekaj, aż wiatr to zrobi. Rory, ty i Bailey odpowiadacie za główny żagiel. Kiedy powiem: „Zwolnij”, zwolnicie go. Kiedy powiem: „Skręcamy”, naciągniecie go z całej siły i utrzymacie, dopóki nie stracimy wiatru. Bailey, trzymasz korbę. Rory, wspierasz go.

- A co ze mną? - zapytała Kitty z nadzieją w głosie.

- Ciebie potrzebuję na dziobie. Będziesz moimi oczami. Położysz się na brzuchu i jak jastrząb będziesz obserwowała dno. Kiedy zobaczysz skałę, krzykniesz i wskażesz ją ręką. Rozumiesz?

Kitty skinęła głową i poszła na przód łodzi.

Halsowali na sterburtę. Na sekundę wiatr uderzył mocniej i zbił ich z kursu. Jeśli nie zmieni kierunku, będą musieli ponownie halsować, żeby zmieścić się w ciasnym przesmyku między plażą a płycizną. Ben czuł, jak koło sterowe wyrywa mu się z dłoni.

- Naciągnij kliwer! - krzyknął do Hewetta.

Ich pozycja się poprawiła, ale niewystarczająco. Brakowało tylko pięciu stopni. W ostatniej minucie będą musieli zmienić kurs

i nabrać rozpędu, żeby ponownie halsować. Nie był pewien, czy wystarczy tam miejsca na ten manewr.

- Mocniej! - krzyknął.

Wszystko wskazywało, że jednak to się nie uda. Jeśli ustawią się bardziej pod wiatr, łódź stanie.

- Dobra! - powiedział. - Halsujemy!

Łódź opadła dziobem w dół. Hewett przepchnął kliwer na drugą stronę.

- Naciągnij go! - wrzasnął Ben.

„Niebieska Czapla” dryfowała przez chwilę niczym oszołomiony ptak, który nie wie, gdzie się znalazł.

- Naprzód - wymamrotał Ben pod nosem, czekając, aż żagle złapią wiatr. Halsowanie szło kiepsko i jeśli będzie tak dalej, zapłaca za to.

Powoli żagle się wydeły, a „Niebieska Czapla” przełamała bezwład i popłynęła. Musieli pokonać jeszcze niecałe dziesięć metrów, zanim będzie mógł odbić i zacząć wszystko od nowa. Do tego czasu wiatr może zmienić kierunek na wschodni lub zachodni. Tak czy inaczej, straciliby wtedy szansę.

Ben obserwował żagle. Brzuch głównego wydał się, naciąg bez zarzutu. Cypel Beck's Point znajdował się na wprost przed nimi. Kiedy zbliżali się do skał, woda zmieniła kolor z szafirowego na jadeitowy. Ben zamknął oczy, wyczuwał reakcję kilu, steru i całego kadłuba.

- Dobra! - zawołał. - Tym razem niech główny będzie wychylony przez chwilę po halsowaniu. Trzymajcie go luźno. Niech żagle same złapią wiatr.

Wszyscy zajęli pozycje, Ben ponownie zakręcił kołem sterowym, obracając łódź. Bailey i Rory połuzowali główny żagiel.

- Cofnij trochę kliwer! - krzyknął Ben do Hewetta. Kazał mu zapomnieć o szotach i ściągnąć żagiel ręką, żeby szybciej chwycił wiatr. Miał wrażenie, że łódź zaczęła się poruszać jak tancerz, który przypomniał sobie kroki. Wkrótce złapie rytm tego tańca i będzie płynąć tak, jak powinna, z gracją wiatru i wody.

- W porządku - powiedział Ben. - Jest dobrze.

Wpływali między płycizny. Po lewej stronie woda nagle stała się bardzo płytka, skały niczym kości lodowca wystawały ponad fale. Beck's Point sterczał po prawej jak zakrzywiony palec. Wiatr po-

winiem wiać ku brzegowi, a potem skręcić jak rzeka, która zmienia bieg, napotykać przeszkodę.

Ben czuł, że łódź jest na trochę głębszej wodzie. Płynęli ponad mielizną. Za prawą burtą widać było mnóstwo bezdennej niebieskości. Dwanaście metrów i będą bezpieczni. Nie było tu miejsca na halsowanie.

- Ben! - krzyknęła Kitty. - Skała! O, tutaj! - Wskazała kilka stopni od sterburty.

Ben zapytał podniesionym głosem, w jakiej jest odległości.

- Musisz odbić w lewo.

- Cholera! - Ben skręcił koło sterowe w kierunku portu.

W tej samej chwili wiatr się wzmógł. Można by pomyśleć, że wałnęła w nich wielka, niewidzialna dłoń. Relingi opadły w dół, pokład nabrał wody. Kitty piszczała, Hewett zakrył otwór odpowietrzający. Łódź leciała dziobem w dół, a Ben tracił nad nią kontrolę, kiedy zaczęła kołysać się na boki.

- Puśćcie go! - krzyknął do Rory'ego i Baileya. - Puśćcie! Puśćcie!

Bailey puścił korbę kołowrotu, ale Rory nadal trzymał mocno. Szoty zaczęły się przesuwac. Ben widział, jak Rory walczy z liną, widział na jego twarzy ból i przerażenie, kiedy lina rozdzierała mu dłonie.

Przeklinając, Ben skoczył do przodu, odepchnął Baileya stojącego mu na drodze. Kiedy łódź weszła w wiatr, luzując nieco napięcie liny, Ben chwycił ją i owinał dwukrotnie wokół kabestanu, żeby zmniejszyć nacisk wiatru na żagle.

- Rory! - krzyknął. - Ster! Musisz sterować!

Wydawało się, że Rory wpatrzony w poranione dłonie nie usłyszał. Po chwili jednak spojrzał na Bena trzymającego się jednej strony kokpitu i zmagającego się z liną. Złapał koło sterowe.

- Opuść ją! - wrzeszczał Ben.

Łódź zapadała się w fale, załamujące się na skałach. Jeśli Rory przedobrzy i za bardzo skręci, fale wciągną ich na płycznę.

Jednak Rory nie przedobrzył. Niemal czule trzymał ster, a potem popatrzył na Bena w oczekiwaniu instrukcji.

- Trzymaj kurs - polecił mu Ben, wskazując głową na żagle - niech łódź zapada się w fale. - Patrzyj na lewą burtę. Przed nimi rozciągała się głęboka jeziora. Najmniejsza zmiana kierunku wiatru i wpadną na skały.

- Tak trzymaj! - zawołał Ben. Przyjrzał się stężelej z napięcia twarzy Roryego, którego jasne włosy wiatr zwiewał do tyłu. Zastanawiał się, czy Woody March pokazał kiedyś synowi, jak trzymać ster, tak jak pokazał to jemu.

Kitty krzyczała z dziobu, że są niebezpiecznie blisko. Ben wstrzymał oddech i liczył sekundy, kiedy przemykali ku krańcom omywanej falami mielizny.

- Hura! - wykrzyknął, gdy na wodzie znikły wiry, a fale złagodniały.

Popatrzył na Rory'ego. Ich spojrzenia się spotkały. Przepłynęli.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Ciężarówka Hondy podskakiwała na drodze. Rachel nigdy nie pojęła do końca, jak się ją prowadzi. Nawet teraz, kiedy, jadąc do Moss Village, zmieniała biegi czy naciskała pedał gazu lub hamulec, ciężarówka szarpała, gwałtownie zwalniała lub przyspieszała.

Rachel nie spała. Miała na sobie tę samą sukienkę, co poprzedniego dnia - tradycyjny strój kobiety - jaskrawo kolorową, ozdobioną piórami i paciorkami. Jej włosy, rozplecione, kręciły się w wariackich kaskadach i opadały na plecy. Mijając bramę Beck's Point, wyglądała jak egzotyczny, dziki ptak.

- Chet? - odezwała się do stróża, wyglądającego z drewnianej chałupy. - Pamiętasz mnie? - Przypomniała mu o czasach, kiedy pracowała u Marchów, i dodała, że teraz pracuje dla nich jej syn. Wstrzymała oddech do chwili, gdy machnięciem ręki dał jej znak, że może jechać. Poczowała ulgę - nie potrzebowała mu się przyznawać, że chce się zobaczyć z panią March, którą musi powiadomić o złamaniu ich umowy. Wyznała wszystko Benowi, więc teraz wiedział, że są jego krewnymi, że okłamywała go wcześniej, ukrywała prawdę i nikomu nie pisnęła o niej nawet słówka. „Przysięgnę”, powiedziała Lydii March, oddając list od Woody'ego i biorąc w zamian pieniądze. Zawarły układ, ale czym są podobne układy? Niedotrzymanymi obietnicami, podatnymi na zepsucie jak ciało.

Minionego wieczoru wszystko się zmieniło w spiralnym tańcu - może z powodu upału - widziała je, prawda? Oczy ukochanego. A może były to jej własne oczy, oślepione, łzawiące od światła i na myśl o synu, co w sumie wywołał tę wizję?

Zresztą nieważne, co się stało, po prostu wyznała Benowi prawdę. A potem, kiedy drzwi z siatką się zatrzasnęły, została sama. Jakaś

sowa pohukiwała w lesie, a gdy Honda wszedł do środka, zastał Rachel szlochającą, przekonaną, że to, na co jeszcze liczyła w życiu, legło w gruzach. Trzymała poźótkłe zdjęcie Woody'ego, siedzącego na przystani. „Powiedziałam mu”, zwierzyła się Hondzie, on wyciągnął ku niej rękę, ale jego dłonie nie były gładkie, oczy nie były niebieskie. Mężczyzna o oczach jak przypalona melasa, w niczym nieprzypominający jej wyobrażenia o kochanku - nie Woody March - mógł nim być każdy, byle nie on.

Objął ją potężnymi ramionami - już nie braterskimi. Przekonywał ją językiem, ustami, dłońmi, że wszystko dobrze się ułoży, że dzięki temu Benowi będzie się lepiej wiodło. Rachel przypuszczała, że ten ogromny, szorstki mężczyzna, na którego ciele były wytatuowane imiona innych kobiet, może być tak delikatny. I zaczęła oddawać mu pocałunki - szaleńczo. Całe lata bez jedzenia. Lata bez wody. Jedynie grudki ziemi na języku.

A w tej chwili podjeżdżała pod dom Marchów. Stał oto przed nią, jak zawsze, niby jakaś odwieczna, niedostępna skała. Poza „Niebieską Czapłą” przy przystani nie było żadnych innych łodzi. Jedynie ręcznik plażowy przewieszony przez poręcz werandy świadczył, że toczy się tu życie. A jeśli nikogo nie ma w domu? A jeśli Ben wrócił znad Podkowy i objął serdecznie Lydię March? A może Rachel zastanie łóżka pozbawione pościeli, bo rodzina odjechała już pociągiem?

Pokręciła głową, żeby rozjaśnić myśli. Było typowe popołudnie w Beck's Point, kiedy wszyscy drzemią albo idą gdzieś na brydża. Niedługo zaczną wracać na koktajl podawany na werandzie. Zeszła po schodach i zapukała do kuchennych drzwi. Przez siatkę widziała zimne światło jarzeniówki.

- Ella Mae?

Żadnej odpowiedzi. Zawołała głośniej. Ale do drzwi podeszła Mandy, która wyglądała teraz jak kiedyś jej matka, wielka i czarna. Nie miała już warkoczyków, włosy upinała w kok.

- W czym mogę pomóc? - spytała z wyszukaną grzecznością. Rachel westchnęła zniecierpliwiona.

- To ja - powiedziała. - Rachel Winnapee. Przyszłam zobaczyć się z panią March.

Mandy wpatrywała się w nią bez słowa. Rachel usłyszała szuranie odsuwanego krzesła w kuchni i głoś, wołający:

- Kto tam, córko?

- Rachel Winnapee - powtórzyła Rachel, na tyle donośnie, żeby Ella Mae ją usłyszała.

Mandy otworzyła drzwi na całą szerokość.

- No cóż - powiedziała, odwracając się do matki. - Znowu przyszła. Pojawia się raz na dziesięć lat, jak jakaś plaga.

Ella Mae posiwiiała. Schudła. Okulary, które miała na nosie, wyglądały jak cudze, bo zrobiono je najpewniej jeszcze w latach pięćdziesiątych.

- Wchodź, dziewczyno, niech no ci się przyjrzę.

Rachel wciągnęła głęboko powietrze. W kuchni pachniało gazem silniej niż kiedyś. Od tego zapachu zebrało się jej na wymioty. Ella Mae oglądała ją od stóp do głów, tak samo, jak robiła to dwadzieścia pięć lat wcześniej, kiedy sprawdzała, czy nie jest aby brudna, zaglądała jej w oczy, kazała się obracać. Rachel uświadomiła sobie, że w indiańskiej sukience musi wyglądać żałośnie, że ma potargane włosy, a jej skóra pachnie niedawnym seksem.

- Pokaż mi dłonie - poprosiła Ella Mae.

Rachel wyciągnęła ręce, a stara kobieta je ujęła, oglądając połamane paznokcie, szorstką skórę. Wodziła palcem po liniach, kiwała głową, a potem puściła ręce. Rachel popatrzyła na nią.

- I tak... Po tych wszystkich latach - powiedziała.

Rachel poczuła tę samą słabość, jaka wiele lat temu zawsze ją ogarniała, kiedy Ella Mae mówiła ugrzecznonym głosem. Ta uprzejmość była jak delikatne ostrze, które miało ją odciąć od wybranej ścieżki.

- Muszę się z nią zobaczyć - powiedziała Rachel.

- Ale najpierw powinnaś się czegoś dowiedzieć - odpowiedziała stara kucharka.

- Podobnie jak ona.

- Jest chora, drogie dziecko. Ma raka.

Rachel zagryzła usta. Chciała powiedzieć: „To ona sama jest rakiem”, ale wiedziała, że jeśli odezwie się zuchwale, Ella Mae może nie wpuścić jej na górę. Nie żeby stara kucharka mogła ją powstrzymać. Gdyby do tego doszło, odepchnęłyby z łatwością obie kobiety.

- Chłopak jest zupełnie jak jego ojciec - odezwała się Ella Mae, kładąc jej rękę na ramieniu.

- Jaki chłopak? - zaciekała się Mandy. Patrzyła to na Rachel, to na matkę. - O kim ona mówi?

- Tak - odpowiedziała Rachel bez zastanowienia. Nie dodała nic więcej, tylko popatrzyła w oczy Elli Mae. Oczy ciemne jak melasa. Ciemniejsze od jej własnych. - Wiedziałaś.

Ella Mae złożyła ręce jak do modlitwy i przycisnęła je do ust.

- Choć z drugiej strony przypomina też wuja. Nie zna strachu. I, Boże drogi, ten chłopak zna się na żeglowaniu.

Rachel zaczęła cicho tupać nogą.

- Nie przyszedłam tutaj rozmawiać o genealogii. - W rzeczywistości jednak tak było, a Ella Mae miała tego świadomość, dlatego poruszyła ten temat.

- To śmieszne, jak takie sprawy wychodzą na jaw - powiedziała kucharka. - Miałam kiedyś bratanka, który wyglądał identycznie jak mój kuzyn ze strony matki.

- Ello Mae! - nie wytrzymała Rachel.

- Moim zdaniem Elizabeth March to dostrzegła.

- Co takiego? - spytała Mandy.

- A jak nie - mówiła dalej Ella Mae - to może teraz się domyśliła.

- To ty zabrałaś list, który dla mnie zostawił, prawda?

Ella Mae skinęła powoli głową, jej zachmurzone spojrzenie zawisło gdzieś w przestrzeni.

- Położył go na biurku w dniu wyjazdu. Musiał zdawać sobie sprawę, że ktoś jeszcze oprócz ciebie może go znaleźć. Pokazałam go pani March. Uznałam, że może dzięki temu zmienić zdanie. On cię naprawdę kochał, wiesz. Ale pani March nie potrafiła tego zaakceptować.

Ella Mae wskazała głową schody, ale nie spuszczała wzroku z Rachel.

Schody skrzybiały w tych samych miejscach. Dwadzieścia pięć lat, a Rachel pamiętała je. Przeszła przez jadalnię, minęła galerię obrazów, ciężki mahoń - jego połysk wydał się jej bardziej ponury niż we wspomnieniach. Kiedy wspinała się na kolejny ciąg schodów, w powietrzu poczuła zapach uryny i lekarstw.

Na górze znajdował się obszerny korytarz z wieloma drzwiami do pokoi. Po prawej stronie była sypialnia Woody'ego z dziecięcymi książkami i pościelą z nadrukowanymi kotwicami i kołami sterowymi. Za nią - pokój gościnny. Rachel ruszyła w kierunku sypialni pani March, ale w tej samej chwili jedne z drzwi zaczęły się otwierać.



Stanęła w nich Elizabeth March w szlafroku. Było późne popołudnie, a ona wyglądała, jakby właśnie wróciła z plaży lub wyszła spod prysznic. Zawahała się chwilę, a potem powiedziała:

- Znam panią.

Rachel zamarła, jakby na leśnej ścieżce zaskoczył ją niedźwiedź. Elizabeth March zmieniła się. Włosy, choć nadal jasne, znacznie się przerzedziły. Miała blade usta.

- To pani... - dodała Elizabeth, a Rachel zeszywniała. - To pani robi pudełka z piór.

Na twarzy Rachel odbiło się zdumienie. Nie widziała tej kobiety wiele lat - od czasu, kiedy po raz pierwszy i jedyny weszła do sklepu - ale Elizabeth March najwyraźniej nie była ani zdziwiona, ani zaniepokojona jej obecnością tutaj.

- No, proszę - mówiła dalej, nagle rozpromieniona. - Czy pokaże mi pani, jak się to robi?

- Przepraszam, co?

- Niech pani wejdzie - powiedziała Elizabeth i wciągnęła Rachel do swojego pokoju.

Papieros dymił w popielniczce. Pokój przypominał wyblakłą fotografię, kwiaty na tapetach zzółkły i spłowiwały. Zaniedbanie obsiadło wszystko razem z drobinami kurzu. Niezasłane łóżko. Zaduch rezygnacji.

- Widzi pani? - spytała Elizabeth March. Gestem wskazała na komodę, gdzie stłoczono ponad tuzin pudełek ozdobionych piórami. Rachel rozpoznała niektóre ze swoich najlepszych dzieł. Głowa kojota. Skrzydło orła. - To pani robiła, prawda?

Honda latami sprzedawał zrobione przez nią pudełka jakiemuś kolekcjonerowi, ale nigdy jej nie zdradził, że była to Elizabeth March. Rachel stała w milczeniu. Nie chciała z nią rozmawiać o tych szkatułkach ani też tracić kolejnej minuty z kobietą, którą poślubił Woody March. To inną panią March chciała widzieć.

- Większość - odpowiedziała nagle.

Elizabeth wzięła szklankę z szafki nocnej, pociągnęła łyk i głośno przełknęła.

- Chodzi o moje ręce - powiedziała, odstawiając ją. - Muszę je czymś zająć. Robótki na drutach nie wchodzi w grę, a koronki robią teraz wszyscy. Pomyślałam, że mogłaby mnie pani nauczyć.

- Chce pani...?

- Spróbujmy. Nigdy nie wiadomo.

Rachel niemal się roześmiała.

- A jednak nie pamięta mnie pani, prawda? Tamtego lata, kiedy skończyła się wojna? Przynosiłam pani herbatę.

Usiłując skoncentrować wzrok, Elizabeth March pokręciła głową.

- To było tak dawno - odpowiedziała. Owinęła się ciaśniej szlafrokiem, poprawiła włosy. Wyglądała jednocześnie na silną i bezbronną.

- To nie pani wina. Byłam tylko zwykłą dziewczyną - powiedziała Rachel. Współczucie zakradło się w jej myśli jak nieproszony gość.

Rozejrzała się po pokoju. Przypomniała sobie porozrzucane ubrania, wspaniały widok na port, pannę Elizabeth wracającą biegiem z plaży. Minęło ponad dwadzieścia lat. Gdzie się podziała ta opalona słoneczna dziewczyna, dzierżąca w ręku żeglarskie trofeum?

- Niech mi pani pokaże ręce - poprosiła.

Elizabeth March powoli wyciągnęła dłonie. Ogryzione paznokcie nie były już polakierowane. Rachel ujęła jej ręce, przesunęła palcami po ich wnętrzu. Nie było tu żadnych zgrubień, ale znaczyły je linie żałości.

- Ma pani takie delikatne dłonie - powiedziała i puściła je. Wzięła jedno z pudełek z pokrywką ozdobioną wizerunkiem orlego skrzydła.

„On dla mnie krwawił”.

- Honda Jack mówi, że pani może mi pomóc - odezwała się Elizabeth March tonem kogoś, kto czuje się nieważny i musi błagać. - Powiedział, że uczy pani tego dziewczęta.

Rachel dotknęła skroni. Honda i jego wspaniałe pomysły. Słyszała nikłe brzęczenie, może to motorówka w porcie.

- Niech pani posłucha - zaczęła. Ponownie ujęła ręce Elizabeth. Usiłowała sobie wyobrazić wspólną pracę z tą kobietą, bo tak samo jak babka uczyła Rachel, ona teraz miała jej pokazywać, jak nakłuwawa się korę, zdradzić, jak zszywać razem poszczególne elementy, opowiedzieć o krwawiących palcach. Mocniej ścisnęła jej dłonie.

- Nie potrafię pani pomóc - powiedziała w końcu. - Do tego potrzebne są silne ręce.

- Czy to znaczy „nie”?

Czując dawną chęć dotknięcia jej jasnych włosów, wdychania zapachu jej perfum, Rachel zawahała się.

- Panno Elizabeth - odezwała się po chwili. - Mam pani coś do powiedzenia.

Tego popołudnia nie było widać zatoki. Okiennice zamknięto, zasłony zaciągnięto, okno stało się zbyt wrażliwym punktem, tak jak pamięć. Jeśli w pokoju Elizabeth March pachniało żalem, to w sypialni Lydii March unosiła się woń choroby i rozczarowania. Rachel знаła ten odór, pamiętała go jeszcze z dzieciństwa. Nawet intensywny zapach perfum nie był w stanie go zamaskować.

Jęk. Oczy Rachel przyzwyczyły się do półmroku. Dostrzegła ciało leżące na łóżku.

- Ella Mae? - rozległ się brzmiały dziecinnie głos Lydii March.

- Nie, pani March. To nie Ella Mae.

Pani March uniosła nieznacznie powieki. Podciągnęła się na poduszkach. Miała na sobie pomięty szlafrok.

- Moje proszki? - Zaczęła macać palcami po krawędzi kołdry, mamrotała pod nosem. - Gdzie jest ten cholerny różaniec? Gdzie jest ta dziewczyna?

- To ja. - Rachel podeszła bliżej. - Rachel Winnapee.

- Ach - odezwała się pani March. Jej włosy stały się tak cienkie, że przypominały srebrny meszek, skórę miała bladą jak światło księżycy. - Więc przyszedłaś.

Był sierpień, agonia lata. Wkrótce nastanie czas pakowania. Sądząc po wyglądzie pani March, były to jej ostatnie wakacje. Powietrze stało się aż gęste, brakowało w nim światła. Rachel miała ochotę rozsunąć zasłony i powiedzieć: „Widzisz zatokę? Jezioro? Tam właśnie utonął twój syn. A teraz zabierasz mi mojego”.

- Pamięta mnie pani?

Pani March oblizała usta.

- Dziewczyna.

Dziewczyna. Nie osoba. Jedynie ręce do składania pościeli, sprzątania, prasowania i zapewniania wygody. Rachel podsunęła krzesło do łóżka i usiadła.

- Powiedziałam Benowi o Woodym.

Spodziewała się, że pani March zacznie protestować, upierać się, że to niewiele warte kłamstwo, bo przecież wcześniej tak uważała. Ale stara kobieta odpowiedziała jedynie:

- Moi synowie nie żyją, a mój dom się rozpada.

- Zapłacę pani - mówiła dalej Rachel. - Zwrócę pieniądze. - Nie miała pojęcia, jak tego dokona, ale na pewno za jakiś czas sobie poradzi. Bo jeśli w rządzie podjęto by decyzje dotyczące Indian Odawa, dostaliby to i owo. Wystarczyłoby, żeby spłacić ten dług i naprawdę wejść w posiadanie ziemi.

- Sama miałam zamiar mu to powiedzieć - odparła pani March. Kiwnęła głową, żeby Rachel przysunęła się bliżej. Rachel pochyliła się, aż usta pani March niemal dotknęły jej ucha. - Czy płaciłaś kiedykolwiek za cud?

Rachel nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czy modliła się na wiele lat wcześniej, zanim wzniosła błagania do Nanabożu i Giczi-Manitu, wówczas, kiedy jej brzuch nabrzmiwał ciążą?

Oczy pani March zabłyśły.

- Powiedz mi. To jezioro, które kupiłaś. Czy mieszkają tam jakieś dzieci? - spytała przytomnie ostrym głosem.

„Znajdziemy staw z rybami i dom pełen śmiechu”. Pani March chciała tylko tego. Nawet teraz zjadana chorobą stara twarz zdradzała podniecenie, jakby ta stara kobieta chciała się upewnić, że mimo wszystko coś się udało.

- Pani to wszystko zaaranżowała, prawda? - powiedziała Rachel. - Te dwie kobiety na farmie, gdzie pojechałam urodzić dziecko?

Pani March westchnęła i wzruszyła ramionami.

- Tak tu ciemno - odezwała się po chwili. - Czy mogłabyś wpuścić trochę światła?

- To pani zabrała listy, które pisałam do Woody'ego?

Pani March przesuwiała w palcach koraliki różańca.

- Stał się narkomanem. A tobie nie potrafiłam wybaczyć.

A zatem to była prawda. Rachel podeszła do okna, rozsunęła zasłony, otworzyła okiennice. Cały pokój zdawał się oddychać. Kiedy spojrzała na panią March, zobaczyła, że stara kobieta nie spuszcza z niej wzroku, i po raz pierwszy zorientowała się, że jej oczy są równie niebieskie jak oczy Bena i Woody'ego - było to jak

dostrzeżenie w krajobrazie punktu, na który wcześniej nie zwróciło się uwagi. Po chwili podeszła i usiadła obok łóżka w przyjaznej ciszy, zapominając na moment, że należą do różnych plemion.

Pomiędzy flakonikami perfum i wody toaletowej stały pudełka z wata, syropy na kaszel, leżały strzykawki. Rachel pomyślała o wszystkich listach, jakie napisała do Woody'ego tamtej długiej, mroźnej zimy. Czy były schowane na dnie jednej z szuflad biurka pani March? A może jej słowa tęsknoty, nadziei, rozpaczy już dawno zmieniły się w popiół?

- Boli panią? - zapytała.

Głębokie, charczące westchnienie. Pani March próbowała usiąść.

- Pomyliłam się w wielu sprawach - powiedziała, kiedy Rachel nachyliła się, by jej pomóc. Wskazała palcem szkatułkę stojącą na szafce nocnej. - Otwórz ją.

Pudełko było wielkości cegły, na wieczku wyryto sylwetki sosen. Rachel uniosła je i zobaczyła w środku coś jak szarobury piasek.

Pani March wskazała głową ziarnisty popiół.

- Wiesz, nigdy go nie pochowałam. Ojciec Tom powiedział, że kremacja jest czymś niedobrym, a czy moje dzieci były w głębi serca katolikami? Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz, odpowiedziałam mu. - Przesiała popiół przez palce. - W ten sposób mogę przynajmniej mieć go w domu.

Rachel pomyślała, że pani March prawdopodobnie dotyka teraz syna częściej, niż mogła to robić za jego życia. Wstrząśnięta, zafascynowana, oparła się pokusie, żeby samej przegarnąć palcami spopielone szczątki ukochanego. Ella Mae powiedziała jej, że najpierw jezioro wyrzuciło na brzeg sztuczną nogę Woody'ego. Przez sekundę miała szaloną ochotę spytać panią March, czy proteza także została spalona. Spojrzała na krucyfiks, pełniący jak zawsze wartę nad panią March.

- Ja też nigdy go nie pochowałam - powiedziała.

Nagle targnął nią spazm - głęboki, oczyszczający wewnętrzny szloch, jakby jej własny duch chciał ją opuścić. Obok niej pani March cicho rzęziła. W płucach jej zabulgotało, był to dźwięk, jaki wydają fale cofające się z kamienistej plaży.

- Możesz mi pomóc? Proszę - powiedziała.

Rachel utkwiała w niej wzrok. Czego tym razem chce od niej

pani March? Żeby opiekowała się nią tak, jak kiedyś zajmowała się Woodym? Pani March może ją oskarżać, że dawała mu za dużo morfiny, ale Woody stał się przy niej silniejszy, zaczął chodzić. Co jeszcze mogła zrobić?

- W szufladzie - dodała pani March.

Cały czas czując mdłości po widoku prochów Woody'ego, Rachel sięgnęła do gałki. Kiedy wysunęła szufladę i wpatrywała się w zestaw pobłyskujących ampułek, poczuła, że wraca do niej cała przeszłość. Czy to aby nie wczoraj maglowała bieliznę pościelową i nasłuchiwała głosu Woody'ego?

„Bóg błogosławi wszystkim naszym celom, Rachel”.

Pani March miała nieobecny wzrok, jakby wspominała dni, kiedy jej rodzina była tu w komplecie. Wyciągnęła rękę i najwyraźniej nie zwracała uwagi na Rachel. Miała posiniaczoną skórę. Szlafrok zsunął się i odsłonił wąskie atłasowe ramiączko. Rachel widziała teraz wyraźnie mocno zarysowany obojczyk. Przez całe lata Rachel nosiła własny naszyjnik bólu. Teraz grymas wykrzywił usta pani March.

Poprzedniego wieczoru Ben powiedział Rachel, że wnuk pani March jest malarzem, że Elizabeth March to kobieta *kua-noczi-uej* i *ui-sou-gan* - piękna i zgorzkniała - a starsza pani March nie jest tak zawzięta, jak można było sądzić, że jej duma bierze się głównie ze strachu.

„Nie znasz tych ludzi”, odpowiedziała mu Rachel.

„Nie, to ty ich nie znasz”, krzyknął Ben i trzasnął drzwiami.

- O ile wiem, pani wnuk jest malarzem - powiedziała Rachel, czekając na pomruk niezadowolenia. Za oknem roztaczał się widok na zatokę, od krańca do krańca, jakby ktoś nasmarował niebieską smugę na blejtramicie.

- Mam dwóch wnuków.

Rachel patrzyła na stadko mew, które obniżyły lot i wylądowały na skalistej płyciźnie. Fale rozbijały się wokół nich. Niebieska głębia była pocięta zielonkawymi smugami mielizn. Gdzieś tam, przytłoczone ciężarem wody, zatopione, leżały na piaszczystym dnie sekrety i tajemnice.

Pozbawiona osłony mroku Rachel obróciła się ku pani March. Podniosła rzeźbioną szkatułkę z prochami Woody'ego, zagłębiła w niej palce i usiłowała przypomnieć sobie jego głos. Wzięła

szczyptętego, co nie zostało twardą grudkę, którą kiedyś była częścią kości lub zęba. Po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat przeżegnała się, po czym dotknęła szczęki starszej pani i ścisnęła ją lekko.

- Proszę otworzyć usta.

Pani March skrzywiła się w nagłym proteście. Rachel widziała już jednak jej pociemniały język za żółtymi zębami.

- Niech pani poczuje smak.

Pani March wrywała się, szarpała.

- Proszę wziąć to do ust! - rozkazała Rachel, a potem dodała łagodniej: - Zawiedźcie panią do domu.

W oczach pani March ukazały się łzy, potem zrozumienie, a wreszcie żal po synu. Posłusznie połknęła grudkę i głosem suchym jak drobina popiołu, która przylgnęła do jej ust, powiedziała:

- Przebac mi.

To była zwykła prośba; Rachel, spojrzawszy ponownie na krucyfiks, zastanawiała się, czy zrobiłaby to samo dla Bena. Czy ona także, podobnie jak Lydii March, nastreczyłaby mu dziewczynę, żeby uciszyć targające nim demony? Czy związałaby go tak mocno z ziemią, którą uważała za ich własną, że mógłby po niej chodzić, na niej tańczyć, ale nigdy nie stanąłby prosto?

Położyła dłoń na czole pani March. Po chwili napełniła strzykawkę, tak samo jak to robiła dla Woody'ego, podtrzymała wyschnięte ramię starej kobiety i wkłuła igłę tam, gdzie było jej miejsce. Pani March wciągnęła głęboko powietrze, a potem się rozluźniła. Kiedyś Rachel tęskniła do takich chwil, czekała, żeby ból zniknął z twarzy Woody'ego. Teraz widziała go w pani March - takie same wystające kości policzkowe, wydatny nos, te oczy.

- Jeszcze - poprosiła pani March tak cicho, że Rachel niemal jej nie usłyszała.

Nie mogę, pomyślała przerażona. Bardziej z obrzydzenia niż z litości. Cierpliwie i w milczeniu Chrystus spoglądał na nie z krzyża. W myślach Rachel krzyczała: „Ty! Na krzyżu! Co możesz o tym wiedzieć? Nie jesteś lepszy od Woody'ego, który odszedł i zostawił nas wszystkich! Nazywasz to litością? To nazywasz wiarą?”.

Tępy, wyczerpujący ból zagnieździł się między jej krtanią a pierśmi. Wpatrywała się w twarz pani March, zobaczyła cierpienie, rozpoznała je. Przypominając sobie, jak Ada pochylała się nad nią,

kiedy jej własne ciało wiło się w takim bólu, że nie mogła oddychać ani myśleć, Rachel napełniła strzykawkę.

Powietrze w pokoju zdawało się gęstnieć. Światło mroczniało, a rżenie w płucach pani March cichło. Rachel wstała i zaczęła chodzić, szukała, aż znalazła na komodzie kamień, na którego powierzchni zamknięte były maleńkie słońca. Wróciła do łóżka i położyła go na klatce piersiowej starej kobiety, w miejscu, gdzie kiedyś były jej piersi, a potem liczyła oddechy, słuchała, jak stają się coraz słabsze, patrzyła, jak ręce pani March zmieniają się w bladoniebieskie kamienie. Niebawem oddech ustał zupełnie.

Rachel zamknęła jej oczy, pogładziła palcami twarz pani March, Woody'ego, znalazła tam wspomnienie jej syna. Stara kobieta stygła, w pokoju panowała cisza, zakłócana jedynie pluskiem fal.

Ben był na plaży, gdzie znalazła go matka. Poszedł tam po złożeniu i schowaniu żagli. Łódź stała zacumowana, Rory i jego przyjaciele poszli na wczesny koktajl do klubu, żeby przechwalać się żeglowaniem między skalistymi płycznami. Od tego czasu minęło wiele godzin. Zachodzące słońce znajdowało się dalej na południe, co zapowiadało krótsze dni. Niedługo letnicy wyjadą, okna w domach zostaną zabite deskami, łodzie wstawione do suchego doku.

Podniósł kamień i rzucił. Pójdzie do pani March i powie jej, że pokonał trasę między podwodnymi skałami, do czego go zachęcała. Powie jej, że Rory mu w tym pomagał, a co ona na to? Jej wnuk, którego miała za nic, za maminsynka, mięczaka. „Prawdopodobnie nigdy się nie ożeni”, zwierzyła się Benowi, który był jej człowiekiem od łodzi - nie, jej wnukiem.

Rzucił kolejny kamień, który dwa razy odbił się od wody, pozostawiając na tafli koliste ślady. Nadchodziła jesień, a Ben nie wiedział, czym się zajmie. Może będzie pomagał Hankowi w stoczni jachtowej. Może razem z Hondą będzie rozwoził drewno. Na ubieganie się o przyjęcie do szkoły było za późno, niewykluczone, że zrobi to w przyszłym roku. Pani March spytała go, czy słyszał o ustawie dotyczącej szeregowców. Mógłby iść do niej i spytać: „Co w niej jest takiego?” W końcu był przecież jej wnukiem.

- Ben.

Obrócił się i zobaczył matkę. Jej włosy przypominały wronie



gniazdo, miała na sobie sukienkę z poprzedniego dnia, wyglądającą jak tani plażowy łańch upstrzony świecidełkami. Za jej plecami wznosił się dom Marchów, przy którym wydawała się ciemna i mała, i zupełnie nie na miejscu. Zastanawiał się, czy przechadzała się po plaży z ojcem, czy też może jej obowiązki i związek z nim ograniczały się jedynie do czterech ścian domu. Zbyt rozgorzyczony, żeby o to spytać, odwrócił się od niej.

Bose stopy zagłębiły się w piasku. Fale omywały jej kostki nóg i łydki, błagały, by weszła dalej. Znam cię, pomyślała o wodzie. Nie dam ci się już więcej nabrać. Zabrałaś to, co kochałam, i utopiłaś.

Odnalazła go na plaży, niedaleko wydmy, gdzie spotykała się z Woodym, gdzie czuła pod plecami piasek, a mrówka łaźniła jej po nodze. Czy Ben został poczęty na tej wydmie? A może nad jeziorem, tej nocy, kiedy pokrwawiła sobie kolana, a woda przelewała się z sykiem wokół jej ud? Mogło się to także stać w hangarze z łodzią, gdzie otaczały ich widmowe sterty żagli. W pokoju gościnnym. Na korytarzu.

To tutaj, zdecydowała. Nad wodą.

- Kiedyś przychodziłam tu z nim - powiedziała.

- Nie opowiadaj - przerwał jej Ben, unosząc do góry ręce. - To twoje wspomnienia, nie moje.

W oddali snuł się dym jakiegoś ogniska - luksus dodatkowego ciepła w wieczór, który jeszcze nie był chłodny. W świetle zmierzchu wydmy jaśniały widmowo. Czerń lasu za nimi, krzyk jakiegoś ptaka.

- Kłamałaś - zarzucił jej Ben.

- Tak - odrzekła. - Kłamałam. Powiedziałam ci, że był dzielnym człowiekiem, żeglarzem. Nie był odważny. Niezupełnie.

Nozdrza Bena poruszyły się niemal niezauważalnie. Przez chwilę Rachel zapragnęła cofnąć wypowiedziane słowa. Wskreszenie bohatera jest niemożliwe, pomyślała. Mimo to, tutaj, na plaży, stał przed nią dowód czegoś wręcz przeciwnego.

- Wybacz mi - dodała. - Myliłam się.

Rozgrzane węgle w jego oczach syczały, sypały iskry, gasły. Dostrzegła, że drży mu ręka, chciała dotknąć jego blizny i powiedzieć: „Tak się złożyło”.

Ben wskazał na płycizny.

- Żeglowaliśmy dzisiaj między nimi i brzegiem. Twoim zdaniem to daleko stąd?

Wiele lat temu odpowiedziałyby: „Blisko”. Teraz jednak wiedziała, że straciła umiejętność oceny odległości, że nie potrafi jej zmierzyć, że może to być równie dobrze „niedaleko”, jak i „hen, hen”. Błogi odcinek, kiedy pokonuje się go z kochankiem, albo przepastna kipiela, połykająca człowieka.

Wzięła głęboki oddech.

- Pływałam do tych skał, ale wtedy wszystko wydawało się bliżej. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki Woody'emu to się nie udało. - Chciała opowiedzieć synowi o kopule z gwiazd, o dręczących wspomnieniach z wojny człowieka tak okaleczonego, że nic nie było w stanie uwolnić jego ducha. Zamiast tego jednak pokazała mu po prostu dłonie. Ręce stworzone do przyszywania piór, prasowania pościeli, grzebania w ziemi. Trzymania dzieci. Kołysania go.

Ben nie odpowiedział. A nagle uspokojona Rachel pomyślała o Hondzie, o jego smaku. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego aż do tej pory nie miała innego mężczyzny poza Woodym. Może wynikało to z głęboko zakorzonego strachu, że kogoś innego także by jej zabrano. A może to jej wściekłość, duma twarda jak kamienie. Ale teraz jej serce się otworzyło i było wyciszone jak jezioro, podczas gdy Lydia March zastygła w bezruchu na zawsze. Powietrze pachniało nadzieją, dym z ogniska osnuwał czerwieniejące drzewa, a niedługo letnicy zaczęły wyjeżdżać.

Ben popatrzył na nią.

- Przyszłaś tu po to, żeby mi to powiedzieć?

- Przyszłam, żeby powiedzieć Lydii March.

Zapach tłącego się cedru. Niedługo sami będą rozpalali ogniska, żeby przywabić jesienne ryby.

- Ale ona nie żyje.

Krew odpłynęła z twarzy Bena. Za Rachel rozległ się niespodziewanie brzęk tłuczonego szkła i trzask ognia. Chciała mu powiedzieć, że to dobrze, że Lydia March wypowiedziała się ze swoich grzechów, że już się go nie wypiera, ale Ben patrzył do góry, na dom. Rachel obejrzała się, zobaczyła to, co on, i oboje rzucili się biegiem w tę stronę.

Zjawił się Rory, trochę pijany, i stanął oszołomiony skwarem i dziwnie sprośnym trzaskiem pękających okien. Ben zmagał się z wężem, polewał wodą schody i werandę. W upiornym świetle oczy Rory'ego stały się okrągłe jak spodki. Uniósł do góry zaban-  
dażowane dłonie, pokaleczone do krwi liną, zaczął coś mówić, ale nic nie było słychać.

- Zostań tu! - krzyknął Ben. - Pójdę po nią. - Podał szlauch Rory'emu i wbiegł do domu.

Ella Mae i Mandy stały na trawniku wśród gromadzących się gapiów. Mandy wrzeszczała do niego, że obie panie March są w domu, ale on wiedział, że teraz ważna jest tylko jedna. W środku musiał walczyć o oddech, wszystkie zmysły i instynkt kazały mu stamtąd uciekać. Ogień, dym, wspomnienie płonącej dżungli. Szkło pękało od gorąca. Po co im aż tyle okien?

Przedarł się jakoś do schodów, wydało mu się, że słyszy jej głos, ale było to tylko syczenie pary z pękniętej rury w łazience. Nie sposób było określić źródła pożaru. Można by pomyśleć, że cały dom zapalił się od razu.

Znalazł ją w sypialni, stojącą przy oknie. Z drugiego piętra wyrzucała przez okno pudełka z piór. Otumaniona dymem, wyglądała, jakby postradała zmysły. Ciskała jedno pudełko po drugim. Przez chwilę myślał, że sama także rzuci się na dół. Chwycił ręcznik, żeby zakryć nim jej twarz, wziął Elizabeth March na ręce i wyniósł przez próg niczym pannę młodą, potem po schodach, przez dławiące się dymem pokoje płonącego domu.

Kiedy pojawił się na werandzie, Rachel poczuła, że może wreszcie zaczerpnąć powietrza. Stała bez ruchu jak głaz i patrzyła na dom pochłaniany przez ogień. Gdy strażacy zaczęli rąbać ściany, wiedziała, że jest za późno. Drewno było stare, spróchniałe do cna.

Jakby zanurzona w przepastnym czasie, słyszała urywki rozmów. Ktoś powiedział, że to stary jak świat nieszczelny piecyk. A potem okazało się, że wszyscy wiedzą o alkoholizmie Elizabeth March. Jak nic, zapaliła papierosa i film się jej urwał.

- Boże - powiedział ktoś inny. - Myślałem, że ten dom będzie tu stał wieki. Popatrzcie teraz tylko. Szczapy na rozpałkę nie palą się tak szybko.

Ben posadził Elizabeth March na trawie i przykucnął obok. Przechylił głowę na ramię. Rachel ruszyła w jego stronę, ale zatrzymała się. „Daj mu trochę czasu”, poradził jej Honda, kiedy Ben zwinął się w kłębek w kącie tamtej zimy, jakby chciał stać się maleńki i ten sposób obronić się przed tym, co widział i przeżył. Strach wyłazi początkowo małymi porcjami, by potem buchnąć jak krew z otwartej tętnicy.

Skąd Honda wie takie rzeczy? Taki odważny mężczyzna jak on? Nagle Rachel usłyszała głos Bliss - a może Ady? „I jednocześnie cierpliwy”.

Z domu wyszedł jeden ze strażaków i pokręcił głową. Tłum rósł, a przez obramowane jasnością sylwetki Rachel dostrzegła, że Bena nie ma już przy Elizabeth March. Wyciągała szyję i błędziła oczami od twarzy do twarzy, aż do chwili, gdy spostrzegła ciemną głowę obok jasnej. Ben obejmował za ramię Roryego. Syreny wyły żałośnie. Wydawało się, że całe miasteczko przybyło, by oglądać widowisko. Na pewno całe Beck's Point zebrało się na podwórzu. Kucharki tłoczyły się wśród mężczyzn w wieczorowych strojach i kobiet jarzących się od klejnotów. Matki przywoływały dzieci i trzymały je blisko siebie. Elizabeth March obejmowała się ramionami, kołysała i powtarzała bez końca, że nie chciała, nie chciała.

Rachel czuła, że piecze ją twarz. Ktoś krzyknął, gdy dach się zawalił. „Tyle mam do powiedzenia synowi”, pomyślała. Pokoje wypalały się jeden po drugim, aż cały dom zaczął przypominać wijący się szkielet, wydzielający nikły swąd palącego się ciała. Coś uniosło się ponad nim i pomknęło w niebo.

„Idź”, powiedziała cicho Rachel, kiedy duch Lydii March wzniosł się z płomieniami. „Opuść to miejsce. Jesteśmy podobne, ty i ja. Obie wiernie trwamy przy swojej ziemi. Boimy się, że jej nie utrzymamy, ale wierzymy, że to nasz obowiązek. Nasz. Nasz. Co za żałosne określenie. Nawet nasze dzieci nie są nasze”.

Mężczyźni zostawili dom na pastwę płomieni i teraz walczyli, by ogień nie rozprzestrzenił się dalej. Płomienie zdążyły już bowiem wypełznąć na ścieżkę i zwęgliły zarośla po stronie domu Hewettów. Płonęły wierzchołki niektórych drzew. Port jaśniał czerwienią od odbitego blasku. Niebo jarzyło się złą, jadowitą żółcią. W końcu syreny ucichły. Wszyscy stali w milczeniu, oszołomieni, w pełnej szacunku ciszy, a ogień dogasał.

Rachel zmusiła się, by spojrzeć w miejsce, gdzie kiedyś stał wspaniały dom. Spalona wiklina na werandzie, okna jak wydłubane oczy. W środku woda wsiąkała w poczerńnięte meble, adamaszek poszedł z dymem, srebro się stopiło, zniknęły wszystkie fotografie. W ociekających wodą, dymiących zgliszczach Rachel widziała je wszystkie. Jej chłopak wrócił z wojny. Stał się mężczyzną. Na tej ziemi zamieszkaney przez duchy jakaś inna rodzina zbuduje dom, jeszcze większy, jeszcze jaśniejszy. Drzewa zasłaniające widok zostaną wycięte i długo po tym, jak nazwisko Marchów odejdzie w zapomnienie, ktoś, przechodząc obok, powie: „Kiedyś mieszkała tu rodzina, ale ludzie jak lodowce, pojawiają się i znikają”.

Zawaliła się kolejna belka stropu, wszyscy krzyknęli. Jakaś kobieta zanosiła się płaczem, najpewniej Mandy, ale to także wkrótce wchłonęła cisza rozgrzeszenia. Spadł deszcz sadzy i popiołu, miękki jak piórka, a Rachel, unosząc głowę ku niebu, otworzyła usta i powitała go na języku.